

JENNIFER ESTEP

UKAZZENIE

Październik

ROZDZIAŁ 1

- Nazywam się Gin i zabijam ludzi.

W innej sytuacji moje wyznanie wzbudziłoby przerażenie. Poblądle twarzy. Krople nerwowego potu. Tłumione krzyki. Krzesła, przewracane w panice, gdy wszyscy rzucają się do drzwi, nim zatopię nóż w ich sercu - albo plecach. Rana to rana. Nie byłam wybredna, jeśli chodzi o to, gdzie ją zadać.

- Witaj, Gin - odpowiedziały mi cztery osoby idealnie równym, monotonnym tonem.

Ale nic tutaj. Za grubymi murami Zakładu dla Chorych Psychiczenie w Ashland moje wyznanie, choćby najprawdziwsze pod słońcem, nie wywołało nawet uniesienia brwi, a co dopiero szoku i przerażenia. Byłam w miarę normalna, przynajmniej w porównaniu z dziwadłami natury i magii, które zamieszkiwały ten budynek. Jak Jackson, olbrzym albinos. Miał ponad dwa i pół metra wzrostu, ślinił się bardziej niż mastif i gaworzył jak trzymiesięczne dziecko.

Długa nitka przezroczystej śliny zwisała z jego wielkich warg, ale Jacksona za bardzo zaprzętało mamrotanie bzdur do stokrotki niestarannie wytatuowanej na jego dłoni, by zwracał na to uwagę albo by zrobił coś rozsądnego i higienicznego, na przykład wytarł usta. Odsunęłam się od niego, żeby nie otrzeć się przypadkiem o bezustannie płynącą ślinę.

Ohyda. Ale Jackson był typowym mieszkańcem tego Zakładu. Zakładu. Zawsze mi się chciało śmiać, gdy słyszałam tę nazwę. Takie niewinne określenie dla piekła na ziemi.

Wystarczająco złe było to, że tkwiłam tu już od prawie tygodnia. Ale najbardziej doprowadzały mnie do szału hałasy - i konieczność słuchania odgłosów budynku. Wrzaski szalonych i potępionych wsiąkały od lat w granitowe ściany i posadzki, podobnie jak inne emocje i czyny. Ponieważ miałam moc Kamienia, wyczuwałam wibracje skał, słyszałam bezustanny szaleńczy bełkot nawet przez wykładzinę i białe bawełniane skarpetki.

Kiedy się tu zjawiłam, usiłowałam nawiązać kontakt z kamieniem, posłużyć się moją magią, by dodać mu otuchy. Albo przynajmniej uciszyć krzyki, żebym mogła zasnąć w nocy. Nic z tego. Kamienie mnie nie słuchały, nie odpowiadały na wezwanie magii, straciły kontakt ze światem zewnętrznym, jak ci biedacy, którzy mieszkali w tych ścianach.

Teraz tylko blokowałam hałas - blokuję mnóstwo rzeczy.

Kobieta siedząca u szczytu kręgu plastikowych krzeseł pochyliła się. Siedziała dokładnie naprzeciwko mnie, więc bez trudu pochwyciła mój wzrok.

- Już to mówiłaś, Gin. Rozmawialiśmy o tym. Tylko ci się wydaje, że jesteś zabójczynią. To nieprawda, uwierz mi.

Evelyn Edwards. Pani doktor, której zadaniem było leczenie świrów w tym magicznym wariatkowie. W obcisłym czarnym kostiumie, bluzce w kolorze

kości słoniowej i pantofelkach na niskim obcasie emanowała profesjonalnym chłodem i pewnością siebie. Okulary w grubych, czarnych, kwadratowych oprawkach zsunięte na czubek zadartego nosa podkreślały zieleń jej oczu. Jasnorude włosy strzygła krótko, na pazia. Była ładna, ale dobrze znałam minę, którą widziałam na jej poblądłej twarzy. Minę przebiegłego drapieżnika. Powód, dla którego się tu dzisiaj znalazłam.

- Nie, oczywiście, że nie jestem zwykłą zabójczynią - odparłam. - Jestem Pajakiem. Na pewno o mnie słyszałaś.

Evelyn przewróciła oczami i spojrzała na potężnego sanitariusza. Stał tuż za kręgiem krzesel. Parsknął śmiechem, podniósł rękę do czoła i narysował kółko.

- Oczywiście, że słyszałam o Pajaku. - Evelyn starała się zachować cierpliwość. - Wszyscy o nim słyszeli. Ale ty na pewno nim nie jesteś.

- Nią - poprawiłam. Sanitariusz znowu się roześmiał. Niezadowolona, uniosłam brew. Ale niech się śmieje, ten rechot będzie go kosztował życie. Nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją, nawet jeśli od kilku dni udaję świra.

Żeby kogoś zabić, trzeba się do niego zbliżyć. Znaleźć w jego świetle. Polubić to samo, co on. Robić to samo, co on. Myśleć o tym samym, co on.

Żeby zrealizować zlecenie dotyczące Evelyn Edwards, musiałam trafić do Zakładu dla Chorych Psychicznie w Ashland. W oczach Evelyn i jej podwładnych byłam tylko kolejną schizofreniczką zgarniętą z ulicy, którą do obłędu doprowadziła magia żywiołów, narkotyki, albo i jedno, i drugie. Kolejna biedna pensjonariuszka, której nie warto poświęcać czasu, uwagi, troski czy okazywać współczucia.

Od kilku dni usiłowałam przekonać Evelyn i pozostałych, że jestem równie zwariowana jak cała reszta bełkoczących świrów. Plotłam bzdury, że jestem zabójczynią. Śliniłam się. Malowałam obrazy palcem umoczonym w warzywnym puree, które podawali nam na obiad. Podczas terapii zajęciowej obciąłam sobie nawet kilka kosmyków długich, tlenionych włosów, żeby zachować pozory. Sanitariusze wprawdzie odebrali mi nożyczki, ale zanim to zrobili, zdążyłam odkręcić nimi śrubę w stole.

Później ją zaostrzyłam, tak że przypominała czterocentymetrowy grot strzały. A teraz tę właśnie śrubę ukrywałam w dłoni. I dokładnie tę śrubę wbiję w gardło Evelyn, Broń spoczywała w mojej dłoni. Czułam metal przez skórę pokrytą bliznami. Twardy. Zimny. Rzeczywisty. Dodający otuchy.

Oczywiście tak naprawdę nie potrzebowałam żadnej broni, żeby ją zabić. Mogłabym ją załatwić za pomocą magii Kamienia. Mogłabym skorzystać z mocy płynącej w moich żyłach. Mogłabym sprawić, by setki metrów sześciennych granitu, z których zbudowano szpital, zawaliły się z hukiem i ją pogrzebały.

Posługiwanie się magią Kamienia przychodzi mi równie łatwo jak oddychanie.

Może to zawodowa duma, ale me korzystałam z mocy Kamienia, żeby zabijać, chyba że już naprawdę musiałam, chyba że nie miałam innego wyjścia, by wykonać zadanie. O po prostu było zbyt łatwe. A co ważniejsze, magia zwraca uwagę w tych stronach. Zwłaszcza magia żywiołów Gdybym często powodowała zawalenia się budynków albo obsypywała ludzi deszczem cegieł, policjanci i inne, o wiele bardziej nieprzyjemne indywidua zwróciłyby uwagę na te zdarzenia - i na mnie. W ciągu minionych lat narobiłam sobie wielu wrogów, przeżyłam tak długo tylko dlatego, że wiedziałam, jak trzymać się w cieniu. Wiedziałam, jak zjawiać się i znikać całkowicie niezauważona, podobnie jak mój imiennik - Pająk.

Zresztą jest wiele sposobów, by pozbawić kogoś życia. Nie potrzebuję do tego magii.

- Pająk. - Usta Evelyn drgnęły i pozwoliła sobie na lekki uśmiech - Akurat uwierzę, że ktoś taki jak ty mógłby nim być. Pająk, najbardziej przerażający zabójca na Południu.

- Na wschód od Missisipi - poprawiłam ją znowu - I owszem, jestem Pajakiem, naprawdę. Co więcej, zabiję ciebie, Evelyn. Za trzy minuty. Oduczanie już się zaczęło.

Maże to skutek mojego wzroku - spokojnego spojrzenia szarych oczu. A może wywołał to całkowity brak emocji w moim głosie. W każdym razie przestała się śmiać, ucichła jak zwierzę w pułapce. Właściwie to dobre porównanie.

Wstałam, rozciągnęłam się, chwyciłam lepiej śrubę. Biała koszulka z długim rękawem uniosła się, odsłoniła mój płaski brzuch, widoczny nad spodniami od pizamy. Wysoki sanitariusz oblizał się, gapiąc się na moje biodra. Ostatnie marzenia przed egzekucją.

- Ale dość o mnie. - Ponownie opadłam na krzesło. - Porozmawiajmy o tobie, Evelyn.

Pokręciła głową.

- Och, Gin, wiesz, że to wbrew przepisom. Terapeutom nie wolno rozmawiać z pacjentami na swój temat.

- Dlaczego nie? Od kilku dni zasypujesz mnie pytaniami. Chcesz, żebym się otworzyła, opowiadała o przeszłości. O tym, co czuję. O tym, że powinnam się pogodzić z faktem, że jestem oziębła i pozbawiona uczuć. Teraz twoja kolej, rozumiesz. Zresztą w rozmowach z Rickym Jordanem nie miałaś takich oporów.

Oczy za okularami otworzyły się szeroko.

- Gdzie... Gdzie słyszałaś to nazwisko?

Puściłam jej pytanie mimo uszu.

- Ricky Robert Jordan. Lat siedemnaście. Magia Powietrza i ciężki przypadek choroby dwubiegunowej. Uroczy, ale pokręcony chłopak, jeśli wierzyć wszystkim, którzy go znali. Doprawdy, Evelyn, nie powinnaś była zadawać się z nim.

Zaciskała dłoń na długim, złotym piórze, aż z wysiłku pobieleły jej knykcie. Sanitariusz zmarszczył brwi. Wodził wzrokiem między nami, jakbym grała z Evelyn w słownego tenisa. Jackson i trzej inni pacjenci siedzieli dokoła nas, śliniąc się, belkocząc bez sensu, zamknięci we własnych dziwacznych światach.

- A dokładniej mówiąc, nie powinnaś była robić sobie z niego kolejnego kochanka na oddziale, Evelyn - mówiłam dalej. - Spanikowałaś, kiedy do niego dotarło, że nie zostawisz dla niego męża? Groził, że powie rodzicom, że go uwiodłaś, podobnie jak wszystkich innych przystojnych młodych mężczyzn powierzonych twojej opiece? Czy to dlatego nafaszerowałaś go środkami halucynogennymi i wysłałaś do domu, do rodziny?

Evelyn oddychała płytko, urywanie. Widziałam żyłę na jej szyi, pulsowała jak skrzydła kolibra.

Pochyliłam się, patrzyłam w jej oczy wypełnione paniką.

- Ani mamusia, ani papcio nie byli zachwyceni, gdy Ricky podczas kolejnego kryzysu powiesił się w szafie. Ale zanim to zrobi, napisał list, w którym tłumaczył, że bez ciebie po prostu nie może dalej żyć.

Normalnie nie zwracałabym sobie głowy całym tym tłumaczeniem. To takie banalne. Dostałabym się do zakładu, zabiła Evelyn i uciekła, zanim ktokolwiek zorientowałby się, że nie żyje. Ale poinformowanie Evelyn Edwards, dlaczego umiera, stanowiło jeden z warunków zlecenia. I wzbogacało mnie o pół miliona dolarów. Netto.

- I właśnie dlatego tutaj jestem, Evelyn. Właśnie dlatego umrzesz. Pieprzyłaś się z niewłaściwym chłopcem.

- Strażnik! - ryknęła Evelyn.

Było to ostatnie słowo, jakie wypowiedziała. Wystarczył jeden ruch mojej ręki, a zaostzona śruba pomknęła przez powietrze i zagłębiła się w jej gardle. Przebiła tchawicę. Bingo. Krzyk Evelyn przeszedł w świszczące rżenie. Zsunęła się z plastikowego krzesła na podłogę. Zacisnęła dłoń na śrubie, wyrwała ją z ciała. Krew trysnęła na wykładzinę, rozlała się plamą jak atrament w teście Rorschacha. Głupio zrobiła. Gdyby śruba została w tchawicy, pożyłaby jeszcze z minutę.

Sanitariusz zaklął i rzucił się w moją stronę, ale byłam szybsza. Podniosłam z podłogi złote pióro lekarki, wstałam i wbiłam mu je prosto w serce.

- A co do ciebie... - szepnęłam mu do ucha, gdy miały nim konwulsje, - Za ciebie mi nie płacą. Ale ponieważ kręci cię gwałcenie pacjentek, traktuję to jako pracę charytatywną. Na rzecz lokalnej społeczności.

Wyrwałam mu pióro z piersi i pchnęłam jeszcze dwukrotnie, raz w brzuch, raz w jądra. Obłeśny błysk w jego oczach tracił na sile, aż zgasł zupełnie. Puściłam go. Osunął się na podłogę.

Minęło niecałe trzydzieści sekund, a było już po wszystkim. Gem, set, mecz. Zbyt łatwo, nawet się nie nakręciłam.

Omiotłam pomieszczenie spojrzeniem szarych oczu. Jackson nadal ślinił się bez powodu. Dwaj pozostali mężczyźni gapili się na podłogę, jakby zdawali sobie sprawę, że coś jest nie tak ale nie wiedzieli co. Czwarta osoba, kobieta, zdążyła już opaść na czworaki. Umoczyła palec w gęstniejącej krwi Evelyn i oblizwała go z apetytem, jakby to był najśłodszy miód. Wampiry. Naprawdę rzuca się na wszystko.

Szalony szept granitu przybierał na sile, narastał, czując świeżą krew sączącą się przez wykładzinę. Kakofonia kazała mi zacisnąć zęby. Z wielką chęcią opuszczę to miejsce i jego odgłosy. I to jak najszybciej.

Wyrwałam pióro z jąder sanitariusza, podniosłam śrubę. Świadkowie to problem, zwłaszcza w mojej branży, więc zastanawiałam się, czy nie zabić Jacksona i pozostałych, ale nie po nich tu przyszłam. Poza tym nie urządzam rzezi niewiniątek, nawet jeśli mowa o nieszczęśnikach, którym lepiej będzie na tamym świecie, z dala od marności ziemskiego żywota.

Schowałam narzędzia zbrodni i ruszyłam do drzwi. Zanim wyszłam na korytarz, spojrzałam przez ramię na martwe ciało Evelyn Edwards. Miała oczy i usta szeroko otwarte w szoku i zdumieniu. Nieraz widziałam takie miny w ciągu minionych lat. Nieważne, jak wiele zła popełniają ludzie, nieważne, z kim zadzierają - nigdy nie wierzą, że śmierć do nich przyszła za sprawą zabójcy, na przykład mnie.

Dopóki nie jest za późno.

ROZDZIAŁ 2

Teraz czas na trudniejszą część - muszę wydostać się z zakładu. Bo choć żeby się tu dostać, wystarczyło kilka razy udać atak psychozy i dać kilka razy w łapę, teraz jednak między mną a światem zewnętrznym znajdował się szereg przeszkód, mianowicie kilkunastu sanitariuszy, grupa strażników, najróżniejsze zamki i sześciometrowy mur zwieńczony drutem kolczastym.

Podeszłam do drzwi, wyjrzałam na korytarz. Pusto. Było po siódmej, część pacjentów już wróciła do cel o miękkich ścianach, by w osamotnieniu wrzeszczeć w noc. Przy odrobinie szczęścia dopiero rano znajdą Evelyn i sanitariusza. A do tego czasu już mnie tu nie będzie.

Nigdy nie licz na samo szczęście, jeśli chcesz coś osiągnąć. Już dawno się tego nauczyłam.

Nauczyłam się na pamięć rozkładu budynku i sprawdziłam jak często sanitariusze robią obchód. To wystarczyło, bym niezauważona przemknęła ciemnymi korytarzami do prawego skrzydła. Dzięki kawałkowi taśmy, którym zakleiłam zamek do schowka, drzwi stały otworem.

Wślizgnęłam się do środka. W kącie piętrzyły się zapasy - mopy, szczotki, papier toaletowy, środki czyszczące.

Podeszłam do kąta, gdzie budowlańcy pożałowali farby, by zamalować granitową ścianę, i przycisnęłam dłonie do szorstkiego kamienia. Nasłuchiwałam. Mając moc Kamienia, potrafiłam z niego czerpać, zawsze i wszędzie, nieważne w jakiej formie występował. Czy to żwir pod nogami, czy górski szczyt nad głową, czy zwykła ściana jak ta, której teraz dotykałam - zawsze wyczuwałam wibracje kamienia. Ponieważ ludzkie emocje i działania przenikają do otoczenia, wsiąkają zwłaszcza w kamień, z czasem przemieniają się w wibracje i mówią mi mnóstwo rzeczy, poczynając od temperamentu osoby mieszkającej w danym domu po odpowiedź na pytanie, czy miało tu miejsce morderstwo.

Ale ten kamień tylko bełkotał bez sensu. Żadnego niepokoju. Zero dźwięcznych wibracji zdradzających pośpiech czy nagłych zakłóceń przeszywających powierzchnię kamienia. Jeszcze nie znaleziono ciała, a moi walnięci współtowarzysze pewnie dalej ślinią się do siebie. Świetnie.

Wspięłam się na metalową półkę pod ścianą, odsunęłam obłuzowaną płytkę w podwieszonym suficie i wyjęłam owinięte w folie ubranie, które tam ukryłam. Ściągnęłam zakrwawioną, białą piżamę i założyłam nowe ciuchy.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiła, kiedy mnie zamknęli, było włamanie do depozytu i zabranie ciuchów, w których przywieźli mnie policjanci. Oprócz dzinsów, granatowej koszulki z długim rękawem i bluzy z kapturem, miałam też przy sobie kilka noży i srebrny zegarek z garotą ukrytą w cyferblacie. Malutkie, niezwracające uwagi narzędzia, ale już dawno nauczyłam się wykorzystywać to, co mam pod ręką.

Nie ograniczyłam się do depozytu. Zajrzałam też do sekretariatu, zabrałam i zniszczyłam swoje akta, usunęłam wszelkie zapisy z komputerów. Teraz po moim pobycie w zakładzie nie został żaden ślad. Oczywiście nie licząc stygnącego ciała Evelyn Edwards.

Zapięłam zegarek na nadgarstku. Światło księżyca padło na moją dłoń i oświetliło blizny po jej wewnętrznej stronie. Małe kółko i osiem odchodzących od niego linii. Podobny wzór zdobił także drugą dłoń. Runy pająka - symbol mojej cierpliwości.

Otworzyłam dłonie i wbiłam wzrok w blizny. Kiedy miałam trzynaście lat, związano mi oczy, pobito mnie i torturowano - kazano mi trzymać kawałek srebrnitu mający kształt właśnie runy pająka. Oklejono mi dłonie taśmą, a potem ktoś, kto miał moc Ognia, rozgrzał metal w moich dłoniach. Magiczny kruszec topił się, wnikał w moją skórę - stąd te blizny. Wtedy, siedemnaście lat temu, ślady były zaognione, czerwone, brzydkie podobnie jak moje krzyki i śmiech suki, która mnie torturowała. Blizny z czasem wyblakły. Teraz zostało tylko kilka srebrzystych kresek na bladej skórze. Szkoda, że moje wspomnienia z tamtej nocy także nie straciły na intensywności.

Światło księżyca odbijało się w drobinach srebrnitu w mojej skórze i sprawiało, że blizny były bardziej widoczne niż za dnia. A może po prostu to w nocy pracowałam najczęściej, gdy ciemne sprawy i mroczne emocje budziły się do życia. Czasami niemal zapominałam, że je mam, aż pojawiały się nagle w takich chwilach jak ta.

I przypominały mi o nocy, kiedy zginęła moja rodzina.

Zignorowałam bolesne ukłucie wspomnień i pracowałam dalej. Póki co, wykonałam zadanie połowicznie, a nie miałam zamiaru dać się złapać tylko dlatego, że się rozklejam na wspomnienie spraw, o których najlepiej zapomnieć. Emocje są dla ludzi zbyt słabych, by je wyłączyć.

A ja od dawna jestem silna.

Upchnęłam zakrwawioną piżamę i folię w wiadrze od mopa. Zdjęłam z półki butelkę wybielacza, otworzyłam i wylałam do wiadra. Trzymając trzonek mopa przez rękaw, zamieszałam nim energicznie. Z tych ciuchów już nikt nie weźmie próbki DNA. O ile oczywiście policja w ogóle będzie sobie zawracała głowę szukaniem próbek. Morderstwa, zwłaszcza z użyciem ostrych narzędzi, nie należały w tym zakładzie do rzadkości - właśnie dlatego zdecydowałam się sprzątnąć learkę tutaj, a nie w jej domu.

Załatwiwszy i tę sprawę, wyjęłam z kieszeni owalne okulary w srebrnych oprawkach. Szklą, barwione na niebiesko, maskowały moje szare oczy. W drugiej kieszeni znajdowała się czapeczka baseballowa, pod którą ukryłam farbowane, jasne włosy i która sprawiała, że moje rysy nikły w cieniu. To prawda, że najlepiej sprawdzają się najprostsze narzędzia, zwłaszcza jeśli chodzi o zmianę wyglądu. Tu okulary, tam luźne ciuchy i już mało kto jest w stanie powiedzieć, jakiego koloru jest twoja skóra, a co dopiero opisać szczegóły wyglądu.

Kompletnie ubrana, ukryłam nóż w dłoni, otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz.

Zaczęłam iść, w starych ciuchach, z promiennym uśmiechem na twarzy. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, nawet tak zwani strażnicy, którym sporo płacono za rzekomą czujność i pamięć do szczegółów.

Piec minut później nabazgrałam fałszywe nazwisko na formularzu przy wyjściu. Pielęgniarka łypała na mnie podejrzliwie zza szyby

- Czas odwiedzin skończył się pół godziny temu - burknęła, krzywiąc się z dezaprobatą. Przerwałam jej nocną randkę z tanim romanssem i czekoladą.

- Och, skarbie, wiem, wiem - zagruchałam, najlepiej jak umiem naśladować Scarlett O'Hara. - Ale musiałam coś załatwić w kuchni, a Duża Berta powiedziała, że nie muszę się spieszyć. - Oczywiście to kłamstwo, ale zrobiłam przejętą minę, żeby dodać słowom wiarygodności. - Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego? Duża Berta mówiła, że to w porządku.

Pielęgniarka pobladła. Duża Berta to drobniutka kobieta, która trzymała kuchnię - i chyba cały szpital - żelazną ręką. Nikt nie chce podpaść Dużej Bercie i ryzykować, że zdzieli go patelnią, z którą się nie rozstawała. A już zwłaszcza nie pielęgniarka, która zarabia dwanaście dolców za godzinę.

- Nieważne - warknęła. - Oby mi się to nie powtórzyło.

Nie powtórzy się, bo nie miałam zamiaru wracać do tego straszego miejsca. Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

- Obiecuję, skarbie, że to był ostatni raz.

Pielęgniarka nacisnęła guzik i znalazłam się na zewnątrz. Po szpitalnych korytarzach cuchnących plwociną, moczem i środkiem dezynfekującym, nocne powietrze odurzało czystym, świeżym zapachem, jak wykrochmalona pościel. Gdyby nie to, że przed chwilą zamordowałam dwie osoby, rozkoszowałabym się spokojem nocy, spychała kumkania żab i cichego pohukiwania sów w oddali.

Zamiast tego szybkim, zdecydowanym krokiem szłam do bramy. Metal zadzwieczał, gdy byłam już blisko. Zaszczyciłam strażnika skrytego za kuloodporną szybą promiennym uśmiechem. Ledwie skinął głową o ponownie skupił się na lekturze działu sportowego w gazecie.

Wróciłam do normalnego świata. Pod moimi stopami zgrzytał żwir wysypany na podjeździe, a w uszach słyszałam szept kamieni. Spokojny, zrównoważony, jak warkot silników samochodów, które jeżdżą tędy za dnia. O wiele radośniejszy dźwięk niż bezustanne, szaleńcze wycie granitu w szpitalu.

Wyszłam na rozległy parking otoczony gęstym sosnowym zagajnikiem. Za parkingiem czekała czteropasmowa autostrada. Nie widziałam żadnych świateł samochodów, z żadnej strony. I nic dziwnego.

Zakład dla Psychicznicy Chorych w Ashland znajdował się na skraju miasta, potężnej południowej metropolii położonej na styku stanów Tennessee, Wirginia i Karolina Północna. Ashland tylko nieznacznie ustępuje Atlancie pod względem wielkości i też uważa się je perłę Południa. Miasto rozłożyło się wśród szczytów Appalachów jak pies wylegujący się na chłodnej posadzce w

upalny dzień. Okoliczne lasy, wzgórza i leniwe płynące rzeki sprawiały, że miasto wydawało się miejscem spokojnym, cichym i bezpiecznym...

Rozległo się wycie syren, ostry dźwięk przeciął nocną ciszę, zagłuszył wszystko inne. Kolejna iluzja legła w gruzach.

- Zamknąć bramę! Zamknąć bramę! - ryczał głośnik.

A więc znaleźli ciała. Przyspieszyłam kroku, mijając kolejne samochody, i zerknęłam na zegarek.

Dwadzieścia minut. Szybciej niż się spodziewałam. Tej nocy los mnie nie rozpieszcza. Wredny drań.

- Ej, ty! Stój! Stój!

Och, klasyczny krzyk rozpacz, gdy lis już spustoszył kurnik. Czy raczej, jak w tym wypadku, zabił wściekłego psa, który czał się w środku. Brama się jeszcze nie zamknęła, usłyszałam zgrzyt, gdy się zatrzymała. Za moimi plecami żwir zachrząścił pod stopami strażników.

Byłabym pewnie bardziej zdenerwowana, gdyby nie to, że już zdążyłam rozplynać się w lesie. Co prawda wołałabym najpierw wrócić do domu i zmyć z siebie smród szaleństwa, ale byłam umówiona na kolację. A Fletcher nie znosił czekać, zwłaszcza jeśli chodziło o odbiór pieniędzy i dokonywanie przelewów.

Przebiegłam mniej więcej półtora kilometra, cały czas kryjąc się wśród sosen rosnących wzdłuż autostrady, i dopiero wtedy wyszłam spomiędzy drzew. Kilkaset metrów dalej znajdowała się niewielka kafejka o nazwie Koniec Trasy. To jedna z tych zapyziałych spelunek otwartych całą dobę, w których sprzedają stare ciasto i kiepską kawę, ale po szpitalnej diecie w postaci zatechłego groszku i marchewkowego puree, czerstwe ciasto truskawkowe smakowało niebiańsko. Pochłonęłam je, czekając na taksówkę.

Wysiadłam w jednej z gorszych dzielnic Ashland, dziesięć przecznic od właściwego celu. Po obu stronach ulicy kusiły reklamy tanich sklepów monopolowych i jeszcze tańszych peep-show. Grupki młodych mężczyzn - białych, czarnych i Latynosów, ale ubranych podobnie, w luźne bluzy i dzinsy - przyglądały się sobie czujnie z przeciwległych chodników. Wyczuwało się, że tylko szukają zaczepki.

Na rogu żebrak prosił o pieniądze i zaklinał się, że ma moc Powietrza i że sprowadzi deszcz dla każdego, kto da mu dość pieniędzy na flaszkę whisky. Kolejny przykład na to, że nawet osoby mające moc żywiołów nie są wolne od problemów społecznych, takich jak bezdomność, alkoholizm i inne nałogi. Wszyscy mamy swoje słabości i magia przed nimi nie chroni. To od nas zależy, jak pokierujemy naszym życiem i czy nie wylądujemy na ulicy, jak ten nieszczęśnik. Dałam mu dwudziestkę i poszłam dalej.

Dziwki maszerowały ulicami jak znużeni żołnierze, zmuszeni przez generałów-alfonsów do kolejnej potyczki. Większość prostytutek to wampirzyce; ich złotawe kły lśniły w świetle latarni jak topazy. Dla wielu z nich seks jest równie ekscytujący jak smak krwi, jest jak narkotyk, dodaje im sił, tak samo jak szklaneczka 0 Rh+, dlatego tak wiele wampirzyc pracuje na ulicy. A

poza tym to najstarszy zawód świata. Pomijając klasyczne traumy i groźne rany. wampir żyje długo, nawet kilkaset lat. Warto mieć zawód który nigdy się nie zdezaktualizuje.

Kilka dziwek zaczęło mnie, ale widząc moją ponurą minę, dały spokój i rozglądały się w poszukiwaniu łatwiejszych, bardziej chętnych obiektów.

Dwie przecznice dalej cisnęłam okulary do śmietnika za chińską restauracją. Pojemnik cuchnął sosem sojowym i zepsutym smażonym ryżem. Czapeczka baseballowa i ciepła bluza wylądowały na wózku bezdomnej. Sądząc po stanie jej kurtki przyda jej się nowa bluza. O ile oczywiście wytrzeźwieje na tyle, by zobaczyć, co leży na jej wózku.

W miarę jak szłam, miasto się zmieniało - to już nie była dzielnica gangów, dziwek i gwałtów, teraz szłam przez ulice zamieszkałe przez robotników. Miejsce peep-show i sklepów monopolowych zajęły salony tatuażu i punkty bankowe. Nieliczne stojące tu prostytutki były bardziej zadbane i lepiej odżywione niż ich koleżanki i koledzy po fachu z dzielnicy południowej, Southtown. I tu było więcej zwykłych ludzi.

Pozbywszy się przebrania, zwolniłam kroku i rozkoszowałam się spacerem i nocnym powietrzem. Chłonełam je chciwie, choć przesycił je zapach nikotyny. Przed wieloma domami mężczyźni palili papierosy i popijali piwko, podczas gdy ich żony krzątały się w kuchni, szykując kolację, pełne obaw, że jeśli nie zdążą na czas, zaliczą kolejną śliwę pod okiem.

Pół godziny później doszłam do celu - knajpki Wesoly Prosiak.

Prosiak jak mawiali stali bywalcy, to tylko mała knajpa, ale nigdzie w Ashland nie dostaniesz lepszego mięsa z grilla. W Ashland? Kurcze, na całym Południu.

Nad spłowiałą niebieską markizą wisiał kolorowy neon - świnka z półmiskiem smakołyków. Musnęłam palcem wiekową cegłę przy drzwiach wejściowych. Wibrowała leniwym zadowoleniem jak żołądki i arterie niezliczonych klientów.

Choć wywieszka na drzwiach głosiła, że lokal jest zamknięty, otworzyłam je i weszłam do środka.

Staroświeckie stoliki i kanapy obite różowo-niebieskim winylem pod oknami. Po przeciwnej stronie - długi kontuar i wysokie stołki barowe w tych samych kolorach. Z tego miejsca goście mogli obserwować prace kucharzy nakładających na talerze grillowaną wołowinę i wieprzowinę. Choć lokal zamknięto już co najmniej godzinę temu, w powietrzu nadal unosił się zapach przypalonego mięsa, dymu i przypraw, tak gęsty, że niemal namacalny. Ślady świńskich racic namalowane na podłodze, niebieskie i różowe, prowadziły do toalet, odpowiednio dla panów i pań.

Skierowałam oczy na prawo, na skraj kontuaru, na którym stała kasa; koło niej siedział samotny mężczyzna, pogrążony w lekturze sfatygowanego egzemplarza *Where The Red Fern Grows*. Popijał kawę z cykorią. Był to starszy

mężczyzna, pod osiemdziesiątkę, z rzadkimi siwymi włosami na pomarszczonej czaszce. Poplamiony fartuch zasłaniał granatowe drelichy.

Kiedy weszłam, zadzwęczał dzwonek przy drzwiach, ale mężczyzna nie podniósł wzroku.

- Spóźniłaś się, Gin - mruknął.

- Sorry, byłam zajęta. Opowiadałam o swoich uczuciach i zabijałam ludzi,

- Miałaś tu być godzinę temu.

- Nie no, Fletcher, jeszcze pomyślę, że się o mnie martwisz.

Podniósł wzrok znad książki. Jego oczy były zielone jak butelka po piwie.

- Ja? Martwić się? Nie żartuj.

- Skądże.

Fletcher Lane to mój pośrednik. To on aranżuje spotkania z potencjalnymi klientami, przyjmuje pieniądze, organizuje zlecenia. To on wszystko załatwia - za niemałą prowizję. To on zgarnął mnie z ulicy siedemnaście lat temu i nauczył wszystkiego, co warto wiedzieć w moim fachu. Wszystkiego, co dobre, złe i brzydkie. Poza tym to jeden z nielicznych ludzi, którym ufam, co dotyczy także jego syna, Finnegana, który jest równie chciwy jak staruszek i wcale tego nie ukrywa.

Fletcher odłożył książkę.

- Głodna?

- Przez prawie tydzień grzebałam widelcem w talerzu z groszkiem z marchewką. Jak myślisz?

Usiadłam przy kontuarze, a Fletcher zabrał się do pracy. Postawił przede mną szklanekę kwaśnej lemoniady z jeżynami.

Spróbowałam. Skrzywiłam się.

- Letnia.

- Lód już jest w zamrażarce. Sama ją schłodź.

Mam nie tylko moc Kamienia - lecz posiadam także inną magię, bardzo rzadką magię Lodu, choć jest u mnie o wiele słabsza niż moc Kamienia. Zamknęłam szklanekę w dłoniach i skoncentrowałam się, szukałam w sobie chłodnej siły. Po chwili poczułam, jak z moich dłoni spływają kryształki w kształcie płatków śniegu. Pokryły ścianki szklanki, wpełzły do środka. Uniosłam dłoń, przykryłam nią naczynie i znowu poszukałam w sobie magii. Zimne, srebrzyste światło rozjaśniło ciemność, zdawało się skupiać w runie wypalanej w mojej dłoni. Skoncentrowałam się i światło zmieniło się w kostkę lodu. Wrzuciłam ją do napoju. Wyczarowałam jeszcze kilka kostek, żeby porządnie schłodzić lemoniadę.

Uniosłam szklanekę do ust.

- O wiele lepiej.

Fletcher postawił przede mną talerz z ogromnym hamburgerem ociekającym majonezem, z plasterkiem żółtego sera, sałatą, plasterkiem pomidora i czerwonej cebuli. I jeszcze miseczkę czerwonej fasoli i talerzyk z sałatką coleslaw.

Zabrałam się do jedzenia, rozkoszowałam się grą smaków - pikantne i słodkie, słone i gorzkie. Przełknęłam łyżkę fasoli, analizowałam sos, starałam się wyodrębnić poszczególne składniki.

Wesoły Prosiak słynie z sosu barbecue. Fletcher przyrządzał go osobiście i w największej tajemnicy. Ludzie kupowali go litrami. Od lat usiłowałam poznać jego tajną recepturę. Nic z tego. Choćbym uwarzyła setki litrów, i tak mój smakował inaczej. Fletcher twierdził, że sekret tkwi w jednym składniku, który dodaje mu ten charakterystyczny posmak, ale wredny dziad nie chciał powiedzieć, co to jest ani ile tego dodaje.

- Powiesz mi kiedyś, co jest w twoim sosie? - zapytałam.

- Nie - odparł. - Przestaniesz mnie kiedyś o to pytać?

- Nie.

- Więc mamy problem.

- Mogłabym coś z tym zrobić - burknęłam.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Wtedy już na pewno nie poznasz przepisu.

Pokręciłam głową i skupiłam się na jedzeniu. Fletcher tymczasem wrócił do przerwanej lektury. Nie pytał o zadanie. Nie musiał. Wiedział, że nie wrócę, póki nie wykonam zlecenia.

Podczas pracy zawsze tęskniłam za Prosiakiem. Brakowało mi zapachu przypraw i rozgrzanego tłuszczu. Brakowało mi szczęku talerzy i sztućców. Brakowało krzątania się w kuchni i narzekania na wymagających gości i niskie napiwki. Ale najbardziej brakowało mi pogawędek z Fletcherem późno w nocy, gdy lokal był już zamknięty i pusty, nie licząc nas dwojga.

Wesoły Prosiak to dla mnie coś więcej niż restauracja. To mój dom, czy raczej jego najlepsza namiastka, jaka mi się trafiła w ciągu ostatnich siedemnastu lat. Jedyne dom, jaki mogę mieć. Zawód zabójcy nie da się pogodzić z domkiem na przedmieściu i gromadą szczeniaków.

- Co u Finna? zapytałam, gdy już nasyciłam pierwszy głód.

Fletcher wzruszył ramionami.

- W porządku. Zbija fortunę. Obraca cudzymi pieniędzmi. Mój syn, inwestor i geniusz komputerowy. Powinien zająć się jakąś uczciwą robotą, na przykład złodziejstwem.

Ukryłam uśmiech za szklanką lemoniady. Pozorna legalność działań Finneganca cały czas bawiła jego ojca. I mnie.

Przełknęłam ostatni kęs nieopisanie pysznego hamburgera i Fletcher sięgnął pod kontuar, wyjął brązową kopertę i położył koło mojego talerza. Przez chwilę jego stara, pomarszczona, poplamiona dłoń spoczywała na kopercie, ale zaraz ją cofnął.

- Co to? - zapytałam. - Mówiłam ci, że po pani doktor robię sobie wakacje.

- Byłaś na wakacjach wystarczająco długo. - Z głośnym siorbnięciem upił łyk stygnącej kawy.

- Sześć dni w psychiatryku? Nie tak sobie wyobrażam udane wakacje.

Fletcher nie odpowiedział. Koperta leżała między nami jak niezadane pytanie. Nie mogłam się oprzeć, intrygowało mnie, co zawiera. I kto wkurzył kogoś na tyle, że ta osoba znalazła się na moim celowniku. Moje usługi nie są tanie, zwłaszcza jeśli się doliczy prowizję Fletchera.

- Kto jest celem? - zapytałam i tym samym uległam. To było nieuniknione.

Pieprzona ciekawość. Jedyne uczucie, którego nie udało mi się zdławić, choćbym nie wiem jak się starała. To wpływ staruszka przez te wszystkie lata. Jest jeszcze bardziej ciekawski niż ja.

Fletcher uśmiechnął się i otworzył kopertę,

- Gordon Giles.

Podał mi akta. Przejrzałam je pobieżnie. Gordon Giles. Pięćdziesiąt cztery lata. Główny księgowy w Halo Industries. Czyli gryziپیórek i urzędas. Rozwiedziony. Bezdzienny. Hobby: wędkowanie. Dwa razy w tygodniu chodzi do burdelu. Ma moc Powietrza.

Zmartwiła mnie ta ostatnia informacja. Są ludzie, którzy mają moc jednego z czterech żywiołów Lodu, Kamienia, Powietrza i Ognia. Zdarzają się też tacy, którzy kontrolują ich pochodne - wodę, metal czy elektryczność, ale jeśli nie panujesz nad przynajmniej jednym z Wielkiej Czwórki, nie masz prawdziwej mocy Żywiołu. Nie jesteś prawdziwym żywiołakiem,

Moja magia Kamienia jest silna - mogę robić z nim, co zechcę: kruszyć cegły czy beton, sprawić, że moja skóra stanie się twarda jak marmur. Inaczej ma się sprawa z moją magią Lodu - nie stać mnie na wiele więcej poza wyczarowaniem kostek lodu, sopli i ewentualnie ostrza lub innych drobiazgów. Ale za sprawą miniaturowych lodowych zwierzątek jestem gwiazdą każdej imprezy.

Gordon Giles miał moc Powietrza, a zatem wyczuwał wiatr, czytał jego vibracje, tak jak ja zmiany w Kamieniu. I mógł nad nim panować, jak ja nad głazami. W zależności od posiadanej mocy, mógł spróbować mnie udusić, zanim go zabiję. Wyczarować drobinki tlenu w moich żyłach. Wychłostać mnie wiatrem. Zrobić setki innych okropnych rzeczy.

Przyglądałam się fotografii przyklepionej do akt. Gordon Giles miał włosy przyprószone siwizną, opadające na okulary w złotych oprawkach, zza których spoglądały niebieskie oczy. Przywodził mi na myśl fretkę - miał długą, wąską twarz. Zaciśnięte usta. Szpiczasty podbródek. Ostry nos.

W jego oczach widać było nerwowe oczekiwanie. Miał spojrzenie człowieka, który wie, że po ulicach chodzą potwory mogące się lada chwila na niego rzucić. Nerwowych trudniej zabić niż niczego nieświadomych. Będę musiała zachować ostrożność.

- A cóż takiego zrobił Giles, że zasłużył na moje odwiedziny?

- Wygląda na to, że główny księgowy zrobił manko w Halo Industries - wyjaśnił Fletcher. - Ktoś się o tym dowiedział i chce rozwiązać problem.

- Ochrona? - zapytałam.

Fletcher wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale chodzą plotki, że Giles zaczyna panikować i rozważa, czy nie zwrocie się do glin. Jakby ich w ogóle obchodziło jego bezpieczeństwo.

Gliny. Zachnęłam się. To kpina. Łatwiej o dziewicę w burdelu niż o uczciwego policjanta w Ashland. Szukasz u nich ochrony? Lepiej od razu się powieś zamiast psuć później prześcieradło kumplowi z celi.

- Halo Industries - mruknęłam. - Czy to przypadkiem nie jedna z firm Mab Monroe?

- Jest głównym udziałowcem - poprawił Fletcher. - Ale oficjalnie na czele firmy stoją jej marionetki. Haley James i jej siostra, Alexis. Firmę założył ich ojciec, Lawrence. Prowadził ją razem z córkami przez wiele lat, aż pewnego dnia Mab nabrała na nią apetytu i przejęła interes. Ojciec zmarł na serce dwa tygodnie później. Taka jest w każdym razie oficjalna wersja.

- A nieoficjalna? - zapytałam.

Fletcher wzruszył ramionami.

- Mówi się, że ojciec sprawiał kłopoty. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ten jego atak serca to tak naprawdę wypadek zaaranżowany przez samą Mab.

- Atak serca? - zdziwiłam się. - To nie w jej stylu. Zazwyczaj po prostu podpala ludzi swoją mocą, pali im domy i tak dalej.

- Fakt - mruknął Fletcher. - Co oznacza, że zapewne zleciła to zadanie komuś ze swoich ludzi i chciała, żeby wyglądało to na śmierć z przyczyn naturalnych. W każdym razie Lawrence nie żyje.

Oficjalnie w Ashland jest i policja, i samorząd miejski, ale tak naprawdę rządzi tu jedna kobieta - Mab Monroe. Mab ma moc Ognia - jest potężna i zabójcza. Już samo to było złe, ale Mab to nie była jaka posiadaczka mocy Żywiołu. Jeśli wierzyć plotkom, osoby o jej mocy nie widziano od pięciuset lat

Zważywszy że wszyscy, którzy odważyli się jej sprzeciwić, ładowali w kostnicy, i to raczej prędzej niż później, byłam gotowa uwierzyć w te plotki.

Fasadę jej imperium stanowiły normalne, szanowane firmy, ale za tym frontem... Zastraszenia. Łapówki. Narkotyki. Porwania. Morderstwa. Nie cofała się przed niczym. Rozkoszowała się krwią jak świnia błotem. Wszędzie miała swoich szpiegów: w policji, w ratuszu, w radzie miasta. Żaden policjant, prokurator, sędzia czy inny teoretycznie stojący po właściwej stronie urzędnik nie utrzymuje się długo na stanowisku, jeśli nie przejdzie na mroczną stronę - i do kieszeni Mab.

Jak wszystkie sprytne kobiety biznesu, Mab Monroe skrywała swoje prawdziwe oblicze za fasadą wyrafinowania i klasy. Sponsorowała organizacje dobroczynne. Organizowała zbiorki na szlachetne cele. Wspierała lokalną społeczność. Wszystko po to, by zbudować mur między sobą a wszystkimi zbrodniami, które zlecała na co dzień. Mab patrzyła globalnie i dlatego

zatrudniała dwóch, z braku lepszego słowa powiedzmy: poruczników, którzy zajmowali się jej interesami. Byli to Jonah McAllister, jej prawnik, i Elliot Slater.

McAlhster zajmował się tymi, którzy odważyli się sprzeciwić Mab zgodnie z prawem. Przebiegły adwokat zasypywał biedaków takimi stertami dokumentów, że większość bankrutowała, opłacając własnych prawników.

Slater mówił o sobie, że jest konsultantem do spraw bezpieczeństwa, ale tak naprawdę ten olbrzym był zwykłym gorylem w drogim garniturze. Dowodził pachołkami Mab i zajmował się tymi, którzy weszli jej w drogę. Robił to szybko, brutalnie i nieodwołalnie. O ile Mab nie raczyła ukarać nieszczęśników osobiście.

W oczach opinii publicznej Mab była ucieleśnieniem wszelkich cnót, idealnym połączeniem magii i pieniędzy. Ale ci z nas, którzy dostrzegali ciemną stronę życia, wiedzieli, jaka jest naprawdę okrutna. Trzymała Ashland w morderczym uścisku; jeśli jakaś firma lub organizacja przynosiła zyski albo cieszyła się szacunkiem, Mab wyciągała po nią paluchy. Ale to jej nie wystarczało. Ciągle chciała - i zdobywała - więcej, więcej, więcej, jakby pieniądze, władza i wpływy były jej niezbędne do życia jak tlen. Mówiąc krótko, była potworem, choć potworem władającym magią, dzięki której mogła usprawiedliwić wszystko, co robiła, i zdobyć wszystko, czego pragnęła.

Nigdy nie lubiłam potworów.

To wszystko jednak nie znaczy, że nie znajdowali się śmiałkowie gotowi rzucić jej wyzwanie. Kilka razy w roku ktoś zgłaszał się do Fletchera z propozycją zlecenia na Mab. Sprawdziliśmy ją dokładnie i uznaliśmy, że przyjęcie takiego zlecenia za bardzo przypomina misję samobójczą, by ryzykować. Nawet gdybym przedarła się przez jej ochronę, Mab sama mogłaby mnie zabić. Nie miała oporów przed posługiwaniem się magią Ognia. Przecież właśnie tym sposobem dostała się na sam szczyt - mordując każdego, kto usiłował powstrzymać jej błyskawiczną wspinaczkę po szczeblach kariery społecznej, którą zaczęła gdzieś w półświatku Ashland.

Mimo to Fletcher ciągle miał ją na oku, obserwował jej ochronę, sprawdzał trasy przejazdu, szukał oznak słabości. Nie wiadomo dlaczego pragnął jej śmierci, ale jeszcze nie znalazł słabego punktu. W każdym razie takiego, który pozwoliłby napastnikowi ująć z akcji z życiem, a nie spłonąć wraz z nią.

- Chcesz powiedzieć, że Gordon Giles był na tyle głupi, że podkradał pieniądze z jednej z firm Mab Monroe? - zapytałam.

Fletcher wzruszył ramionami.

- Na to wygląda. Klient nie podał mi szczegółów, a ja nie pytałem. Spójrz na ostatnią stronę, ta sprawa jest pilna.

Odwrociłam arkusz. Przeczytałam.

- Jutro wieczorem? Mam wykonać zlecenie w niecałe dwadzieścia cztery godziny? To nie w twoim stylu, Fletcher.

- Spójrz na wynagrodzenie.

Spojrzałam. Pięć milionów. Kto pyta, nie błądzi. Owszem, Fletcher kochał mnie jak córkę, ale kochał też swoje piętnaście procent. Ja zresztą też nie pogardzę moją działką.

- Niezła kasa - przyznałam.

- Niezła? To dwa razy więcej niż twoja zwykła stawka. - W jego szorstkim głosie mieszały się duma i podniecenie. - Już mi przekazano zaliczkę, pięćdziesiąt procent. Jeszcze tylko to zlecenie i możesz przejść na emeryturę.

Emerytura. Fletcher nie dawał mi z tym spokoju, od kiedy pół roku temu wróciłam ze spartolonego zadania w St. Augustine ze złamaną ręką i rozwaloną śledzioną. Staruszek w kółko z rozmarzeniem gadał o emeryturze, jakby za sprawą czarów miały przede mną rozkwitnąć nowe perspektywy, ledwie odłożę noże. A nie tylko nudna rzeczywistość.

- Fletcher, mam trzydzieści lat. Jestem skuteczna i rozchwytywana, i świetnie opłacana. Naprawdę jestem dobra w swoim fachu. Krew mi nie przeszkadza, a ci, których zabijam, zasłużyli sobie na to. Niby dlaczego miałabym przejść na emeryturę? I co ważniejsze, co miałabym wtedy robić? Mam szczególne umiejętności, ale ich specyfika nie zostawia mi zbyt wielkiego wyboru.

- Bo życie to coś więcej niż zabijanie i liczenie pieniędzy, nawet jeśli uwielbiasz i jedno, i drugie. - Popatrzył mi w oczy. - Bo nie chcę, żebyś do końca życia nerwowo zerkała za siebie. Nie chcesz trochę pożyć za dnia, mała?

Pożyć za dnia. Jego określenie normalnego życia. Siedemnaście lat temu nie marzyłam o niczym innym. Błagałam Boga, by świat wrócił na swoje miejsce, by czas się cofnął, bym mogła wrócić do spokojnego, beztroskiego życia, które wcześniej wiodłam. Ale już dawno zrozumiałam, że to nierealne. A pragnienie czegoś, czego nigdy nie dostanę, przynosi tylko ból. Tamto marzenie i tamta nadzieja już umarły i obróciły się w popiół - tak jak moi bliscy.

Tacy jak ja nie przechodzą na emeryturę. Pracują aż do śmierci - która nadchodzi raczej prędzej niż później. Ale póki się da, pozostanę w grze. Nawet jeśli koniec końców i tak przegram.

Nic chciałam jednak kłócić się ze staruszkiem, nie dzisiaj. Czy mi się to podoba, czy nie, jest jedną z nielicznych żyjących jeszcze osób, które kocham. Zmieniłam temat, machając kopertą.

- Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? To zlecenie?

- Za pięć milionów dolarów? Tak.

- Nie mam czasu, żeby wszystko przygotować - mruknęłam - Nie zdążymy oszacować ryzyka, ustalić szczegółów... nic.

- Litości, Gin - mruknął. - To betka. Coś takiego zrobisz nawet przez sen. W zleceniu jest nawet mowa o tym, gdzie mogłabyś załatwić cel.

Przeczytałam uważniej.

- W operze?

- W operze - powtórzył Fletcher. - Jutro odbędzie się tam wielka gala. Nazwali nowe skrzydło imieniem Mab Monroe.

- Znowu? - spytałam. - Czy w tym mieście nie za dużo jest już budynków noszących jej imię?

- Najwyraźniej nie. Rzecz w tym, że będzie tam mnóstwo ludzi. Także z prasy. Mnóstwo okazji, by zgubić się w tłumie. Powinnaś bez problemu wślizgnąć się do środka, załatwić Gilesa i wyjść. Jakby nie było, jesteś Pajakiem, znanym ze sprytu i zręczności.

Skrzywiłam się, słysząc jego napuszony ton. Czasami Fletcher przypominał mi cyrkowego mistrza ceremonii, który, sprawiając, że osowiałe słonie, zabiedzone konie i kiepscy akrobaci wydawali się o wiele wspanialszy niż w rzeczywistości.

- Pajak to był twój pomysł, nie mój. To ty uznałaś, że mając chwytny pseudonim, będę zarabiała więcej, mój drogi Blaszyński Człowieku - mruknęłam. Posłużyłam się jego pseudonimem z czasów, gdy sam był płatnym zabójcą.

Uśmiechnął się.

- I miałem rację. Każdy zabójca ma przezwisko. A twoje brzmi lepiej niż większość innych. Dzięki mnie.

Skrzyżowałam ręce na piersi i łypnęłam na niego groźnie.

- Proszę cię, Gin. To łatwy zarobek. Załatw go jutro, a potem zrobisz sobie wolne - kusił Fletcher, - Wiesz, takie prawdziwe wakacje, W tropikach, w towarzystwie umięśnionych masażystów i drinków z pałeczką.

Uniosłam brew.

- A cóż ty możesz wiedzieć o umięśnionych masażystach?

- Zdaje się, że Finnegan mi jakichś pokazał, gdy w zeszłym roku zabrał mnie na Key West - odparł Fletcher. - Choć naszą uwagę szybko odwróciły ślicznotki opalające się topless przy basenie.

No jasne.

- No dobrze. - Podjęłam decyzję. Zamknęłam teczkę, - Zrobię to. Ale tylko dlatego, że cię kocham, i to mimo tego, że jesteś chciwym draniem, który mnie zamecza.

Fletcher wznosił kubek w toaście.

- Wypijmy za to.

ROZDZIAŁ 3

Dopiłam lemoniadę, wzięłam teczkę, pożegnałam się z Fletcherem i poszłam do domu.

Mieszkałam w budynku na przeciwko, na piątym, najwyższym piętrze, ale nigdy nie szłam tam prosto z restauracji. Obeszłam trzy przecznice, pokręciłam się po zaułkach, żeby się upewnić, że nikt mnie nie śledzi, i dopiero wtedy wślizgnęłam się do budynku.

Panował w nim spokój - nic dziwnego o tej porze. Ciszę zakłócał tylko odgłos moich kroków na granitowej posadzce.

Wjechałam windą na górę. Zanim wsunęłam klucz do zamka, przycisnęłam dłoń do kamieni otaczających drzwi. Nic ważnego, ten sam co zwykle cichy pomruk. Bywałam tu a rzadko, by moja obecność zostawiła ślad na ceglach. A może po prostu nie chciało mi się słuchać własnych wibracji.

Wybrałam właśnie to mieszkanie, bo znajdowało się najbliżej klatki schodowej, blisko wyjścia na dach i solidnej rynny biegnącej na sam dół. Moje trasy ucieczki, oprócz kilku innych. Sprawdziałam je co najmniej raz w miesiącu, odgrywałam różne scenariusze ataku.

Moja osobista mantra przetrwania. Nigdy nie dość ostrożności, zwłaszcza w mojej branży, kiedy najmniejszy błąd może cię kosztować życie. Dosłownie.

Zapaliłam światło. Znajdowałam się w przestronnym saloniku połączonym z kuchnią. Po lewej stronie znajdowały się sypialnia i łazienka, po prawej - pokój gościnny. Kanapa, sofa, fotele. Płaski telewizor, tuziny płyt CD i DVD dookoła. Sterty książek, miejscami wysokie na półtora metra. W kuchni - bardzo ładny komplet miedzianych rondli i patelni na wieszaku. I zestaw noży ze srebrenitu.

Nie było tu nic, czego nie mogłabym bez żalu zostawić za sobą. W moim fachu zawsze jest taka możliwość. Byłam ostrożna, a Fletcher bardzo starannie dobierał zlecenia. Ale nie sposób całkowicie wyeliminować ryzyko dekonspiracji, tortur, śmierci. To kolejne powody, dla których Fletcher chciał, żebym się wycofała.

Mimo wszystko, żeby ułagodzić staruszkę, starałam się prowadzić w miarę normalne życie, oczywiście nie licząc nocnych działań. Za dnia byłam Gin Blanco, kucharką, i kelnerką z restauracji Wesoły Prosiak, i wieczną studentką college'u w Ashland. Architektura, rzeźbiarstwo, rola kobiet w fantastyce. Zapisywałam się na te zajęcia, które do mnie przemawiały, bez żadnego ładu i składu.

Ale najchętniej wybierałam kursy poświęcone literaturze i gotowaniu i w każdym semestrze chodziłam na przynajmniej jeden z tych przedmiotów. Gotowanie to moja pasja - podobnie jak czytanie. Lubię zapach palonego cukru i przypraw. Niezliczone kombinacje smaków. Przepisy, te proste i te skomplikowane, na podstawie których można wyczarować jadalne dzieła sztuki.

A poza tym gotowanie to świetne wytłumaczenie dla noży poniewierających się po całej kuchni.

Kolejny niezbędny rekwizyt w mojej branży.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, weszłam do mieszkania. Powinnam właściwie iść do łazienki, wziąć prysznic i ułożyć się wygodnie na kanapie z teczką Gordona Gilesa. Powinnam zaplanować akcję. Zrobić listę niezbędnych przedmiotów. Zaplanować trasę ucieczki. I pomarzyć o opalonych masażystach, którzy, jak zapewniał Fletcher, czekają na mnie na Key West.

Ale ociągałam się, stałam w saloniku wpatrzona w oprawione szkice stojące na gzymsie kominka. Powstały niedawno, na kursie rysunku. Projektem wieńczącym zajęcia miał być cykl szkiców. Tryptyk. Trzy rysunki, różne, ale połączone wspólnym tematem.

Narysowałam runy mojej nieżyjącej rodziny.

Ci, którzy mają w sobie magię, nie posługują się herbami czy godłami, tylko runami. Wampiry, olbrzymy, krasnoludy, żywiołaki. Runy są wszędzie. Na tatuażach, naszyjnikach, sygnetach, T-shirtach. Nawet zwykli śmiertelnicy sięgają po nie, zwłaszcza jako logo firmy. Magiczny, nie zawsze się to podoba - twierdzą, że runy są zastrzeżona dla tych, którzy mają w sobie magię. Banda świrów, którym po głowach chodziły mrzonki o supermacji magii na świecie, o społeczeństwie kontrolowanym przez żywiołaki i tak dalej. Nie odpowiada im obecna równowaga sił między rasami. A dlaczego jedna rasa nie zdobyła przewagi? To proste: nic tak nie zrównuje jak broń. Palna i nie tylko, nadają się też noże, kije baseballowe, piły mechaniczne i siekiery. A mieszkańcy Ashland w zdecydowanej większości mieli jedno z wyżej wymienionych. Magia daje przewagę, ale trzy kulki w głowę załatwiają niemal każdego. Tek więc zwyczajni posługiwali się runami, ludzie żywiołów byli tym oburzeni i wszystko trwało po staremu.

Ale zwyczajni ludzie posługujący się runami nie mieli w sobie mocy i nie mogli niczego osiągnąć. Tylko w rękach ludzi żywiołów runy nabierają mocy, ożywają, spełniają swoje zadania. Zresztą, ktoś z mocą Ognia rysujący słońce na kawałku drewna, żeby rozpalić ognisk, to tylko szpan. Zwłaszcza że wystarczyłoby, by pstryknął palcami, a osiągnąłby to samo. Choć runy magiczne mają swoje zastosowanie - nadają się do zastawiania pułapek, zakładania systemów alarmowych, pomagają przy opóźnionych falach magii. Zwłaszcza to ostatnia przydawało się moim kolegom po fachu. Wystarczy narysować na paczce magiczną runę Ognia, wysłać przesyłkę ofierze o mozesz sączyć mojito na Karaibach i czekać, aż biedak otworzy przesyłkę i... bum!

Większość run nie ma mocy sama w sobie - to tylko sposób wyrazu, symbol oznaczający twoje dziedzictwo, znak przymierza, który mówi coś o twoim temperamencie, branży i hobby. Runą mojej rodziny, rodu Snow, był płatek śniegu - symbol lodowatego spokoju. Moja matka, Eira, nosiła naszyjnik ze srebrenitu z tym właśnie symbolem. Mama posunęła się nawet o krok dalej i

zamówiła naszyjniki z runami dla nas wszystkich. Runy miały zawierać informacje o naszym charakterze.

Płatek śniegu to temat pierwszego z obrazków nad kominkiem. Na kolejnym - dziki powój symbolizujący elegancję mojej starszej siostry Annabelli, wspomnienie jej runy i naszyjnika. I wreszcie prymulka, symbol piękna. Dostała ją Bria, moja młodsza siostra.

Na kominku nie było mojej runy, runy pająka. Kółko z odchodzącymi od niego ośmioma liniami nie było dość skomplikowane, by stanowiło wyzwanie podczas zajęć z rysunku.

Oczywiście nie miałam już naszyjnika z tą runą, ale gdybym chciała ją zobaczyć, wystarczyło, bym spojrzała na blizny na dłoniach.

Otrzymałam się z transu. Jesienią zawsze gorzej znosiłam wspomnienia. Właśnie wtedy kobieta Ognia zamordowała moją matkę i Annabellę. Z ich ciał został tylko popiół. Bria usiłowała uciec, ale skończyła pogrzebana żywcem pod gruzami naszego domu. Szukałam jej ciała, lecz znalazłam tylko krwawą plamę.

Rześka świeżość w powietrzu. Bezchmurne, błękitne niebo. Intensywny, głęboki zapach świeżo zaoranej ziemi. Nagła ospałość kamieni, jakby usypiała je nadchodząca zima i mróz. To wszystko przypominało mi o nich, nawet teraz, siedemnaście lat później.

Ale runy na kominku nie przywrócą mi rodziny. To niemożliwe. Sama nie wiedziałam, czemu w ogóle je narysowałam. Naprawdę przydałyby mi się wakacje. A może gadanina Fletchera o emeryturze trafiła na bardziej podatny grunt, niż sądziłam.

Zacisnęłam dłoń na teczce. Oderwałam wzrok od rysunków, weszłam do sypialni i zamknęłam za sobą drzwi, żeby nie widzieć szkiców nad kominkiem.

Co z oczu, to z serca. Prawie.

O ósmej wieczorem następnego dnia stałam na najwyższym gmachu opery w Ashland. Był to potężny budynek z szarego granitu i białego marmuru. Opera, perła klasycznej architektury, zajmowała ogromny teren w śródmieściu. Smukłe wieżyczki wieńczyły każde z trzech skrzydeł, przez co budowla zawsze kojarzyła mi się z domkiem dla lalek. Czarne flagi ze srebrnymi nutami - runami opery - powiewały na wieżyczkach w słabej wrześnieowej bryzie.

Dwadzieścia minut wcześniej weszłam do opery głównym wejściem. W białej koszuli, czarnych spodniach i kowbojkach, z futerałem na wiolonczelę, wyglądałam na jednego z licznych muzyków, którzy spieszyli na dzisiejszy koncert. Nikt nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem, gdy spokojnie przeszłam przez hol, podeszłam do imponujących schodów i powędrowałam na górę. Posłużyłam się magią lodu, żeby wyczarować dwa wytrychy, i za ich pomocą pokonałam drzwi prowadzące na balkon. Weszłam od frontu, ale po zleceniu ulotniłam się od tyłu. Mniej więcej.

Główne wyjście z opery prowadziło na ruchliwą ulicę w centrum Ashland, ale za budynkiem przycupnęły postrzępione klify, a poniżej nich - rzeka Aneirin. Za mniej więcej godzinę będę się spuszczała z tych klifów.

Kryłam się w cieniu. Otworzyłam futerał na wiolonczelę i wyjęłam plastikowy pokrowiec, kształtem zbliżony do instrumentu, odsłaniając schowek, w którym ukryłam wszystko, co będzie mi potrzebne tego wieczoru, w tym stumetrowy zwój liny do wspinaczki. Przywiązałam ją do mosiężnego masztu na balkonie i przerzuciłam za poręcz. Szary sznur stapał się z kamieniami, nie sposób było go zauważyć, jeśli się o nim nie wiedziało. Na wszelki wypadek przykryłam węzeł garścią suchych liści leżących na balkonie. Mało prawdopodobne, że ktoś tu przyjdzie, budynek aż huczał od pospiechu i emocji, ale nigdy nie wiadomo, komu zamarzy się szybki papieros albo jeszcze szybszy numer. Lepiej niepotrzebnie nie ryzykować.

Co chwila muskałam dłonią kamienie. Granit śpiewał pod moimi palcami, muzyka niezliczonych spektakli i koncertów wsiąkała w mury i teraz kryła się w kamieniu jak żyły złota. Zamknęłam oczy, przycisnęłam dłonie do szorstkiej powierzchni. Były to dźwięki tak czyste, tak piękne, tak skończone, zwłaszcza po szaleńczej kakofonii szpitala psychiatrycznego, że uległam pokusie i posłużyłam się magią.

Posłałam strumyk mocy, wydałam rozkaz kamieniom. I oto granit zafalował lekko, jakbym przebiegła palcami po klawiszach fortepianu. Uśmiechnęłam się pod nosem. Magia żywiołów bywa równie zabawna, jak straszna.

Skończyłam na balkonie. Podniosłam futerał, otworzyłam drzwi i wróciłam do środka.

Ten balkon znajdował się na najwyższym piętrze opery. Było tu szaro i smutno - na tej kondygnacji mieściły się wszystkie biura. Było tu teraz pusto, paliły się tylko nieliczne lampy. Schodami przeciwpożarowym i zeszłam niżej, na drugie piętro.

Jakbym weszła do innego świata. Znalazłam się w ogromnym kolistym pomieszczeniu. Imponujące schody prowadziły na parter. Pod sufitem przyciągał wzrok wielki kryształowy żyrandol, złożony z setek lodowych sopli. Podłogę pokrywała bordowa wykładzina z delikatnym złotym wzorem, a ściany dobrana do niej tkanina świetnie tłumiąca dźwięki, której monotonię gdzieś przerywały obrazy i lustra. Poniżej, w foyer, dostrzegłam posadzkę z czarno-czerwonego marmuru.

Kilka przecznic dalej dziwki-wampiry zrobią wszystko za pięćdziesiąt dolców, a bezdomni buszują w śmietnikach w poszukiwaniu jedzenia. Ale tutaj ciemne są jedynie ślady szminki na kieliszkach szampana - i dusze zebranych.

Ludzie kręcili się po wielkim pomieszczeniu, przysuwali na schodach. Jak przystało na spotkanie elit towarzyskich Ashland, kobiety wystąpiły w sukniach od znanych projektantów w odcieniach kamieni szlachetnych, a mężczyźni w czarnych frakach, strojach równie wyszukanych jak wnętrza opery. Na szyjach, przegubach i palcach połyskiwały, mrugały, lśniły i świeciły klejnoty - małe, średni i wielkie. Kamienie dumnie przechwalały się swoim pięknem i elegancją.

Goście sączyli szampana i drinku, częstowali się miniaturowymi szaszłyczkami, kanapeczkami i innymi przekąskami z tac roznoszonych przez kelnerów. Powietrze wypełniały rozmowy, co chwila przerywane wybuchami głośniego śmiechu.

Ponieważ wyglądałam jak członek orkiestry, przedstawiciele miejskich elit poświęcali mi mniej więcej tyle uwagi, co wykładinie na podłodze, więc poruszałam się w tłumie bez trudu. Szukałam mojej ofiary.

Przez tłum przebiegł pomruk i rozejrzałam się, ciekawa, co go wywołało. Zobaczyłam Mab Monroe. Pokonała foyer, wchodziła właśnie na schody. Patrzyli na nią wszyscy. Rozmowy ucichły jak pieśń przerwana w połowie. Mab tak działa na ludzi. Jej rude loki lśniły jak świeżo wybity pens. Miała na sobie suknię w najciemniejszym odcieniu szkarłatu, jaki widziałam, z głębokim dekoltem, który odsłaniał jej kremowe piersi. Jej oczy przypominały czarne studnie. Ognie piekielne. Ilekroć widziałam Mab, to samo porównanie przychodziło mi do głowy.

Na szyi miała zawieszony płaski złoty medalion. Przykuł moją uwagę - od okrągłego rubinu odchodziły faliste promienie. Romby wyryte w złocie sprawiały, że wydawał się naprawdę świecić. Słońce. Symbol ognia. Osobista runa Mab, którą posługuje się tylko i wyłącznie ona.

Nawet z tej odległości wyczuwałam wibrację klejnotu. Opowiadaj nie tyle o pięknie i elegancji, co o mocy, o czystej, pierwotnej mocy. Mój żołądek fiknął salto, gdy to poczułam.

Mab Monroe szła przez tłum, śmiała się, rozmawiała, ścisnęła dłonie. Przyglądałam się jej i myślałam, ile razy odrzucałam zlecenia na jej głowę. Nie uważałam się za bohaterką ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pomóc szacownym obywatelom Ashland uwolnić się od łap Mab na ich gardle. Zawsze drażnili mnie ci, którzy wykorzystują słabszych. I zawsze miałam ochotę dać im po łapach.

Omiotłam wzrokiem jej świtę. Krępy facet we fraku, tuż u jej boku, dwaj inni kręcą się w pobliżu. Elliota Slatera nie było wśród nich, ale podobnie jak on byli olbrzymami, mieli potężne karki, wielkie pięści i ogromne oczy. Ochroniarze ideami. Nie żeby Mab tak naprawdę ich potrzebowała. Miała w sobie dość magii Ognia, by poradzić sobie z każdym zagrożeniem. Byli przede wszystkim na pokaz.

Mab Monroe zbliżała się do mnie. Wtopiłam się w cień, ale ona i jej ludzie nie zaszczycili mnie nawet spojrzeniem. Nadal rozglądałam się za moją ofiarą - i innymi, którzy mogliby wejść mi w drogę.

Kilka minut później do foyer weszła Haley James. Skierowała się w stronę schodów. Jej skóra była jasna jak śmietanka, miedzianoblond włosy upięte na czubku głowy spływały kaskadą loków. Miała na sobie jasnozieloną, krótką sukienkę, która podkreślała walory jej kształtnego ciała. Szmaragdy w jej długich kolczykach lśniły nieprzemijającym pięknem.

Alexis James weszła w ślad za siostrą. Była od niej wyższa. Miała podobną karnację i kolor włosów, ale strzygła się krótko. Wystąpiła w prostej czarnej sukni koktajlowej. Jej szyję otaczał sznur pereł, a ręce skryła w czarnych rękawiczkach do łokci. Na prawym nadgarstku połyskiwała perłowa bransoletka. Klasa i szyk, przeciwieństwo szmaragdowej ostentacji Haley.

Haley James zawołała Mab. Obie kobiety zatrzymały się i przez chwilę prowadziły niezobowiązującą rozmowę. Alexis stała z boku z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Według informacji od Fletchera, Haley James była szefową Halo Industries, a Alexis zajmowała się marketingiem i PR. Firma od wielu lat należała do ich rodziny i działała w kilku branżach, przede wszystkim jednak chodziło o magię, a dokładnie rzecz biorąc, o wykorzystanie mocy Powietrza w produktach kosmetycznych i medycznych. Siostry James zatrudniły ludzi posiadających moc żywiołów. Pytanie, czy one także nią dysponowały.

Intrygowało mnie, czy to Haley James odkryła, że Gordon Giles kradnie. Czy to ona jest naszym zleceniodawcą? Może chciała zrobić z niego przykład. Albo wolała po prostu ukryć przed Mab Monroe fakt, że z jej firmy wypływają miliony, i tym sposobem ustrzec się przed jej gniewem. Gdyby Mab odkryła przekręt Gilesa, załatwiłaby nie tylko jego, lecz też siostry James, za to, że dały się tak oszukiwać. Tak, istniało wiele powodów, dla których Haley James mogła chcieć pozbyć się Gilesa.

Odepchnęłam te myśli od siebie. Nieważne, kto zlecił robotę, o ile po jej wykonaniu wpłynie reszta pieniędzy. Jeśli nic - no cóż, wtedy przyjrzę się temu dokładniej. Ale nic wcześniej.

Skoro mowa o panu Gilesie - wreszcie przyszedł. Przepychał się przez foyer, wspinał po schodach, zupełnie jak wcześniej Mab Monroe, choć on nie robił dokoła siebie tyle zamieszania.

Miał na sobie smoking, odrobinę na niego za duży. Był bardzo chudy, kościste ramiona zdawały się przebijać materiał. Krzywił się boleśnie, jakby cierpiał przy każdym oddechu. Cały czas zacierał ręce i nerwowo rozglądał się po holu, zerkał to na Mab Monroe, to na Haley James i jej siostrę Alexis, przeczesywał wzrokiem morze gapiów i wracał znów do kobiet. Usiłował odgadnąć z której strony nadejdzie niebezpieczeństwo. Skąd padnie strzał. Ale nie zobaczy tego, nie zobaczy mnie, póki nie będzie za późno.

Bo tak naprawdę było za późno już wtedy, gdy klient zwracał się do Fletchera. Bo jestem Pajakiem. Zawsze wypełniam zadanie.

I nigdy nie odpuszczam.

ROZDZIAŁ 4

Ludzie powoli zajmowali miejsca, żeby obejrzeć przedstawienie. Gordon Giles wszedł do łoża oznaczonej A3, którą, jak mi powiedziano, wykupił.

Wróciłam na najwyższą kondygnację, za pomocą magii Lodu wyczarowałam kolejne dwa wytrychy i otworzyłam nimi drzwi, za którymi zaczynały się schody prowadzące na pomost. Ukryłam się za nimi i zdjęłam białą koszulę, pod którą miałam czarną bluzkę z długimi rękawami. Biała szmatka trafiła do futerału na wiolonczelę, z którego wyjęłam obcisłą czarną kamizelkę. W jej kieszeniach ukryłam niezbędny ekwipunek: gotówkę, telefon na kartę, karty kredytowe, kilka fałszywych dowodów tożsamości. Jasne włosy ukryłam pod czarną czapczką, którą wyciągnęłam z kieszeni.

Wbiegłam na górę i weszłam na metalowy pomost. Właściwie nie był to pomost, tylko wąski balkon otaczający całą salę opery, jak też łoże poniżej. Światła już zgasły, tylko reflektory rozświetlały scenę, odbijały się od instrumentów orkiestry. Muzycy siedzieli nieruchomo na półkolistym podium, czekali na znak dyrygenta.

Szłam ostrożnie. Z tej wysokości miałam całą salę jak na dłoni, w tym VIP-owskie łoże na drugim piętrze, także tę, w której zasiadał Gordon Giles.

Już był na miejscu. Program wieczoru chyba go nie interesował, bo zwinął go w rulon i stukał nim w kolano w szybkim staccato. Nerwowe zachowanie faceta, który wie, że ma kłopoty.

Dyrygent odchrząknął i postukał w pulpit. Widownia zaszumiała, ludzie znieruchomieli i umilkli. Batuta opadła, orkiestra huknęła. Energia. Emocje. Radość. Zamknęłam oczy, wsłuchana w muzykę, w idealną harmonię instrumentów, gdy w grywały skomplikowane ciągi nut i akordów splatające się w całość niespotykanej urody.

Słuchałam jeszcze przez chwilę, rozkoszowałam się spójnością melodii, a potem zapomniałam o muzyce i zabrałam się do pracy. Zgodnie z wytycznymi z teczki od Fletchera miałam wykonać zadanie przed przerwą. Życzeniem klienta było, by ciało Gordona Gilesa znaleziono właśnie wtedy i by było ono przestrożą dla innych.

Otworzyłam futerał na wiolonczelę i kolejny raz wyciągnęłam plastikową obudowę. Pod nią była ukryta broń, którą wybrałam do tego zadania - kusza.

Wyglądała jak zwykła kusza, nie licząc potężnego celownika zainstalowanego nad cięciwą i metalowego bełtu, gotowego do wystrzelenia. To idealna broń na takie zlecenia, gdy potrzebny jest sprzęt średniego zasięgu.

Ponieważ nie chciałam ryzykować, że Giles zaatakuje mnie magią Powietrza, postanowiłam załatwić go z oddali. Pociągnąć za spust i już. Czysta robota, bez wysiłku i krwi na ubrani, tak dla odmiany. Te plamy to największy minus mojej branży.

Oczywiście mogłabym także posłużyć się sztucerem. Łatwiej dostępny, tańszy, efekt ten sam. Ale broń palna zbyt często się zacina, jak na mój gust. Przy użyciu kuszy nie ma takiego niebezpieczeństwa. Właśnie dlatego najczęściej posługuję się nożami ze srebrnitem. Także tej nocy oprócz kuszy miałam ich kilka przy sobie. Dwa w rękawach. Jeden na plecach, za paskiem. Dwa w cholewkach butów. klasyczny arsenał pięciopunktowy. Tak, na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak i doszło do bliskiego spotkania z kimś wrogo nastawionym.

Jeśli chodzi o noże ze srebrnitem, ich największą zaletą jest to, iż magiczny metal jest praktycznie niezniszczalny, a jedyny problem pojawia się wtedy, gdy nóż wbije się za głęboko w czyjąś pierś i nie mogę go wyciągnąć. Ale wtedy, no cóż, nie ma to już większego znaczenia.

Umieściłam kuszę na barierce. Było tu ciemno, nikt nie patrzył w moją stronę, ale i tak na wszelki wypadek postanowiłam zaatakować z najbardziej zacienionego miejsca. Właśnie dlatego pozbyłam się białej koszuli. Wolałam nie ryzykować, że wścibski dzieciak zacznie wypytywać mamuszkę, kto to jest, ta dziwna postać z dziwną bronią, tam wysoko, pod sufitem. Owszem, mam zamiar dzisiaj kogoś zabić, ale to nic znaczy, że muszę przerazić innych i zepsuć im imprezę. A jeden krzyk wszystko zepsuje. Zważywszy nerwowość Gordona Gilesa, nie liczyłam, bym w najbliższym czasie miała jeszcze jedną szansę. I tak mnie zdziwiło, że pojawił się na takiej imprezie. Gdybym była księgowym kradnącym Mab Monroe grube miliony, byłabym już na końcu świata, na stole operacyjnym, w trakcie przeszczepu twarzy. A nie brylowała na raucie w operze.

Dzięki celownikowi miałam doskonały wgląd we wnętrze łoży. I dlatego dostrzegłam smugę światła, gdy uchyliły się drzwi. Otworzyłam szeroko oczy, chcąc zidentyfikować nowo przybyłą postać. Musiałam ocenić, w jakim stopniu może pokrzyżować mi szyki.

Do łoży wszedł Donovan Caine.

Znałam go z widzenia. I wiedziałam, jaką ma reputację. Donovan Caine to jeden z nielicznych tym mieście uczciwych policjantów, a na takiego wychował go przedwcześnie zmarły tatuś w mundurze. Jeśli wierzyć Fletcherowi. Caine nigdy na nic nie przymykał oczu, nieważne, kto o to prosił. Nie przyjmował łapówek. Nie zażywał narkotyków. Do licha, według Fletchera on nawet nie palił.

Przydzielono mu kilka z moich poprzednich sprawek w Ashland, jednak te dochodzenia nie zakończyły się sukcesem.

W przeciwieństwie do wielu kolegów po fachu, nie byłam na tyle głupia, żeby zostawiać swój podpis przy ofierze. Niektórzy płatni zabójcy, zwłaszcza mający w sobie magię, naprawdę marnują cenny czas, żeby wyciąć osobistą runę na ciele ofiary albo na pobliskiej ścianie czy posadzce. Słyszałam nawet o pewnym wampirze, który miał zwyczaj rysować runę krwią ofiary - zmieszaną z własną. Idioci. Równie dobrze mogliby zostawić odciski palców. Takie

chwalenie się robotą to najszybsza droga na krzesło elektryczne. Tu, na Południu nikt nie ma oporów przed wykonywaniem egzekucji, zwłaszcza jeśli sankcjonuje je rząd.

Ale Caine wiedział o moim istnieniu, przede wszystkim z powodu mojego ostatniego zlecenia w Ashland - zabiłam wtedy jego partnera.

Cliff Ingles nic był złym gliniarzem - jeśli nie liczyć jego upodobania do bicia i gwałcenia prostytutek, choć to akurat robił po służbie. W Ashland to było za mało, by wyrzucić go z pracy a co dopiero oddać sprawę do sądu.

Trwało to dopóki nie zainteresował się trzynastoletnią córką jednej z dziwek. Wampirzyca wiedziała dość, by zwrócić się do Fletchera z prośbą o pomoc. Staruszek nie lubił gwałcicieli, zwłaszcza takich, którzy dobierają się do dzieci. Ja też nie, więc wykonałam to zadanie bezpłatnie. Taka praca społeczna. Burmistrz powinien dać mi medal.

Caine wiedział, że jego partner nie ma najczystszej sumienia, ale najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był zepsuty. Bo kiedy wbiłam Inglesowi nóż w opasłe brzuszysko i obciłam mu jaja, Donovan Caine publicznie ślubował, że dopadnie zabójcę partnera. Przysiągł, że postawi osobę odpowiedzialną za przedwczesną i bolesną śmierć partnera przed sądem i pomści go. Dochodzenie utknęło w martwym punkcie, ale Caine nie dawał za wygraną. Mniej więcej co tydzień zwracał się do środków masowego przekazu i prosił mieszkańców o informację dotyczące zabójcy Inglesa.

Oczywiście nie wiedział, że to właśnie ja. Gin Blanco, Pająk, ponoszę odpowiedzialność za śmierć Cliffa Inglesa. Ale gdyby zrobił to bezdomny czy inny męt, do tego czasu na pewno pochwaliliby się tym czynem i Caine już by go znalazł. Nieważne, Caine chciał się na kimś zemścić.

Od tej pory miałam na niego oko. Bawiła mnie jego determinacja, choć wiedziałam, że nic mu z tego nie przyjdzie. Poprosiłam Fletchera, żeby zebrał nieco informacji na jego temat.

Przyglądałam mu się przez lupę celownika. Zbliżał się do Gordona Gilesa. Trzydzieści dwa lata. Prawie dwa metry wzrostu. Krótkie ciemne włosy. Piuwe oczy. Silny podbródek. Kwadratowa szczeka. Nos z garbem. Szcuple ciało. Smagła skóra - dowód latynoskiej krwi w żyłach.

Owszem, przystojny, ale nie bardziej niż wielu mężczyzn w foyer. Ale Caine poruszał się miękko, ze swobodną gracją człowieka, który wie, co robi, i ma świadomość, że poradzi sobie z każdą przeszkodą.

Co jest bardziej pociągające niż pewność siebie i stojące za nią umiejętności? Nie wiem. Przeszył mnie dreszcz. Poczułam, jak nabrzmiewają mi piersi, a między nogami budzi się płomień. Ciekawe, czy Donovan Caine jest równie pewny siebie w łóżku. Och, na pewno.

Pozwoliłam sobie na chwilę fantazji z detektywem w roli głównej. Nagi. Pode mną. Jego usta na moim nabrzmiałym sutku. Jego twarde dłonie na moich piersiach. Wyobraziłam sobie, jak opadam na jego nabrzmiałą męskość. Jak go

ujeżdżam, coraz szybciej, aż wykrzyczy moje imię. Jak wyciskam z niego rozkosz do ostatniej kropli, aż oboje jesteśmy nasyceni i spoceni. Hm.

Szkoda tylko, że gra dla przeciwnej drużyny i chce mi wpakować kulkę. Na marzeniach musi się skończyć.

Fletcher mówił, że Gordon Giles zastanawiał się, czy nie zwrócić się o pomoc do policji. Pewnie dlatego jest tu Caine. Umówił się z Gilesem. Wciska mu te bzdury o ochronie i tak dalej.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Ciekawe, co zrobi Donovan Caine, gdy wpakuję Gilesowi bełt w serce. Będzie wzywał pomocy? A może wybiegnie z łoży z pistoletem w dłoni, chcąc dorwać zabójcę? Muszę tylko zwolnić cięciwę, a przekonam się na własne oczy.

Ale zamiast to zrobić, obserwowałam detektywa. Usiadł po prawej stronie Gilesa. Zaczęli rozmawiać szeptem. To znaczy, czekał głównie Caine. Gordon tylko potrząsał wąską głową - nie, nie, nie. Nie wiem, czego Caine od niego chciał, ale Gordon stanowczo odmawiał. Na razie.

Do tego stopnia pochłonał mnie Donovan Caine, że usłyszałam charakterystyczne kliknięcie, gdy było już za późno. Ale zimna lufa na moim karku skutecznie przyciągnęła moją uwagę.

- Rzuć broń - szepnął mi ktoś do ucha.

ROZDZIAŁ 5

- Rzuć broń - syknął ponownie.

Lufa wwiercała mi się w podstawę czaszki. Jeśli wystrzeli, zginę zanim dotknę podłogi. Zwłaszcza jeśli pistolet jest naładowany kulami ze srebrenitu.

Przez chwilę rozmyślałam, czy nie skorzystać z magii Kamienia - mogłabym sprawić, że moja skóra stanie się twarda jak skała, nieprzepuszczalna.

Ale jeśli drań jest ode mnie szybszy, choćby odrobinę, o pół sekundy, pociągnie za spust, zanim magia zacznie działać. A zresztą tym sposobem pozbawiłabym go sporej ilości energii. Sądząc po obecnej sytuacji, tego wieczoru będzie mi potrzebna każda jej odrobina. Lepiej poczekać z tą sztuczką, dopóki naprawdę nie będę miała innego wyjścia. Póki co, to na razie tylko irytująca komplikacja.

- Rzuć ją do cholery, i to już.

- Ależ oczywiście - odparłam spokojnie. - zaraz ją rzucę. Ale musisz dać mi więcej miejsca. Nie mogę jej odłożyć, jeśli stoisz tuż za mną.

Wierutne kłamstwo, oczywiście. Ale zaskoczył mnie i teraz nie miałam szans, by go uniknąć - ani jego, ani lufy na karku.

Nacisk pistoletu zelżał. Słyszałam, że cofa się o pięć kroków. Idealna. Zdjęłam kuszę za balustrady balkony i odłożyłam tak, że strzała była skierowana w jego stronę.

- A teraz wstań, odwróć się... Powoli. Ręce w górze, żebym je widział.

Wypełniłam polecenie. Za mną stał niski, krępy, umięśniony Azjata. Długie, ciemne włosy zebrał w kucyk. Jego prawy policzek przecinała biała blizna ciągnąca się od kącika piwnego oka aż do szczęki. Podobnie jak ja, był ubrany na czarno. W pracy zabójcy właściwie nie noszą innych barw.

- Witaj, Brutusie.

Skłonił się lekko.

- Gin.

Każdy zabójca ma pseudonim, który jest jego wizytówką i zdradza co nieco jego lub jej charakter. Chcesz kogoś otruć? Poszukaj Cykuty. Interesuje cię śmierć w płomieniach? Zwróć się do Feniksa. Delikwent ma zostać wypatroszony? Do tej roboty najlepszy będzie Chirurg. Fletcher Lane był znany jako Blaspany Człowiek, bo nigdy nie pozwalał, by emocje brały górę nad rozsądkiem.

Brutus posługiwał się pseudonimem Żmija, miał też na szyi runę przedstawiającą tego gada. Wybrał sobie takie przezwisko, bo zawsze czaił się w zaroślach. I krył się tam, póki na niego nie nadepnął albo sam nie postanowił zaatakować. Jak teraz.

Ponieważ w naszej branży działa niewielu specjalistów, a w każdym razie profesjonalistów naszego pokroju, nasze drogi już nieraz krzyżowały się w

ciągu ostatnich lat. Do tej pory zatrudniano nas trzykrotnie, byśmy nawzajem pozabijali swoich pracodawców. Podczas naszego ostatniego spotkania wbiłam Brutusowi nóż w plecy, a on w rewanżu postrzelił mnie w brzuch. Nasi klienci, cała szóstka, już nie żyli.

O ile ja podczas pracy zachowuję kamienny spokój, Brutus to istna maszyna. Nigdy nie okazuje żadnych emocji. Zero bólu, rozkoszy, satysfakcji z dobrze wykonanego zadania. Nic. Przychodził, zabijał, znikał.

Stałam z rękami nad głową. Trzymał pistolet z tłumikiem. Celował w moje serce. Nie spudłuje. Chyba, że do tego doprowadzę.

- Wiesz, Gin, w sumie to mi przykro. - Obojętny ton jego głosu zadawał kłam słowom. Zero emocji. - Ale zaproponowano mi zbyt dużą sumę, bym odrzucił takie zlecenie.

Spojrzałam w stronę łoży. Donovan Caine i Gordon Giles nadal konferowali szeptem, nieświadomi dramatu, który rozgrywał się nad ich głowami. Wyglądało na to, że Caine żąda czegoś od Gilesa, ale ten nadal uparcie kręcił głową: nec. nie, nie. Mój umysł pracował intensywnie. Chciałam połapać się w sytuacji.

- Co to ma być? - zapytałam - Pułapka? Ja załatwię Gilesa, a ty mnie?

- Taki był plan, ale ponieważ się ociągałaś, postanowiłem, że najpierw sam załatwię ciebie.

Zmrużyłam oczy.

- Dlaczego? Przecież to zrobię. Załatwię Gilesa. Jestem zawodowcem. Nie przyjmuję zlecenia, jeśli nie zamierzam go wykonać.

Brutus wzruszył ramionami.

- Śmierć księgowego wywoła wiele niewygodnych pytań, więc mój zleceniodawca uznał, że lepiej będzie, jeśli zabójcę złapią. Natychmiast.

- Więc mam być kozłem ofiarnym dla twojego klienta.

Mój głos był równie pozbawiony emocji jak jego.

Brutus skinął głową.

- Dzięki temu nie będzie dochodzenia, procesu, niewygodnych pytań. Tylko strzelanina między intruzem a jednym ze strażników w operze. Kiedy opadnie dym, ty będziesz martwa. Ślad będzie prowadził do ciebie... i na tobie się urwie.

- Więc masz tu kogoś. Ktoś ci pomaga.

Brutus nie odpowiedział, ale nie musiał, żeby potwierdziły się moje podejrzenia. Pomknęłam wzrokiem do łoży, ale Donovan Caine i Gordon Giles nadal byli sami. Brutus pewnie ustawił kogoś pod drzwiami, na wypadek, gdyby Giles spanikował i chciał wyjść.

- Jaki mam motyw? - zapytałam, przenosząc ciężar ciała na prawą nogę.

- Nic wyszukanego. Ot, zwykła biedna prostytutka, rozgoryczona, bo Giles obiecywał, że się z nią ożeni i robi z niej przyzwoitą kobietę. Dziwka zaślepiona miłością i zazdrością, która postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- Dziwka, która zabija z miłości? W tym mieście? - prychnęłam. - Nie stać cię na nic lepszego?

Brutus wzruszył ramionami.

- To nie moja sprawa.

Skinęłam głową.

- No jasne. Cóż, Brutusie, muszę przyznać, że to niezły plan. Zasłużyłeś na premię. A tak przy okazji, kto ci ją wypłaci?

Brutus pokręcił głową.

- Gin, chyba wiesz, że nie ma sensu zadawać takich pytań.

Wiedziałam, ale kolejne pytanie pozwoliło mi przysunąć lewą stopę do kuszy.

- Chętnie pogadałbym dłużej, ale mam napięty harmonogram. - Brutus zacisnął dłoń na pistolecie. - Byłaś niezła w tym fachu, Gin. Niemal równie dobra jak ja. Naprawdę mi przykro...

Wyrzuciłam lewą nogę, dotknęłam kuszy. Strzała wbiła się Brutusowi w prawą kostkę. Stęknął i pociągnął za spust, a ja odskoczyłam na prawo. Kula drasnęła mnie w ramię. Odwróciłam się. Syknęłam, czując, jak moje mięśnie eksplodują ogniem bólu. Ale lepsze to niż kula w sercu.

Odepchnęłam od siebie ból, rzuciłam się na ziemię, dopadłam do futerału na wiolonczelę i zerwałam na równe nogi. Zasłoniłam się futerałem jak tarczą. Dwie kolejne kule odbiły się od niego. Potrząsnęłam lewą ręką i z rękawa wysunął się nóż ze srebrenitu. Zacisnęłam dłoń na rękojeści. Kolejna kula uderzyła w futerał. Zatoczyłam się, jakbym oberwała, a potem odwróciłam się błyskawicznie, odrzuciłam naszpikowany ołowiem futerał i cisnęłam nożem w Brutusa. Ostrze trafiło go w prawy bark. Pistolet wysunął się z jego palców i upadł na podłogę.

- Ty i te twoje pieprzone noże - wymamrotał. Wyrwał sobie nóż z rany. - Załatw sobie prawdziwą broń. Spluwę.

- Spluwy są dobre dla tych, którzy nie mają dość jaj, by posłużyć się nożem. Albo za mało umiejętności.

Wytrząsnęłam drugi nóż z prawego rękawa. Brutus przełożył swój nóż do prawej ręki.

I zaczął się taniec. Krążyliśmy dokoła siebie na wąskim balkonie, zadawaliśmy ciosy, kopniaki, wymachiwaliśmy nożami. Brutus skaleczył mnie w lewy biceps, kolejny płomień bólu przeszył lewą stronę mojego ciała. Uderzyłam go łokciem w szczękę. Kopnął mnie w nerki. Zdzieliłam go kolaniem w krocze.

Byliśmy równie dobrzy, oboje świetnie wyszkoleni, skuteczni, zabójczy. Ale strzała w kostce spowalniała go bardziej niż mnie kula w barku. Odskoczył, żeby znaleźć się poza zasięgiem mojego ostrza, lecz noga nie wytrzymała jego ciężaru. Upadł. Tytko na to czekałam.

Zanim doszedł do siebie, wyrwałam mu strzałę z rany i zaatakowałam. Tym razem nie zdołał powstrzymać okrzyku bólu. Usiłował mnie jeszcze odepchnąć, ale przycisnęłam mu nóż do szyi. Znieruchomiał.

- A teraz opowiesz mi ze szczegółami, kto cię zatrudnił i komu tak bardzo zależy na śmierci Gordona Gilesa. - Przycisnęłam zakrwawiony grot do jego lewego oka. - Albo wbiję ci to w gałkę oczną i dalej, w mózg.

Uśmiechnął się. Jego zęby były czerwone od krwi.

- Masz dwa wyjścia, Gin. Możesz mnie zabić albo ratować własną skórę. A przynajmniej spróbować.

Przyłożyłam mu grot do powieki. Nawet Brutus, twardy jak gładz, wzdrygnął się w takiej chwili.

- Jak to?

- Przyjmując zlecenie, powiedziałem, że jesteś dobra, że być może uda ci się uciec. Więc powstał plan awaryjny. Nawet jeśli mnie zabijesz, wina za śmierć Gilesa spadnie na ciebie. Jest jeszcze ktoś, kto może go w razie czego rozwalić. Wszystko jest już gotowe - będziesz jedyną podejrzaną. No wiesz, listy z pogrozkami wskazujące na ciebie i tak dalej. Wszystko jest już na swoim miejscu...

Uniosłam nóż i wbiłam ostrze w jego serce. Przy pierwszym ciosie jęknął z bólu i zaskoczenia. Przy drugim oczy wyszły mu z orbit, z ust popłynęła strużka krwi. Po trzecim nie żył.

- Arogancki dupek - mruknęłam i wstałam. - Trzeba było mnie zastrzelić, a nie gadać do śmierci. Ciało Brutusa drgnęło w konwulsjach. Po raz ostatni przyznał mi rację.

Wstałam. Zebrałam broń. Bo co do jednego Brutus się nie mylił - zamiast zabić Gordona Gilesa, musiałam go uratować - jeśli w ogóle chciałam ujść z tego z życiem.

Schowałam kuszę w futerale na wiolonczelę i zbiegłam ze schodów. Syknęłam, gdy mijając drzwi uderzyłam rannym barkiem we framugę. Nawet powierzchowna rana postrzałowa boli, jakby dźgano cię rozpalonym pogrzebaczem. Jakby kobieta Ognia dorwała cię w swoje ręce i torturowała magicznym płomieniem. Ale nie zwracałam uwagi na ból. Zablokowałam go, wyparłam ze świadomości. To była jedna z pierwszych lekcji Fletchera: zignorować ból i dalej robić swoje. Pomyślałam o nim. On też w tym siedzi. Skoro zleceniodawca Brutusa chciał, żeby to mnie obwiniano o śmierć Gordona Gilesa, Fletcher jest następny na liście. Nie mogą ryzykować, zostawiając go przy życiu, Finnegana Lane'a także to dotyczy. Muszę do nich dotrzeć, i to szybko.

Wpadłam na klatkę schodową, postawiłam futerał przy otwartych drzwiach na balkon i zbiegłam na drugie piętro. Do przerwy zostało jeszcze kilka minut. W holu nikogo nie było. Miałam wolną drogę do łoży Gordona Gilesa. Świetnie. Lepiej, żeby ludzie nie zaczęli wrzeszczeć, widząc kobietę w czerni z zakrwawionym nożem w jednej ręce i bełtem w drugiej.

Uprzedzając mnie, ktoś otworzył drzwi do łoży i wszedł. Partner Brutusa.

Wtedy dotarło do mnie, że zginie nie tylko Giles. Martwy trop i brak świadków oznaczał, że zabity zostanie także Donovan Caine.

Obwinianie mnie za śmierć Gilesa to jedno, ale ostatnie, czego mi trzeba, to nagonka po rzekomym zabójstwie policjanta. Na dodatek uczciwego, jak Caine, który był w Ashland kimś w rodzaju bohatera. Policjanci, nawet skorumpowani, zrobią co w ich mocy, by dorwać jego zabójcę. Zmuszą ich do tego żadne sensacje media i presja opinii publicznej. Tak, Donovan Caine i Gordon Giles muszą przeżyć dzisiejszą noc.

Przyspieszyłam kroku. Wpadłam do łoży. Gordon Giles pół siedział, pół stał, gotów do ucieczki, ze strachem i paniką w błękitnych oczach. Donovan Caine stał wyprostowany. Wydawał się wściekły.

Facet z bronią odwrócił się, słysząc odgłos otwieranych drzwi. Podbiegłam i uderzyłam go w twarz. Usłyszałam, jak jego nos łamie się z chrzęstem, na draperię na ścianach trysnęła krew. Facet zaklął i odskoczył. Wykorzystałam jego ruch, odwróciłam go, przyciągnęłam do siebie i założyłam nelsona. Przyłożyłam mu nóż do gardła.

- Ani kroku, albo on zginie! - syknęłam.

Zginie i tak, ale tego nie musieli wiedzieć. Gordon Giles ani drgnął. Donovan Caine opuścił dłoń do kabury na biodrze. Kowboj.

Niedoszły zabójca szarpał się, usiłował się wyswobodzić. Bark bolał mnie coraz bardziej, ale zacisnęłam zęby i zignorowałam ból. Dźgnęłam go lekko, żeby przestał się rzucać.

- Dla kogo pracujesz? - szepnęłam mu do ucha.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Pot ściekał mu po karku, mieszał się z moim. Cuchnął czosnkiem.

- Bzdura. Miałeś zabić Gilesa, gdyby mi się nie udało.

Giles jęknął. Jego pociągła twarz pobladła. Donovan Caine zmrużył piwne oczy. Zacisnął usta w wąską linię.

- Powiedz, dla kogo pracujesz, bo inaczej poderżnę ci gardło, tu i teraz Brutus ci nie pomoże.

Zeszywniał, słysząc imię współnika. Przez chwilę myślałam, że mi odpowie, że uzyskam od niego niezbędne informacje. ale naprężył się i wiedziałam, że podjął złą decyzję

- Idź do diabła, suko - wypluł te słowa razem krwią.

- Ty pierwszy.

Poderżnęłam mu gardło. Gorąca, lepka krew trysnęła mi na rękę. Facet zacharczał i złapał się za szyję.

Gordon Giles krzyknął. Wysoko, piskliwie, jak dziewczyna - bardziej pasowałoby to do cheerleaderki niż do księgowego w średnim wieku. Zachwiał się, oczy uciekły mu w głąb i zemdlął.

Donovan Caine był twardszy. Sięgnął po broń.

Zanim jednak zdążył wyjąć pistolet z kabury, pchnęłam umierającego tak, że wpadł na policjanta. Odwróciłam się na piecie i wybiegłam z loży.

Uciekałam tą samą drogą, pognałam schodami na piętro biurowe, porwałam futerał na wiolonczelę, pchnęłam drzwi i wybiegłam na balkon. Ledwie znalazłam się na zewnątrz, cisnęłam futerał za barierkę, do rzeki i pobiegłam w stronę ukrytej liny.

Słyszałam na klatce schodowej ciężkie kroki Donovan Caine'a. Nie czas na ostrożność, troszczenie się o bezpieczeństwo. Muszę zejść na klify i liczyć, że Caine kiepsko strzela i że nie przetnie liny, póki nie znajdę się na dole.

- Stój! - zawołał męski głos.

Znieruchomiałam. Obejrzałam się przez ramię. Donovan Caine zbliżał się z pistoletem wycelowanym w moją pierś. Widziałam w nim pewność siebie, charakterystyczną dla świetnego strzelca. Odwróciłam się i podniosłam ręce, ale jednocześnie zrobiłam krok w stronę barierki.

- Kim jesteś? - warknął. - Dla kogo pracujesz?

- Nie wiem, naprawdę - odparłam spokojnie. - Sprawy się nieco skomplikowały.

Jego oczy lśniły jak dymne topazy.

- Jak to, skomplikowały? - Nie zamierzał rozwalić mnie od razu. Moje szczęście, jego błąd.

- Ktoś mnie zrobił - odparłam. - Miałam załatwić Gilesa i uciec, ale ktoś obmyślił to sobie inaczej. Miałam zginąć, zanim wykonam zadanie, ale potem wina za zabójstwo miała i tak spaść na mnie. Wejdz na górny balkon, a znajdziesz tam trupa. Facet nazywał się Brutus, ale był znany jako Żmija

Caine zbliżył się o kolejny krok.

- Nie wierzę ci.

- Mam w nosie, w co wierzysz. Rzecz w tym, że Gordon Giles nadaj jest w niebezpieczeństwie. Na twoim miejscu martwiłabym się o niego, nie o mnie.

Detektyw zaczął się nad rym zastanawiać. Pod czarną marynarką rysowały się napięte mięśnie. Mrok skrywał jego kości policzkowe, ale blask księżyca podkreślał ciemne włosy i wydatne wargi.

Mimo powagi sytuacji wyobraziłam sobie te usta na moim ciele. Jego silny język na moim, a potem coraz niżej, powoli, leniwie, aż dojdzie do złączenia moich ud. Hm.

- Idziesz ze mną - powiedział.

Wolną ręką sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kajdanki ze srebrnitu. Rzucił je na podłogę między nami. Upadły z brzękiem u moich stóp.

- Załóż je.

- Kajdanki? Kusząca propozycja. Ale podczas seksu wolę mieć wolne ręce. Ty nie?

Drgnął, jakbym wyrwała mu pistolet z dłoni i strzeliła. Jego spojrzenie przesuwano się po moim ciele, czułam je na piersiach i udach, i zaraz wróciło do twarzy. O tak, myślał o tym. Nie był już tak skupiony. I to mi wystarczyło.

- Daruj je sobie, detektywie, bo i tak mnie nie zamkniesz.

- A co niby zrobisz? - zapytał. - Jesteś w pułapce.

Uśmiechnęłam się.

- W pułapce? Ja? Nigdy

Odwrociłam się, wskoczyłam na poręcz i rzuciłam się w ciemność.

ROZDZIAŁ 6

Udało mi się dość silnie odbić od barierki, by ominąć ostre, poszarpane skały klifu. Wiatr wył mi w uszach, póki nie zamknęły się nade mną mętne wody rzeki Aneirin.

Podczas spadania odwróciłam się, więc wbiłam się w wodę stopami. Siła uderzenia sprawiła, że upuściłam broń i opadłam aż na kamieniste dno, piętnaście metrów pod powierzchnię wody. Była tak zimna, że wydawało mi się ze zamarzam. Szok pozbawił mnie cennego powietrza, ale nie szarpałam się, nie miotałam, nie usiłowałam od razu wrócić na powierzchnię. Pozwoliłam, by prąd niósł mnie w dół rzeki. Odliczałam w głowie sekundy. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści...

Przy czterdziestu pięciu odepchnęłam się od dna. Mokre buty i ubranie krepowały mi ruchy, ale udało mi się dotrzeć do powierzchni. Chciwie zaczerpnęłam tchu i wróciłam pod wodę. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści...

Przy czterdziestu pięciu znowu wypłynęłam i tym razem już zostawiłam głowę nad wodą. Odwróciłam się i spojrzałam na gmach opery. Na balkonie, z którego skoczyłam, płonęły światła. Kręciły się po nim drobne postacie, ale byłam zbyt daleko, by je rozpoznać. Ciekawe, czy Donovan Caine nadal tam jest. A może wrócił już do Gordona Gilesa i stara się zapewnić mu bezpieczeństwo?

Ale w tej chwili nie mogłam o tym dłużej myśleć. Musiałam dotrzeć do Fletchera. Co prawda Brutus nie żyje, ale informacja o nieudanym zamachu na pewno już wydostała się poza operę. Podobnie jak Gordon Giles. Zleceniodawca Brutusa zacznie po sobie sprzątać, zabijając wszystkich, którzy mogliby obciążyć go winą. W tym Fletchera.

Odwróciłam głowę i popłynęłam do brzegu.

Po dwudziestu minutach byłam na przeciwległym, błotnistym brzegu rzeki. Znajdowałam się mniej więcej kilometr od opery. W oddali migwały czerwono-niebieskie policyjne światła gdzieś w pobliżu pies wył do księżyca, po chwili dołączyły inne i rozbrzmiał niski, gardłowy śpiew. Niósł się echem po rzece, zawracał. Nie uwierzyli, że utonąłam. Szkoda.

Zimna woda dawała mi się we znaki mimo magii Lodu w moich żyłach. Szczękałam zębami, moje krótko obcięte paznokcie były sine. Rana po kuli Brutusa zdrętwiała, a nerki bolały mnie od jego ciosów. Podobnie jak lewe ramię, tam, gdzie drasnął mnie nożem. A najgorsze było to, że śmierdziałam mułem jak sum.

Ale zmusiłam się, by iść, by stawiać nogę za nogą. Przyspieszyłam, najpierw do szybkiego marszu, potem do biegu. Musiałam się ruszać, by się rozgrzać, póki nie zdobędę suchych ciuchów.

W biegu rozpięłam kamizelkę i wyjęłam komórkę. Dzięki wodoodpornej obudowie nadal działała. Wybrałam numer do restauracji. Telefon dzwonił i dzwonił.

Fletcher powinien tam być. Zawsze czekał, aż wrócę po wykonaniu zadania. Powinien odebrać.

Zadzwoiłam do Finnegana. Też nie odbierał. Ogarnęło mnie przerażenie, dławiło w gardle, ciążyło. Odepchnęłam je i biegłam. Szybciej. Coraz szybciej. Przy każdym kroku z butów tryskała mi woda.

Pokonałam trzy kilometry w ciemnościach, potykając się co krok. Biegłam wzdłuż ulicy, pod osłoną krzewów i zarośli. Co chwila mijały mnie samochody, ale wolałam nie ryzykować, zatrzymując je albo wzywając taksówkę. Wyglądałam gorzej niż przemoczony opos. I gorzej cuchnęłam.

Kawałek przed sobą zobaczyłam neon reklamowy jednego z hipermarketów, które pokrywały miasto gęstą siatką. Właścicielką była oczywiście Mab Monroc.

Po raz pierwszy byłam zadowolona, widząc symbol tej sieci. Wpadając do rzeki, zgubiłam wszystkie noże, bez broni nie uratuję Fletchera i Finna. Przydadzą się też suche ciuchy, żebym nie wpadła w hipotermię. Choć cały czas biegłam, szczękałam zębami z zimna. Ręce mi się trzęsły. Trudno było pchnąć kogoś nożem, gdy nie masz siły, by zacisnąć dłoń na jego rękojeści. I choć bardzo nie podobała mi się perspektywa kolejnego opóźnienia, musiałam iść na zakupy, zanim pospieszę im na ratunek. W innym wypadku wszyscy zginiemy.

Wbiegłam na parking, skierowałam się w stronę letniego ogródka, gdzie towary stały pod gołym niebem. Minęłam skrzynkę niesprzedanych, przywiedłych bratków i worek nawozu. Przemknęłam wzdłuż niskiego murku oddzielającego sklep od parkingu. Na ścianach wisiały grabie i odkurzacze do liści. Powietrze przesycił zapach nawozu.

Drzwi do marketu były otwarte. Weszłam do środka. Cienkie ściany budynku dźwięczały cicho, jak dzwoneczek w staroświeckiej kasie. Przy drzwiach stał wózek, porzucony przez roztargnionego klienta. Wzięłam go, poszłam do działu damskiego i wrzuciłam pierwsze z brzegu ciuchy, które, sądząc na oko, będą na mnie dobre. Dżinsy. Stanik. Majtki. Czarna koszulka z długim rękawem. Czarny polar. Skarpety. Buty. Czarna czapeczka baseballowa z wyszytą czerwoną runą prymulki. Symbol piękna. No pewnie, takie czapeczki same w sobie to szczyt piękna.

Potem zatrzymałam się w dziale farmaceutycznym. Wzięłam maść z antybiotykiem, gazę, aspirynę i inne leki. Zajrzałam też na stanowisko kosmetyczne po dezodorant i żel do ciała, żeby pozbyć się zapachu sumy. Do koszyka trafiły też chemiczne ogrzewacze do rąk. Na koniec odwiedziłam dział z akcesoriami kuchennymi i wybrałam kilka wielkich noży.

Podeszłam do kasy samoobsługowej, wyjęłam fałszywą kartę kredytową z mokrej kamizelki i zapłaciłam. Kasjerka przy sąsiednim stanowisku obrzuciła mnie znudzonym spojrzeniem i ponownie zajęła się lekturą gazety. Byłam tylko

zniebnięta i pomoczona, a nie spięta i spragniona krwi jak wampiryczne dziwki, które robiły tu nocą zakupy, więc nie zwróciła na mnie uwagi.

Poszłam z zakupami do łazienki na tyłach sklepu. Zamknęłam za sobą drzwi i, dygocząc z zimna, rozebrałam się do naga. Zdezynfekowałam rany na barku i ramieniu, zakleiłam je, obandażowałam. Nadal pulsowały, ale nie były na tyle głębokie, by trzeba je było zszywać. Kula tylko mnie drasnęła, nie przeszła na wylot przez ciało.

Oczywiście mogłam pojechać do Jo-Jo, żeby się mną zajęła. Kilka minut w rękach tej uzdrowicielki posługującej się magią Powietrza, a poczułabym się jak po tygodniu w najlepszym spa, ale nie miałam na to czasu. Nie, jeśli chciałam dotrzeć do Fletchera i Finna, póki żyją. Ponownie usiłowałam zadzwonić się do nich, spryskując się jednocześnie dezodorantem i tanimi perfumami. Założyłam czyste ciuchy, rozgryzłam aspirynę. Nadal nikt nie odbierał.

Wypchałam sobie kieszenie spodni chemicznymi ogrzewaczami, wcisnęłam je też do butów. Zakrwawione ciuchy wylądowały w koszu na śmieci. Nie ma sensu ich ukrywać, takie ubrania można dostać w każdym sklepie. Przecież nie ozdabiałam ich naszywką z napisem: własność Gin Blanco.

Zresztą, jeśli Donovan Caine ma dość oleju w głowie, i tak sprawdzi każdy sklep, stację benzynową i korporację taksówkarską w promieniu dziesięciu kilometrów od opery. Prędzej czy później zdobędzie taśmę z monitoringu z tego sklepu. Będzie wiedział, że weszłam tu, żeby doprowadzić się do ładu.

I nic więcej.

Rozerwałam plastikowe opakowanie z nożami. Sprawdziłam je. Nie tak ostre, jak lubię, i kiepsko wyprofilowane, a poza tym rączka była śliska jak rozgrzane gówno w lecie, ale i tak się nadadzą. Wszystko się nada, jeśli pchnąć dość mocno.

Dwa ukryłam w rękawach, dwa w cholewkach butów, i jeszcze jeden za paskiem spodni.

Brutus już zapłacił za zdradę. Teraz czas na jego tajemniczego zleceniodawcę i każdego, kto stanie między mną a Fletcherem o Finneganem. Oby Donovan Caine i jego kumple z policji mieli dość kawy i pączków i lubili nadgodziny, bo tej nocy liczba zabójstw w Ashland wzrośnie. I to znacznie.

Ukryta w cieniu, obserwowałam drzwi wejściowe do Wesołego Prosiaka. Neonowa świnka jaśniała w nocnym mroku, różowe światelko mieniło się krwawą poświatą. A może to tylko moja wyobraźnia, bo obawiałam się tego, co na mnie czeka za niewinnie wyglądającą witryną.

Zerknęłam na zegarek. Po dziesiątej. Od nieudanej próby zabójstwa w operze minęły ponad dwie godziny.

Czekałam tak trzy minuty, w nadziei, że dostrzegę wewnątrz oznaki życia.

Nic. Po raz kolejny zadzwoniłam do restauracji z komórki, ale Fletcher nie odbierał. Zadzwoniłam też do Finna. Zero reakcji. Pewnie obaj już nie żyją.

Pracodawca Brutusa zapewne chciał się czegoś o mnie dowiedzieć: gdzie bywam, co robię, z kim się spotykam. A Fletcher i Finnegan mogli mu udzielić tych informacji. Dwie godziny w rękach wroga to kawał czasu. Dwie godziny wystarczyłyby, by złamać większość ludzi. Nawet bez magii.

Najrozsądniej byłoby odejść. Zniknąć w mroku. Rozpłynąć się, tak jak mnie uczył Fletcher. Zawsze to planował, gdyby coś poszło nie tak. Miałam przy sobie dość fałszywych dowodów tożsamości i kart kredytowych, by zacząć nowe życie, że już nie wspomnę o pieniądzach na licznych zagranicznych kontach. Wystarczyłoby mi na życie w luksusie. Bułka z masłem.

Ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam zostawić Fletchera i Finna, odwrócić się do nich plecami.

Nie mogłam zapomnieć o nich i odejść, choć sami poradziliby mi właśnie to. Nie teraz, gdy był jeszcze cień szansy, że zdołam uratować przynajmniej jednego z nich. Byłam im to winna, wzięli mnie z ulicy, gdy nie miałam dokąd pójść. Zawdzięczałam im wszystko. Zresztą, oni zrobiliby dla mnie to samo. Ojciec i syn pospieszyliby mi na ratunek, chociaż zaklinaliby się, że to nierozsądne. Nie, nie mogłam ich zostawić. Ani teraz, ani nigdy.

Zresztą nigdy nic szłam na łatwiznę. Łatwe rozwiązanie są dla mięczaków, którzy boją się zrobić to, co konieczne.

A ja nie jestem miękka. Już nie.

Zakradłam się do restauracji od tyłu, wąskim zaułkiem. Spojrzałam na płytką wnękę w murze naprzeciwko drzwi, na tyle małą, że zmieściłoby się w niej tylko dziecko.

Uśmiechnęłam się gorzko. To moja stara kryjówka z czasów gdy mieszkałam na ulicy. Teraz pusta i zdecydowanie dla mnie za mała. Zresztą, nie musiałam się już ukrywać. Stałam się tym kim jestem, właśnie po to, żeby się nie ukrywać i nie uciekać.

Ale to nie oznacza, że nie powinnam zachować ostrożności, więc kucnęłam przy śmietniku.

Patrzyłam. Słuchałam. Czekałam.

Nic. Nawet szczury nie buszowały w poszukiwaniu resztek jedzenia. Musiało stać się coś naprawdę złego, skoro nawet one uciekły.

Przyłożyłam dłoń do muru, słuchałam kamieni. Wczorajsze leniwe zadowolenie ustąpiło ostrzejszym nutom. Coś poruszyło te cegły, zakłóciło ich spokój. Jakieś nagłe wydarzenie. Nieoczekiwane. Krwawe. Gwałtowne, Niskie, gwałtowne wibracje pulsowały mi w głowie jak werbel na apelu poległych.

Fletcher.

Wyciągałam już rękę do tylnych drzwi restauracji, ale się zawahałam. Drzwi uchylili się odrobinę, niemal niezauważalnie, lecz ja od siedemnastu lat uczyłam się dostrzegać wszystko i wszystkich dokoła. Zacisnęłam dłoń na nożu, odsunęłam się od drzwi, nie spuszczać z nich oczu. Cieniutki czarny drut przywiązany do klamki nikł w środku, stąd lekko uchylone drzwi. Przecięłam go

nożem, ostrożnie, żeby nim nie szarpnąć. A potem stanęłam z boku i otworzyłam drzwi.

Na zapleczu czekała dubeltówka ustawiona tak, by wystrzelić, gdy staną otworem. Naciskasz klamkę, wchodzisz do środka i dostajesz dwie kulki w klatkę piersiową. Pułapka tyleż prymitywna, co skuteczna.

Czekałam. Nasłuchiwałam. Lodowata cisza.

Fletcher powinien kręcić się po kuchni, sprawdzać stan zapasów w spiżarni. Albo parzyć tę cholerną kawę z cykorią, czytać kolejną powieść. Cisza przejmowała mnie chłodem większym niż rzeka, marzłam od niej bardziej niż od lodowatego deszczu. Na nic zdały się chemiczne ogrzewacze w kieszeniach.

Weszłam do restauracji, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu innych pułapek.

Nic. Zatrzymywałam się co krok. Czekałam. Rozglądałam się. Szukałam. Nic nie drgnęło, nawet długonogie pająki nie wyglądały z sieci w kątach.

Aż w końcu go znalazłam. W sali restauracyjnej, od frontu.

Fletcher Lane leżał na podłodze w kałuży czerwonej krwi. Jego niebieski fartuch znaczyły dziury i plamy czerwieni, jakby oblał się keczupem. Dokoła poniewierały się strzępy ubrań. Na rękach miał rany, zadane, gdy się zasłaniał od ciosów. Jego dłonie były opuchnięte, jakby z kimś walczył. Z otwartej kasy wysypywały się banknoty, kleiły się do zakrwawionej podłogi, tuż obok sfatygowanego egzemplarza *Where the Red Fern Grows*, powieści, którą ostatnio czytał. Nieco dalej zobaczyłam skorupy zbitego kubka i zaschnięte fusy. W powietrzu unosił się zapach kawy.

Od tego zapachu zrobiło mi się niedobrze.

Fletchera ktoś torturował. Ktoś, kto włada magią Powietrza. Na jego twarzy, barkach i rękach brakowało długich pasm skóry. Koszmarny zapach surowego mięsa walczył o lepsze z zapachem krwi, zasychającej na podłodze w niewielkich kałużach. Oprawca przesuwiał palcami po jego skórze jak papierem ściernym, wbijał mu w ciało cząsteczki tlenu, sprawiał, że skóra płonęła żywym ogniem, marszczyła się, pękała, a mięśnie odchodziły od kości. Pasma tu, pasmo tam, tu wgniecenie wielkości kciuka, odcisk pięści na piersi. Żadna z tych ran nie była śmiertelna, ale wszystkie były cholernie bolesne. I tak głębokie, że miejscami widziałam kości. Kremowe okruchy w skrwawionej masie ciała.

Fletchera żywcem obdzierano ze skóry. Za pomocą magii.

Najgorsze, że oprawca znęcał się nad ciałem nawet po śmierci staruszka. Bo jak inaczej wytłumaczyć brakujące pasma skóry? I te upiorne, wypalone ślady i bąble. Tak ich wiele. Większość ludzi nie zaznaje tyle bólu przez całe życie.

Zrobiło mi się niedobrze. Owszem, zabijałam ludzi, ale zazwyczaj starałam się szybko załatwić sprawę. Jedna rana, najwyżej dwie. Szybko, dokładnie, starannie. A to... Ktoś się tym rozkoszował. Upajał.

Nagle straciłam ostrość widzenia. Coś mnie zapiekło pod powiekami. Płakałam. Płakałam po raz pierwszy od siedemnastu lat. Głęboko zaczerpnęłam

tchu. Drżałam na całym ciele, dygotały mi usta, kręciło mi się w głowie. Nie mogłam patrzeć na Fletchera. Nie teraz, nie teraz, gdy lada chwila stracę panowanie nad sobą. Ulegnę słabości.

Kucnęłam, złapałam się za kostki i zmusiłam, by oddychać powoli, głęboko. Koncentrowałam się na wciąganiu powietrza w płuca, do oszalałego żołądka. Jakby to było najważniejsze na świecie. Jakby Fletcher nie leżał na podłodze przede mną. Martwy.

W końcu wzięłam się w garść. Otworzyłam oczy i patrzyłam na makabryczne rany. Nie jak osoba, która znalazła zmasakrowane zwłoki, nie jak kobieta, która widzi martwego mentora, staruszka, którego kochała. A już na pewno nie jak Gin, której serce posiekano na kawałeczki i ciśnięto na patelnię.

Nie, oglądałam go fachowo, jak zabójca. Jak Pająk. Chłodno. Melodycznie. Bez emocji. Chcąc za wszelką cenę dowiedzieć się jak najwięcej z jego ran.

I coś znalazłam. Osobą, która tak potraktowała Fletchera, była kobieta. Miała drobne, szczupłe, delikatne dłonie, sądząc po rozmiarze śladów pięści na piersi Fletchera. Zacisnęłam dłoń, żeby porównać.

Jej była mniejsza.

Nie zaskoczyło mnie, że Fletchera torturowała kobieta. Już dawno przekonałam się, że płeć piękna jest o wiele okrutniejsza niż mężczyźni - i o wiele cierpliwsza. A ta tutaj, ta sadystyczna dziwka... Torturowanie Fletchera sprawiało jej przyjemność. Z rozkoszą pastwiła się nad nim za pomocą swojej magii. Powoli, żywcem obdzierała ze skóry. Wsłuchiwała się w jego błagania o litość, póki jego gardło nie było równie zdarte jak skóra.

Zapłaci mi za to. I to wyższą cenę, niż jej się wydaje.

Nieważne, co jeszcze się dzisiaj stanie; nieważne, czy Finn żyje, czy nie. Nie ucieknę. Nie przed tym. Nie przed nią.

Nie ukryję się za granicą. Może Ashland nie jest najpiękniejsze, ale to mój dom. Co więcej, moim domem jest ta restauracja, nieważne, jak wariacko to brzmi. Nie zostawię tego. Nie w ten sposób. Nie teraz, gdy krew Fletchera zastyga na podłodze jak świeżo położona warstwa wosku.

Wstrzymałam oddech, czekałam, by Fletcher odwrócił głowę, uniósł powieki i zbeształ mnie za spóźnienie. Ale nie zrobił tego. Już nigdy tego nie zrobi.

Ta suka zapłaci mi za to.

Musiałam stąd wyjść, musiałam działać. Odnaleźć Finna, jeśli jeszcze nie jest za późno. Ale nie mogłam się zmusić, by odejść od ciała Fletchera.

To on zabrał mnie z ulicy, gdy nie miałam dokąd pójść. To dzięki niemu nie walczyłam ze szczurami o co lepsze kąski ze śmietnika. To dzięki niemu nie sprzedawałam się alfonsom.

Nauczył mnie, jak być silną. Jak przeżyć i jak żyć robiąc to, co trzeba, by nie upaść.

Gdy tak przy nim kucalam, rozległ się cichy dźwięk. Delikatny zgrzyt, który zakłócił moją rozpacz. To wystarczyło, bym odzyskała nad sobą kontrolę. Na rozlaną krew Fletchera padł cień, który sprawił, że szkarłat stał się czarny.

Niezdara.

Zacisnęłam dłoń na nożu. Odwróciłam się i cisnęłam nim w mężczyznę skradającego się za moimi plecami. Metal przeciął powietrze i wbił się w jego prawe ramię. Zawył z bólu i rzucił się na mnie, wymachując nożem sprężynowym. Odskokczyłam przed niezdarnym, niecelnym ciosem. Wykorzystałam jego zamach i pchnęłam go z całej siły. Wpadł na kontuar i osunął się na podłogę. Dосkoczyłam do niego, wytrąciłam mu nóż z dłoni. Usiadłam na nim, miażdżąc mu żebra kolanami.

Nie przejmowałam się pulsującą raną na barku i draśnięciem na ramieniu. Nie zwracałam uwagi na ogarniający mnie chłód ani na zmęczenie, które spowalniało moje ruchy. Uderzałam go - raz za razem, wbijałam pięść w jego twarz, aż pękła mi skóra na kostkach.

Jego ból sprawiał mi przyjemność. Ogromną.

Facet jęczał z bólu. Powstrzymałam się z trudem, żeby go nie zabić. Jeszcze nie. Oddychałam z trudem. Metaliczny zapach krwi wypełniał mi usta jak ślina, sprawiał, że chciałam więcej.

Wyciągnęłam nóż z jego ramienia. Warknął. Pochyliłam się i oparłam rękę na jego gardle, odcinając dopływ powietrza. Podniosłam nóż, żeby widział krew na ostrzu.

- Opowiesz mi dokładnie, co tu się wydarzyło. Dla kogo pracujesz i co ona planuje. Powiesz mi wszystko, co zechcę wiedzieć, i zrobisz to z przyjemnością.

- A niby... dlaczego... suko? - wycharczał. Pochyliłam się, aż moje szare oczy zawisły dokładnie nad jego twarzą.

- Pierwsza rana cię nie zabije - wyjaśniłam ze śmiertelnym spokojem. - Ani druga, ani trzecia, ani nawet dziesiąta. Ale wtedy będziesz już błagał o śmierć.

ROZDZIAŁ 7

Nie udało mi się wydobyć z niego żadnego nazwiska ani innych przydatnych informacji. Byłam zbyt wściekła i za bardzo się spieszyłam, by posłużyć się finezją niezbędną w takich sytuacjach. Zresztą to tylko pomagier, wysłany, by się upewnić, czy nie przyjdę do restauracji. Zobaczył otwarte tylne drzwi i w ślad za mną wszedł do środka. Ale potwierdził moje podejrzenia - Finnegan był kolejny na liście. A to oznaczało, że muszę się pospieszyć, jeśli chcę go uratować.

Serce mi pękało, gdy zostawiałam ciało Fletchera na podłodze za kontuarem. Sophia Deveraux, krasnoludzica, kucharka, która co rano przychodziła jako pierwsza i piekła chleb na zakwasie, znajdzie go i zawiadomi policję. Widząc bałagan i otwartą kasę, policjanci uznają, że to kolejny napad rabunkowy. W Ashland zawsze tak klasyfikowano zbrodnię. Fletcher będzie kolejnym nazwiskiem w zestawieniach statystycznych, kolejną nierozwiązaną sprawą, jedną z setek każdego roku.

Zanim wyszłam, zmyłam z rąk i twarzy krew i łzy. Zaciągnęłam zwłoki napastnika do chłodni, do pustej zamrażarki. Do wieka przykleiłam różową karteczkę, żeby Sophia ją zauważyła. Będzie wiedziała, co zrobić z ciałem. Karlica od dawna zajmowała się ukrywaniem zwłok dla Fletchera.

Zza innej zamrażarki wyjęłam czarną torbę, jedną z wielu, które poukrywałam w różnych punktach miasta. Gotówka, telefon na kartę, broń, fałszywy dowód tożsamości, kosmetyki, trochę ciuchów. Wszystko, co niezbędne, by szybko uciec, zmienić wygląd albo zaimprovizować brudną robotę.

Wróciłam do restauracji i uklęknęłam koło Fletchera. Znowu poczułam łzy pod powiekami, widząc jego zmaltretowane ciało. Czuję słone strumyki na policzkach. Nie było czasu, by opłakać jak należy, by właściwie przeżyć żałobę. Na to przyjdzie pora, gdy ta dziwka, która go zamordowała, będzie równie martwa jak on. Kiepska pociecha. Bo choćbym nie wiem jak ją torturowała, choćbym nie wiem co jej zrobiła, choćbym mordowała ją nie wiem jak powoli, to i tak nie przywróci Fletcherowi życia. To niemożliwe.

- Żegnaj, Fletcher. - Głos mi się załamał przy tych słowach.

Łza spłynęła po moim policzku, zmieszała się z krwią i poparzeniami na jego twarzy. Wyprostowałam się, otarłam oczy i wzięłam się w garść. A potem rozbiłam szybę w drzwiach wejściowych, wyłamałam zamek i wyszłam.

Dwadzieścia minut później byłam w pobliżu mieszkania Finnegana Lane'a. Podobnie jak ja, mieszkał niedaleko restauracji. Tylko że w porównaniu z jego apartamentem moje mieszkanie przypominało karton bezdomnego. Metalowy budynek wzbijał się w niebo, zwieńczony elegancką wieżyczką, jakby był wieżowcem z prawdziwego zdarzenia, a nie żalną podróbą z biednej dzielnicy.

Obeszłam budynek, podeszłam do bocznego wejścia dla lokatorów, gustownie ukrytego za dwiema magnoliami. Pokonanie drzwi zajęło mi minutę i wymagało dwóch lodowych wytrychów. Wślizgnęłam się do środka. Mimo późnej pory, po korytarzach nadal kręcili się ludzie; mieszkający tu biznesmeni sprowadzali najświeższe podboje na kilka drinków i szybki numer w ciemności.

Wsiadłam do windy jadącej na górę. Facet koło siedemdziesiątki, w pogniecionym fraku i przekrzywionym tupeciku, obślinał ucho jasnowłosej dziwki. Jej koleżanka majstrowała przy jego pęczniejącym rozporoku. Trzecia prostytutka, ciemnowłosa, stała z boku, najwyraźniej niezainteresowana dołączeniem do trójkąta. Cztery osoby to już doprawdy przesada.

Dwie dziwki zajęte staruszką spojrzały na mnie gniewnie. Uniosły czerwone wargi, odsłoniły kły. Wampirzyce. I to dość kosztowne, jeśli wierzyć perlistej bieli ich kłów. Ale kiedy zobaczyły, że nie zamierzam im przeszkadzać, ponownie zajęły się dziadkiem i zapewniały go, jak bardzo się cieszą, że będzie je pieprzył.

Moje usta drgnęły w uśmiechu. Dawno nie słyszałam nic równie śmiesznego. Dziadek i jego towarzyszki wysiedli na szóstym piętrze. Zostałam sama z trzecią dziwką.

Przyjrzałam się jej. Ostre kolory, wyzywający strój, niezły obcisły, chyba rozmiar sześć. Uda się.

Nacisnęłam przycisk stop i odwróciłam się w jej stronę. Jej dłoń powędrowała do torebki. Przyglądała mi się czujnym wzrokiem drogiej dziwki, która wie, że nieznajomi bywają niebezpieczni, zwłaszcza w tej części miasta. Spomiędzy warg wyjrzały kły. Kolejna wampirzyca.

- Zapłacę ci dwa tysiące dolarów za twoje ciuchy, buty i torebkę - powiedziałam.

- Ciuchy? - zapytała. W piwnych oczach malował się coraz wyraźniejszy niepokój. - I to wszystko? Żadnych dziwactw? Żadnych haczyków? Pomachałam jej przed nosem plikiem banknotów. - Żadnych dziwactw ani haczyków.

Pięć minut później dziwka wysiadła na dziewiątym piętrze w moim tandetnym zakiecie, dzinsach i kowbojkach. A chwilę potem pojechałam na jedenaste, wyszłam na klatkę schodową i otworzyłam torbę podróżną.

Szczotka do włosów, szminka, puder. Szybko nałożyłam makijaż, poprawiłam jasne włosy i przemieniłam się w Gin, uroczą dziwkę. Wyjęłam też z torby trzy noże ze srebrenitu. Jeden ukryłam za paskiem, drugi w prawej dłoni, a trzeci trafił do torebki od dziwki.

Zostawiłam torbę na klatce schodowej, uzbrojona wróciłam do windy i pojechałam na piętro dwunaste, tam, gdzie mieszkał Finn.

Finnegan Lane, inwestor finansowy, specjalista od komputerów i generalnie czarny charakter, radził sobie znakomicie i dlatego jego apartament

zajmował całe piętro, a nie, jak inne mieszkania w budynku, tylko kilkaset metrów kwadratowych.

Finn nie widział powodu, by ukrywać swoje bogactwo, nie przejmował się, że jego nuworyszowski przepych drażni co starszych i bardziej nobliwych klientów. Tej grupie, zwłaszcza wampirom pamiętającym czasy wojny secesyjnej, przeszkadzała jego ostentacja, ale Finn tak skutecznie mnożył ich majątki, że mogli się wypchać swoimi staroświeckimi południowymi zasadami.

Zawsze byłam szczególnie czujna, gdy go odwiedzałam. Co prawda nie siedział tak głęboko jak ja w branży zabójców na zlecenie, ale i bez tego narobił sobie sporo wrogów, spekulując na giełdzie i bogacąc się na różne, nie zawsze legalne sposoby.

Pieniądze działają na ludzi bardziej niż seks. A ponieważ Finn był także znanym kobieciarzem, w sumie to dziwne, że jeszcze nikt nie usiłował zatrudnić mnie, bym go zabiła.

Drzwi windy się otworzyły. Wysiadłam w niewielkim holu przed apartamentem Finna. Niski stoliczek z drewna orzechowego. Dwa fotele. Złoczone lustro na ścianie. Sztuczne krzewy w donicach przy drzwiach. Południe w pełnej krasie.

Ledwie otworzyły się drzwi, potężny ochroniarz stojący przy drzwiach odwrócił głowę w moją stronę. Kawał faceta, szeroki w barach, z karkiem, którego nie powstydziliby się gracze NFL. Pewnie z domieszką krwi olbrzymów w żyłach. Ale był sam. Ja wystawiłabym co najmniej trzech strażników. Może nawet więcej, bo wiedziałam, do czego jestem zdolna. I jak bardzo mi zależy, żeby dotrzeć do Finnegana, póki jeszcze żyje.

Goryl zmarszczył brwi, ale nie sięgnął po broń i nie zapukał w drzwi za plecami, żeby uprzedzić tego, kto się tam znajdował. To był jego pierwszy błąd.

Podeszłam bliżej, kołysząc biodrami, tak żeby króciutka mini w paski zebry podwinęła się jeszcze bardziej i odsłoniła długie, smukłe nogi w kabaretkach. Rozpięłam też wcześniej guziczek wonej jedwabnej bluzeczki tak, że widział mój stanik za pięć dolców.

Podłogę w holu wyłożono marmurem. Miałam w uszach jego delikatny szept, gdy szłam, stukając obcasami. Po raz pierwszy poczułam nadzieje. Wibracje byłyby inne, gdyby Finn już nie żył. Byłyby niższe, bardziej mroczne, jak w restauracji. Tamtego dźwięku nigdy nie zapomnę.

Fletcher.

Odepchnęłam na bok myśli o mentorze, wszelkie odbierające siłę emocje, i skoncentrowałam się na mężczyźnie przede mną. Na tym, co musiałam zrobić. Zatrzymałam się mniej więcej metr od niego, wypięłam biodra jak modelka, opuściłam głowę, zatrzepotałam rękami i uśmiechnęłam się zalotnie. Jeśli jest coś, co wszystkie kobiety z Południa mają wspólnego, to umiejętność flirtowania. Mamy to we krwi, w DNA, podobnie jak zamiłowanie do słodczy, tłustej kuchni i wielkich kapeluszy.

- Witaj, przystojniaku - zagaiłam gardłowym tonem. - Jestem Candy. Przeszłam do Finna.

- Pan Lane ma dzisiaj inne spotkanie. Bardzo ważne, - Mówił szorstko, ale wzrokiem wypalał dziury w moim ciele, od nóg do piersi.

Zachichotałam.

- No, tak. Ze mną, głuptasku.

Strażnik pozwolił sobie na ostatnie spojrzenie i przecząco pokręcił głową.

- Przykro mi. Jest zajęty. Musisz odejść.

Wydełam usta.

- Ale przecież ja zawsze przychodzę do Finny'ego w niedzielę. Dostarczam mu rozrywki.

Strażnik milczał, pochłaniał wzrokiem moje piersi i nogi. Gdyby przesunął spojrzenie jeszcze odrobinę szybciej, zakreśliłoby mu się w głowie. Jeszcze przez chwilę się dąsałam, a potem otworzyłam szeroko szare oczy i uśmiechnęłam się, jakbym właśnie wpadła na genialny pomysł.

Podeszłam bliżej. Ochroniarz zeszywniał, ale się nie odsunął. Spojrzałam na niego spod opuszczonych rzęs i przejechałam palcem po szerokiej piersi. Pod koszulą w niebieskie prążki nie miał nic, żadnych ochraniaczy czy kamizelki. Dla mnie dobrze, dla niego - nie bardzo.

- No a ty, skarbie? Nie masz ochoty na słodką Candy? Dziewczyna musi zarabiać na życie. Wiesz, co mam na myśli.

Otworzył usta, ale nie zdążył już odpowiedzieć. Bo ja tymczasem uniosłam prawą dłoń i wbiłam ukryty w niej nóż w jego klatkę piersiową. Wybałuszył oczy ze zdumienia. Zakryłam mu usta dłonią, żeby nie krzyknął, wyrwałam nóż z piersi i pchnęłam jeszcze raz.

Powinien był mnie zastrzelić, ledwie wysiadłam z windy. Ale popełnił poważny błąd, dopuścił mnie do siebie na odległość wyciągniętej ręki. Niedobrze. Ale laska to laska, a facet zawsze chce popatrzeć, pogadać i popieprzyć. Nawet jeśli otrzymał polecenie, by tej nocy szczególnie uważał na kobiety.

Oczy goryla zasnuła mgła, przestał walczyć. Pozwoliłam, by masywne ciało osunęło się na podłogę i wyjęłam nóż. Przejrzałam jego kieszenie, wyjęłam komórkę i portfel, położyłam na stoliku - później je zabiorę. Nie nosił żadnej biżuterii, nawet nie miał zegarka.

Pod moimi stopami cichy szept marmuru przybrał na sile, gdy zalały go strumienie krwi. Ten dźwięk także dobrze znałam.

Kiedy już uporałam się z ochroniarzem, zajęłam się drzwiami do apartamentu. Ponieważ ściany wzniesiono z metalu i drewna, nie mogłam za pomocą magii dowiedzieć się, co czeka na mnie w środku. Ale nie odejdę, póki nie dowiem się, co spotkało Finna. Albo co mu robią. Po prostu muszę zaryzykować.

Przekręciłam gałkę w drzwiach i uchyliłam je odrobinę. Usłyszałam głosy - ciche, niewyraźne pomruki. Muszą być w salonie.

Wślizgnęłam się do środka. Znieruchomiałam. Apartament miał kształt litery F. Z windy wchodziło się do wąskiego przedpokoju, by zaraz znaleźć się w korytarzu, w którym obecnie stałam. Korytarz przecinał całe mieszkanie, prowadził do wielkiego salonu. Sypialnia i łazienka znajdowały się za salonem. W połowie korytarza były jeszcze jedne drzwi - do kuchni.

Skradałam się na palcach. W obu dłoniach ścisnęłam noże. Zajrzałam do kuchni. Sprzęty kuchenne, marmurowe blaty. Kilka zlewów. Minęłam ją i poszłam dalej.

Zatrzymałam się przy przejściu łączącym kuchnię z salonem. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro, w którym widziałam wszystko, co działo się w głębi pokoju.

Przywiązali go do krzesła z wysokim oparciem. Finnegan Lane był nieodrodnym synem swojego ojca: ogorzała cera, masywne, muskularne ciało, ciemne włosy w odcieniu orzecha włoskiego. Twarda szkocko-irlandzka krew, podobnie jak ja i wielu innych mieszkańców Appalachów. Gdyby nie opuchlizna, dostrzegłabym zielone oczy. Jego twarz pokrywały rany i siniaki, z ust płynęła krew, płamiła białą koszulę, czarne spodnie i wypolerowane buty.

Na widok skatowanej twarzy Firma ogarnął mnie gniew, ale zdusiłam go i obejrzałam jego ciało, szukałam zdartej skóry i innych oznak tortur. Nic. W powietrzu nie unosił się smród ciała odrywanego od kości. Nie było tu pani Powietrza, która dręczyła Fletchera. Jeszcze nie.

Sądząc po wyglądzie Finna, zanim go dopadli, spędzał wieczór poza domem. Może nawet był w operze. Finn chętnie bywał na takich imprezach, obracał się wśród bogaczy, którzy mieli jeszcze więcej sekretów niż on i którzy zrobiliby wszystko, by te nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Jeśli był w operze, nic łatwiejszego jak porwać go w wynikłym zamieszaniu, przywieźć tutaj na spokojną pogawędkę. Taki scenariusz tłumaczył także, dlaczego do tej pory żyje i nie doświadczył tortur za pomocą magii Powietrza.

Przyglądałam się pilnującym go mężczyznom. Pierwszy miał dwa i pół metra wzrostu, potężne bary, jasną, mleczną karnację i wielkie wyłupiaste oczy. Olbrzym. Mięśniak, pewnie dlatego nie widzę zarysu kabury pod jego luźną marynarką. Po co komu splanować, kiedy ma się pięści jak bochny chleba?

Drugi był niższy. Człowiek. Jego skóra lśniła jak polerowany heban. Nosił okulary w złotych, kwadratowych oprawkach. I broń. Miał pistolety pod obiema pachami.

Obserwowałam, jak Kurdupel podchodzi bliżej.

- Powiedz nam, gdzie ona jest, a będzie po wszystkim - zagaił uprzejmie.
- Obiecuję, że szybko zakończymy sprawę. Trzy kulki w tył głowy. Nic nie poczujesz.

Finn uniósł głowę i przyjrzał mu się uważnie.

- Wiesz, co myślę o twoich obietnicach?

Finn napluł Kurdupelowi w twarz. Krwawa plwocina trafiła w okulary, spływała po szklach jak płyn do mycia szyb. Kurdupel wyprostował się, zdjął okulary. Skinął na Dryblas, który z całej siły uderzył Firna w twarz. Jego nos zachrzącał jak płatki śniadaniowe. Mimo powagi sytuacji uśmiechnęłam się pod nosem. Czego jak czego, ale stylu Finneganowi Lane'owi nigdy nie brakowało.

Dryblas zadał jeszcze kilka ciosów, aż Finn zaczął dławić się krwią.

Kurdupel wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł okulary i włożył je z powrotem. Podszedł do Finna. Jeszcze nie dał za wygraną.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że to bez sensu. Twój ojciec już nie żyje.

Fletcher. Te słowa sprawiły mi ból. Zaciśnęłam zęby i skupiłam się na tym, co teraz najważniejsze - na Finnie.

- Nikt ci nie pomoże - ciągnął Kurdupel. - A już na pewno nie zabójczyni. Rzuciła się z balkonu, z wysokości stu metrów. Jeśli nawet przeżyła upadek, teraz pewnie ucieka z miasta. O ile nie dopadła jej już policja.

Zmarszczyłam brwi. Policja. To mi się nic podobało. Zwłaszcza sposób, w jaki Kurdupel o nich mówił, jakby miał nad nimi, władzę. Ta sprawa się skomplikowała, ze zwykłego zlecenia zrobił się niezły spisek. Ciekawe, od jak dawna Brutus, Kurdupel i inni to planowali - i jakim cudem Fletcher, Finn i ja okazaliśmy się tak ślepi, że wpakowaliśmy się w sam środek pajęczyny.

- No, dalej - kusił go Kurdupel. - Ułatw sobie sprawę. Powiedz dokąd mogła pójść. Tylko o to nam chodzi. Musimy wiedzieć, gdzie jej szukać, o ile jeszcze żyje.

Finn roześmiał się, choć przy okazji zakrztusił się krwią.

- Co cię tak bawi? - zapytał Kurdupel. - Nie sądziłem, że facet w twojej sytuacji ma jeszcze siły na śmiech.

Finn uniósł głowę. Nawet wśród sino-czerwonej masy, jaką stała się jego twarz, widziałam błysk zielonych oczu.

- Owszem, przeżyła. A nie złapaliście jej, bo jest od was sprytniejsza. Lepsza. Silniejsza. I wkrótce przyjdzie po ciebie, dupku. Po ciebie i po tych, dla których pracujesz. Wiesz co? Równie dobrze możesz już zacząć planować swój pogrzeb.

- To tylko jedna kobieta - zauważył Kurdupel.

Finn roześmiał się znowu, gardłowo, nisko. Ten śmiech ścisnął mnie za serce. Do tej pory nie zauważyłam, jak bardzo przypomina śmiech Fletchera.

- To nie jest pierwsza lepsza kobieta - to Pająk. Właśnie dlatego ją zatrudniliście, pamiętasz? Bo jest najlepsza. Więc weź te swoje pytania i wsadź je sobie tam, gdzie słońce nie dochodzi. Bo nie powiem już ani słowa, za to ty naprawdę niedługo staniesz z nią oko w oko.

Upewniłam się, że wszystkie noże są na miejscu. Będę miała tylko jedną szansę, zanim rozwalą Finna. Nie mogę go stracić - ani teraz, ani nigdy.

- Nic nie powie. To bez sensu. Załatw go - warknął Kurdupel.

Dryblas podszedł bliżej i uniósł pięść do ostatniego ciosu. Finn spojrzał na jego rękę i uśmiechnął się. Przemknęłam wzdłuż ściany i weszłam do pokoju.

Dryblas cały czas koncentrował się na Finnie. Nie zauważył mnie. Mój nóż wbił się w jego lewe oko, jeden z nielicznych wrażliwych punktów na czaszce olbrzyma. Dryblas wierzgał jak marionetka, której przecięto sznurki. Drugie oko rozszerzyło się, myślałam, że wyskoczy z oczodołu. Osunął się na podłogę, jego głowa opadła na kolana Finnegana. Nawet nie pisnął.

Kurdupel był czujniejszy i szybszy. Udało mu się wyciągnąć broń z kabury pod marynarką, ale pokonałam pokój jednym susem i wytrąciłam mu pistolet z ręki, zanim uniósł go do strzału. Kurdupel zamachnął się, lecz uchyliłam się przed ciosem, zrobiłam kolejny unik, widząc jego nieporadną obronę i wbiłam drugi nóż w jego serce. Miotał się i jęczał, usiłował się uwolnić, a jego krew spływała mi po ręce.

- Trzeba było posłuchać Finna - syknęłam mu do ucha i wbiłam nóż głębiej.

Umarł z cichym westchnieniem. Zwiotczał. Odepchnęłam go. Ciało osunęło się na ziemię z głuchym łoskotem. Cudowny dźwięk.

- Najwyższy czas - sapnął Finn obolałym głosem.

Wyrwałam noże - jeden z ciała Kurdupła, drugi z oka Dryblasa. Przecięłam nimi więzy krepujące Finna i ściągnęłam z niego ciało olbrzyma.

- A facet na zewnątrz? Czy w ogóle jest sens pytać? - mruknął Finn.

Spojrzałam na niego.

- No tak, głupie pytanie.

Patrzyłam na ciała na podłodze. Krew sączyła się z ran, plamiła nieskazitelnie biały, puszysty dywan. Spływała też ze mnie - wyglądałam, jakby ktoś oblał mnie nią z wiadra.

Ale przed oczami miałam tylko ciało Fletchera, skalowane, torturowane, odarte ze skóry na podłodze knajpy. Martwe. Spojrzałam na Finna, na jego przystojną twarz stłuczoną na miazgę. Rzadko doświadczam wściekłości, ale wtedy poczułam w piersi, w miejscu serca, lodowatą kulę.

Obrysowałam palcem uchwyt noża. Za szybko. To Wszystko działa się za szybko, do cholery. Ci tutaj nie cierpieli tak jak Fletcher. Prawie nic nie poczuli. Wstęga ognia, gasnący blask i już. Łatwo. Szybko. W miarę bezboleśnie.

Kula w mojej piersi drgnęła. Miałam ochotę rzucić się na zwłoki, ciąć i drzeć, aż nie będzie wiadomo, który jest który. Chciałam tym sposobem przekazać wiadomość ich szefowej, taką jaką ona wysłała do mnie, maltretując Fletchera.

Ale ranny Finn potrzebował pomocy uzdrowicielki. A poza tym, zawsze coś może pójść nie tak. Dotąd w moich żyłach buzowała adrenalina, ale czułam, że zaraz opadnę z sił. Ręce i nogi dygotały mi ze zmęczenia i stresu. I nadal było mi zimno po kąpieli w lodowatej rzece.

Zemsta, sprawiedliwość, karma, nieważne jak to nazwać - muszą poczekać. Teraz priorytetem jest utrzymanie Finna przy życiu. To moje zadanie. Właśnie o to poprosiłby Fletcher.

Po raz pierwszy w życiu zamierzałam zrobić dokładnie to, o co prosił.

ROZDZIAŁ 8

Odwróciłam się od zwłok. Finn dźwignął się na czworaki, obmacał trupy, wyjął z ich kieszeni portfele i komórki. Ściągnął im także zegarki i zdarł złoty łańcuszek z szyi Kurdupła. Już miał zajrzeć do portfeli, ale zabrałam mu je.

- Później - powiedziałam. - Musimy cie zawieźć do Jo-Jo. Wyglądasz jak trup.

Skrzywił się.

- Aż tak źle?

- Wierz mi, lepiej żebyś teraz nie patrzył w lustro. Twoje ego tego nie zniesie.

Zachnął się,

- Proszę cię. Moje ego zniesie wszystko. - Wskazał głową ciała. - Co z nimi?

- Sophia, ma się rozumieć. Wiesz, że kocha takie zadania. - Sięgnęłam po telefon bezprzewodowy i wybrałam siódemkę. Podobnie jak ja, Finn miał krasnoludzice na liście szybkiego wybierania. Odebrała po drugim sygnale.

- Hmm? - Gardłowy pomruk to typowe powitanie w wykonaniu Sophii Deveraux. Nie była zbyt rozmowna.

- Tu Gin - odparłam. - Narobiłam trochę bałaganu u Finna. Musisz posprzątać.

- Hm. - Ten pomruk zdradzał większe zainteresowanie.

- Dwóch w mieszkaniu, jeden w holu, przy wejściu do windy. Rozmiary S, M i L. - Nasz szyfr, oznaczający człowieka, półolbrzyma i olbrzyma.

- Szkody? - Miała ochrypliły głos nałogowego palacza i alkoholika. Jeśli już zniżała się do konwersacji, Sophia ograniczała się do pojedynczych słów. Nic przesadnie wylewnego. No, ale Jo-Jo, jej siostra, gadała za dwie.

Sporzałam na zakrwawiony dywan. Finn poszedł za głosem mody, zamawiając białą wykładzinę, ale teraz jego podłoga wyglądała jak spaghetti. Z mielonym mięsem.

- Powiem tak: marmurowa posadzka na zewnątrz jest o wiele łatwiejsza do wyczyszczenia niż dywan w mieszkaniu. Przyjedziesz?

- Um. - Co w jej języku oznacza: tak.

- Dobrze. Uważaj na siebie. Niewykluczone, że S, M i L mają koleżków, którzy zechcą do nich zajrzeć. My jedziemy do Jo-Jo. Zobaczymy się tam później.

Odłożyłam słuchawkę i wróciłam wzrokiem do Finna.

- Już jedzie. Spakuj wszystko, co może ci być potrzebne przez kilka dni. Ciuchy, komputer, co tam jeszcze chcesz. Zamieszkasz u mnie, póki to się nie skończy.

Finn skinął głową, wstał, zrobił pierwszy krok. Noga nie wytrzymała jego ciężaru, potknął się, zachwiał, mało brakowało, a upadłby na krzesło, do którego

był przywiązany. Podbiegłam do niego, złapałam go pod ramię i zaprowadziłam do sypialni.

Finn usiadł na łóżku, a ja wrzuciłam do torby kilka garniturów, laptop i inne drobiazgi, o które prosił. A także portfele i biżuterię, które zabraliśmy nieboszczykom.

Dziesięć minut później drzwi windy otworzyły się i naszym oczom ukazał się ciemny parking na tyłach apartamentowca Finna. Pomogłam mu wyjść. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie ciemny, brudny beton. Najnowsze modele luksusowych sedanów stały nieruchomo na wyznaczonych miejscach wzdłuż wąskiej alejki, która zataczała łuk i wspinała się na kolejną kondygnację. Nad samochodami świeciły jarzeniówki. W rogu wisiała pułapka na insekty. Ćma, zwabiona jej niebieskim światłem, podfrunęła bliżej, usiadła i... delikatny trzask rozległ się jak wybuch w cichym wnętrzu.

Finn wskazał wyjście na klatkę schodową. Podeszliśmy do niego. Powietrze przesycił zapach oleju silnikowego i benzyny. Przesunęłam dłonią po ścianie. W kamieniu zapisały się ostre nuty niepokoju. Nic dziwnego W takim garażu dopada paranoja, nawet mnie.

Niski pomruk nie działał na mnie kojąco, nie po takiej nocy jak ta. Ale bez problemów dotarliśmy na niższy poziom. Pociągnęłam Finna w stronę pierwszego lepszego wozu, który do niego należał - był to srebrzysty Aston Martin, którego nie powstydziliby się James Bond. Finn kolekcjonował samochody tak jak inni porcelanowe figurki.

- O nie - jęknął. - Tylko nie Aston. Wszystko, tylko nie Aston. Kupiłem go w zeszłym miesiącu. W życiu nie spiorę krwi ze skórzanych siedzeń. Tu nawet Sophia nie pomoże.

- Więc co wasza wysokość proponuje? - warknęłam.

Wskazał głową auto obok.

- Weź mercedesa, przynajmniej ma wiśniową tapicerkę.

Przewróciłam oczami, ale spełniłam jego prośbę. Co prawda nie łączyły mnie z Finneganem Lane'em więzy krwi, ale działał mi na nerwy jak rodzony brat. Drażnił mnie, prowokował, wkurzał, aż miałam ochotę wyrwać mu język i usmażyć na kolację. Ale i tak zrobiłabym dla niego wszystko. Nawet umazała jego krew wewnątrz wskazanego przez niego samochodu.

Otworzyłam drzwiczki czarnego mercedesa, wepchnęłam Finna do samochodu, cisnęłam nasze rzeczy na tylne siedzenie i opadłam na fotel kierowcy. Skóra była jak ciepły materac, otulała moje pośladki, prostowała plecy, wspierała kark i barki. Cudownie. Wspaniale tak siedzieć i nie zastanawiać się, co dalej - ani kto czai się za rogiem i dlaczego chce mnie załatwić. Gdybym oparła głowę na zagłówku, zasnąłabym w sekundę.

Niestety, przede mną było jeszcze mnóstwo pracy.

Dwie minuty później wyjechaliśmy z parkingu. Skręciłam we właściwą przecznicę i pojechałam na północ, do Jo-Jo.

Po drodze mijaliśmy Wesołego Prosiaka. Neonowa świnka jaśniała w ciemności. Staralam się nie myśleć o Fletcherze leżącym w kałuży krwi na podłodze, ale cały czas miałam przed oczami zmaltretowane ciało. Po raz drugi tego wieczoru poczułam łzy pod powiekami. Cholera. Nie płakałam tyle od dzieciństwa.

Finn zobaczył łzy na moich policzkach.

- Ej. Nie chciałby tego. Wiesz, co sądził o płaczu.

- Strata czasu, energii i środków.

Te słowa nasunęły mi się automatycznie, jak tyle innych nauk Fletchera. Niełatwo było wziąć się w garść, ale dałam radę. Zawsze daję radę.

Jechaliśmy w milczeniu. Zatrzymałam się na światłach. Głęboko zaczerpnęłam tchu. Czas zacząć działać. Musiałam pogadać z Finnem, zanim dojedziemy do Jo-Jo.

- Opowiedz mi. Gdzie byłeś, jak cię dopadli, dlaczego przywieźli cię do twojego własnego mieszkania.

- Jasne. - Przesunął skatowane ciało tak, żeby mnie widzieć bez odwracania głowy. - Oczywiście tata powiedział mi o tym zleceniu, więc postanowiłem zaszczycić moją obecnością uroczyste otwarcie nowego skrzydła opery. No wiesz, chciałem ci udzielić moralnego wsparcia.

Uniosłam brew.

- No dobra, więc tak naprawdę chciała tam pójść moja przyjaciółka, zresztą musiałem też poczarować kilku klientów - przyznał. - Kilka spraw za jednym zamachem, wiesz, o co mi chodzi?

- Pewnie - odparłam sucho.

Finn opowiadał dalej.

- No więc jestem w operze, w prywatnej loży, świetne miejsca, i nagle słyszę krzyk mężczyzny. W każdym razie wydawało mi się że to był męski głos. Dość spanikowany, moim zdaniem.

Gordon Giles, po tym, jak poderżnęłam gardło drugiego zabójcy.

- Domyśliłem się, że załatwiłaś sprawę i chcesz wydostać się z budynku. No więc ja i moja pani wychodzimy na zewnątrz rajem ze wszystkimi, chcąc się przekonać, co się stało. I widzę, jak facet ze spluwą goni szczupłą postać w czerni.

Donovan Caine, który gonił mnie korytarzem.

- Rozchodzi się plotka, że doszło do zabójstwa w jednej z łóż, Moja pani jest bardzo, bardzo przejęta, więc proponuję, żebyśmy odeszli w ustronne miejsce, żeby mogła się uspokoić.

Znowu przewróciłam oczami.

- Innymi słowy, odciągnąłeś ją na bok i zacząłeś się do niej dobierać, pod hasłem: jak to dobrze, że żyjemy.

Napuchnięte, rozcięte wargi Finna wygięły się w uśmiechu.

- Schodzimy na parter, do prywatnego saloniku i zajmujemy się, hm, innymi sprawami. Drzwi otwarły się, gdy sytuacja wreszcie zmierzała we właściwym kierunku.

- Czyli zastali cię bez gaci.

Finn westchnął.

- Dranie mogli nam chociaż dać skończyć. Ale skurczybyk odciągnął mnie, kazał dziewczynie spadać i zawiózł mnie do domu. Chyba mieli nadzieję, że pospieszysz mi na ratunek.

- Mówili coś? Wspominali, dla kogo pracują? Dlaczego zależało im na śmierci Gordona Gilesa? Cokolwiek?

- Nic, - Finn potrząsnął głową. - Po prostu bili mnie i pytali, gdzie jesteś.

Jechaliśmy dalej. Zatrzymałam się na czerwonym świetle, skręciłam, pilnowałam, by nie przekroczyć ograniczenia prędkości. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby zatrzymała nas policja, zwłaszcza że oboje byliśmy umazani krwią. Dojeżdżaliśmy już do Jo-Jo, gdy Finn zadał pytanie, którego obawiałam się od chwili gdy wpadłam do jego mieszkania.

- Co... Co z tatą? - zapytał cicho. - Co mu zrobili?

Serce mi się ścisnęło, ale uparcie patrzyłam przed siebie, unikałam pytającego wzroku Finna. Zaciśnęłam dłonie na kierowcy. Szkoda, że to nie szyja zabójcy.

- Zadzłgany. Znalazłam go w Wesołym Prosiaku. Nie żył już, gdy tam dotarłam. - Zatrzymałam dla siebie informację o torturach i magii Powietrza. Finn nie musi tego wiedzieć. Mimo ciemnych interesów i okazjonalnych bójek, Finnegan Lane był w gruncie rzeczy mięczakiem. Eleganckie garnitury, dobre samochody, kobiety, pieniądze - oto jego świat. Najchętniej spędziłby całe życie na picciu i pieprzeniu, liczeniu pieniędzy i planowaniu, jak zarobić ich jeszcze więcej. Niewiniątko, jak na Ashland. Właśnie dlatego Fletcher to mnie wyszkolił na swoją następczynię, a nie rodzzonego syna, choć Finn, teraz trzydziestodwuletni, był ode mnie dwa lata starszy. Ale ja byłam silniejsza. Twardsza. Bardziej opanowana. Musiałam, żeby przeżyć dzieciństwo.

Finn przyglądał mi się uparcie. Chciał wiedzieć, co się wydarzyło. Przedstawiłam mu ocenioną wersję. Walka z Brutusem w operze. Ucieczka przed Donovanem Caine'em. Skok do rzeki. Powrót do knajpy, przyjazd do niego.

- Wysłali też kogoś pod Prosiaka, na wypadek, gdybym wróciła - zakończyłam.

- Co mu zrobiłaś?

Spojrzałam na niego znacząco.

- To, co robisz najlepiej - mruknął. - Dzięki, Gin.

Wzruszyłam ramionami.

- Fletcher był dla mnie jak ojciec. Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Szkoda tylko, że miałam tak mało czasu dla sukinsyna.

Mało czasu, żeby ranić, ciąć, zabijać. Za mało czasu, żeby działać, za dużo, by myśleć o tym, co tej nocy utraciłam.
I jak to cholernie boli.

ROZDZIAŁ 9

Mimo ciemności wyczuwało się zmianę w mieście, tym wyraźniejszą, im bardziej oddalałam się od Wesołego Prosiaka.

Choć wojna secesyjna skończyła się już dawno, w Ashland inna wojna toczyła się w najlepsze - między Northtown i Southtown.

Te dwie dzielnice zawdzięczały nazwy położeniu geograficznemu. Między nimi rozciągało się centrum i na tym podobieństwa się kończyły. Southtown to dzielnica niebezpieczna, wroga; w zaniedbanych czynszówkach mieszkają tam robotnicy, sąsiadując z wampirzymi dziewczkami, narkomanami i białą biedotą.

Wesoły Prosiak i moje mieszkanie znajdowały się w centrum, blisko Southtown.

W porównaniu z tą dzielnicą Northtown to dziewicza debiutantka, dzielnica, którą upodobał sobie yuppies oraz finansowe, towarzyskie i magiczne elity Ashland. Znajdowały się tu osiedla o romantycznych nazwach, takich jak Wzgórza Tary czy Łzy Generała Lee, i staroświeckie, rozległe posiadłości przypominające plantacje starego Południa. Ale wdzięk i elegancja dawnego świata nie oznaczały braku nikczemności. W Northtown nazwą cię złotkiem i pchną nożem w plecy. W Southtown przynajmniej scenografia ostrzega o zagrożeniu.

Jo-Jo mieszkała w Northtown, jak przystało osobie władającej magią Powietrza, o jej bogactwie, pozycji towarzyskiej i znajomościach. Skręciłam w stronę Wzgórz Tary, wjechałam w uliczkę o nazwie Zaulek Magnolii i po chwili mercedes sunął kolistym podjazdem wyłożonym białymi kamieniami. W mdłym świetle księżycy wyglądały jak kości.

Na porośniętym trawą wzgórzu królowała trzypiętrowa rezydencja z białymi kolumnkami - brylantowa królowa na szmaragdowym tronie. Na werandę otaczającą cały dom prowadziły schody o trzech stopniach; oplatało ją dzikie wino i pnące róże. Pojedyncza żarówka paląca się na werandzie sprawiała, że cienie dokoła domu wydawały się nieco mniej groźne.

Pomogłam Finnowi wysiąść z samochodu i pokonać stopnie. Do domu prowadziły dwie pary drzwi - z siatką zatrzymującą insekty i masywne drewniane. Otworzyłam pierwsze i uderzyłam kołatką w drugie. Kołatka miała kształt chmury - to runa Jo-Jo, która miała dar magii Powietrza.

Gdzieś w domu zaskrzeczał pies. Rosco, gruby, leniwy basset.

Usłyszałam znajome, powolne kroki i po chwili nawet przez grube drzwi poczułam zapach jej perfum - Chantilly. Drzwi otworzyły się, w szczelinie pojawiła się kobieca twarz.

- Czego chcecie o tak późnej porze?

Choć dochodziła już północ, Jolene „Jo-Jo” Deveraux wyglądała, jakby wybierała się do kościoła na niedzielną mszę. Jej masywną figurę okrywała

sukienka w kwiaty, na krótkiej szyi jaśniały perły. Miała bose stopy, ale na jej paznokciach połyskiwał zalotnie różowy lakier, dopasowany do odcienia szminki i cieni na powiekach. Jej włosy, ufarbowane na platynowy blond, jak zwykle piętrzyły się kaskadą coraz ciaśniejszych loczków, choć u nasady pojawiły się czarne odrosty. Miała metr pięćdziesiąt, więc była wysoka jak na krasnoludzice a fryzura jeszcze dodawała jej wzrostu. Ale i tak byłam od niej wyższa o dobrych piętnaście centymetrów.

- Witaj, Jo-Jo. - Pociągnęłam Finna do światła. - To ja, Gin. Mojemu przyjacielowi przydałaby się pomoc.

Jasne oczy krasnoludzicy były niemal bezbarwne, jeśli nie liczyć czarnej kropki źrenicy. Omiotła spojrzeniem skatowaną twarz Finna i smugi krwi pokrywające nas jak mokra tapeta. Kurze łapki i zmarszczki mimiczne, widoczne na jej niestarej jeszcze twarzy, pogłębiły się ze zmartwienia.

- A niech mnie dunder świśnie - sapnęła Jo-Jo głosem słodkim i gęstym jak syrop brzoskwiniowy. - Wchodźcie, wchodźcie. Zaprowadź go na zaplecze. Wiesz gdzie.

Ni to prowadziłam, ni to ciągnęłam Finna wąskim korytarzem, który wiódł do sporego pomieszczenia, zajmującego połowę tylnej części domu. Wyglądało jak typowy salon piękności na Południu. Miękkie obrotowe fotele fryzjerskie. Staromodne suszarki. Stanowiska z półkami, na nich - lakiery do włosów i paznokci, nożyczki, wałki do włosów, grzebienie o rzadkich zębach.

Na ścianach wisiały zdjęcia modelek z fryzurami modnymi dwadzieścia lat temu, a na niskich stolikach piętrzyły się sterty pism poświęconych modzie i urodzie. Boczne drzwi prowadziły do pokoiku z solarium.

Jo-Jo Deveraux zarabiała na życie jako - jak sama to określała - „drama mama”; posługiwała się magią Powietrza, by poprawiać urodę uczestniczek wszelkich konkursów piękności, balów debutantek i imprez towarzyskich w Ashland i okolicach. Jeśli tylko coś można było rozjaśnić, wygładzić, wyskubać, przystrzyc, wyrwać, podkręcić, ufarbować, złuszczyć czy opalić, Jo-Jo robiła to w swoim salonie. Magia Powietrza doskonale nadaje się do wygładzania niechcianych zmarszczek i przywracania piersiom kształtu sprzed pięciu lat i dwójki dzieci.

Tylko nieliczni wiedzieli, że Jo-Jo prowadzi też inną działalność i zajmuje się uzdrawianiem. Ale Jo-Jo i Fletcher znali się od dawna i od wielu lat korzystałam z jej usług.

Zaciągnęłam Finna do wiśniowego fotela, usadziłam i sama opadłam na sąsiednie siedzisko. Jo-Jo szła za nami. Podeszła do umywalki pod ścianą, umyła ręce. Rosco, basset, który czekał wcześniej, siedział, jak zawsze, w wiklinowym koszyku przy drzwiach. Psisko podniosło łeb, powęszyło i ponownie zwinęło się w czarno-brązowy kłębek. Rosco opuszczał swój koszyk tylko wtedy, gdy w grę wchodziło jedzenie.

JoJo przysunęła sobie krzesło do fotela Finna. Zapaliła halogenową lampę i ustawiła tak, że światło padało na jego zmasakrowaną twarz.

- Co się do cholery? Kiedy cię ostatnio widziałam, czyli dzisiaj wieczorem, obściskiwaleś młodą ślicznotkę w operze.

Jo-Jo to prawdziwa dama z towarzystwa. Najbardziej na świecie lubiła zakręcić włosy, wystroić się w piękną suknię i pantofelki i iść na bal, raut czy wernisaż. A zapraszano ją na dosłownie wszystkie imprezy w mieście. W wieku dwustu pięćdziesięciu siedmiu lat ma się już sporo znajomych. Finn się skrzywił.

- Niestety, nie było nam dane dokończyć.

Jo-Jo już otwierała usta. by zadać kolejne pytanie, ale wpadłam jej w słowo.

- Fletcher nie żyje. - Wyrzuciłam to z siebie, choć słowa paliły mnie w gardle żywym ogniem.

Bezbarwne spojrzenie Jo-Jo przeniosło się na mnie. Przez jej twarz przemknął cień, ale nie wydawała się specjalnie zaskoczona. Oprócz daru uzdrawiania, miewała też przebłyski jasnowidzenia. Jak większość władających magią Powietrza, odczytywała i wychwytywała przecież wibracje i emocje z powietrza. A może po prostu domyśliła się, że skoro zjawiamy się tak późno, to stało się coś dramatycznego.

- Fletcher? Nie żyje? Jak to?

Po raz drugi opowiadałam całą tę historię. Opera. Rzeka. Fletcher martwy na podłodze Wesołego Prosiaka.

- Bardzo mi przykro, moi drodzy - powiedziała miękko. - Fletcher to był wspaniały gość. Kochaliśmy go z Sophią. Tak samo jak wy.

- To prawda - mruknęłam. - Wiemy, że go kochałyście.

Umilkliśmy, przytłoczeni wspomnieniami staruszka. Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę, ta cisza była mi potrzebna.

Jo-Jo uważnie obejrzała twarz Finna i dopiero potem zabrała się do pracy. Trzymała dłoń tuż przy jego twarzy, nie dotykając skatowanej skóry. Jej oczy zmatowiały, jakby zasnuły je chmury. Podobny mleczny blask spływał z jej dłoni. Powietrze iskrzyło się mocą. Poruszyłam się niespokojnie. Powietrze i Kamień to dwa przeciwne żywioły i zawsze czułam się nieswojo, gdy używano przy mnie magii Powietrza. Wydawało mi się to niewłaściwe. Ale moja magia Kamienia i Lodu budziła te same odczucia w Jo-Jo i wszystkich innych żywiołowych władających Powietrzem i Ogniem.

Finn zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie, jakby szykował się do maseczki. I w pewnym sensie tak było. Jo-Jo przesuwiała dłonią nad jego twarzą, zmuszała tlen, by wnikał w rany, krążył pod skórą. Kazała cząsteczkom łączyć się i scalać rozerwane tkanki. Jakbym oglądała film w przyspieszonym tempie, odtwarzany od końca do początku.

Opuchlizna ustępowała, sińce pod oczami bladły. Rany na czole i na ustach zablizniały się. Po kilku minutach na fotelu Jo-Jo Finn wyglądał jak dawniej, w jego oczach pojawił się nawet szelmowski błysk. Nie mogłam się powstrzymać, myślałam o Fletcherze i o tym, w jak odmienny sposób tamta

kobieta władająca magią Powietrza posłużyła się nią w stosunku do niego. Żywcem obdzierała go ze skóry. Cal po calu. Jo-Jo skinęła głową, zadowolona z efektów swojej pracy.

- Rozbieraj się, zobaczymy, co tam masz.

Finn się uśmiechnął.

- No, skarbie, już się bałem, że nigdy o to nie poprosisz.

Finn z wielką chęcią pozbył się zakrwawionego fraka. Pod spodem miał granatowe szorty z drogiego jedwabiu, ozdobione wzorem z białych żaglówek. Szczyt elegancji. Bokserki podkreślały jego smagłą karnację. Miał szeroką, umięśnioną klatkę piersiową. Ścieżka ciemnych włosów znikwała za paskiem spodenek. Na całym ciele widniały jednak paskudne sińce, fioletowo-zielone plamy w kształcie pięści.

Większość kobiet uważała Finna za bardzo seksownego, zwłaszcza kiedy używał swego chłopięcego uroku. Ja też, choć to było już za mną, należało do innych, szalonych, młodych lat.

Jo-Jo położyła mu dłoń na piersi i zaczęła leczyć jego sińce i obrażenia wewnętrzne

- Wiesz, coś jest nie tak, jeśli facet nosi droższą bieliznę niż ja - mruknęłam,

- Po prostu jesteś zazdrosna, bo moją widziało więcej osób niż twoją - odparł. - Nadal podrywasz studentów w college'u na jedną noc?

- Nadal sypiasz z każdą, która wystarczająco długo leży bez ruchu? - odcięłam się.

- Punkt dla ciebie.

Jo-Jo uśmiechała się, słuchając naszych przekomarzań, i na chwilę zbladło wspomnienie śmierci Fletchera. Niemal oczekiwałam, że zaraz tu wejdzie, z kubkiem kawy z cykorią i szerokim uśmiechem na twarzy. Ale staruszka nie było tu z nami i już nigdy nic będzie. Wiedzieliśmy o tym, po prostu usiłowaliśmy się z tym uporać w jedyny znany nam sposób. Robiąc to, co zawsze. Właśnie tego oczekiwałby Fletcher.

Jo-Jo skończyła z Finnem i spojrzała na mnie.

- Twoja kolej, Gin - mruknęła.

Uniosłam brew.

- Skąd przypuszczenie, że potrzebuję twoich usług? - zapytałam.

- Bo ty, to ty - zbyt uparta i zaciorna, by ustąpić.

Znała mnie aż za dobrze. Nim Finn zdążył się ubrać, ja już ściągnęłam zakrwawioną bluzkę od dziwki, usiadłam wygodnie i pozwoliłam, by Jo-Jo otoczyła mnie swoją magią. Zdjęła opatrunki i przyłożyła dłoń do barku, tuż obok rany. Poczułam mrowienie w mięśniach - rozlewało się po całym barku, gorące, nieustępliwe, po chwili wypełniało cały bark.

Zaciskałam zęby. Staralam się nie zwracać uwagi na te doznania, całkowicie odmienne od chłodnej pieśczoły mojej magii Lodu i Kamienia. Nagły przepływ magii sprawił, że zaswędziały mnie blizny na dłoniach, zaczęły

piec, gdy metal reagował na magię Powietrza. Srebrenit absorbuje wszelką magię i wielu wykorzystuje tę właściwość metalu, by ją przechowywać - traktują go swoistą baterią, z której mogą czerpać w razie potrzeby. Czułam, jak metal chłonie moc Jo-Jo.

- Wiesz, że mogłaś temu zapobiec - mruknęła z oczami zasnutymi bielmem. - Wystarczyło, żebyś za sprawą magii Kamienia sprawiła, by twoja skóra stała się twarda jak skała. Nic nie pokonałoby twojej magii.

Przed oczami stanęła mi moja matka, Eira, i siostra, Annabella. znikające w kulach ognia. Wydawało mi się przez chwilę, że w powietrzu czuć zapach palonego ciała. Zrobiło mi się niedobrze.

- Wiesz, że posługuję się magią, tylko jeśli nie mam innego wyjścia - odparłam. - Czasami jest przydatna, ale używam jej tylko do drobiazgów, nie w pracy. I nie chcę na niej polegać. Bo jeśli tak zrobię, to ona mnie zawiedzie. A wtedy zginę.

Jo-Jo przesunęła rękę na moje nerki, tam gdzie kopnął mnie Brutus. Poczułam kolejne fale mrowienia.

- Pewnego dnia będziesz musiała zdać się na magię. Magia jest tak silna, jak osoba, która nią włada. A ty jesteś silna. Nie zawiedzie cię, bo ty sama nigdy się nie zawiedziesz.

Nie miałam pojęcia, czy Jo-Jo mówi ogólnie, czy dostrzegła niewyraźną wizję przyszłości, ale i tak nie kupowałam jej słów.

- Wszystko świetnie, póki nie okaże się, że mój przeciwnik jest silniejszy ode mnie.

Ci, którzy mieli w sobie moc żywiołów, walczyli za jej pomocą. Sprawdzali w ten sposób swoją siłę. Czasami taki pojedynek trwał kilka sekund, czasami ciągnął się godzinami, ale koniec końców czyjaś magia okazywała się silniejsza. I wtedy przegrany nieszczęśnik znajdował się na łasce zwycięzcy i odczuwał na sobie jego zabójczą moc. Ci od Powietrza dusili, ci od Lodu mrozili, a ci od Kamienia kamienowali. Ci od Ognia Palili ofiary żywcem. Właśnie tak zginęły moja mama i siostra.

Pokręciłam głową, odpychając przykre wspomnienia.

- Dzięki, ale nie. W pracy wystarczą mi noże. Nic innego. Magia to pójdzie na łatwiznę. Posługując się magią, można podjąć niepotrzebne ryzyko, uznać, że nic cię nie pokona, a stamtąd już tylko krok do nieostrożności. Korzystam z niej, gdy nie mam wyjścia, ale nie polegam na niej.

Nie dodałam, że moją magią narobiłam już dość szkód, by koszmary nękały mnie do końca życia. Że zabijałam za jej pomocą na długo przed tym, nim Fletcher zabrał mnie z ulicy. Że to moja magia, w połączeniu z ogniem, przywołanym przez tamtą kobietę, sprawiła, że budynek runął. Że Bria, moja młodsza siostra, zginęła przeze mnie, że pogrzebałam ją żywcem, jak wszystko inne.

Między innymi dlatego niechętnie posługiwałam się mocą, chyba że nie miałam innego wyjścia. Ilekroć to robiłam, powracały wspomnienia tamtych mrocznych czasów, gdy w jedną ognistą noc straciłam wszystko, co znałam.

Jo-Jo skończyła i opuściła rękę, ale nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

- Zobaczymy.

Trzasnęły frontowe drzwi, w korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Kilka sekund później do salonu weszła Sophia Deveraux.

Sophia była jeszcze odrobinę wyższa od starszej siostry, bardziej masywna i miała więcej mięśni.

O ile Jo-Jo była jasna, to Sophie była ciemna - bo była też Gotem.

Jej twarz okalały krótkie, ciemne włosy, w tym samym odcieniu co jej cienie do powiek i szminka. Miała czarne oczy. Zamiast sukienki Sophia nosiła czarne dżinsy, czarne buty i czarną koszulkę ozdobioną wściekle różowymi czaszkami. Podobnymi do tych, które zwisały z czarnej skórzanej obroży zapiętej na grubej szyi. Choć miała już sto trzynaście lat, do perfekcji opanowała stylizację na zbuntowaną nastolatkę.

Sophia opadła na fotel i przyglądała się różowemu lakierowi na paznokciach siostry. Jo-Jo pochylała się i poklepała jej dłoń. Mimo oczywistych różnic, siostry były ze sobą bardzo blisko. Nic dziwnego. skoro od ponad stu lat mieszkają razem. Sophia posłała Jo-Jo krzywy uśmiech, jego najbardziej promienną wersję.

- Miałaś jakieś problemy z pozbyciem się ciała? - zapytałam.

Czarne oczy Sophii odpowiedziały na moje spojrzenie. - Mm. - Jej wersja: nie.

Kiedy Fletcher przeszedł na emeryturę, przejęłam po nim nie tylko Jo-Jo i jej dar uzdrawiania, ale także Sophie i jej talent do ukrywania zwłok. Nie mam pojęcia, co z nimi robi, gdzie je ukrywa, czemu w ogóle wykonuje taką robotę. Ale była w tym niezrównana. Zostawiała miejsce zbrodni w nienaruszonym stanie. Zero krwi, włókien, włosów, DNA, zero jakichkolwiek dowodów. A fakt, że piecze najlepszy chleb na zakwasie w całym Ashland, to jeszcze dodatkowa zaleta.

- Dobrze. Muszę cię prosić, żebyś przez najbliższych kilka dni poprowadziła za mnie Prosiaka. - Przełknęłam gorycz wypełniającą mi usta. - I żebyś rano zadzwoniła po policję.

Opowiedziałam jej wszystkie wydarzenia tego wieczora. Karlica milczała, ale w pewnej chwili w jej oczach dostrzegłam mroczny błysk. Może to żal. Z Sophią nigdy nic nie wiadomo. Jest jeszcze bardziej nieczuła niż ja.

Ustaliłam wszystko z Sophią, podziękowałam Jo-Jo za gościnność i pomoc i zapewniłam, że Finn prześle jej taką samą sumę co zwykle. Wstałam, założyłam zakrwawioną spódniczkę dziwki i obudziłam Finna, który drzemał w fotelu fryzjerskim.

- Wstawaj - szturchnęłam go - Mamy jeszcze dzisiaj coś załatwienia.

- A co takiego? - zainteresowała się Jo-Jo.

Przeczesałam palcami włosy i namacałam zakrzepłą krew.

- Zabraliśmy parę drobiazgów tym draniom w mieszkaniu Finna. Chcę je przejrzeć i sprawdzić, jakie szczegóły dotarły do mediów. Nieudany zamach na Gordona Gilesa na pewno wywołał sensację. Musimy wiedzieć, jakie są komentarze.

Jo-Jo skinęła głową tak energicznie, że aż podskoczyły jej jasne loczki.

- Uważajcie na siebie, Fletcher Lane był jednym z moich najstarszych i najbliższych przyjaciół. Jeśli będzie wam czegoś trzeba, dajcie znać.

Uśmiechnęłam się ponuro.

- Dzięki, ale chyba nie będziemy już potrzebowali waszej pomocy. Zwłaszcza Sophii. Bo kiedy dopadnę osobę, która za tym stoi, nie zostanie z jej ciała dość, by znaleźć to z lupą, a co dopiero usuwać.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia Sophia Deveraux burknęła rozczarowana.

ROZDZIAŁ 10

Zanim wyszliśmy, Jo-Jo obiecała że zajmie się pogrzebem Fletchera. Z ulgą przekazałam jej to zadanie. Musiałam skupić się na poszukiwaniu zabójcy, nie miałam siły na intensywne uczucia, które obudziła we mnie śmierć staruszka. Jo-Jo dała mi też słoiczki z kremami wzmocnionymi jej magią, na wypadek, gdybyśmy rano byli jeszcze obolali.

Półgodziny później, gdy Finn ukrył mercedesa na anonimowym parkingu oddalonym o kilka przecznic, weszliśmy do mojego mieszkania. Najpierw sprawdziłam okolicę i wsłuchałam się w kamienie przy drzwiach, ale wibracje były ciche i monotonne, jak zawsze. Ten, kto zatrudnił Brutusa, nie wiedział, gdzie mieszkam - w innym wypadku kolejni zabójcy już by tu czekali.

Mimo pomocy Jo-Jo cieszyłam się na chwilę odpoczynku. Tej nocy miałam już dość krwi i zwłok. Nawet ja mam granice wytrzymałości.

Co nie przeszkodziło mi w tym, by jak zawsze starannie nakreślić runy na kamieniu przy drzwiach. Małe, zawile symbole - znaki ochronne. Zamigotały srebrzyście i wsiąkły w kamień. Gdyby tej nocy ktoś chciał dostać się do mieszkania, za sprawą mojej magii runy poruszą kamieniami i zawyją tak przeraźliwie, że ocknę się z najgłębszego snu.

Usiedliśmy z Finnem przy kuchennym stole i przeglądaliśmy portfele i inne drobiazgi, które zabraliśmy nieboszczykom w jego apartamencie. Otworzyłam portfel Kurdupła i spojrzałam na prawo jazdy.

- Falszywka - orzekł Finn.

Przyglądałam się zalaminowanemu kartonikowi.

- Skąd wiesz?

- Herb miasta jest po niewłaściwej stronie. Powinien być po prawej, obok zdjęcia, a nie po lewej nad nim.

Finn nie tylko pomnażał cudze majątki, był także zdolnym fałszerzem. Wszystkie moje fałszywe dowody tożsamości to jego dzieło. Był też mistrzem zmyłki: zostawiał w dokumentach tyle fałszywych tropów, że zmyliłby najlepszego specjalistę.

Pod portfelami dostrzegłam złoty błysk. Zacisnęłam palce i po chwili uniosłam złoty łańcuszek, który Finn zdarł z szyj Kurdupła. Był przy nim mały wisiorek - trójkątny ząb o ostrych, strzępionych krawędziach z czarnego gagatu.

- Co ci to przypomina? - zapytałam.

- Tandetną męską biżuterię.

- Proszę cię. Mówię poważnie. Przyjrzyj się.

Spojrzał.

- Ząb. Nie, chwileczkę. Może to runa. Ząb... symbol siły i powodzenia. Myślisz, że w tę sprawę jest zaplątany ktoś z mocą żywiołów?

Finn zerknął na szkice na kominku. Płatek śniegu, dzikie wino i prymulka. Symbole moich zmarłych krewnych. Opuścił wzrok na moją dłoń z

wypalonymi runami pająka. Finn wiedział, że władam magią Kamienia i Lodu, choć nigdy nie opowiadałam mu o bliskich. Byłam jednak pewna, że zapamiętał rysowane przeze mnie runy i sprawdził, do kogo należały. Informacja to dla niego afrodyzjak. Poznawanie cudzych tajemnic - ekscytująca zabawa. Fletcher był taki sam. Ale ani ojciec, ani syn nigdy nie pytali mnie o te runy czy o moją przeszłość.

Nie pytaj i nie mów. Jedyna zasada, jaką się kierowaliśmy, cała trójka.

- Tak, w grę wchodzi magia żywiołów.

- Skąd wiesz? - zdziwił się,

- Widziałam szkody w Prosiaku. Poprzewracane stoliki, połamane krzesła, powybijane okna, jakby przez sklep przeszło tornado. Widzę w tym magię Powietrza, - Kłamstwo przyszło mi bez trudu. - Ale jeszcze nigdy nie widziałam tego symbolu, a znam runy wszystkich liczących się magicznych rodów w Ashland.

W każdym razie tych najbogatszych. Tylko ich było stać na moje usługi. Z samych ich rodowych waśni mogłabym dostatnio żyć. Przedstawiciele rodów związanych z przeciwieństwami żywiołkami, na przykład Kamienia i Powietrza czy Ognia i Lodu, bardzo rzadko nawiązywali ze sobą kontakty, chyba że zmuszały ich do tego interesy lub niefortunny romans a la Romeo i Julia

Walczyli o pozycję, pieniądze i władzę z równym zapałem jak wampiry, olbrzymi, krasnoludy i ludzie, czyli elity towarzyskie Ashland. Jeśli ludzie żywiołów nie mogli osiągnąć celu za pomocą pieniędzy, uciekali się do magii, co często kończyło się tragicznie. Nie tylko oni zresztą. W tym mieście pojedynki o świat nie należą do rzadkości. A kiedy i to nie przynosiło rozstrzygnięcia, no cóż, wtedy zatrudniali kogoś z mojej branży, żeby po nich posprzątał.

Ci o słabszej magii i mniejszych fortunach żyli skromniej, pracowali, posyłali dzieci do szkoły. Mieszkali na spokojnych przedmieściach i jeździli vanami na lekcje baletu. Niektórzy w ogóle nie posługiwali się magią.

Całkowite przeciwieństwo stanowili najubożsi obdarzeni magią żywiołów - ci sięgali po nią najczęściej. Pokazywali sztuczki na ulicach, żeby zarobić kilka groszy na używki, które ich niszczyły; alkohol, narkotyki, seks, krew. Ciągła walka o przetrwanie i nadużywanie magii wypalało ich - albo doprowadzało do szaleństwa. Podczas pobytu w Zakładzie dla Chorych Psychicznie w Ashland widziałam niejednego psychotyka, który dawniej miał magię żywiołów. Ten dar tak na niektórych działa. Magia wprawia ich w euforię silniejszą niż alkohol czy narkotyki. Póki są w stanie po nią sięgać. Ale żywiołaki są o wiele bardziej niebezpieczne niż zwykli narkomani, bo choć tracą panowanie nad magią, ona nadal buzuje w ich żyłach.

- Cóż, to nie słońce, więc to nie jest runa Mab Monroe - mruknął Finn.

Przypomniał mi się naszyjnik, który dzisiaj widziałam na szyi Mab Rubin, od którego odchodzą faliste złote linie. Tak podobny do mojej runy pająka, a zarazem tak inny.

- Sama nie wiem - szepnęłam. - Może jest w to wplątana. Jakby nie było, Gordon Gilles pracował w jednej z jej firm. Może Mab dowiedziała się, że robi coś, co nie przypadłoby jej do gustu. Jeśli wierzyć plotkom, zabiła poprzedniego właściciela firmy, ojca sióstr James, bo za bardzo protestował, gdy przejmowała firmę.

- I co w związku z tym? - prychnął Finn. - Zatrudnia cię, żebyś sprzątnęła Gilesa, a potem chce się pozbyć ciebie? Bez sensu. Sama to przed chwilą powiedziałaś. Mab nigdy nie miała oporów, by ubrudzić sobie ręce. Wszyscy wiedzą, że trzy miesiące temu zabiła sędziego federalnego tylko dlatego, że rozważał postawienie jej przed sądem. Jeśli nie spodobałoby jej się to, co robił Gordon Giles, załatwiłaby go osobiście, a nie robiła z ciebie kozła ofiarnego.

Finn miał rację. Mab Monroe rządziła tym miastem. Miałaby w nosie, czy ją złapią. Zabiłaby Gordona i stanęła nad jego ciałem z dymiącymi dłońmi na oczach wszystkich gości w operze.

O nie, Mab Monroe nie dotarła na szczyt za pomocą zakulisowych rozgrywek. To sprawka kogoś innego. Kobiety, która nie ma dość odwagi, by ponieść konsekwencje swoich czynów. Tchórzliwej suki.

- Nie możemy całkowicie wykluczyć Mab, ale to raczej nie ona pociąga za sznurki.

- Czyli co nam zostaje? - zapytał Finn.

Wzruszyłam ramionami.

- Nasi klienci najczęściej kierują się żądzą pieniędzy, pożądaniem i chęcią zemsty. Według danych od Fletchera, Gordon Giles nie miał ani żony, ani stałej kochanki. Wolał płacić za seks.

- Dziwki?

Skinęłam głową

- Dziwki. I to całe mnóstwo. Ale żadna zdrowa na umyśle prostytutka nie zaoferowałaby mi pięciu milionów za zabicie Gilesa. Zaledwie kilka z nich byłoby w stanie zebrać dość kasy na zaliczkę, a co dopiero całą sumę. Czyli seks jako motyw odpada. Fletcher mówił, że Giles dopuścił się defraudacji, więc obstawiam Haley James.

- Jego szefową z Halo Industries?

Ponownie przytaknęłam.

- Może dowiedziała się o manku i wolała zabić, niż ogłosić tę informację publicznie. To kiepska reklama, kiedy wychodzi na jaw, że firmę okradał zwykły urzędnik.

- Może. Ale śmierć Gilesa także nie najlepiej wpłynie na wizerunek Halo Industries, a defraudacja to tylko jedno z przestępstw. Musimy dowiedzieć się więcej.

Finn cały czas wpatrywał się w czarny kiel.

- Runa w kształcie zęba... To może być dowolny żywiol: Kamień, Powietrze, Ogień, Lód. A może nawet ktoś z niewielką władzą nad pochodnymi: metalem, wodą czy czymś tam jeszcze. Runa niewiele nam mówi.

Żywiołaki najczęściej wybierają runy symbolizujące ich magię. Moja matka nosiła płatek śniegu, który symbolizował magię Lodu, Mab Monroe słońce jako symbol Ognia. Kieł, z przyczyn oczywistych, nadawał się na runę wampira. Nie sposób określić, jakim żywiołem władał jego właściciel. Runa sama w sobie nie ma znaczenia; nie ma w niej magii, chyba że żywiołak wypełni ją swoją.

Nie zwracałabym sobie głowy naszymi, gdyby nie brutalne tortury, którym poddano Fletchera. Widziałam w życiu chyba wszystko, co można zrobić człowiekowi i umiem rozpoznać ślady magii Powietrza. Kurdupel nie działał na własną rękę. Logiczne, że nosił symbol pracodawczyni. Kimkolwiek była.

- Dowieśmy się tego - obiecałam. - Zobaczmy, co jeszcze tu mamy.

Przejrzeliśmy resztę rzeczy. Kolejne fałszywe identyfikatory, kilka kart kredytowych i kilkaset dolarów gotówką.

Nic przydatnego.

Za moimi plecami monotonicznie szumiał telewizor. O piątej nad ranem zaczął się poranny program informacyjny. Główny temat stanowiło zajście w operze. Usiedliśmy z Finnem na kanapie i oglądaliśmy show.

Dziennikarka stała przed gmachem opery. W oddali migały czerwone światełka.

- Wczoraj wieczorem doszło do tragedii w operze w Ashland. Chora psychicznie kobieta usiłowała zabić jednego z widzów. Z naszych wiadomości wynika, że jej celem był Gordon Giles, zamożny ashlandzki biznesmen i główny księgowy w firmie Halo Industries.

Ekran wypełniło to samo zdjęcie Gilesa, które znałam zteczki od Fletchera. Reporterka przedstawiała mocno podkolorowany przebieg wydarzeń. Według jej wersji Donovan Caine wypadł z łoża i próbował zatrzymać mnie na korytarzu, przy czym niewinny postronny widz stracił życie. Bzdury. Ciekawe, jak wytłumaczą fakt, że plamy krwi były w łożu, a nie w holu.

Chociaż Giles wyszedł cało z zamieszania w operze, gdy wracał do domu, miał wypadek samochodowy. Potężny SUV uderzył w jego limuzynę. Według policji siła zderzenia doprowadziła do rozszczępienia baku i wóz eksplodował. Giles i jego kierowca ponieśli śmierć na miejscu.

Na ekranie buchały płomienie. Giles zabity, Fletcher martwy i torturowany. Nasza pani Powietrza ma pełne ręce roboty.

- W końcu jednak dopadli Gilesa - mruknął Finn. - Chyba bardzo im zależało na jego śmierci.

Na ekranie znowu królowała reporterka.

- Gilesa zaatakowała ta kobieta, według naszych ustaleń była kochanka. Niewykluczone, że to prostytutka. Uważa się także, że to ona stoi za wypadkiem, który pozbawił go życia. Policja na razie nie zdradza jej nazwiska, ale detektyw obecny na miejscu zdarzenia przyjrzał jej się dokładnie i tak powstał portret pamięciowy.

Prychnęłam. Nie ujawniają mojego nazwiska, bo go nie znają. Ale po chwili ekran wypełniła moja twarz. Czy raczej coś, co byłoby moją twarzą, gdyby zmrużyć oczy i przekrzywić głowę. Nie była to całkiem nietrafiona podobizna. Donovan Caine zapamiętał moje oczy i twardy grymas ust. Dobrze, że czarna czapka skrywała jasne włosy.

I tak nie obawiałam się, że ktoś rozpozna mnie na podstawie tego portretu. Był zbyt ogólny. Poza tym mało kto uważnie przygląda się portretom pamięciowym, a jeszcze mniej osób je zapamiętuje. W każdym razie nie w takim mieście jak Ashland, gdzie właściwie każdy stanowi potencjalne zagrożenie.

Skoro o Cainie mowa - teraz to on pojawił się na ekranie. Stał za kapitanem policji, który przemawiał do mikrofonu. Otaczała ich grupa funkcjonariuszy.

- ...i choć za pierwszym razem nie udało jej się go zamordować, kobieta ta jest nadal poszukiwana w związku ze śmiercią pana Gilesa.

Kapitan nazywał się Stephenson, jeśli wierzyć podpisowi na ekranie. Wayne Stephenson. Olbrzym o jasnych oczach i nastroszonych włosach przyprószonych siwizną. Dawniej szczupły, zaczynał tyć. Wydawał się spięty, być może ze względu na obecność kamer. Jego blada cera mieniła się zielonkawo, co chwila ocierał pot z czoła białą chusteczką.

Dziennikarka skinęła ręką, zawołała Caine'a i usiłowała zmusić go, by odpowiedział na jej pytanie. Detektyw skrzywił się i już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale kapitan zasłonił go sobą.

- Świetne posunięcie - zauważył Finn.

- Ktoś nie chce, żeby Donovan Caine powiedział, co wydarzyło się naprawdę.

Finn pokręcił głową.

- W tym mieście uczciwość to samobójstwo.

Wszyscy dziennikarze mówili jednocześnie, jak stado wron, zarzucali Caine'a i pozostałych gradem pytań. Kapitan Stephenson uniósł ręce i poprosił o ciszę.

- Chcemy przekazać wiadomość kobiecie, która zamordowała pana Gilesa. Kimkolwiek jesteś, gdziekolwiek jesteś, jeśli nas oglądam zapamiętaj sobie - zrobimy co w naszej mocy, by cię dopaść.

Finn szturchnął mnie w bok.

- Chyba ktoś ma na ciebie ochotę, Gin.

Kapitan Stephenson jeszcze jednak nie skończył:

- Pan Giles był powszechnie szanowanym członkiem lokalnej społeczności. Jego pracodawca, firma Halo Industries, upoważniła mnie, bym ogłosił, że wyznaczono nagrodę za informacje, które doprowadzą do schwytania jego zabójcy.

Kapitan skinął głową w prawo i z cienia wyszła Alexis James. W nocy przebrała się, zmieniła małą czarną na surowy czarny kostium. Na jej szyi i

nadgarstku nadal lśniły perły. Dlaczego to ona jest na konferencji prasowej, a nie jej siostra, Haley? zastanawiałam się, ale zaraz sobie przypomniałam. Alexis zajmowała się marketingiem i PR. To ona kontaktowała się ze światem zewnętrznym.

Na jej widok wśród dziennikarzy wybuchły okrzyki. - Alexis! Alexis! Ile oferujecie? - Czyjś głos przebił się przez zgiełk.

Alexis przysunęła usta do mikrofonu.

- Milion dolarów.

Siedzieliśmy z Finnem bez ruchu, zaszokowani.

Ale Alexis James jeszcze nie skończyła. Opowiadała, jakim wspaniałym człowiekiem był Gordon Giles, mówiła, że ma nadzieję, że dzięki tej nagrodzie policja mnie ujmie. Mnie, tę sukę, która go zabiła.

Konferencja prasowa dobiegła wreszcie końca, ale dziennikarze nie chcieli jeszcze dać im spokoju. Usiłowali wyciągnąć coś więcej z Donovana Caine'a i Stephensona, ale kapitan odprawił ich gestem i wszyscy razem zeszli z podium.

- Milion dolców? O cholera - sapnął Finn.

Co doskonale odzwierciedlało także moje uczucia.

ROZDZIAŁ 11

Nic więcej nie zostało do zrobienia ani do powiedzenia. Nie dziś. Finn począłapał do gościnnej sypialni, a ja weszłam pod prysznic, żeby wypłukać zaschniętą krew z włosów. Podarte ciuchy wampirzej dziwki trafiły do śmieci. Później zaniósę je do piwnicy i wrzucę do spalania.

Dzięki uzdrawiającej mocy Jo-Jo ustąpił ból w lewym barku i ramieniu, tam, gdzie dosięgły mnie kula i ostrze Brutusa. Ale w piersi nadal czułam zimną wściekłość na myśl, że straciłam Fletchera. I to w taki sposób. I profanacja restauracji. I to, że pani Powietrza musiała odczuwać sadystyczną rozkosz, torturując staruszkę. Właściwie po co? Żeby oskarżono mnie o morderstwo, którego nie popełniłam? Bez sensu to wszystko.

Nie mieściło mi się w głowie, że Fletcher nie żyje. Że zginął. Że nie zdążyłam na czas. Że nie udało mi się go ocalić, tak jak on przed laty ocalił mnie. Powróciłam w myślach do naszej ostatniej rozmowy, „Po tym zleceniu będziesz mogła przejść na emeryturę”. Cały czas miałam w uszach jego szorstki głos. Zachnęłam się wtedy, wykpiłam tę perspektywę, jak robiłam to od pół roku, odkąd po raz pierwszy zasugerował, że powinnam dać sobie spokój.

Może, tylko może, gdybym posłuchała go za pierwszym razem, gdy o tym wspomniał, żyłby nadal. Może gdybym wtedy przestała zabijać, zlecenie na Gordona Gilesa w ogóle nie trafiłoby do Fletchera. Może gdybym zrobiła, o co prosił, gdybym spróbowała, zgodnie z jego życzeniem, żyć za dnia, staruszek siedziałby teraz w restauracji z kubkiem kawy i czytał książkę, a nie gapił się w sufit martwym wzrokiem. Moja wina. To wszystko moja wina.

Rozpacz i wyrzuty sumienia dławily mnie, kruszyły mur wokół mojego serca, a zimny kamień obracał się w proch. Coś ścisnęło mnie w gardle. Łzy, gorętsze niż woda z prysznic, paliły mnie pod powiekami. Osunęłam się na kolana o przywarłam do śliskich kafelków.

I po raz pierwszy od siedemnastu lat rozplakałam się.

Minęło dziesięć, może piętnaście minut, nie byłam pewna, ale przez ścianę rozpaczy przedzierały się strumienie coraz zimniejszej wody. Pewnie wiele osób nazwałoby mnie hipokrytką, widząc, jak rozpaczam po Fletcherze i obwiniam nieznaną kobietę o jego śmierć. Miałam na rękach morze krwi. przez moje czyny wielu ludzi opłakiwało najbliższych. Ale są zasady, pewien kodeks honorowy, choćby wielu wydawało się to chore. Żadnych dzieci ani zwierząt, żadnych tortur. I nigdy nie zwałałam na innych winy za moje postęпки. Samo to, że ta kobieta torturowała Fletchera... Już tylko za to powinna zginąć. Powinno się ją uśpić jak wściekłego psa.

Fletcher nie żyje, ale ja tak. I Finn. I zrobię, co w mojej mocy, by tak zostało. Staruszek nauczył mnie, że przeżycie to zawsze sprawa numer jeden, ważniejsza niż uczucia, sumienie, obawy, żale. Skoro to czyni mnie hipokrytką, proszę bardzo. Są gorsze rzeczy. Na przykład śmierć.

Zmusiłam się, by wykonać wieczorny rytuał. Umyłam się, splukałam szampon z włosów, wytarłam się i włożyłam mięciutką flanelową piżamę, którą dostałam od Jo-Jo - byty na niej puszyste niebieskie obłoczki. Odsunęłam od siebie wyrzuty sumienia, łzy i załamanie nerwowe, jutro muszę być w świetnej formie. Jutro i w najbliższej przyszłości. Nie, nie obawiałam się pościgu. Fletcher nauczył mnie, jak zachować ostrożność, jak stać się niewidzialną, a ja doskonaliłam te umiejętności przez minione siedemnaście lat. Tym dziwniejsze, że ktoś zdołał nas namierzyć. Nadal nie pojmowałam, kiedy i w jakich okolicznościach popełniliśmy błąd. A jednak ktoś, gdzieś, kiedyś dowiedział się, co robimy. Kiedy już dorwę tę kobietę od Powietrza, zapytam, w jaki sposób trafiła do Fletchera. I nie będzie to uprzejma rozmowa.

Zanim poszłam spać, obeszłam całe mieszkanie, przykładając dłonie do kamieni przy drzwiach i oknach. Sprawdzałam runy ochronne. Kamień mruczał spokojnie w odpowiedzi.

Na wszelki wypadek ukryłam noże ze srebrenitu pod poduszkami i jeszcze kilka położyłam na nocnym stoliku, w zasięgu ręki. A potem skuliłam się w kłębek pod miękką kołdrą. Czułam, jak powoli opuszcza mnie napięcie. Potem pojawiły się sny...

Moim ciałem wstrząsał szloch, wprawiał mnie w drżenie od stop do głów. Po twarzy spływały mi łzy, kapaly na brudne dłonie. Odetchnęłam z trudem i zlizyłam z ust słone krople.

- To ci nie pomoże - usłyszałam cichy głos.

Rozległy się kroki. Pociągnęłam nosem, podniosłam głowę. Przed mną stał mężczyzna w średnim wieku, wysoki, o ciemnobrązowych włosach. Miał na sobie niebieską koszulę i spodnie, zasłonięte fartuchem z tłustymi plamami. Trzymał czarny worek na śmieci. Nogi w brązowych butach niosły go do śmietnika.

- Łzy to marnowanie czasu, energii i zasobów - powiedział poważnie, jakby zdradzał mi wielką tajemnicę.

Moja mama i siostry nie żyły. Ktoś chciał mnie zabić. Byłam sama. Mieszkałam na ulicy, zmęczona i przemarznięta. I głodna. Tak bardzo głodna. Miałam mnóstwo powodów do płaczu.

Mężczyzna patrzył na mnie. Zielone oczy widziały brudną buzię, zmierzwiłone włosy, podarte ubranie. Z westchnieniem sięgnął do worka.

Zesztywniałam, szukałam w sobie magii. Jeśli wyjmie nóż albo mnie zaatakuje, posłużę się mocą. Sprawię, że cegły ze ścian uderzą go w głowę. Uformuję w dłoni lodowy szpikulec i dźgnę go. Zrobię, co będzie trzeba. Nawet jeśli to oznaczało zabicie za pomocą magii... znowu.

Mężczyzna wyjął pogniecioną białą papierową torebkę. Usiadłam, podciągnęłam kolana pod brodę. Przed oczami miałam logo restauracji - świnkę z talerzem smakołyków.

- Masz. - Mężczyzna wyciągnął torebkę. - W środku jest hamburger. Ktoś zamówił jedzenie na wynos i nie zgłosił się po nie. Jest też fasolka. Chcesz?

Chociaż skręcało mnie z głodu, przecząco pokręciłam głową. Na ulicach Ashland nie ma nic za darmo. Pewnie zażąda, żebym zrobiła mu loda, tu, w zaułku. Nie upadłam tak nisko. Jeszcze nie. Miałam trzynaście lat i niewiele do zaoferowania poza początkami piersi i wąskimi biodrami, ale przekonałam się, że większość facetów nie zwraca na to uwagi, jeśli tylko dostaną, czego chcą.

Facet wzruszył ramionami.

- Jak chcesz, mała.

Uniosł pokrywę śmietnika i wrzucił czarny worek i białą torebkę. Gwiżdżąc pod nosem, zniknął w restauracji. Odliczałam bezgłośnie sekundy Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... Przy czterdziestu pięciu zerwałam się na równe nogi, podbiegłam do śmietnika i wyłowiłam torebkę z cuchnącego, ciemnego wnętrza.

Błyskawicznie wróciłam do swojej wnęki. Była na tyle obszerna, że mogłam się tam wcisnąć, ale na tyle mała, że nie starczyłoby w niej miejsca na jeszcze jedną osobę. Rozerwałam torebkę, wbiłam zęby w kanapkę i ugryzłam. Była tak pyszna, że chciało mi się płakać. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jadłam mięso, i to w takiej ilości. Drżącymi rękami zdjęłam przykrywkę ze styropianowego pojemniczka. przechyliłam go i wlałam sobie letnią fasolkę do ust. Sos był słodkawy, ale z ostrą nutą. Po świństwach, które ostatnio jadłam, to było niebo w gębie...

- Cholera!

Przekleństwo mnie obudziło. Uniosłam powieki i natychmiast zacisnęłam dłoń na rękojęści noża pod poduszką

- Cholera!

Ten sam zdenerwowany głos. Finn. To tylko Finn. Rozluźniłam dłoń, wstałam i poczłapałam do saloniku.

Finn stał w kuchni i przerzucał z ręki do ręki grzanekę żeby się nie poparzyć.

- Która godzina? - zapytałam głosem ochryplym od snu i wspomnień, od których nie mogłam się opędzić.

- Piąta po południu. - Finn wbił zęby w grzanekę i niemal ją wypluł, tak była gorąca.

- Dwanaście godzin? Dlaczego mnie nie obudziłeś?

- Bo sen był ci potrzebny. Mnie też.

Miał rację. Owszem, Jo-Jo jest świetna, ale nawet jej leczenie to wielki stres dla organizmu, który najpierw mocno ucierpiał a potem błyskawicznie wracał do formy. Choć przespałam cały dzień, nadal byłam zmęczona, a ręce i nogi poruszały się wolniej niż zwykle. A może to efekt wczorajszego wysiłku. Ale za magię zawrze trzeba zapłacić i to kolejny powód dla którego wołałam nie korzystać z mocy do zabijania. Po użyciu magii byłam wykończona, a nie mogę sobie pozwolić na słabość. Nigdy.

Toster wypluł kolejną grzanekę. Finn wyjął ją i rzucił mi. Złapałam cienką kromkę prawą ręką. Była gorąca, ale to mi nie przeszkadzało. No tak, ale to nie

Finn miał blizny na dłoniach. To nie on czuł, jak runy wżerają mu się w ciało. Srebrenit jest w stanie wchłonąć pewną ilość magii, ale żywiołowa Ognia, która mnie torturowała, miała jej w sobie aż nadto, by moja runa roztopiła się i wżarła w moje ciało, naznaczając mnie na wieki. Ta kobieta śmiała się cały czas. Od tych wspomnień rozboleła mnie głowa. Potarłam skronie.

Telewizor był włączony, ale dźwięk wyciszony. Na ekranie, jak się wydawało, trwał jakiś idiotyczny teleturniej. Uczestnicy wrzeszczeli bezgłośnie. Przełączyłam na kanał kulinarny.

- Wiadomo coś nowego o moim spartolonym zadaniu?

- Niewiele - odparł Finn. - W południe odbyła się kolejna konferencja prasowa. Kapitan Wayne Stephenson zapowiada, że ujmie cię za wszelką cenę. Wystąpiła także Alexis James, opowiadała znów, jakim wspaniałym człowiekiem był Gordon Giles, i wyraziła nadzieję, że wyznaczona nagroda pomoże w zatrzymaniu jego zabójcy. Wiesz, że odkąd wyznaczono nagrodę zgłosiły się już tysiące informatorów?

- Milion dolców - pokręciłam głową. - Każdy świr w Ashland, nieważne; z magią czy nie, będzie na mnie polował. Albo na mój cień.

- Wiesz, za taką sumę aż mnie kusi, żeby cię wydać.

Spojrzałam na niego.

- Oczywiście nigdy tego nie zrobię - natychmiast się poprawił. - Przyjaźń jest cenniejsza niż pieniądze.

Uniosłam brew. Usta Finna zadrżały. Roześmiał się.

Prychnęłam.

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś to z poważną miną.

- Ja też nie - przyznał.

Cisnęłam w niego poduszką. Uchylił się.

Spowaźniał. Wskazał głową ulicę za oknem.

- Sophia wezwała policję do restauracji. Przyjechali koło trzeciej.

Wstałam, wyjrzałam na zewnątrz przez szparę w zasłonach. Wejście do restauracji odgradzała żółta policyjna taśma. Popołudniowe słońce odbijało się od plastiku, rzucało błyski, które aż paliły w oczy. W restauracji nie było widać żadnego ruchu. Zazwyczaj o piątej po południu w tygodniu przed restauracją czekałaby kolejka chętnych. Ale teraz przechodnie zwalniali tylko na chwilę i ukradkiem zerkali na restaurację. W Ashland policyjna taśma była bardziej wymowna niż nekrolog.

Zazwyczaj pracowałam po południu, podczas największego ruchu, i teraz brakowało mi hałasu i ścisku. I świadomości, że Fletcher siedzi przy kasie, czyta nową powieść i popija kawę z cykorią, jak co dzień od wielu lat.

Nie zrobi tego już nigdy

Zanosilo się na to, że rozpacz i poczucie winy znowu chcą mnie dopaść ale lodowaty gniew w sercu mroził inne uczucia. W nocy wypłakałam wszystkie łzy. Teraz musze być silna. Ze względu na siebie, Fletchera i przede wszystkim Finna. Zawiodłam Fletchera, ale nie zrobię tego jego synowi.

- Odjechali już? - mruknełam.

- Tak. Dranie byli niecałą godzinę. Koroner był przed nimi. Gliniarze rozejrzeli się, zabrali ciało i odjechali.

Staliśmy tak przez chwilę, wpatrzeni w świat za oknem. Świat, w którym nie było już Fletchera. Zimna wściekłość pulsowała w moim sercu równym, powolnym rytmem.

Finn odezwał się pierwszy.

- Słuchaj, Gin, nie chcę cię poganiać, ale musimy opracować jakiś plan. Bo ten bałagan, w który się wplątaliśmy, nie skończy się, póki żyjemy. Wiem, że tata zawsze powtarzał, że mamy wyjechać z miasta. Uciekać, gdyby coś się stało albo jemu, albo któremuś z nas. Ale... ja tak nie mogę, Gin. Nic mogę. Nie wyjadę, póki ten, kto za tym stoi, nic zapłaci za to, co mu zrobił. Zrozumiem, jeśli zechcesz wyjechać...

- Zamknij się - warknęłam. - Nigdzie nie jadę. Nie uciekam. Nie ruszam się z miasta.

Zamrugnął.

- Nie?

Przed oczami stanęła mi skatowana twarz Fletchera. Poranione ciało. Krew na podłodze restauracji. Lodowy węzeł w mojej piersi zacisnął się.

- Nie, nigdzie się stąd nie ruszam.

- Na pewno?

- Na pewno. To, że nas wykiwano, to jedno, gdyby chodziło tylko o brak zapłaty, no trudno, z tym można żyć. Już tak bywało. Ale zabili Fletchera. Chcieli zabić ciebie. Wrobili mnie. A tego nie mogę przełknąć.

Finn przeniósł spojrzenie zielonych oczu z restauracji na mnie.

- Więc jaki masz plan? W jaki sposób dowiemy się, kto za tym stoi?

- Trup za trupem.

Finn wzdrygnął się, słysząc pasję w moim głosie, ale już przeszłam do części praktycznej.

- Co z twoją pracą? Co powiesz w banku? - zapytałam.

- Już załatwione. Powiedziałem, że jestem załamany śmiercią ojca i wziąłem tydzień urlopu - odparł. - W sumie to nie kłamstwo.

- Najpierw musimy się dowiedzieć, co tak naprawdę zrobił Gordon Giles.

- Myślisz, że ojca okłamano? To się nigdy nie zdarzyło, no nie. - Głos Finna ociekał ironią jak bekon tłuszczem. - Niby jak mamy poznać motyw trupa? Bo Gordon Giles na pewno nic nam nie powie.

Przewróciłam oczami.

- To proste. Musimy porozmawiać z Donovanem Caine'em.

Cisza. Finn przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. A potem wsadził sobie palec do ucha, poruszył nim i wyjął, jakby czyścił ucho z woskowiny.

- Nie obraż się, Gin, ale chyba trochę za długo siedziałaś w wariatkowie. W życiu nie słyszałem nic równie szalonego. Porozmawiać z Donovanem Caine'em? Odbiło ci?

Zignorowałam jego uszczypliwe słowa. Czasami awanturował się gorzej niż pięciolatek.

- Wcale nie, Donovan Caine był w operze, w łoży Gilesa. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by załatwić Gilesa i zwalić winę na mnie. Więc chodzi tu o coś więcej niż o zdefraudowaną kasę. Muszę pogadać z Caine'em, żeby przekonać się, co wie. Dlaczego spotykał się z Gilesem.

Finn podrapał się w klatkę piersiową i oparł o ścianę. Obserwowałam grę jego mięśni.

- A niby dlaczego Caine miałby ci cokolwiek powiedzieć?

- Bo wiemy coś, czego on nie wie.

- Czyli...

- Że w tę sprawę jest wplątany ktoś z policji.

- To Ashland, Gin. Tu zawsze ktoś z policji jest w coś zamieszany. To dla nich normalka.

Patrzyłam na niego bez słowa.

Westchnął.

- No dobra. Mów, co ci chodzi po głowie.

- Zanim zginął, Brutus powiedział mi, że przygotowano już trop prowadzący do mnie. Facet u ciebie mówił, że gliny szukają mnie wszędzie. Kilka godzin później media mają mój kiepski portret pamięciowy, podobnie jak historyjkę o moim rzekomym związku z Gilesem. Niby jak mogłoby do tego dojść gdyby w sprawę nie był zaangażowany ktoś z policji?

- Jeśli Donovan Caine ma odrobinę oleju w głowie, sam na to wpadnie - zauważył Finn. - Nadal nie pojmuję, niby dlaczego miałby ci pomóc.

- Może i jest bystry, ale ma słabość. Jest lojalny, wierzy, że gliniarze to porządni ludzie, że naprawdę służą i chronią i tak dalej. Widziałeś, jaki był przejęty śmiercią partnera, jak mu zależało na ujęciu zabójcy. Jak myślisz, jak zareaguje, kiedy mu powiem, że ktoś z wydziału pomaga zabójcy Gilesa? I że ten ktoś spisał go na straty tylko dlatego, że był z Gilesem w łoży?

Finn się zamyślił.

- Pewnie będzie wściekły.

- No właśnie. Więc zaproponuję mu wymianę informacji. Pomoże mi znaleźć osobę, która wystawiła Gilesa, a ja w zamian pomogę mu wykryć kreta w wydziale. Wiesz, jaki z niego harcerzyk. Odwołam się do jego poczucia sprawiedliwości.

Znowu cisza. W końcu Finn prychnął.

- Nie mieści mi się w głowie, że teraz ty powiedziałaś to z kamienną twarzą.

Uśmiechnęłam się.

Finn pokręcił głową.

- Magia żywiołów w twoich żyłach w końcu rzuciła ci się na mózg. To szaleństwo, kompletna szajba. Widziałaś konferencję prasową? Donovan Caine nie jest bynajmniej szefem policji. Kapitan zepchnął go do drugiego szeregu nie

bez powodu - żeby trzymał buzię na kłódkę. Gliniarze chcą cię załatwić, bo płaci im się, żeby przymknęli oko albo nie starali się zbyt dokładnie ustalić, co stało się naprawdę. Albo i jedno, i drugie.

- Tym bardziej musimy skontaktować się z Caine'em. Usiłował chronić Gordona Gilesa. Powie mi, o co chodziło. A poza tym, to jedyny gliniarz w tym mieście, który nie rozwali mnie, gdy tylko mnie zobaczy. Ani nawet nie spróbuje.

- Może tak, może nie. Znasz moje zdanie o uczciwych facetach.

- Tak. Nie istnieją.

Finn pogroził mi palcem.

- No właśnie.

Podeszłam do kanapy, usiadłam i położyłam nogi na niskim stoliku.

- A masz lepszy pomysł? Jeśli tak, powiedz. To mnie poszukują za zabójstwo. W innej sytuacji nie przejmowałabym się tak bardzo, ale tym razem tego nie zrobiłam.

- Skąd wiesz, że Caine w ogóle cię wysłucha? - zapytał Finn. - Gin, zabiłaś jego partnera. Wcześniej pewnie tego nie wiedział, nie miał pojęcia, kim jesteś i jak wyglądasz, ale po przedstawieniu, które urządziłaś wczoraj w operze, na pewno dodał dwa do dwóch. Albo przynajmniej poważnie się nad tym zastanawia.

Przypomniało mi się wahanie Caine'a na balkonie. Mógł mnie wtedy zastrzelić i sprawa byłaby załatwiona. Mógł wpakować mi kulę w serce równie łatwo, jak ja jemu. Ale nie zrobił tego.

- Donovan Caine także chce wiedzieć, kto za tym stoi. Poczucie obowiązku i honor nie pozwolą mu przejść nad tym do porządku dziennego. Zwłaszcza kiedy do niego dotrze, że mógł skończyć jak Gordon Giles, gdybym nie pokrzyżowała szyków zabójcy.

- No dobrze - mruknął Finn. - Powiedzmy, że szlachetny detektyw naprawdę zechce dopilnować, żeby zwyciężyła prawda i sprawiedliwość, i tak dalej. Niby jak mamy nawiązać z nim kontakt? Nie ryzykując, że nas od razu rozwalą? Przecież na pewno go obserwują.

- To proste - odparłam. - Zrobimy coś, czego nikt się po nas nie spodziewa.

Finn przecząco pokręcił głową.

- Nie mów tego, błagam, tylko nie to.

- Odwiedzmy Caine'a. W samym środku dnia - dokończyłam.

Finn tylko jęknął.

Oczywiście usiłował przekonać mnie do zmiany zdania. Wyliczał wszystkie powody, dla których spotkanie z Donovanem Caine'em to w najlepszym wypadku wielkie ryzyko w najgorszym samobójstwo. Finn błagał i zaklinał, aż był równie zielony na twarzy, jak przed seansem z magią Jo-Jo.

Ale ja nie zmieniłam zdania.

Mimo mego szkolenia i niezliczonych sytuacji, gdy znikalam z miejsca wykonania zlecenia, gdy coś poszło nie tak, tym razem nie ucieknę. Nie teraz. Płatny zabójca powinien podchodzić do pracy z dystansem, nie wolno nam ulegać emocjom, działać pod ich wpływem. Nie - my tylko inkasujemy pieniądze, wykonujemy zlecenie, znikamy, nie oglądając się za siebie. Tak to jest.

Ale nie mogłam zignorować lodowatego węża gniewu w piersi. Nie szkodzi, że do mnie strzelają i uważają za potwora. Miałam zbyt wiele krwi na rękach, by przeciwko temu protestować. Ale prędzej mnie szlag trafi, niż pozwolę, by wykiwała mnie kobieta zbyt tchórzliwa, by zmierzyć się z konsekwencjami własnych działań. Fletcher zginął po okrutnych torturach, mało brakowało, a zatłukliby Finna na śmierć, wszystko przez nią. Ktoś musiał za to zapłacić. Swoim życiem.

Kiedy Finn zrozumiał, że nie zmienię decyzji, zabraliśmy się do pracy. Finn rozpuścił wici, że zbiera informacje o Donovanie Cainie - i że za nie płaci. Ja tymczasem ponownie otworzyłam teczkę z informacjami o Gordonie Gilesie, którą dostałam do Fletchera.

Nie wiedziałam, kiedy Fletcher dostał to zlecenie i od kogo, ale staruszek zebrał sporo informacji o Gilesie. Dochody. Inwestycje. Nieruchomości. Hobby. Nałogi. Sponsorowane organizacje dobroczynne. Ulubione restauracje, Pięćdziesiąt cztery lata życia streszczone na kilku kartkach. Smutne to.

Ale im uważniej wczytywałam się w akta, tym bardziej byłam przekonana, że Gordon Giles to nie był podstępny spryciarz, który podprowadzał miliony. Po pierwsze, nie potrzebował tych pieniędzy. Miał kilka milionów poukrywanych na różnym kontach i lokatach, sporo zarabiał jako główny księgowy w Halo Industries. A nie wydawał przesadnie dużo. Nie licząc wydatków na drogie garnitury, eleganckie posiłki, co kilka miesięcy wyprawy na ryby na morze i cotygodniowe wizyty u dziwek, Giles sprytnie inwestował resztę pieniędzy. Ba, co roku przekazywał ponad milion dolarów na badania nad rakiem piersi, przez wzgląd na pamięć o zmarłej matce. Ideał.

Oczywiście nie on jeden skrywał prawdziwy charakter za fasadą dobroczynności, weźmy chociaż Mab Monroe. Ale znałam się na ludziach, nawet jeśli poznawałam ich tylko przez dokumenty, i Gordon Giles nie wyglądał mi na typa, który musi albo chce kraść. Nie wydawał się dość chciwy, dość zdesperowany.

Skoncentrowałam się na liście jego wydatków. Można sporo powiedzieć o człowieku na podstawie jego nałogów. Dzięki takiemu podejściu udało mi się sprzątnąć niejeden cel.

Wyglądało na to, że najwięcej wydawał na dziwki. Co najmniej raz w tygodniu przepuszczał kilka tysięcy dolarów w Northern Aggression, nocnym klubie, w którym zaspokoisz wszelkie pragnienia. Seks, narkotyki, krew albo wszystkie trzy. Hm. Może będziemy musieli z Finnem wpaść do Roslyn Phillips i sprawdzić, czy coś wie. To strzał w ciemno, ale może Giles powiedział coś

jednej z jej dziwek, może zostawił jakiś strzęp informacji, który ułatwi nam znalezienie kobiety, która za tym wszystkim stoi.

Informacja to władza i - co ważniejsze - karta przetargowa. Gardziłam szantażem, uważałam go za najpodlejszą formę przemocy, ale w tej sytuacji posłużę się nawet takim środkiem. I za jakiś czas, gdy kobieta żywiołów się upewni, że kontroluje sytuację i wszystko jest cacy, zabiję ją.

Nie bez powodu matka nadała mi runę pająka. Już jako dziecko byłam cierpliwa. Czekałam na moją kolej, na odpowiednią chwilę, ba, nawet na Boże Narodzenie. Chyba zawsze miałam tę wewnętrzną samokontrolę. Owszem, na myśl o śmierci Fletchera czułam lodowaty gniew, ale byłam w stanie zapanować nad nim, póki nie będę mogła go pomścić.

Godzinę później Finn odsunął się z krzesłem od stołu i splótł ręce za głową. Koło laptopa stał kubek z kawą z cykorią.

- Według moich informatorów i wyciągów z karty kredytowych, Donovan Caine codziennie chodzi na lunch do Świata Ciast.

- Tej obskurnej spelunki przy St. Charles Avenue? - upewniłam się.

- Tej samej.

Świat Ciast pod wieloma względami przypominał Wesołego Prosiaka - malutki lokal, w którym podawano jedzenie lepsze niż w najwykwintniejszych pięciogwiazdkowych restauracjach Ashland. Świat Ciast słynął z wypieków, ale mieli też pyszne zupy, kanapki i mrożoną herbatę tak słodką, że cukier zgrzytał między zębami. Knajpka znajdowała się niedaleko kampusu i nieraz tam jadałam. Jak dla mnie, za dużo majonezu w kanapce z kurczakiem.

Włączyłam komputer i sprawdziłam restaurację w Google, Świat Ciast mieścił się niedaleko ogromnego trawnika na terenie kampusu. Przycupnął przy czteropasmowej ulicy, która przecinała całe centrum. Uważnie przyglądałam się internetowej mapie okolicy.

- Załatw mi plan restauracji i dokładniejszą mapę dzielnicy - poprosiłam Finna.

Skinął głową, wystukał numer na jednym z moich telefonów na kartę i powiedział coś cicho. Kilka minut później uniósł kciuk na znak zwycięstwa i rozłączył się.

- Dostaniemy je z biura planistów miejskich - powiedział.

Uniosłam brew.

- Planiści miejscy? To nie twoje tereny. Którą pieprzyłeś.

Uśmiechnął się.

- Bethany. Starsza kobitka, mąż rzucił ją dla młodszej. Uświadomiłem jej, co ma do zaoferowania męskiej części populacji Ashland.

- Czyli?

- Najpiękniejsze nogi, jakie w życiu widziałem. - Finn westchnął. - Bez końca, zwłaszcza kiedy byliśmy w łóżku i...

- Daruj sobie szczegóły, pokaż mi te dokumenty.

Podeszłam do stołu i zajrzałam mu przez ramię. Palce Finna zatańczyły na klawiaturze i po chwili otworzył jedną z anonimowych skrzynek pocztowych. Penicylina? Litości. Najwspanialszym wynalazkiem na świecie jest internet. Bardzo ułatwia wymianę informacji, umożliwiając przy tym zachowanie pełnej anonimowości.

Komputer zadzwieczał. Finn otworzył e-maila. Na ekranie pojawiły się mapa i zdjęcia satelitarne. Bethany chyba naprawdę doceniała jego zaloty, skoro przesłała mu tyle informacji, i to w takim tempie. Przyglądałam się uważnie.

- To się da zrobić, - Finn wypowiadał na głos moje myśli. - Kilka wyjść, mnóstwo ludzi w porze lunchu, sporo bocznych uliczek i budynków, między którymi można się zgubić, i do tego kampus uniwersytecki. Ale to i tak ryzykowne. Jakby nie było, Caine to policjant. Zleceniodawca Brutusa na pewno kazał go śledzić, na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że nie zrobi nic nieprzewidzianego.

- Wiem, ale muszę z nim pogadać. Tylko z jego pomocą zdołamy dotrzeć do sedna tej sprawy i dowiedzieć się, kto nas wrobił i dlaczego.

- Kiedy chcesz to zrobić? - zapytał Finn,

- Jutro - odparłam Jutro nawiążemy kontakt.

ROZDZIAŁ 12

- Pozwól mi iść z tobą - powiedział Finn.

Siedzieliśmy w czarnym cadillacu escalade w ciasnej uliczce przed obskurnym budynkiem, w którym mieścił się Żwiat Ciat. Wczoraj Finn pożyczył sobie samochód z jednego z garaży w centrum. Może i uchodzi za szanowanego bankiera, ale też po mistrzowsku pomaga różnym przedmiotom, na przykład pojazdom, w zamianie właściciela.

W innej sytuacji pojechalibyśmy jednym z jego samochodów, ale ponieważ nasza przeciwniczka wiedziała dokładnie, kim jest i czym jeździ, co więcej, pracował dla niej ktoś z policji, postanowiliśmy po prostu ukraść środek transportu potrzebny nam na najbliższych kilka dni. Na wszelki wypadek, gdyby któryś z gliniarzy umieścił w wozie Finna urządzenie naprowadzające. A poza tym, w Ashland kradzież samochodu to małe piwo. Nawet jeśli ktoś zgłosiłby kradzież auta, minie kilka tygodni, zanim skończy się papierkowa robota. A do tego czasu będzie już po wszystkim.

Kiedy zdobyliśmy już pojazd, do późna w nocy opracowywaliśmy plan - w jaki sposób mam się zbliżyć do Donovana Caine'a. Co mu obiecać, zdradzić, powiedzieć, czym zagrozić. W końcu o trzeciej nad ranem poszliśmy spać, żeby zebrać siły przed randką w samo południe.

- Będzie ci potrzebne wsparcie - zauważył Finn. - Na wypadek, gdyby Caine zdecydował się aresztować cię bez względu na szkody, jakie mogą z tego wyniknąć.

- Tacy jak on starają się unikać szkód. To nie znaczy, że wszystko na pewno pójdzie jak z płatka, ale na wszelki wypadek powinieneś zostać tutaj. Nie chcę martwić się o ciebie, kiedy będę z nim rozmawiała. - Uśmiechnęłam się. - Poza tym, ktoś musi czekać za kierownicą, żebyśmy mogli szybko uciec.

Finn zachnął się.

- To nie jest cena z *Woźąc panią Daisy*. A ty z pewnością nie przypominasz Jessiki Tandy.

Każdy płatny zabójca musi opanować sztukę wtapiania się w tło. Czasami w tym celu nosiłam krzykliwe stroje. Peruka, ostry makijaż, okulary, biżuteria. Czasami wykorzystywałam moje ciało. Naśladowałam inny akcent, sposób chodzenia, tembr głosu.

Ale najlepiej mi wychodziło stawanie się niewidzialną. Potrafiłam być tak normalna, tak przeciętna, że nikłam, jak wzór na ścianie. Powolne ruchy, cichy głos, obojętny wyraz twarzy. Wszyscy mnie widzą, ale nikt tak naprawdę nie zauważa mojej obecności. Opanowałam tę sztukę do perfekcji w dzieciństwie, gdy mieszkałam na ulicy. Z całej rzeszy brudnych, biednych i zgnębionych nieszczęśników tylko wampirze dziwki chcą zwracać na siebie uwagę.

I właśnie tę strategię zastosowałam tego dnia. Byłam sobą. Dzinsy, kowbojki, koszulka z krótkim rękawem, cieplejsza bluza. Nonszalancja i

wygoda. Zrobiłam tylko jeden wyjątek, myśląc o dzisiejszym spotkaniu: założyłam białą koszulkę z dekoltem w serek i wielkimi wiśniami z przodu. Dekolt był na tyle głęboki że odsłaniał skrawek koronkowego stanika. Każdy facet lubi popatrzeć na cycki, nieważne, do kogo należą. Jeśli tym sposobem zyskam chwilę przewagi, a pan detektyw chwilę przyjemności, tym lepiej. Nie gardziłam żadnym skutecznym środkiem.

Ale nigdzie nie ruszałam się bez moich srebrenitowych noży. Po jednym w rękawach, dwa w cholewkach butów i jeden u nasady pleców. Moja obowiązkowa piątka. Poza tym Jo-Jo miała rację. Jeśli będzie naprawdę źle, posłużę się Lodu i Kamienia.

Ale do tego nie dojdzie, bo jestem zbyt mądra, by do tego dopuścić. Jestem silna. A Donovan Caine to nie obleśny gwałcień, jakim był jego partner.

Przez przyciemniane szyby wpatrywałam się w Świat Ciast. Wystawę niemal w całość, wypełniała imitacja wielkiego czekoladowego ciasta udekorowanego bitą śmietaną ze styropianu i wyblakłymi wisienkami. Wewnątrz ludzie tłoczyli się przy stoliczkach. Dochodziła pierwsza, strumień ludzi wpływał do knajpki i z niej wypływał, jakby wszystkich karmiono na taśmie produkcyjnej.

Tkwiliśmy tu od godziny. Finn pożądliwie zerkał na studentki, które kręciły się koło knajpy, a ja wpatrywałam Caine'a.

- Jak myślisz, gdzie jest Donovan? Dochodzi pierwsza. Już powinien tu być.

Finn wzruszył ramionami.

- Mój informator mówił, że wpada tu koło wpół do pierwszej. Sprawdziłam na wyciągach z jego kart kredytowych: wychodzi mniej więcej kwadrans po pierwszej, wpół do drugiej. Może zatrzymała go praca.

Wróciłam wzrokiem do okna i wtedy zobaczyłam Caine'a - właśnie wychodził zza rogu. Szedł ulicą z tą swobodną pewnością siebie, która tak bardzo mi się spodobała. Miał na sobie pognieciony niebieski garnitur i białą koszulkę, przez kontrast z którą jego twarz przybierała odcień polerowanego brązu. Srebrzysty krawat zwisał swobodnie pod szyją. Ciemne włosy miał zmierzwione, jakby nerwowo przeczesywał je palcami, na jego twarzy malował się grymas frustracji. Nawet z oddali widziałam twarde spojrzenie piwnych oczu. Przywodził na myśl latynoskiego Brudnego Harry'ego, który bez wahania rozwali każdego, kto stanie mu na drodze. Najwyraźniej to nie był dla niego dobry dzień. Ciekawe, czy dlatego, że kazali mu trzymać się z daleka od sprawy zabójstwa Gordona Gilesa?

Caine energicznie otworzył drzwi do Świata Ciast i wszedł do środka. Nie ruszałam się z miejsca, wpatrywałam się w sznur ludzi i samochodów. Mniej więcej trzydzieści sekund po Cainie na końcu uliczki pojawiło się dwóch gości w ciemnych garniturach.

Niemal bezbłędnie opanowali sztukę upodabniania się do otaczających ich biznesmenów, ale zdradzało ich kilka szczegółów. Po pierwsze, w przeciwieństwie do pozostałych nie spieszyli się, by jak najszybciej wrócić do biura. Po drugie, na ich twarzach malował się inny wyraz - były bardziej drapieżne, chłodniejsze. A po trzecie i najważniejsze, obaj trzymali ramiona nieco odchylone od ciała, co sugerowało, że pod ich pachami kryją się kabury z pistoletami. Może nawet więcej niż jedna u każdego.

Jeden z nich kupił gazetę w kiosku na rogu. Drugi zapalił papierosa.

- Policjant ma ogon - oznajmił Finn.

- Spodziewałam się tego - mruknęłam, - Pytanie tylko, czy sam o tym wie? Czy to chłopcy od zleceniodawcy? Czy gliniarze?

- Nie gliniarze, to na pewno - zapewnił Finn. - Nawet najbardziej skorumpowani gliniarze mają dość rozumu, by nie paradować w garniturach po pięć tysięcy dolarów. Ci kolesie mają na sobie najnowsze modele z jesiennej kolekcji Fiony Fine.

Pokręciłam głową.

- Ty i te twoje ciuchy. Jesteś gorszy niż kobieta. Jeszcze chwila, a opowiesz mi o trendach w obuwnictwie.

- E tam - zachnął się. - Najważniejszy jest garnitur. Nikt nit zwraca uwagi na męskie buty.

Przyglądałam się tym dwóm mężczyznom. Jeden zadowalał się czytaniem gazety, podczas gdy Caine jadł lunch. Palacz wykazywał więcej inicjatywy. Podszedł do trzech młodych kobiet stojących przed budynkiem. Sączyły mrożoną kawę i czujnym wzrokiem mierzyły przechodzących biznesmenów. Studentki, jeśli oceniać po obcisłych koszulkach, kolczykach w pępkach i plecakach. Polujące na dzianego męża.

Palacz wdał się z nimi w rozmowę, wyjął z kieszeni jakąś paczkę i podał jednej z nich. Hm. To może okazać się ważne.

- Nie spuszczaaj oka z tych dziewczyn. Upewnij się, że nie rozejdą się, kiedy będę w środku.

- Z największą chęcią - odparł Finn.

Odczekałam jeszcze kilka minut, ale mężczyźni śledzący Caine'a nie zamierzali chyba wejść do restauracji, ograniczali się do lustrowania wzrokiem każdego, kto przekraczał jej próg. Nie podobało mi się, że ktoś go obserwuje, ale to była najlepsza okazja, by się do niego zbliżyć. Żeby się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo interesował go Gordon Giles i co tak naprawdę knuł księgowy. Musiałam zaryzykować. Jeśli w tym celu będę zmuszona załatwić dwóch aniołów stróżów policjanta, no cóż, bardziej mnie obejdzie krew na koszulce niż ich nagła śmierć.

- Dobrze - powiedziałam - Wchodzę. Jeśli nie wyjdę za dwadzieścia minut...

- Mam uciekać, nie oglądając się na ciebie - Finn dokończył za mnie. - Znam zasady, Gin. Robiłem to dla taty na długo zanim ty się zjawiłaś.

Wspomnienie Fletchera zasnuło samochód cieniem. Finn sposepniał i odwrócił głowę. Nawet przez ciemne szkła okularów widziałam jego łzy. Mnie przepełniała podobna rozpacz, choć wszystkie łzy wypłakałam poprzedniej nocy pod prysznicem.

Ale myśl o zamordowanym mentorze pchnęła mnie do działania. Był tylko jeden sposób, by zadbać o bezpieczeństwo Finna i własne i dopilnować, by śmierć Fletchera nie poszła na marne - musiałam się dowiedzieć, kto i dlaczego nas w to wpakował.

Uścisnęłam dłoń Finna. Nie spojrzął na mnie, ale odwzajemnił uścisk.

- Trzymaj za mnie kciuki - szepnęłam i wysiadłam z samochodu.

Zbliżałam się do restauracji po skosie, jakbym nadchodziła od strony rozległego trawnika na terenie kampusu. Prawą rękę trzymałam przy biodrze; wysunęłam nóż z rękawa, tak że jego ostrze minimalnie wystawało z rękawa kurtki. Pieściłam kciukiem rękojeść.

Kątem oka widziałam, że facet z gazetą spojrzął na mnie, ale nie rozpoznał we mnie kobiety z portretu pamięciowego bo nawet się nie ruszył, nie skinął na kumpla ani nie sięgnął po komórkę, żeby wezwać posiłki. Na wszelki wypadek rozkołysałam biodra, żeby co innego niż moja twarz przykuło jego wzrok.

Odczekałam chwilę, aż grupa biznesmenów odeszła od drzwi i weszłam do Świata Cist. Po południowym słońcu restauracja wydawała się chłodna i ciemna. Zwolniłam, póki mój wzrok nie przywykł do półmroku. Musnęłam dłonią ścianę przy drzwiach, wsłuchana w wibracje. Głośne, bez troskie i bezczelne, zupełnie jak krzyki pracowników dobiegające z kuchni. Jedynym niepokojem była kwestia liczby kalorii w cieście czekoladowym i jak szybko te kalorie pójdą ci w biodra.

Wzdłuż ściany ciągnął się kontuar, podobnie jak w restauracji Fletchera. Za szklanym przepierzeniem kucharze szykowali kanapki z kurczakiem na chlebie na zakwasie, nalewali zupę pomidorową, kroili smakowity placek z jagodami i złocisty biszkopt. Powietrze przepełniał zapach karmelu, cynamonu i gałki muszkatołowej. Niemal czułam tłuszcz osiadający na ścianach. Czerwone kanapki, metalowe stoliki i krzeselka - wszystko było czyste, ale stare i sfatygowane.

Donovan Caine siedział przy stoliku w rogu, tak że widział ulicę. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli. Silne przedramiona porastały ciemne włosy. Zajadał kanapkę z szynką. Na jego stoliku dostrzegłam też frytki, surówkę z kapusty i dwa kawałki ciasta z jagodami. Facet ma niezły apetyt.

Podeszłam do lady, wzięłam kawałek biszkopta i lemoniadę, choć wiedziałam, że nie tknę ani jednego, ani drugiego. Co chwila zerkałam na Caine'a, ale detektyw skupiał całą uwagę na jedzeniu. Ani razu nie podniósł głowy. Ponieważ śledzący go mężczyźni nie mieli zamiaru wejść do knajpki, postanowiłam zrealizować plan.

Zapłaciłam, podeszłam do jego stolika i postawiłam tacę.

- To miejsce jest zajęte - warknął, nie podnosząc głowy.

- Nie obawiaj się, skarbie, nie zajmę ci dużo czasu. - Usiadłam naprzeciwko niego.

Rozpoznał mój miękki głos, sądząc po tym, jak nagle zeszywniał. Po tym, jak zbierał w sobie siłę, szykował się do ataku.

Donovan Caine odłożył na wpół zjedzoną kanapkę na plastikowy talerz wolnymi, ostrożnymi ruchami. Położył ręce płasko na stole, a potem podniósł na mnie twardy wzrok.

Uśmiechnęłam się.

- Mogę się dosiąść?

Donovan Caine nie wpadł w panikę. Nie krzyczał, nie wyciągnął broni, nie zrobił nic głupiego, co skończyłoby się śmiercią. Nie, on tylko zmrużył oczy i przyglądał mi się chłodnym wzrokiem.

- Jesteś albo najgłupszą, albo najbardziej bezczelną zabójczynią jaką znam. - Jego głos, głęboki niski baryton, wydobywał się z głębi piersi.

Uśmiechnęłam się szerzej.

- W mojej branży muszę być i tym, i tym.

Mój żart spotkał się z kolejnym ponurym spojrzeniem. Caine najwyraźniej powinien popracować nad poczuciem humoru.

- Dlaczego tu jesteś? Chcesz skończyć to, co wczoraj zaczęłaś? - zapytał.

- Nie - odparłam, - Nie chcę cię zabijać, Caine. Chcę tylko pogadać.

Kolejne twarde spojrzenie. A potem jego wzrok pomknął do broni u pasa. Jedno szybkie zerknięcie, ale i tak je dostrzegłam.

- Na twoim miejscu nie robiłabym żadnych głupstw typu sięganie po broń.

Zeszywniał; napięta sprężyna gotowa do wystrzelenia.

- Dlaczego?

Skinęłam głową w stronę okna.

- Widzisz ten czarny wóz? Tego SUV-a?

Skinął głową.

- Siedzi w nim mój człowiek. Jest uzbrojony. Jeśli w ciągu kwadransa stąd nie wyjdę, zaczniesz strzelać do dzieciaków na kampusie. Jeśli ktoś będzie mnie śledził, zaczniesz strzelać. Jeśli się znudzi albo zaswędzi go nos, zaczniesz strzelać. Twój wybór, Caine.

Nie wspomniałam, że mam nóż w dłoni i że zdołam przeciąć mu pod stołem tętnicę udową, zanim pociągnie za spust. Miałam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Potrzebowałam go, a on potrzebował mnie, choć na razie był zbyt uparty, by to dostrzec.

Nie reagował. Przyglądał mi się, jakby chciał poznać tajemnice, patrząc mi w oczy. Po chwili przeniósł wzrok; teraz patrzył na moje włosy, twarz, ciuchy - zapamiętywał wszystko co później mogłoby mu się przydać. Pewnie w wiadomościach o szóstej pokażą nowy, lepszy portret pamięciowy. Ale nie był

by facetem, gdyby nie spojrzął też na moje piersi. Tylko przelotnie, ale i tak to zauważyłam.

- Dobrze - mruknął, - Mów.

Upiłam łyk lemoniady. Zdecydowanie za mało kwaśna.

- Mam dla ciebie propozycję.

Zachnął się,

- Czyżby? A jaką? Mogę sobie wybrać, jak umrę?

- Nie. Ale myślałam, że zainteresuje cię, kto mi zapłacił za sprzątnięcie Gordona Gilesa.

Spojrzał ostrzej.

- Wiesz, kto?

- Jeszcze nie, ale się dowiem.

- Dlaczego?

- Bo zleceniodawca mnie oszukał. Wysłał kogoś, kto miał załatwić mnie, gdy zabiję Gilesa.

Caine roześmiał się - gorzko, szorstko, ten dźwięk aż ranił. Kilku gości spojrzęła w naszą stronę. Poczekał, aż ponownie zajmą się jedzeniem, zanim znowu się odezwał.

- Dziwi cię to? - zapytał. - Taki brak honoru u mordercy?

- Nie. Ale dziwi mnie, że próbowano tego ze mną. Mam nieskazitelną reputację, na której ten incydent kładzie się cieniem. Muszę to naprawić.

- A więc masz ksywkę - stwierdził cicho. - Głupie przezwisko, które znaczy coś tylko dla ciebie.

Rzeczywiście. Pająk miał dla mnie wielkie znaczenie, ale nie w takim sensie, jak myślał. To był pomysł Fletchera. Zgodziłam się. Wybrał je ze względu na runy na moich dłoniach, ale mówił także, że podczas naszego pierwszego spotkania skojarzyłam mu się z pajakiem - płatanina długich rąk i nóg w ciemnym kącie. To wspomnienie nie dawało mi spokoju, podpowiadało coś jeszcze, ale zacisnęłam wolną dłoń i odepchnęłam je od siebie. Teraz nie czas na okazywanie słabości.

- Powiesz mi jak ono brzmi? - zapytał.

- Niektórzy mówią na mnie Pająk.

Co prawda płatni zabójcy nie ogłaszają się w prasie, ale ci, którzy zawodowo zajmowali się mroczną stroną życia, znali moje przezwisko, choć nie wiedzieli o mnie nic więcej. Donovan Caine nie był wyjątkiem, ale lekkie drgnienie oczu i nozdrzy mówiło wyraźnie, o kim pomyślał - o Cliffie Inglesie. I czy to ja go zabiłam.

- Jeśli zastanawiasz się, czy to ja załatwiłam twojego partnera, odpowiedź brzmi: tak.

Ukrywanie przed nim tego, czego i tak się domyślał, nie miało sensu. Lepiej powiedzieć to otwarcie niż pozwolić, by o tym rozmyślał, zamiast skupić się na ważniejszych sprawach. Zwłaszcza że zależało mi na tym, żeby szukał pani Powietrza, bym mogła ją zabić. Jeśli zrobi coś głupiego, zechce pomścić

partnera i na przykład sięgnie po broń - to załatwię go tu i teraz - bez względu na to, jak bardzo mógłby mi pomóc. Bez względu na to, jak bardzo miałam dość krwi i śmierci.

Caine nachylił się w moją stronę. Niesmak i nienawiść płonęły w jego oczach jak rozżarzone węgle.

- Zabiłaś Cliffa, mojego partnera, policjanta, i przychodzisz do mnie z propozycją? Jesteś szalona czy zwyczajnie głupia?

- Ani jedno, ani drugie. I mam nadzieję, że masz dość oleju w głowie, by mnie wysłuchać. - Też pochylałam się nad stołem i spoglądałam mu w oczy. Nie on jeden umiał groźnie spoglądać. - chcieli mnie zabić. Rozumiem. To ryzyko zawodowe, że ktoś zechce go sprzątnąć. Ale ja im nie wystarczyłam. Zabili mojego pośrednika. Niemal zatłukli na śmierć mojego człowieka. Mówiąc krótko, wrobili mnie i chcieli po sobie posprzątać. Posunęli się za daleko, nawet jak na zabójców.

- I co, mam ci współczuć?

- Nie. Nie chcę ani nie potrzebuję twojego współczucia. Proponuję ci pomoc, Caine.

Odchylił się. Przyglądał mi się, usiłował coś wyczytać z mojej twarzy i oczu, ale już dawno nauczyłam się zachowywać kamienny wyraz twarzy. Niczego nie mówić, nie zdradzać niczego, czego nie chcę lub nie mogę ujawnić.

- Nawet gdybym zdołał przymknąć oczy na fakt, że zabiłaś mojego partnera i rozważył twoją propozycję, co z tego będę miał? Poza nożem w plecach?

Puściłam mimo uszu ostatnie zdanie.

- Mam informacje, które przydadzą ci się w poszukiwaniu zabójcy Gordona Gilesa. Niewiele, ale na początek dobre i to. Przyjmij moją propozycję: to co wiesz lub co podejrzewasz, a w zamian moje informacje - i umiejętności. Za darmo. Obie strony wygrywają.

Zerknął na moje piersi, zanim ponownie spojrzął mi w oczy,

- Inne umiejętności?

- Będzie ci potrzebne wsparcie, by wysledzić ludzi, którzy za tym stoją. I by sobie z nimi poradzić.

Prychnięcie.

- Kobieto, jestem policjantem. Sam sobie poradzę.

Teraz to ja się zachnęłam.

- Czyżby i pewnie dlatego to kapitan Wayne Stephenson mówił na konferencji prasowej przed operą? I właśnie dlatego nie pozwolił ci odpowiadać na żadne pytania? I dlatego to mnie obarcza się winą za śmierć Gilesa, choć oboje wiemy, że płynęłam rzeką, gdy doszło do sfingowanego wypadku, w którym zginął? Spójrz prawdzie w oczy, Caine; cała policja a Ashland ma nieczyste sumienie. Oczywiście poza tobą, ma się rozumieć.

Milczał.

Głęboko zaczerpnęłam tchu.

- Udało mi się przesłuchać kilka osób zamieszanych w ten bałagan. Wszyscy powtarzali to samo. Ktoś im pomagał Wysoko postawiony policjant. Pomyśl tylko. Jak szybko to wszystko się działo. Jak błyskawicznie odkryto moje rzekome związki z Gilesem i jak szybko do telewizji trafił mój portret pamięciowy. I do tego ty, Caine. Ten facet w loży miał sprzątnąć nie tylko Gilesa. Ciebie także. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę, i z tego, że ktoś od was maczał w tym palce. Podpisał na ciebie wyrok. Ktoś chyba nie bardzo cię lubi, Caine.

Cisza. Donovan Caine poruszył się niespokojnie. Palcem wskazującym wystukiwał rytm na stole. Na jego policzku drgał mięsień. Miał ochotę sięgnąć po broń, spał się cały. Zerknął jednak na SUV-a przed knajpą i opanował się. Odprężył odrobinę. Miałam rację. Caine nie pogodzi się ze śmiercią niewinnych. Nawet teraz, gdy miał wielką ochotę mnie załatwić.

- Naprawdę myślisz, że ci, którzy za tym stoją, przestaną zabijać, gdy trafię do więzienia albo do ziemi? Nie w tym mieście. Nie pod rządami Mab Monroe. Niewykluczone, że to ona stoi za zabójstwem Gilesa, choć szczerze w to wątpię.

- Dlaczego? - Zainteresował się.

- Bo w takich sytuacjach Mab bierze sprawy we własne ręce. To jedyne, co w niej podziwiam.

Kącik jego ust się uniósł. Mruknął coś niezrozumiale. Nie kwestionował jednak tego, co powiedziałam.

Dla zachowania pozorów odkroiłam kawałek ciasta, choć nie zamierzałam go zjeść. Szkoda, bo wyglądało bardzo smakowicie.

- Rozmawiałeś z Gordonem Gilesem z konkretnego powodu. Komuś nie spodobało się to, że mogłeś coś od niego usłyszeć, i co mógłbyś zrobić z tymi informacjami. Dlatego go zabili. Cała reszta to tylko ściema.

Skrzywił się.

- Jaką mam gwarancję, że mówisz prawdę? Że to nie kolejny plan, żeby mnie załatwić?

Uśmiechnęłam się.

- Bo gdybym chciała, żebyś nie żył, zabiłabym cię w operze... albo teraz.

Znowu zeszytniał. Zmierzyłam go chłodnym wzrokiem.

- Ale nie zrobię tego. Chcę się dowiedzieć, kto za tym stoi, a tylko ty możesz mi w tym pomóc. Spójrzmy prawdzie w oczy, Caine. Jesteśmy sobie potrzebni, czy nam się to podoba, czy nie.

Czas mi się kończył. Wstałam.

- Masz kilka godzin, żeby to przemyśleć. Jeśli przyjmujesz moje warunki, o szóstej wieczorem zapal światło na ganku. Przyniosę to, co mam, i ustalimy szczegóły. Spróbuj mnie wykiwać, a skończysz jak Gordon Giles - spalony na wiór, martwy, w chłodni w kostnicy.

- A jeśli się nie zgodzę? Nie zechcę z tobą pracować? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- To nie. Ale trzymaj się ode mnie z daleka.

- To groźba?

- Nie. - Odwracałam się już do drzwi. - Tak już jest. Komuś, jakiejś kobiecie, bardzo zależało na śmierci Gordona Gilesa i zatarciu wszelkich śladów prowadzących do niej, i na razie wszystko idzie po jej myśli. Z doświadczenia wiem, że jeśli się czegoś bardzo chce, można to osiągnąć. A tym razem to ja bardzo czegoś chcę. Dowiem się, kto za tym stoi, Caine. Pomóż mi, a dostaniesz skorumpowanego gliniarza. Albo sam sobie szperaj we krwi i trupach, które zostawię po sobie. Wybór należy do ciebie.

Caine przyglądał mi się z nieprzeniknioną miną. Skinęłam mu głową, odwróciłam się na pięcie i wyszłam na palące słońce.

ROZDZIAŁ 13

Finn zobaczył, że wychodzę ze Świata Ciast i podjechał SUV-em w moją stronę. Nasłuchiwałam dźwięku dzwonka przy drzwiach. Choć przyznałam, że to ja zabiłam jego współnika, Donovan Caine nie rzucił się za mną, wymachując bronią - w każdym razie - jeszcze nie.

Dwaj śledzący go mężczyźni nawet nie spojrzeli w moją stronę. Pierwszego bez reszty pochłaniała lektura działu sportowego w gazecie, drugi na chwilę przerwał flirty ze studentkami i kupował właśnie bułkę od ulicznego sprzedawcy.

Przyglądałam mu się, starając się zapamiętać jego rysy. Niski, łysiejący, ciemne włosy, masywny kark, silne, krępe ciało. Uśmiechnął się do sprzedawcy i odsłonił przy tym kły. Wampir. Niezbyt dbający o higienę osobistą, sadząc po żółtawym odcieniu jego kłów.

Wróciłam spojrzeniem do studentek. Dalej sączyły mrożoną kawę. W ciągu najbliższych kilku minut nigdzie nie pójdą. Dobrze.

Finn podjechał do krawężnika tuż koło mnie. Otworzyłam drzwiczki od strony pasażera i wskoczyłam do środka. Odjechał, może nie z piskiem opon, ale dość szybko, by zwrócić na siebie uwagę. Włączył się do ruchu przed ślicznotką z FRT - Fryzurą Rodem z Tennessee - w czerwonym lexusie. Zatrąbiła gniewnie. Finn pokazał jej palec przez okno.

- Klasa - prychnęłam. - Doprawdy, wielka klasa.

Zatrzymaliśmy się na światłach. Zerknęłam w lusterko wsteczne, Donovan Caine stał na ulicy. Obejrzał się, spojrzął na dwóch typów w garniturach - udawali, że pochłania ich jedzenie i lektura gazety. Zmarszczył brwi, spojrzął na naszego SUV-a i zapisał coś w notesie, a potem obrócił się na pięcie i poszedł w przeciwną stronę pewnie wracał na posterunek. Śledzący ruszyli za nim po mniej więcej trzydziestu sekundach.

Finn także go widział.

- Dobrze, że wczoraj podprowadziłem to auto, bo o ile mnie wzrok nie myli, szanowny detektyw właśnie zapisał nasze numery rejestracyjne. Pewnie wraca na posterunek, żeby je sprawdzić.

Żachnęłam się.

- Typowe. Robisz komuś przysługę, a on nasyła na ciebie drogówkę.

- Zabijasz ludzi - zauważył Finn. - Nic dziwnego, że zachowuje ostrożność.

- Oby nie był zbyt ostrożny i przyjął moją propozycję. A teraz odjedźmy jeszcze kawałek i wróćmy przed Świat Ciast.

- Powiesz, dlaczego?

- Sam zobaczysz.

Finn wypełnił polecenie. Pięć minut później zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio.

Upewniwszy się, że Donovan Caine i jego ogon odeszli, wysiadłam i podeszłam do trzech studentek, które zaczepiał wampir. Sięgnęłam do kieszeni spodni i wyjęłam cały zapas gotówki, jaki miałam przy sobie - trzysta dolarów i drobne. Powinno aż nadto wystarczyć na to, co planowałam.

Zatrzymałam się przy dziewczynach i pomachałam zwitkiem banknotów.

- Moje panie, czy mogę prosić o chwilę uwagi? Zapłacę.

Popatrzyły najpierw na siebie, potem na mnie.

- Sory - odezwała się jedna z nich, drobna ciemnoskóra ślicznotka. Miała jakieś dwadzieścia parę lat. - Nie jesteśmy dziwkami.

- Nie szukam prostytutki - zapewniłam. - Ten facet, który wcześniej z wami rozmawiał. Łysiejący wampir. Coś wam dał. Wizytówkę?

Druga dziewczyna, ładniutka brunetka, zachnęła się.

- Tak, dał nam wizytówkę. Mówił, że jest łowcą talentów, i pytał, czy mamy jakieś doświadczenie w modeliku. Jakbyśmy nie znały tego numeru.

Wszystkie trzy roześmiały się gorzko. Takie młode, a takie doświadczone. Polubiłam je.

Pomachałam plikiem banknotów.

- Dostaniecie po stówie, jeśli dacie mi tę wizytówkę.

Trzecia z nich, pulchna blondynka, zmarszczyła brwi.

- Po co ci numer tego świra? Miałyśmy wyrzucić jego wizytówkę razem z kubkami po kawie.

Uśmiechnęłam się szeroko.

Obserwuję drania na zlecenie jego żony. Myśli, że ją zdradza. Najmniejszy drobiazg, jaki na niego znajdę, to kolejny gwóźdź do jego trumny, a dla mej - większe alimenty. Pomożecie siostrze w potrzebie?

Spojrzały najpierw na siebie, potem na banknoty w mojej dłoni.

Brunetka wzruszyła ramionami, sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła pogniecioną wizytówkę.

- Za trzy stowy? Jest twoja.

Wymieniłyśmy towar. Pożegnałam je szerokim uśmiechem.

- Interesy z wami to czysta przyjemność.

Zostawiłam dziewczyny nad kawą i wróciłam do Finna.

- Marzy ci się numerek z dziewczyną, czy co? - zapytał. Finn, gdy wsiadłam.

- Chyba śnisz, Finn.

Zerknęłam na pogniecioną wizytówkę w dłoni. Charles Carlyle. Pod drukowanymi literami ktoś nabazgrał numer telefonu komórkowego, ale moją uwagę zwrócił rysunek - trójkątny ząb o postrzępionych krawędziach. Czarny tusz. Runa tajemniczej żywiołowej Powietrza.

- Więc o to chodziło w tej nieplanowanej wycieczce - mruknął Finn.

Potarłam kciukiem runę.

- Mamy nazwisko i twarz. A teraz zmywajmy się stąd, zanim Donovan Caine naśle na nas drogówkę.

Finn porzucił SUV-a w pierwszym napotkanym garażu wielopoziomowym i podprowadził podobny wóz - jeden z nowszych modeli cadillaca. Krążył po ulicach, dwukrotnie objechał centrum i dopiero wtedy skierował się na przedmieścia. Musieliśmy mieć pewność, że nikt nas nie śledzi.

Ponieważ Ashland leży w Appalachach. Przedmieścia są znacznie czystsze i bardziej zielone niż w wielu innych miastach. Miejscy architekci bardzo dbali, by utrzymać ten stan rzeczy, zwłaszcza w Northtown. Pomiedzy domami kusiły cieniem wysokie drzewa, zagajniki walczyły o miejsce z nowymi centrami handlowymi i ogrodzonymi osiedlami.

W Ashland nie brakuje także fabryk, ale zadbane klomby i kasztanowce maskują obskurne betonowe budynki. Wysokie sosny i porośnięte trawą wzgórze skrywają miejską papiernię. Co za ironia.

Patrzyłam przez okno. Wszystko wyglądało tak normalnie, tak niewinnie. Mamuśki w samochodach pełnych dzieciaków. Ludzie biegający z psami u boku. Zakupowicze obciążeni torbami. Żywiolowy Ognia bawiący się płomieniem, w nadziei, że zarobi kilka groszy. Nieco dalej żywiolowy Lodu z podobną nadzieją zabawia dzieciaki na palcu zabaw.

Nie oparłam się pokusie i usiłowałam wyobrazić sobie, jak wyglądałby ten dzień w moim życiu, gdybym wysłuchała rady Fletchera i pół roku temu odeszła z branży. Albo gdybym nie uległa jego namowom i nie przyjęła zlecenia na Gordona Gilesa. Albo gdybyśmy poświęcili temu zleceniu więcej uwagi i szukali dziury w całym, a nie dali się uwieść proponowanej sumie. Chciwość nigdy nie popłaca. Nigdy.

Może byłabym w Prosiaku, obsługiwałabym naszych w czasie obiadowego szczytu, pomagałabym w kuchni albo po raz kolejny usiłowałam poznać sekret sosu Fletchera. A może siedziałabym w uczelnianej bibliotece i uczyła się do egzaminu kończącego kolejny kurs, na który się zapisałam. Ba, może nawet leciałabym na Key West na dawno zasłużone wakacje.

A tymczasem uciekałam przed policją i tajemniczą potężną kobietą, która pragnie mojej śmierci. Ciągle górę.

Jak przez całe życie.

- Kiedy ty flirtowałaś z detektywem, ja wykonałem kilka telefonów - zaczął Finn. - Sophia pozbyła się ciała, które zostawiłaś w restauracji w zamrażarce. Kazała ci powiedzieć, że odwaliłaś kawał dobrej roboty.

Skrzywiłam się. Z niepojętych powodów, im bardziej krwawe zabójstwo, tym większą przyjemność posępnej krasnoludziцы sprawiało usuwanie zwłok. Nie wiedziałam dlaczego i wcale nie chciałam wiedzieć. Fletcher jej ufał i to mi wystarczyło. Jej metody, zasady i ewentualne upodobania to jej sprawa.

- Sophia już posprzątała. Powiedziała, że uznała, że tak będzie lepiej. Woląla poczekać z tym, póki gliniarze nie zabiorą ciała taty - Jego głos załamał się przy ostatnim słowie.

- Przykro mi, Finn.

Chrząknął i wzruszył ramionami.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że prędzej czy później może do tego dojść. Tata zdawał sobie sprawę z ryzyka. Tak samo jak my.

- Nieważne, że Fletcher był zabójcą. Zawsze dotrzymywał słowa. Nie zasłużył na to, by go oszukiwano. Jego mordercy nie ujdzie to na sucho.

Finn skinął głową.

- Sophia twierdzi, że według policji to włamanie, które wymknęło się sprawcy spod kontroli, kolejna zbrodnia tego typu na granicy między Southtown i centrum, w okolicy, która staje się coraz bardziej niebezpieczna.

Żachnęłam się.

- Innymi słowy, już zamknęli sprawę i zajęli się czymś innym.

- Tak już jest, Gin. Tak już jest. - Spojrzał na mnie z ukosa. - Wczoraj, przed wezwaniem glin, Sophia sfotografowała zwłoki taty. Uznała, że może zechcę go zobaczyć.

Znieruchomiałam. Niech to szlag. Niech ją szlag, i to podwójnie.

- Przesłała mi je, gdy byłeś w Świecie Ciast. - Finn odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że był torturowany? I to za pomocą magii Powietrza?

Przez ciemne okulary nie widziałam jego oczu, ale słyszałam smutek w jego głosie, szorstkim, jakby ktoś przejechał mu tarką po strunach głosowych.

- Bo śmierć to śmierć. Nie możesz cofnąć czasu, więc nieważne, jak do niej doszło. - Mój głos był równie szorstki jak jego.

Zacisnął dłonie na kierownicy.

- I tak powinnaś była mi powiedzieć.

- Chciałam oszczędzić ci szczegółów.

Emocje wyostrzyły mój głos bardziej, niżbym tego chciała. Widziałam w życiu wiele zwłok, ale żadne nie były równiej skatowane jak ciało Fletchera. Wspomnienie jego biednej, zmaltretowanej twarzy, myśl że zadawanie mu bólu sprawiało komuś sadystyczną przyjemność, nigdy nie dadzą mi spokoju. Kolejny duch przeszłości, którego nie zdołam się pozbyć, choćbym starała się ze wszystkich sił.

Bo mogłam temu zapobiec. Powinnam była. Powinnam była wcześniej wrócić do restauracji. Powinnam była okazać się szybsza, silniejsza, lepsza, mądrzejsza. Powinnam być taka. za jaką uważał mnie Fletcher, a nie gorzkim rozczarowaniem.

Przed oczami stanęły mi też inne zwłoki - spopielone szczątki mojej matki, Eiry. Obok - mniejsze ciało mojej starszej siostry Annabelli. Plama krwi na kamieniach, wśród których ukryła się Bria. Poczułam zapach palonego ciała. W moich uszach rozbrzmiały krzyki wściekłości i bólu, przy akompaniamencie mojego szlochu...

Samochód podskoczył na wyboju i wybił mnie z makabrycznych wspomnień, ale wściekłość cały czas wypełniała moje serce.

W końcu wzięłam się w garść, nachyliłam do Finna i go za rękę. Nie cofnął dłoni, ale też na mnie nie spojrzął. Puściłam go i opadłam na siedzenie. Milczeliśmy przez kilka minut.

- Sophia powiedziała coś jeszcze? Zgodnie z umową ma oko na restaurację? - zapytałam.

- Tak, powiedziała, że da sobie radę z Prosiakiem. To dla niej nic nowego. Już nieraz to robiła.

- Co zrobisz z knajpą? - zapytałam. - Kiedy już będzie po wszystkim? Teraz jest twoja.

Finn wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. To pewnie zależy do tego, co ustalimy i czy przeżyjemy to wszystko.

Skinęłam głową. Nie przerażała mnie myśl o śmierci. Zbyt wiele razy ją widziałam, zbyt często sama ją zadawałam, by się bać. Bardziej martwiły mnie tortury. To dopiero jest ból. A jeśli masz pecha i nie umrzesz od nich, wspomnienia nie dadzą ci spokoju, doprowadzą do szaleństwa.

Śmierć to pod wieloma względami wyzwolenie. Koniec cierpienia. Ucieczka w inny świat.

Nie miałam pojęcia, co to za inny świat. Może niebo, może piekło, a może po prostu nicość. Ale wątpliwe, by było to coś gorszego niż niektóre z rzeczy, które widziałam i robiłam w tym życiu.

I które zrobię, by dopilnować, byśmy razem z Finnem przeżyli najbliższe dni.

Kiedy Finn nabrał pewności, że nikt nas nie śledzi, pojechał z powrotem do mnie. Zostawił kradziony samochód sześć przecznic od mojego mieszkania. Poszliśmy naokoło i zbliżaliśmy się do niego na piechotę, ramię w ramię, głowa przy głowie, jak para zakochanych nie widząca świata poza sobą.

Musieliśmy przejść koło restauracji. Postrzępiona markiza wyglądała tak samo jak zwykle, ale neon w kształcie świnki był ciemny, smutny, zniszczony. Jak Fletcher. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia wymieszane z rozpaczą. Oddychałam głęboko, usiłowałam zdławić wszelkie uczucia. Ale zamiast zapachu przypraw i tłuszczu moje płuca wypełnił odór tytoniu, co tylko wzmogło mój dyskomfort.

Z ust faceta stojącego przed restauracją zwisał papieros. W jednej ręce trzymał taśmę mierniczą, w drugiej - puszkę z napojem, który co chwila popijał. U jego stóp stała skrzynka z narzędziami. Znudzony szklarz, wstawiający nową szybę w miejsce tej, którą stłukłam.

Minęłam go wzrokiem i dostrzegłam wewnątrz Sopię Deveraux. Ponura krasnoludzica jak zawsze miała na sobie dzinsy i kowbojki, choć dzisiaj wystąpiła w białej koszulce ozdobionej wielką czarną czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Jej szyję otaczała czarna obroża najeżona ćwiekami czarne od szminki, tworzyły mroczną plamę w białej twarzy.

Za bardzo pochłaniało ją sprzątanie, by nas zauważyła. Przesuwała mopem po podłodze. Silne mięśnie jej ramion napinały się przy każdym ruchu. Wpatrywała się w podłogę, jakby chciała ją umyć siłą woli, a nie ramion. Nigdy nie widziałam, by posługiwała się magią, ale zawsze się zastanawiałam, widząc jej ponure spojrzenie, czy, podobnie jak siostra, ma moc Powietrza - i w jaki sposób ją wykorzystuje.

Moce czterech żywiołów objawiają się na różne sposoby. Niektórzy władający mocą Powietrza mogą kontrolować pogodę. Inni zajmują się uzdrawianiem.

Magia Kamienia przydaje się w budownictwie i pracy w kopalniach na północ od miasta.

Magia Lodu wiąże się zwykle z talentem artystycznym, na przykład rzeźbiarskim. Artystami bywają też władający magią Ognia, choć oni najczęściej wybierają garncarstwo.

Władający magią żywiołów potrafią zbyt wiele, by wyliczyć to w skrócie, a do tego dochodzą jeszcze magie pochodne. Jak magia metalu, wody czy elektryczności. Spojrzałam na Sophię i po raz kolejny zadałam sobie pytanie, czy ma w sobie magię.

Finn także zauważył Sophię. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, co ona robi - co sprząta. Nie sposób było tego nie zauważyć. Krew Fletchera już dawno zabarwiła biały mop na rdzawoczerwono.

Rytmiczne plaskanie wilgotnego mopa raniło jak ciosy nożem ciało, aż z mojego serca zostały strzępy.

Finn zwalniał kroku, aż zatrzymał się zupełnie. Zacisnęłam mu rękę na ramieniu i pociągnęłam na drugą stronę jezdni, zanim zrobi coś głupiego, na przykład zacznie stawiać mi opór albo, co gorsza, zechce wejść do restauracji. Może żywiołowa Powietrza zrezygnowała z obserwowania Prosiaka, skoro Fletcher nie żyje, ale i tak wołałam nie ryzykować.

- Już wkrótce - szepnęłam mu do ucha. - Wkrótce

Finn skinął głową. Poszliśmy dalej.

Pojechaliśmy windą na moje piętro. Podeszłam do drzwi. Przycisnęłam dłoń do kamieni, pozwoliłam, by szorstka faktura odcisnęła się w mojej skórze. Żadnego stresu i paniki. Kamień szeptał cicho, jak zawsze. Przez cały dzień nie było tu nikogo.

- Droga wolna - mruknęłam.

Finn wzdrygnął się i wsunął klucz do zamka.

- Zdajesz sobie sprawę, jakie to niesamowite? Że słuchasz kupy kamieni? To nienormalne, ot co.

- Wiesz, co jest nienormalne? Że wydajesz więcej na produkty do pielęgnacji włosów niż ja - odparłam, chcąc nieco rozluźnić atmosferę. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po orzechowych lokach.

- Nie? Nie! - wrzasnął. - Tylko nie włosy!

Mało brakowało, a uśmiechnęłabym się.

Weszliśmy do środka. Finn usadowił się przy stole kuchennym i odpalił laptopa. Sprawdzał swoje liczne konta e-mailowe, ciekaw, co jego informatorzy wyszperali na temat Gordona Gilesa i wszystkich, którzy z jakichkolwiek powodów mogli życzyć mu śmierci.

- Masz. - Wyjęłam z kieszeni wizytówkę, którą dostałam od studentek przed Świątami Ciast. - Sprawdź też tego gościa. Kto to jest, gdzie pracuje, gdzie bywa.

Finn pomachał wizytówką.

- Naprawdę myślisz, że to nam coś da? Przecież przy tych koleśkach znaleźliśmy wyłącznie podrobione dowody tożsamości.

Wzruszyłam ramionami.

- Ten jest tak głupi, że podczas pracy dał dziewczynom tę wizytówkę. Jestem gotowa się założyć, że jest na tyle durny, że to jego prawdziwe nazwisko. Jeśli nie dobijemy targu z Donovanem Caine'em, zawsze możemy odwiedzić Flirciarz. Nie zaszkodzi spróbować.

Finn sprawdzał, czy w jego pajęczą sieć wpadły nowe informacje, a ja poszłam do kuchni. - Dobrze, zajmijmy się naprawdę ważnymi sprawami: co chcech na lunch?

- Kanapkę - mruknął, nie odrywając wzroku od ekranu. - Robisz fantastyczne kanapki.

W życiu nie słyszałam prawdziwszych słów. Otworzyłam lodówkę i zajrzałam do środka. W ciągu pięciu minut zdążyłam przygotować dwie kanapki z indykiem i serem gouda, na miękkim pumperniklu. Ułożyłam na talerzach po kawałku ogórka konserwowego i marchewki, dodałam ciasteczka z czekoladą.

Kolorystyka i sposób podania to kluczowe sprawy w gotowaniu. Tak przynajmniej twierdził mój wykładowca w zeszłym semestrze, gdy uczył nas wyczarowywać różyczki z pomidorów za pomocą noża. Zdałam egzamin śpiewająco.

Postawiłam talerz Firmowi pod nosem i usiadłam po przeciwnej stronie stołu.

- Masz już coś o Flirciarzu? - zapytałam.

Finn wbił zęby w kanapkę.

- Pracuję nad tym. Miałaś rację. Dupek był tak głupi, że podał prawdziwe nazwisko. Carlyle. Charles Carlyle, choć kumple pewnie nazywają go Chuck. Domyślasz się, gdzie pracuje?

Nie musiałam się długo zastanawiać.

- Halo Industries.

Finn pstryknął palcami.

- Bingo. To wiceprezes.

Zmarszczyłam brwi. Chuck nie wyglądał mi na biznesmena. Raczej na ochroniarz przebranego w elegancki garnitur.

- Wiceprezes? Eufemizm określający firmową dziwkę.

Finn nie odrywał oczu od komputera.

- Dziwka Haley James. Wygląda na to, że odpowiada bezpośrednio przed nią. Nowy człowiek. Pracuje dopiero kilka miesięcy.

Nazwisko Haley James pojawiało się wszędzie, gdziekolwiek zajrzeliśmy. To za mało, by uznać, że to ona posługuje się magią Powietrza czy że to ona zleciła zabójstwo Gilesa, ale dość, by się nią zainteresować.

- Poszukam czegoś jeszcze o tym Carlyle'u - obiecał Finn. - Wieczorem będziemy o nim wiedzieć wszystko, co się da.

- Dobrze - mruknęłam. - A co z tym wisiorkiem? Jakież tropy?

- Z runą? Na razie nic. Nie posługuje się tym symbolem nikt znany moim informatorom. Rozpuściłem wici. Może ktoś coś wywęszy.

Uniosłam brwi. Runy są ważne, zwłaszcza dla posługujących się magią. Przekazują informacje, zdradzają przymierza, budzą podziw - i strach. Boże, jak ja ich nienawidziłam. A i tak miałam trzy na kominku.

I dwie na dłoniach, czy to mi się podobało, czy nie.

Ząb symbolizuje powodzenie. Władzę. Jeśli ktoś obiera go sobie za symbol, daje do zrozumienia, że ma moc. Że trzeba się z nim liczyć. Kiedy dowiemy się, czyja to runa, znajdziemy tego, kto stoi za tym wszystkim. Albo przynajmniej jego podwładnych. Nie miałam oporów, byłam gotowa zabijać tak długo, aż dotrę do końca tego łańcucha i stanę oko w oko z panią Powietrza. Równie dobrze mogę zacząć od Charlesa Carlyle'a.

- A co z Caine'em? Myślisz, że przyjmie twoją propozycję? Że zgodzi się na wymianę informacji? - Finn chrupał marchewkę.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, na czym zależy mu bardziej - czy na zabiciu mnie za to, że zabiłam jego partnera, czy na poznaniu prawdy o zabójstwie Gilesa i o tym, kto z jego szanownych kolegów w mundurze wspiera kobietę stojącą za tym wszystkim.

Finn zerknął na zegarek.

- Dochodzi trzecia. Ma jeszcze kilka godzin, żeby podjąć decyzję.

- Wiem. I mam nadzieję, że dokona właściwego wyboru. Ze względu na nas wszystkich.

Finn się zachnął.

- Mówisz tak tylko dlatego, że chcesz się z nim puknąć.

Znieruchomiałam.

- Skąd ten pomysł?

- Proszę cię, Gin, nie ze mną te gierki. Donovan Caine cię kręci. I to od dawna, odkąd zabiłaś jego partnera, Inglesa, a on uparł się, że cię dorwie. Fletcher powiedział mi o informacjach które zebrał na jego temat.

Zacisnęłam dłonie na kanapce, aż moje palce wbiły się w miękki pumpernikiel. Niech szlag trafi Fletchera. Cholera, cholera, cholera. Te dane miały być tylko dla nas dwojga. Ale mogłam się domyślić, że powie o nich Finnowi. Staruszek dzielił się z synem wszystkim - także moim zainteresowaniem panem detektywem.

Może chodziło o jego mroczną urodę, a może o pewność siebie, którą emanował. Może przyczyną mojej fascynacji był wieczny grymas na jego twarzy. A może to, jak bardzo ciążyła mu świadomość, że jest jednym z nielicznych ucziwych ludzi w tym mieście i że jak Atlas podtrzymywał świat na własnych barkach. A może po prostu szło o to, że trwał przy ideałach, które ja porzuciłam już dawno. W każdym razie coś w nim mnie fascynowało.

- Może rzeczywiście on mi się... podoba - przyznałam. - Podoba w specyficzny sposób. Co nie znaczy, że go nie zabiję, jeśli zrobi coś głupiego, na przykład zechce nas oszukać. To oczywiste, nieważne jak bardzo chciałabym się z nim puknąć.

Finn wznosił kubek w toaście.

- Zuch dziewczyna. Suka do samego końca.

Zasalutowałam kanapką.

- Na wieki.

ROZDZIAŁ 14

- Niby jak długo mamy tu sterczeć? - narzekał Finn. - Przecież to się już ciągnie godzinami!

Może Finnegan Lane był geniuszem komputerowym i rekinem finansowym, zapewne także mało kto mu dorówna w sztuce rozbierania kobiet, ale cierpliwość nie należała do jego zalet. Kolejny powód, dla którego Fletcher to mnie wyszkolił na swojego następcę, nie jego. Zabójcy, którzy nie potrafiały cierpliwie czekać, popełniają błędy i giną.

- Będziemy tu sterczeć tak długo, aż uzna, że nie przyjdziemy i się rozluźni - wyjaśniłam - A teraz przestań marudzić. Jesteś gorszy niż małe dziecko.

Spojrzałam przez noktowizor. Donovan Caine mieszkał w skromnym domku na osiedlu Pod Sosnami, utrzymanym w staroświeckim, wiejskim stylu. Dwupiętrowy drewniany budynek znajdował się na końcu ślepego zaułka, na wzgórzu. Wzdłuż jezdni rosły skarłate sosny, zadając kłam dumnej nazwie.

Finn ukradł kolejny samochód i przed osiemnastą przyjechaliśmy tutaj. Na nasze szczęście, sąsiedzi Caine'a, chyba studenci, wybrali ten wieczór na huczną imprezę. Na ulicy stał sznur samochodów; czasami parkowały koło siebie po trzy. Grupy dwudziestolatków kręciły się po posesji sąsiadującej z domem detektywa. Zalany w trupa studentik potknął się, pochylił i zwymiotował na maskę naszego SUV-a. Musiałam powstrzymać Finna, który chciał wyskoczyć z wozu i dać mu nauczkę.

- Przecież to nawet nie twoje auto - zauważyłam. - Zwinąłeś je z parkingu.

- Chodzi o zasadę - oburzył się Finn. - To mercedes, rozumiesz? Na mercedesy się nie rzyga.

Znajdowaliśmy się mniej więcej sto metrów od domku, poza zasięgiem wszelkich urządzeń podsłuchowych, o ile jakieś w nim były. Nie licząc głośnej imprezy, w okolicy działo się niewiele. Kilku mieszkańców wróciło z pracy, inni wychodzili na miasto. Z vana wysypała się grupka dzieciaków w strojach sportowych. Ktoś wracał z zakupami. Jak to zwykle na przedmieściu.

Punktualnie o szóstej zapaliło się światło na ganku Donovana Caine'a. Wyglądało na to, że policjant przyjął moje warunki, a w każdym razie chciał, żebym tak myślała. Nie dostrzegłam niczego podejrzanego poblizu domu. Nie widziałam policjantów ukrytych w zaroślach ani funkcjonariuszy w cywilu, udających mieszkańców, nie było furgonetki pełnej antyterrorystów. Co nie znaczyło, że nie czekał na mnie w domu w towarzystwie najbardziej parszywej dwunastki w Ashland.

Gdy zapaliło się światło na ganku, odjechaliśmy. Zabijaliśmy czas: zjedliśmy burritos z ostrą salsą i nachos w Pepe's, meksykańskiej knajpce. Wróciliśmy kilka minut po ósmej i od trzech godzin obserwowaliśmy dom Caine'a.

- Nie mogę uwierzyć, że zapalił to światło - mruknął Finn. Wiercił się niespokojnie na fotelu kierowcy. - To znaczy, że jest równie szalony i zdesperowany jak my.

- Albo wie, że ta sprawa sięga głębiej, niż widać gołym okiem, i chce dokopać się do dna - poprawiłam.

- Wiesz, że to może być pułapka. Może czeka tam z dubeltówką i wyśle cię do piekła, ledwie przekroczysz próg.

- Wiem, ale wątpię, żeby to zrobił - odparłam. - Zapalając światło, dał mi słowo, a dla takich jak on to coś znaczy.

Finn zachnął się.

- Owszem, na przykład to, że jest zdolnym kłamcą, o czym przekonasz się, leżąc na ziemi z własnymi flakami w garści.

Pochyliłam się i wyteżyłam wzrok, wpatrzona w dom. Dochodziła jedenasta, dzień już dawno ustąpił nocy. Gdyby nie Planeta Impreza w sąsiednim domu, uliczkę Caine'a już dawno spowityby mrok i cisza, teraz jednak okolica aż trzęsa się od ryku głośników. Ktoś najwyraźniej uwielbiał Lynard Skynyrd. „Sweet Home, Alabama” puszczano tyle razy, że miałam ochotę wdrzeć się na imprezę, rozwalić sprzęt i zadźgać didżeja.

Ale głośny południowy rock, ostre światła i piwne oszołomienie nie docierały do domu Caine'a. dookoła drewnianego budyneczku cienie gromadziły się jak kałuże krzepnącej krwi, tłumiły radość płynącą z dołu, z imprezy. W oknie na drugim piętrze zapaliło się światło. Na jego tle pojawiła się wysoka szczupła sylwetka. Donovan Caine.

Majstrowałam przy noktowizorze, ale przez grube zasłony nie byłam w stanie dostrzec szczegółów. Trzymał rękę przy głowie, jakby rozmawiał przez telefon. Chyba się z kimś kłócił.

W bocznym lusterku zapłonęły reflektory samochodu. Nic nie widziałam. Zakłęłam pod nosem i zamknęłam oczy porażona światłem. Ale nowo przybyli nie zatrzymali się na Planecie Impreza - czarny sedan pojechał dalej. Zgasił reflektory i pociemku dojechał do końca ślepej uliczki, zastawiając bramę wjazdową na posesję Caine'a.

- Co widzisz? - szepnął Finn.

Mrugałam przez chwilę, odczekałam, aż ustąpiły mroczki i znowu spojrzałam w noktowizor.

- Pięciu mężczyzn. W garniturach. Wszyscy uzbrojeni. Idą do domu. Czterech do drzwi wejściowych, piąty do tylnych.

- Cholera.

- Rzeczywiście, cholera - mruknęłam i odłożyłam noktowizor, - Znam tylko jeden powód, dla którego wysłała się pięciu facetów do domu policjanta w środku nocy.

Napad na moją rodzinę przebiegał tak samo. Zaskoczenie pod osłoną nocy. Stare wspomnienia nie dawały mi spokoju, w uszach rozbrzmiały echa

dawnych krzyków, ale odepchnęłam je od siebie. Teraz nie czas na analizowanie przeszłości.

- Ktoś uznał, że szanowny pan władza przynosi więcej szkody niż pożytku - Firm dokończył za mnie. - Pewnie zadawał za dużo pytań w związku z zabójstwem Gilesa.

- Sprawiedliwości nie umkniesz. Dobra, zajmiesz się tym przy tylnych drzwiach. Dopilnujesz, żeby nie zakradł się do mnie od tyłu. Ja zajmę się pozostałymi.

Finn westchnął.

- Więc, uratujemy go?

Nie odpowiedziałam. Już wysiadłam i biegłam do domku.

Między samochodem a domkiem znajdował się żywopłot i kilka sosen. Sztywne igły czepiały się ubrania, ostry zapach żywicy drażnił nozdrza, ale zwinnie przemykałam od krzewu do krzewu, od cienia do cienia. Zatrzymałam się jakieś dwadzieścia metrów od schodków na ganek. Nasłuchiwałam. Obserwowałam. Czekałam. Przy drzwiach stał mężczyzna. Jeden. Zapewne jego trzech towarzysze weszli do środka, kiedy zbliżałam się do domu. Ostatni z piątki poszedł na tył domku - pewnie miał dopilnować, żeby Donovan Caine nie uciekł tylnymi drzwiami. Bez obawy. Finn da sobie z nim radę.

Potrząsnęłam rękami i noże ze srebrnitu trafiły prosto w moje dłonie. Zimne, kojące jak zawsze. Wbiegłam pod górę. zbliżyłam się do domu nieco z boku. Drewniana weranda, wsparta na słupach, otaczała cały dom. Wznosiła się mniej więcej metr nad ziemią. Zaczaiłam się za rogiem, potem wyjrzałam ostrożnie nad balustradą.

Facet nadal stał przy drzwiach, tyłem do mnie. Nie spodziewał się ataku, w każdym razie nie z tej strony. Co za nieostrożność.

Podciągnęłam się i wskoczyłam na werandę. Drewniana poręcz przyjemnie chłodziła rozgrzany brzuch, gwoździe wbijały mi się w ciało jak kulki lodu. Zsunęłam się i skuliłam w rogu, w najgłębszym cieniu, za wiekowym fotelem na biegunach. Facet co chwila zaglądał do domu.

Wyprostowałam się, poprawiłam noże w dłoniach. Wtapiając się w ścianę, zbliżałam się do drzwi. Na piętrze zapłonęło jeszcze jedno światło, rozjaśniło podwórze. Z wnętrza domu dobiegały krzyki. Padł strzał. Jeden, drugi, trzeci. Facet zaklął i zakołysał się na stopach, nie wiedząc, czy spieszyć kolegom z odsieczą, czy nie. Trzymał splotę przy piersi, koło serca.

I nie na wiele mu się to zdało.

Mój nóż zagłębił się w jego plecach, miał zebra, sięgnął serca. Poczułam krew na rękach. Gorąca. Mokra. Lepka. Zawsze to samo, a jednak zawsze jakoś inaczej.

Drgnął. Zakryłam mu usta dłonią, żeby nie krzyczał. Ale niepotrzebnie zawracałam sobie głowę.

Z domu dobiegł mnie głuchy odgłos i padła seria przekleństw, która zagłuszyła wszystko, co mógłby powiedzieć umierający.

Wyciągnęłam nóż, odciągnęłam trupa na werandę, minęłam go i wślizgnęłam się do środka. W holu paliła się mała nocna lampka, rzucała przyćmione światło. Korytarz rozgałęział się na trzy strony - prowadził prosto, w prawo i w lewo. Po prawej był salonik z telewizorem o wielkim ekranie, brązową skórzaną kanapą i fotelami. Po lewej mieściła się niewielka jadalnia. Na prostokątnym stoliku stał brudny talerz i szklanka, dostrzegłam też pogniecioną gazetę. Swojsko.

Na wprost drzwi wejściowych znajdowały się schody. Przywarłam do ściany i wchodziłam na piętro, krzywiąc się, gdy drewno nieuchronnie zaskrzypiało pod moim ciężarem. Ostrożnie rozejrzałam się po pięttrze. Kolejny korytarzyk. Po prawej stronie dostrzegłam rzadko używany pokój gościnny i małej gabinek, a w nim komputer i sterty czasopism sportowych. Naprzeciwko była łazienka - na podłodze leżał wilgotny ręcznik. Nieco dalej znajdował się jeszcze jeden pokój - zapewne główna sypialnia. Właśnie tam paliły się światła i właśnie tam Donovan Caine rozmawiał przez telefon.

Rozległa się seria głuchych uderzeń, a tuż po nich - gardłowy jęk. A więc detektyw zalicza potężne lanie.

Weszłam na piętro, krzywiąc się, gdy schody zaskrzypiały po raz ostatni, ale facetów w ostatnim pokoju tak bardzo pochłonęło katowanie Caine'a, że nie zwracali sobie głowy intruzami. A poza tym, zostawili przecież dwóch na czatach, jednego przy drzwiach wejściowych, drugiego przy tylnych. Nic złego nie może się stać, jeśli zostawiasz dwóch kumpli na czatach.

Z nożami w dłoniach skradałam się w stronę pokoju. Głosy, przed chwilą niewyraźne, teraz układały się w zdania:

- Powiedz, gdzie to jest - odezwał się mężczyzna. - Chyba widzisz, że to bez sensu. Nikt ci już nie pomoże.

Znowu deja vu.

- Daj nam ten pen driver, który dostałeś od Gordona Gilesa w operze. Tylko o to nam chodzi.

- No właśnie - wtórował drugi mężczyzna. - Daj go nam, a może nawet zostawimy cię przy życiu.

Przewróciłam oczami. Kłamca. Donovan Caine mógł opuścić ten dom tylko w jeden sposób - w czarnym worku na zwłoki.

Ktoś zaniósł się kaszlem i splunął głośno. Caine - dławił się włamią krwią.

- Mówiłem wam, Giles nic mi nie dał, żadnego pen drive'a, żadnych akt, nic - wychrypiął Caine. - Nie zdążył, bo do łoży wdarł się wasz zabójca.

- Ale przyszedłeś tam po te dane - zauważył trzeci głos. - Chciałeś go przekonać, żeby ci zaufał. Na pewno coś ci powiedział, coś ci dał.

Kolejna seria uderzeń, otwartą dłonią i pięścią, Caine jęknął.

- Gdzie szefowa? - zapytał Numer Jeden. - Już ona skłoni go do mówienia. I to szybko.

- Tak? A co było ze starym w restauracji? - odpowiedział Numer Dwa. - To było straszne, dosłownie obdzierała go ze skóry, a on śmiał się jej w twarz. Nawet Carlyle był przerażony, a wiecie, jaki z niego lodowaty sukinsyn.

Fletcher. Tamtej nocy byli w Prosiaku. Ten koleś i Charles Carlyle patrzyli, jak umierał, pewnie nawet przytrzymywali go, gdy pani Powietrza znęcała się nad nim. Zacisnęłam dłonie na rękojeściach noży. Lodowata kula gniewu w mojej piersi dygota z niecierpliwości.

- Stary był twardy. Ale glina nie, prawda, Caine? - zapytał Numer Trzy.

- Szeftowa już jedzie - rzucił Numer Dwa. - Już niedługo, najwyżej dziesięć minut. Bijcie go dalej. Możemy go dla niej przygotować, łatwiej obedrze go ze skóry.

Zarechotali wszyscy trzej. Śmiech ucichł i rozległy się kolejne ciosy, szybkie, miarowe. Ktoś tu lubi bić. Odetchnęłam głęboko i zebrałam się w sobie.

- Skoro o szefowej mowa: zejdź i sprawdź, co u Phila i Jimmy'ego, dobrze? Nie chcę, żeby wiedziała jak się obijają - odezwał się Numer Dwa, choć nie miałam pojęcia, czy mówi do Jedyńki, czy Trójki. Zresztą, to i tak nie miało znaczenia. I tak za minutę wszyscy będą martwi. No, może za dwie.

Podeszłam bliżej. Przywierałam plecami do ściany, tuż obok framugi. Słyszałam kroki na dywanie, zmierzały w moim kierunku. Czekałam, zbierałam siły. Zobaczyłam cień. Ktoś wyszedł na korytarz.

Wbiłam mu nóż w serce. Facet wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Wykorzystałam to, pchnęłam go do pokoju. Omiotłam pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Donovan Caine przykuty do krzesła. Dwaj faceci w garniturach koło niego, jeden z bronią.

Ten, którego pchnęłam, wpadł na stół, przewrócił lampę i runął na ziemię. I już było po nim.

Cisnęłam nożem w faceta z bronią. Odskoczył, więc ostrze wbiło mu się w ramię, nie w gardło. Podniósł pistolet, wystrzelił. Upadłam na ziemię. Szorstka wykładzina drapała przez dżinsy i koszulkę. Kula strzaskała lampę i obsypała mnie gradem szklanych odłamków.

Przeturlałam się, uklękłam i kopnęłam Trzeciego w kolano. Krzyknął i schylił się, tym sposobem znalazł się między mną a swoim towarzyszem. Wyjęłam nóż z cholewki i poderznięłam mu gardło. Krew trysnęła mi w twarz, zalała oczy, ale nie zwracając na to uwagi, chwyciłam umierającego. Został jeszcze tylko jeden.

Ten ostatni uniósł broń i trzykrotnie pociągnął za spust, ale zasłoniłam się jego kumplem i kule trafiły w niego, nie we mnie. Wstałam, pchnęłam na niego trupa. Ciało osunęło się na jego ranne ramię. Upuścił broń. Zaatakowałam, ale przewidział to. Z całej siły uderzył mnie pięścią w pierś. Mocny, solidny cios. Odskoczyłam, potknęłam się o coś, upadłam. Rzucił się na mnie, zacisnął mi ręce na szyi. Usiłowałam się uwolnić, ale był silniejszy. Szukałam po omacku noża, broni, czegokolwiek, czym mogłabym zranić.

Kątem oka dostrzegłam nogę, która kopnęła go w głowę. Facet stęknął, poluzował uścisk. W końcu. Zacisnęłam dłoń na podstawie zbitej lampy. Tkwił w niej kawałek szkła, postrzępiony, groźny. Idealny.

Facet zacisnął mi rękę na ramieniu, szarpnął. Chciał dokończyć dzieło i mnie udusić.

Odwrociłam się i poderżnęłam mu gardło.

Szkło wbiło się w ciało, ale nie weszło tak głęboko jak zrobiłby to nóż, rwało tylko skórę. Bolesne i powolne. Facet wrzasnął przeraźliwie. Usiłował się odsunąć, uciec. Pomyślałam o Fletcherze i podążyłam za nim. Wyrwałam mu szkło z gardła razem z kawałkami skóry, i zdałam kolejny cios. Z całej siły.

I wtedy cienki strumyk krwi zmienił się w czerwoną rzekę, zalewała mi pierś, koszulkę, kurtkę, dżinsy. Facet z całej siły ścisnął mnie za ramię, aż skrzywiłam się z bólu. Na jego ustach pojawiła się krwawa piana. Staliśmy tak przez chwilę. Wbijałam szkło coraz głębiej, on coraz bardziej zaciskał rękę. Jego oczy zasnuła mgła. Po mniej więcej trzydziestu sekundach jego uścisk zelżał. Pchnęłam go. Dołączył do martwych kumpli na podłodze.

Spojrzałam na Donovana Caine'a. Ku memu zdumieniu, unosił nogę, gotów do kolejnego ciosu. Spoglądał to na mnie, to na ciała na podłodze. Opuścił nogę.

- Sorry za bałagan - powiedziałam.

ROZDZIAŁ 15

Kącik jego ust uniósł się lekko - w uśmiechu albo grymasie. Trudno stwierdzić, zwłaszcza że jego twarz znaczyły czerwone ślady ciosów i płytkie rany, jak dziwaczne, brzydkie piegi. Pod prawym okiem i na lewym policzku już wykwitał siniak. Nie oberwał tak bardzo, jak Finn, ale też nie wyszedł z tego starcia bez szwanku.

- Popatrz na siebie - mruknął.

Zerknęłam na swoje odbicie w lustrze nad komodą. Moja twarz znikła pod krwią, jakby Jo-Jo zaaplikowała mi maseczkę błotną. Krew była także na moich ciuchach, barwiła tkaninę, pstrzyła spodnie i buty dziwnym, chaotycznym pejzażem, jak z obrazów Jacksona Pollocka. Na szyi miałam wyraźne ślady palców - makabryczny siny naszyjnik. Zapewne podobny ślad został też na moim barku. W sumie, w tych ciuchach, w takim stanie, wyglądałam, jakbym wybierała się na Hallowi przebrana za ofiarę morderstwa. Nie z tej strony chciałam się dziś zaprezentować policjantowi, ale bywało gorzej. O wiele gorzej. Dzisiaj jednak, z jakiegoś powodu, ta potworna ilość krwi sprawiła, że poczułam się stara. Zmęczona. Zużyta. Fajnie byłoby choć raz wrócić do domu po nocnym wyjściu i nie palić wszystkiego, co miałam na sobie. Choć jeden raz.

Oderwałam wzrok od lustra.

- Ryzyko zawodowe.

Caine nie mógł się ruszyć, był przykuty do krzesła. Sprawdziłam, miał skute ręce, a łańcuch kajdanek przełożono między prętami oparcia. Kajdanki ze srebrenitu. Najwyraźniej nigdzie się bez nich nie ruszał. Sexy.

- Kluczyki?

Skinął głową.

- Na komodzie.

Wzięłam metalowy kluczyk, kucnęłam za detektywem. Napiął mięśnie i głośno zaczerpnął tchu. Pachniał mydłem. Wyczuwałam jego siłę, nawet teraz, gdy był skuty. Pewnie uważał, że to tylko pretekst, że zaraz poderżnę mu gardło, a nie uwolnię. I być może rozważyłabym takie rozwiązanie, gdybym już wcześniej nie zaproponowała mu współpracy. Dotrzymywałam słowa.

Kajdanki się otworzyły. Wstał. Odwrócił się do mnie, masował nadgarstki, pobudzał krążenie. Ogarnął wzrokiem chaos w pokoju - krew, zwłoki, połamane meble. Zobaczył pistolet na ziemi, pod odłamkami szkła, u jego stóp.

- Musisz teraz zdecydować - powiedziałam cicho. - Możesz go podnieść. Wycelować we mnie. Spróbować pomścić partnera.

Nie dodałam, że wtedy zginałby na miejscu, wbiłabym mu nóż w serce. Widział, co potrafię, na własne oczy przekonał się, jaka jestem dobra. Oby to

wystarczyło, by zapanował nad chęcią natychmiastowego ukarania mnie za zabójstwo Cliffa Inglesa.

- Albo? - Nadal rozcierał nadgarstki, ale orzechowe oczy cały czas wpatrywały się w broń.

- Albo ogłosimy rozejm i pójdziesz ze mną. Postaramy się razem dotrzeć do sedna tej sprawy. Jak widzisz, ciebie też chcą zabić. Jak nas wszystkich.

Donovan Caine wpatrywał się w broń. Mijały sekundy. Jedna. Pięć. Dziesięć. Piętnaście. Trzydzieści. Poruszył palcami, jak szeryf w westernie, zanim sięgnie po rewolwer, by rozwalić nicponia, który zakłóca spokój. Spięłam się, gotowa do ataku.

Popatrzył na mnie. Jego oczy były jak dymne topazy, a może jak najlepsza whisky, mieniły się czystym złotem i brązem, i tak na zmianę. W bursztynowej głębi zamigotały emocje, jedna po drugiej, jak świetliki, pojawiały się i gasły. Niesmak. Gniew Nieufność. Podejrzliwość. Ciekawość.

- Dlaczego przyszłaś? - zapytał. - Mogłaś pozwolić, żeby mnie zabili.

Wzruszyłam ramionami.

- Jak już mówiłam, jesteś mi potrzebny. Masz jakieś informacje o Gordonie Gilesie. Zdaje się, że słyszałam coś o pen drive?

Caine przeczesał ciemne włosy palcami.

- Tak. Zaginął. Ci panowie tutaj sądzą, zdaje się, że go mam.

- A nie masz?

Nie odpowiedział. On także umiał zachować pokerową twarz.

Obeszłam pokój, pozbierałam noże, umieściłam je na swoich miejscach. Przejęłam też kieszenie nieboszczyków, zabrałam ich portfele, komórki, biżuterie. Żaden nie miał naszyjnika z runicznym zębem, ale jeden miał taki tatuaż na lewej ręce. Zobaczyłam go, gdy ściągałam mu zegarek.

Zmarszczyłam brwi. Znowu ten symbol. Wkurzało mnie to już, że ciągle na niego trafiam, a nadal nie wiem, co oznacza.

Caine zobaczył, że znieruchomiałam, i kucnął koło mnie, żeby lepiej widzieć, ale uważał, żeby znaleźć się poza moim zasięgiem. Mądry facet.

- To runa? - zapytał.

- Tak. Ostatnio często ją widuję. - Wyjęłam komórkę z kieszeni, zrobiłam zdjęcie tatuażu i schowałam ją z powrotem.

Caine nic nie powiedział, tylko wziął trupa za rękę, uniósł ją do światła i przyjrzał się symbolowi, by go zapamiętać.

Wyprostowałam się,

- No dobrze, Caine. Musisz zdecydować. Wchodzisz w to czy nie?

Podniósł wzrok.

- A jeśli nie?

- Ty pójdziesz swoją drogą, ja swoją. Poczekam, aż kumple z wydziału wyłowią cię z rzeki za kilka dni.

Pokręcił głową.

- Nie dojdzie do tego.

- Czyżby? Obserwowałam dom. Widziałam, że rozmawiałeś kimś przez telefon tuż przed tym, jak przyjechali. Idę o zakład, że to był ktoś z policji. Mam rację?

Caine opuścił wzrok i zobaczyłam jeszcze jedną komórkę w kałuży krwi. Pewnie jego.

- Stephenson - mruknął. - To był Wayne Stephenson, mój kapitan.

Gruby olbrzym z konferencji prasowej. Ten, który nie dopuszczał Caine'a do głosu.

Zapamiętałam sobie, żeby poprosić Finna, by go sprawdził. Jeśli żywiłowa go opłaca, może trafimy na jakiś trop.

- Czego chciał? Upewnić się, że jesteś w domu, zanim spuści psy ze smyczy?

- Chciał porozmawiać o sprawie Gilesa - mruknął. - Tylko tyle. To o niczym nie świadczy.

- Nie, nie świadczy - przyznałam. - Ale to zadziwiający zbieg okoliczności.

Cisza.

Donovan Caine przyglądał mi się. W jego oczach nadal migały różne uczucia, coraz szybciej, jak błyskawice uderzające w ziemię podczas letniej burzy. Chociaż nie zdradzał tego po sobie, wiedziałam, że nadal myśli o pistolecie leżącym kilka kroków dalej. O tym, że mógłby rozwiązać swój dylemat tu i teraz. Oby zrozumiał, że to byłby błąd, bo inaczej wkrótce jeszcze bardziej unurzam się we krwi. Za minutę, góra dwie.

Ale chyba moje argumenty trafiły mu do przekonania, tchnął głęboko. Puścił rękę trupa i wstał.

- Wchodzę w to - powiedział.

- Ale...?

Pokręcił głową.

- Ale mam pewne zastrzeżenia i warunki. Rozejm jest tymczasowy, poza tym nie będę cię krył, w niczym. Nie będę dla ciebie zabijał i nie pozwolę ci krzywdzić niewinnych.

Roześmiałam się. ten gorzki dźwięk uderzył w ściany jak pogrzebowy dzwon.

- Niewinnych? Jak ci tutaj? Mieli cię przetrzymywać, gdy ich szefowa będzie cię torturować, póki nie umrzesz. Nie sądzę, żebyśmy w tej sprawie spotkali niewinnych.

- Może niw. Ale to mój warunek.

Właśnie tego się spodziewałam. To były warunki do zaakceptowania, problemem Caine'a była jego nienawiść do mnie; pragnienie zemsty mogło go zabić.

- No, dalej, mów. Wiem, że czegoś chcesz.

- Kiedy to się skończy, znajdę cię. Pomszczę Cliffa Ingesa, choćbym musiał cię zabić. Jasne?

Ostra, gniewna obietnica płonęła w jego oczach jak ogień. Zaciskał usta w wąską kreskę, dłonie w pięści, cały był spięty, gotowy do ataku. Doprowadziłam go na krawędź wybuchu

- Jasne - odparłam. - A teraz bierz wszystko, co ci potrzebne. Masz trzy minuty. Ciuchy, pieniądze, co tam chcesz. Musimy uciekać, i to już.

Patrzył mi w oczy. Nie uciekłam wzrokiem. Skinął głową. Wiedziałam, że dotrzyma słowa. Graliśmy po tej samej stronie.

Na razie.

- Uciekamy, bo ich szefowa tu jedzie? - Minał mnie, nadal w bezpiecznej odległości, podszedł do szafy. Stał bokiem.

- Tak. Pospiesz się.

Wyjął z szafy torbę podróżną, odsunął dywan, podniósł obłuzowaną deskę w podłodze i wrzucił do torby plik banknotów, dwa pistolety i zapasowe magazynki. Może jednak nie był taki święty, jak mi się wydawało. A może po prostu wiedział, że w tym mieście trzeba być przygotowanym na wszystko. W każdym razie mój szacunek do niego wzrósł odrobinę. Choć hołdował staroświeckim ideałom, był rozsądny, a zawsze ceniłam tę cechę.

Caine podszedł do komody i spakował ciuchy. Dżinsy, skarpety, bokserki. Zainteresowały mnie te ostatnie. Czarne, jedwabne, choć nie tak drogie jak te, które nosił Finn. Wyobraziłam sobie ten jedwab blisko mojego ciała, jak muska mnie nabrzmiała męskością. Mmm. Szkoda, że mnie nienawidzi, zresztą wyglądałam teraz jak statystka z horroru. W innym wypadku rozważyłabym uwiedzenie go.

- Można by pomyśleć, że starcie z mocą żywiołu to dla ciebie interesujące wyzwanie - zauważył. Nadal upychał ciuchy w torbie.

Wróciłam na ziemię.

- Detektywie, to, że zabijam zawodowo, nie znaczy, że to lubię.

- Więc czemu to robisz?

Nieuchronne pytanie. Zdecydowałam się na standardową, nic nie znaczącą odpowiedź. Nie musi wiedzieć, że zamordowano moją rodzinę, że wylądowałam na ulicy. Że miałam dość poczucia, że jestem słaba, przerażona, ścigana. Że stałam się tym, kim jestem, żeby już nigdy tego nie doświadczyć. Żeby być silną. A tym bardziej, że nic z tego, co umiałam, nie pomaga mi uporać się ze śmiercią Fletchera i nagłym znużeniem, które mnie ogarnęło.

- Bo jestem w tym dobra, bo nie brzydzę się krwi i dobrze zarabiam, a nie dlatego, że kręci mnie odbieranie ludziom życia - rzuciłam lekko. - A jeśli chodzi o żywiołaki... Cóż, umierają jak wszyscy inni. Magia nie oznacza, że nie można kogoś pokonać. Gordon Giles był panem Powietrza, ale to go nie uchroniło przed śmiercią w upozorowanym wypadku samochodowym. Ale nie mam ochoty na starcie z żywiołową tuż po walce, na dodatek mając na karku rannego. Zresztą, nie wiadomo, ilu zbirów ze sobą sprowadzi. Na pewno nie przyjdzie sama. Nie podoba mi się takie ryzyko. Wolę akcje jeden na jednego.

-Jasne.

Kącik jego ust znowu uniósł się lekko. Tym razem byłam tego pewna, ale nadal nie wiedziałam, czy to uśmiech, czy grymas.

Zapiął torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

- Prowadź, Makduffie.

- Szekspir? Tego się nie spodziewałam, detektywie.

- A ja nie spodziewałem się, że będę pracował z zabójczynią. Są rzeczy na niebie i ziemi...

- Punkt dla ciebie. - Błysnęłam nożem. - Idź za mną i bądź cicho. Na dole jest jeszcze jeden, przy tylnych drzwiach. Mój człowiek miał go załatwić, ale nigdy nie wiadomo.

Uniósł ciemną brew.

- Twój człowiek?

- Mój człowiek. Idziemy.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam z sypialni. Zaciśnęłam dłoń na rękojeści noża i zaczekałam chwilę.

Caine nie chwycił za pistolet, trzeci, który, jak widziałam wyjął z komody i ukrył za paskiem. Myślał, że tego nie zauważyłam. Detektyw dotrzymywał słowa. Nie strzeli mi w plecy - na razie.

Na palcach wyszłam na korytarz. Panowała cisza, nie słyszałam kroków, szeptów, dyszenia. Nic.

Donovan Caine trzymał się blisko mnie. Znowu poczułam jego świeży zapach. Mydło. Otaczało mnie ciepło jego ciała, czułam na karku jego oddech, delikatny jak pocałunek. Byliśmy przy schodach. Dałam mu znak, że ma zostać z tyłu, uklękłam, przywarłam do ściany, wyjrzałam zza poręczy.

Finn opierał się o drzwi i czytał gazetę. Martwy zbir leżał tam, gdzie go zostawiłam. Finn trzymał stopę na jego zakrwawionych plecach, co oznaczało, że załatwił drugiego za domem, inaczej nie byłoby go tutaj. Pokiwałam głową. Wyprostowałam się.

- Idziemy - powiedziałam do Caine'a. - Droga wolna. Zbiegliśmy ze schodów. Finn nawet nie podniósł głowy, gdy stopnie zatrzeszczały pod naszym ciężarem. Wyrwałam mu gazetę z ręki i cisnęłam na ziemię.

- Ej! - krzyknął. - Czytam to!

- Już nie.

Odsunęłam się, żeby panowie mogli się sobie przyjrzeć.

- Donovan Caine. To mój wspólnik, Finnegan Lane. Poznajcie się.

Przyglądali się sobie. Maine patrzył na Finna: elegancka skórzana kurtka, spodnie khaki i koszulka polo, szyta na miarę. Finn oglądał jego torbę, sprane, podarte dżinsy z łatanami na kolanach i sfatygowane buty. Szacowali się, oceniali, porównywali męskość.

Po mniej więcej dwudziestu sekundach Finn wyciągnął rękę. Caine popatrzył na nią swoim nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Nie lubimy podawać rączki? Szkoda. - Finn opuścił dłoń.

- Tyły? - zapytałam.

- Załatwione, ma się rozumieć.

Finn nie lubił noży, ale ilekroć mnie ubezpieczał, zabierał ze sobą kilka pistoletów. Najczęściej z tłumikiem, i pewnie dlatego nie słyszeliśmy strzałów. Świetne oko było kolejną z jego wielu zalet.

Spojrzał na trupa na podłodze.

- Zakładam, że pozostali skończyli jak ten, Gin?

- Oczywiście.

Uśmiechnął się.

- Bingo.

Donovan Caine przyglądał mi się.

- Gin? Tak masz na imię?

Uświadomiłam sobie, że nigdy mu się nie przedstawiłam, znał tylko mój pseudonim - Pająk. Ale musi się przecież do mnie jakoś zwracać, skoro mamy razem pracować, a było za późno, by w pośpiechu kleić nową tożsamość.

- Mniej więcej.

- Gin? - Upewnił się.

- Tak, jak alkohol.

- Gin. - tym razem wypowiedział to ostrożnie, jakby badał smak mego imienia, jakby to nie była skrócona, okaleczona wersja tego, kim jestem naprawdę. - Pasuje do ciebie.

Mimo powagi sytuacji pomyślałam, że podoba mi się jego leniwy, południowy akcent, ciepły, kuszący.

- Cieszę się. A teraz idziemy.

Przebiegliśmy przez podwórze. Impreza u sąsiadów kręciła się w najlepsze, choć teraz z głośników rozbrzmiewała piosenka „Free Bird”. Pijani studenci odsypiali szaleństwa na werandzie. Chyba nikt nie słyszał strzałów, nie zorientował się, że zginęło pięciu mężczyzn. Muzyka była tak głośna, że na całej ulicy ludzie nie słyszeli nawet własnych myśli. Hałaśliwi sąsiedzi. Czasami bezcenny skarb.

Doszliśmy do samochodu. Finn usiadł za kierownicą, jana miejscu pasera. Caine zawahał się, patrząc na ciemny wóz. Odetchnął głęboko, otworzył drzwiczki i usiadł na tylnym siedzeniu, po chwili wahania zamknął drzwi. Nie ma odwrotu. Pewnie o tym teraz myślał. A także zastanawiał się, co do cholery robi w samochodzie płatnej zabójczym. Ale chyba nie zmienił zdania co do rozejmu. Zapiął pas, położył torbę koło siebie. Suchy trzask przywodził na myśl odgłos, jaki wydają zamykane kajdanki.

- Co teraz? - zapytał.

Odwróciłam się, żeby mu odpowiedzieć, i zobaczyłam światła samochodu od strony ulicy.

- Pochylcie się. Jadą.

Kuliliśmy się, póki nas nie minął. Kolejny luksusowy sedan. Zatrzymał się obok wozu stojącego na podjeździe Caine'a.

- Nowi znajomi? - zażartował Finn. - Trochę za późno na imprezę. Szkoda, że ciągle się z nimi mijamy.

- Przekonajmy się - zdecydowałam. Wzięłam noktowizor, ustawiłam ostrość. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i w blasku lampki w samochodzie zobaczyłam trzy osoby. Co za głupota, nie wyłączyć tej lampki. Rozpoznałam dwóch z nich. Charles Carlyle, który podrywał studentki przed Światem Ciast, i jego kumpel, który wtedy czytał gazetę. Trzeciego nie znałam, ale był w garniturze, jak dwaj pozostali.

- Jeszcze trzech - mruknęłam.

Wysiedli, pogrążeni w rozmowie. Na tylnym siedzeniu siedział ktoś jeszcze. Zmrużyłam oczy, lodowata gula w piersi stwardniała.

Wysiadaj, ponaglałam ją w myślach. Wysiadaj i pokaż się, suko

- A pani powietrza? - zapytał Donovan Caine. Czułam jego oddech na policzku.

- Siedzi z tyłu - odparłam.

Kierownica obciążnięta skórą zatrzeszczała w dłoniach Firma

- To ona...

- Tak.

Przerwałam mu, zanim wspomniał o Fletcherze. Łypnął gniewnie, ale nie powiedział nic więcej.

Patrzyłam dalej. Carlyle obszedł samochód, otworzył drzwiczki, wyciągnął rękę. Kobieta podała mu swoją i wysiadła jak debiutantka na pierwszym balu. Pretensjonalna suka.

- Niech to szlag - syknęłam. - Stoi po drugiej stronie wozu i ma na sobie czarną pelerynę. Kto do cholery nosi peleryny? To nie gra RPG. Ma kaptur na głowie. Nic nie widzę, ani twarzy, ani włosów, ani nawet ciuchów. Nic.

Kierownica znowu zatrzeszczała.

- Moglibyśmy ją załatwić, tu i teraz - powiedział Finn. - Nie spodziewają się nas. Ciebie.

- Nie. Nie zaryzykuję, nie dzisiaj. Zabiłaby nas wszystkich, a nie mogę dopuścić, by cię dorwała.

- Ale...

- Nie, Finn - warknęłam. - Posłuchaj mnie. Wydaje ci się, że wiesz, do czego jest zdolna, ale się mylisz. Chociaż widziałeś to zdjęcie. Nie masz pojęcia, jak okrutna jest ta magia. Ja to wiem.

Przed oczami stanęło mi zmaltretowane ciało Fletchera i zwęglone zwłoki matki i starszej siostry. Znajomy smutek ścisnął pierś, dławił mnie. Runy pająka na dłoni zaswedziały, jakbym pod skórą miała żywe stworzenie, a nie tylko koszmarne wspomnienia.

Donovan Caine wodził wzrokiem między nami.

- Ale...

Fin nie dokończył. Od strony domku zerwał się wiatr, ciął jak kosa, przyginał sosny, hulał po ulicy jak małe tornado. Przewracał pojemniki ze

śmieciami, wyrywał skrzynki pocztowe z ziemi. Pechowy kot wszedł mu w drogę, wyrzuciło go w powietrze i uderzył o ciężarówkę. Nie wstał już.

Pani Powietrza znalazła pierwsze zwłoki przy drzwiach i nie była zadowolona.

Wyteżałam wzrok, usiłowałam dojrzeć jej twarz. Kaptur skrywał ją w cieniu, ale zakasała rękawy peleryny. Jej palce jarzyły się mlecznym światłem magii, jak palnik spawacza, moc przyprawia o koszmarny ból. Taka magia odrywa ciało od kości. Tak właśnie torturowano Fletchera, Fletcher.

Wyrzuty sumienia i smutek walczyły we mnie o lepsze, a sama już nie wiedziałam, co czuję - oprócz bólu. Ale zmusić się, by myśleć, by chłodny rozsądek przeważył emocje. Gdyby chodziło tylko o mnie, może zakradłabym się do domku i zaryzykowała starcie. Ale musiałam myśleć o Finnie. I Cainie.

Zresztą, Fletcher nazwał mnie Pajakiem nie bez powodu. Najsprawniej działałam w ukryciu, w cieniu. Snułam własną sieć, własny plan, nie miałam ochoty zginąć w chwale.

Spojrzałam na nich.

- Widzisz to światło? To jej magia. Chcesz, żeby skierowała ją na nas, Finn? Bo jestem pewna, że zrobi to z przyjemnością. Da nam odczuć, jak bardzo jest wkurzona.

Zamyślił się. ważył w sobie sprzeczne pragnienia - pomszczenie ojca i ujścia cało z czegoś, co, jak wiedział, w najlepszym wypadku będzie porażką, w najgorszym - śmiertelną pułapką.

Donovan Caine obserwował nas z tylnego siedzenia.

Minęło mniej więcej pół minuty, nim Finn westchnął i puścił kierownicę.

- Nie, nie chcę.

Wzięłam go za rękę.

- Mądra decyzja. Nie martw się. Zajmiemy się nią, Finn. Ja się nią zajmę, ale nie dziś.

- Obiecujesz? - Obniżył głos do szeptu.

Ponownie uścisnęłam jego dłoń.

- Obiecuję. A teraz jedziemy, zanim suka zorientuje się, że ją obserwujemy.

ROZDZIAŁ 16

Finn odczekał, wiatr ucichł i pani Powietrza weszła do domku, wtedy odpalił silnik i zawrócił na szerokiej ulicy. Zmierzał w stronę przecznicy ze zgaszonymi reflektorami i dopiero w bezpiecznej odległości zapalił światła i wcisnął pedał gazu.

- Dokąd? - zapytał. Przyglądał mi się z ukosa. Niby proste pytanie ale wiedziałam, co naprawdę miał na myśli - czy zabieramy Donovana Caine'a do mojego mieszkania. Nie miałam wyjścia. Apartament Finna był spalony, a musiałam mieć detektywa na oku, żeby mieć pewność, że nie zrobi nic głupiego, na przykład nie uzna nas za wrogów i nie pozabija.

- Do domu - powiedziałam.

- Do domu? - powtórzył Donovan Caine. - Mieszkasz w Ashland?

- Od dziecka, panie władzo.

Światło zmieniło się na czerwone. Finn zatrzymał się i skorzystał z okazji, by zerknąć w lusterko, na pokiereszowaną twarz policjanta.

- Nie pojedziemy najpierw do... hm... salonu piękności? - zdziwił się. - Żeby, no wiesz, zająć się tym i owym?

Wiedziałam, co ma na myśli. Pytał, czy zajrzemy do Jo-Jo, żeby uleczyła obrażenia Donovana Caine'a. Ale wizyta detektywa w moim mieszkaniu to jedno. Zawsze po wszystkim mogłam się stamtąd wyprowadzić. Już to nawet zaplanowałam.

Co innego Jo-Jo. Nie zabiorę go do niej, żeby go uleczyła, zwłaszcza że jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Jo-Jo Deveraux mieszkała w tym domu od czasów wojny secesyjnej. Nie wyprowadzi się za żadne skarby. Lepiej, żeby Donovan nie wiedział o moim związku z krasnoludzią i jej siostrą, która tak wspaniale pozbywa się zwłok. Zresztą, jeśli kiedyś wszystko pójdzie nie tak, dom Jo-Jo to jedna z bezpiecznym przystani, gdzie moglibyśmy zatrzymać się z Finnem na kilka dni. Nie zaryzykuję utraty takiej mety.

- Nie - odparłam - Wczoraj zrobiłam w salonie zakupy i mamy wszystko, co nam trzeba, więc jedziemy prosto do mnie.

Finn skinął głową i skręcił. Donovan Caine milczał na tylnym siedzeniu. Włączyłam radio. Ciszę wypełniła muzyka. „Margaritavill” Jimmy’ego Buffetta. Pogodna piosenka przywodziła na myśl leniwy relaksujący urlop na Key Wes, na który, jak mówiłam Fletcherowi, wybierałam się po zabójstwie Gordona Gilesa. Fletcher już nigdy nie zobaczy zachodu słońca nad Mallory Square. Byłam ciekawa, czy spotka mnie kiedyś jego los.

- No dobra, zebrałaś wesołą kompanie facetów, których wyrwałaś z rąk złej czarownicy. Co teraz? - Głos Firma wyrwał mnie z ponurych myśli.

Detektyw prychnął, słysząc porównanie.

- Mylą ci się bajki. Zresztą, czy aby nie jesteś za stary na bohatera bajeczki? - zachnęłam się.

- Może, Ale musimy mieć plan, Gin. Nie możemy bez końca uciekać przed tą wariatką i jej ludźmi, bo za którymś razem szczęście uśmiechnie się do niej, nie do nas. Uprzedzi nas. Przechytrzy.

- Wiem. Uwierz mi, wiem o tym. - Potarłam czoło. Zasnęta krew łuszczyła mi się z dłoni i głowy, spadała na ubrana jak czerwony śnieg. Poczułam się jeszcze brudniejsza. Już po raz drugi tego wieczora poczułam się stara, zmęczona i zużyta.

- Pojedziemy do mnie. - Opadłam na oparcie. - Odpocznijemy przez noc. A rano zabierzemy się do pracy,

- Nietypowe podejście - mruknął Finn.

Donovan Caine milczał na tylnym siedzeniu.

- Masz lepszy pomysł? - zapytałam.

Finn wzruszył ramionami.

- Nie. Ale pamiętaj, ja jestem tylko kierowcą, jasne, pani Daisy. Nie mam pojęcia o planowaniu.

- Więc się zamknij, mięczaku - warknęłam. - Bo lada chwila wyrzucę cię z samochodu.

Pojechaliśmy jak zwykle dookoła i pół godziny później byliśmy pod moim blokiem. Finn i Donovan Caine czekali na klatce schodowej, ja tymczasem upewniałam się, że nikt nie zaczął się w mieszkaniu. Musnęłam palcami szorstkie kamienie przy drzwiach. Odpowiedział mi ten sam co zwykle niski pomruk. Nikt tu dzisiaj nie zaglądał. Dobrze

Wsunęłam klucz do zamka, weszłam do środka i od razu podeszłam do kominka, by zdjąć trzy narysowane runy. Ukryłam je pod łóżkiem. Donovan Caine nie musi ich widzieć. Ba, nie byłam nawet pewna, czy sama chce na nie patrzeć. Rozejrzałam się po saloniku i kuchni, sprawdzając, czy jest coś jeszcze, co mogłoby powiedzieć mu o mnie więcej, niżbym chciała. Ale nie. Mieszkanie było niemal puste, spartańskie, bezosobowe.

Wyjrzałam na klatkę schodową.

- Droga wolna. Chodźcie.

Finn poszedł do kuchni, położył laptopa na stole, odpalił, sprawdził pocztę. Nie mógł wytrzymać nawet dwóch godzin z dala od komputerów. Pieprzony świr komputerowy.

Caine obszedł salonik, oglądał meble, książki, nawet płyty DVD koło telewizora. Orzechowe oczy chłoneły wszystko, ale nie miałam pojęcia, jakie z tego wyciąga wnioski.

Weszłam do kuchni, rozpięłam zakrwawioną kurtkę, wrzuciłam do śmieci - dołączyła do ciuchów od dziwki sprzed kilkadziesiątu godzin. Nie ma sprawy, poczekają jeszcze dzień lub dwa. Sądząc po rozwoju wypadków, wkrótce będzie tu więcej ciuchów, które będę chciała spalić w piecu w piwnicy.

- Idę się wykapać. Rozgość się, Caine. Pooglądaj telewizję, wyjedź wszystko z lodówki, rób, co chcesz.

To, że zawodowo zajmuję się zabójstwami, nie oznacza, że nie jestem równie gościnna jak inne dziewczyny.

- Ty - rzuciłam do Finna. - Miej na niego oko, Kiedy się wykąpię, pogadamy.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Szacowali siły przeciwnika. Szukali słabości. Po raz kolejny porównywali penisy.

Potrząsnęłam głową, weszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Zdjęłam resztę zakrwawionych ciuchów i weszłam pod prysznic. Woda syczała. Rozkręciłam gorący strumień, oparłam głowę o śliskie kafelki i odetchnęłam głęboko.

Co za cholerna noc. Bieganie po całym mieście, dobijanie targów, ratowanie ludzi zanim ktoś ich załatwi. To dla mnie coś nowego. Tego ranka nie spodziewałam się, że zrobię nawet połowę tych rzeczy. A już na pewno nie tego, że uratuję Donovana Caine'a.

Och nie, nie miałam wyrzutów sumienia w związku ze śmiercią pomagierów pani Powietrza. To był prosty wybór: albo oni, albo ja. Bez skrupułów wybieram siebie. Co więcej, już dawno pogodziłam się z myślą, że tak musi być. Ciało, krew, łzy osieroconych. Nawet z tym, że prawdopodobnie po śmierci będę się smażyła w piekle. W każdym razie nie zastanawiałam się nad tym wiele.

Ale z niewiadomych powodów bolały mnie gniew i obrzydzenie w oczach Donovana Caine'a. Bardzo często widywałam to samo w spojrzeniach innych - zwłaszcza tuż przed tym, zanim ich zabiłam. Kiedy do nich docierało, że niosę im śmierć, oceniali mnie automatycznie. Uważali, że jestem zimną, szaloną sadystką, nieważne, jakich czynów sami się dopuszczali. Ale taki osąd w oczach Caine'a drażnił mnie. Może dlatego, że mnie intrygował. Wolałabym, żeby widział mnie jako Gin Blanco, nie jako Pajaka.

Żachnęłam się. Pragnęłam czegoś, czego nie mogę mieć. Przypomniałam sobie namowy Fletchera, żebym przeszła na emeryturę. Moje marzenia o wakacjach. Fakt, czuję się stara, zmęczona, wypalona. Powoli stawało się to wyświechtanym banałem. Lada dzień zgłoszę się na terapię - prosto do Zakładu dla Psychicznicy Chorych, dołączając do stada świrów.

Dziesięć minut później wyszłam z pod prysznica i włożyłam granatowe spodnie dresowe, koszulkę z długim rękawem i grube skarpety. Rozczesałam włosy grzebieniem o rzadkich zębach. Pochyliłam głowę i zerknęłam w lustro. Nie tylko Jo-Jo ma odrosty. Może już czas, żebym pozwoliła włosom odzyskać naturalny kolor.

Ta myśl zaskoczyła mnie. Grzebień zatrzymał się w splątanych wilgotnych lokach. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio moje włosy były po prostu włosami, kiedy ich nie czesałam, farbowałam i przycinałam w zależności od zadania, od roli, którą musiałam odegrać. Nie byłam pewna, czy jeszcze pamiętam, jakiego w ogóle są koloru. Z niewiadomego powodu ta myśl nie dawała mi spokoju.

Oderwałam wzrok od lustra, skończyłam rozczesywać włosy, otworzyłam drzwi łazienki i wróciłam do saloniku. Finn nadal siedział przy kuchennym stole, pochylony nad laptopem. Pewnie nawet nie drgnął, odkąd poszłam do łazienki, a jeśli już, to tylko po to, żeby przysunąć sobie bliżej komputer.

Donovan Caine rozgościł się. Rozwalił się wygodnie na kanapie. Jego prawe oko było niewidoczne - zasłaniała je miseczka z lodem. W telewizji szedł czarno biały film. *Jezebel* z Bette Davis. Caine przełożył okład na drugie oko i skrzywił się.

- Chcesz, żebym to obejrzała? - zapytałam. - Nieźle opatruję rany.

- No - zawtórował mi Finn. - O ile przedtem cię nie zabije.

Donovan Caine skrzywił się, słysząc jego kiepski dowcip. Ale najwyraźniej nie obawiał się mnie i tego, co mogę mu zrobić, bo wstał.

- Pewnie - odparł. - Gorzej już chyba być nie może.

Owszem, mogło być gorzej. Mógł być trupem i nie czuć niczego, ale nie powiedziałam tego na głos.

Caine poszedł za mną do łazienki dla gości. Kazałam mu usiąść na zamknięte toaletce i poszłam po słoiczki z maściami od Jo-Jo Deveraux.

- Rozsuń nogi - poleciałam.

- Słucham?

Wskazałam jego nogi.

- Rozsuń je, żebym uklękła między nimi. W ten sposób łatwiej dosięgnę twojej twarzy.

- Och. No tak.

Rozsunął posłusznie nogi. Uklękłam między nimi. I znowu poczułam ciepło jego ciała. Choć miał kontakt z krwią, nadal pachniał mydłem. Czyściutki do samego końca. Nigdy nie puszczałam, że zapach czystej skóry może tak działać, ale Donovan Caine pachniał tak smakowicie, że miałam ochotę wtulić twarz w jego kark i po prostu go wąchać. Mmm.

Wzięłam słoiczek z toaletki. Jedyne oznaczenie stanowiła runa Jo-Jo - chmurka narysowana na błękitnym wieczku. Odkręciłam je i powietrze wypełnił kojący zapach wanilii. Żywiolowi Powietrza, tacy jak Jo-Jo, nie tylko uzdrawiali rękami, ale także nasycali swoją magią inne produkty, na przykład kremy, i dodawali coś ekstra.

Zanurzyłam palce w maści. Była ciepła i śliska, poczułam mrowienie w dłoni i barku, jak wtedy, gdy Jo-Jo uzdrawiała mnie swoją mocą. Blizny w kształcie runy na moich dłoniach nie reagowały tak gwałtownie jak wtedy, przede wszystkim dlatego, że magia w maści nie była równie silna jak skupiona moc samej Jo-Jo. Ale nawet taka ilość wystarczy, by uleczyć potłuczoną twarz Donovana Caine'a.

Pochyliłam się i podsunęłam mu pod nos palec z maścią. Wzdrygnął się i odsunął, zanim zdążyłam go dotknąć. Co on wyprawia? Myślał, że co zrobię? Poderżnę mu gardło? Akurat byłabym taka głupia, żeby narobić sobie bałaganu

we własnym mieszkaniu. Jakbym do tej pory nie mogła go zabić już wielokrotnie.

Było już późno a ja byłam zmęczona. Złapałam go za podbródek, trzymałam Mosno, gdy chciał się wyrwać, i wtarłam masę w skórę. Po kilku sekundach uzdrawiająca magia zaczęła działać. Sińce na twarzy żółkły, blakły, rozcięcia zablizniały się. Donovan poczuł, że rany się goją, i odpreżył się - na tyle, na ile mógł, mając zabójczynię partnera na wyciągnięcie ręki.

- Jesteś silna - zauważył. - bardzo silna. Bardzo twarda.

- To komplement?

- Spostrzeżenie. - Wzruszył ramionami.

Wcierałam masę w jego twarz, także w usta. Miał rozciętą dolną wargę i potarłam ją lekko, jak kochanka. Zesztywniał czując delikatny dotyk, ale się nie odsunął. Przyglądał mi się bacznie. Nieruchome spojrzenie policjanta chłonęło moją postawę, mój oddech, koliste ruchy moich rąk. Gromadził wszelkie informacje, by je później wykorzystać. Kiedy zawieszenie broni dobiegnie końca i będzie mógł zrobić to o czym marzył - ruszyć za mną w pościg z bronią w rękę.

- Co masz na dłoni? - zapytał. - Wygląda jak srebro.

Runy. Pewnie dostrzegł pajaka ze srebrenitu na mojej dłoni. Niewielkie kółko i osiem promieni. Kolejna rzecz, o której nie powinien wiedzieć. Zacisnęłam pięść.

- To nic takiego, tylko stara blizna. Mam ich mnóstwo - mruknęłam.

- Na pewno - odparł.

- Skończyłam smarować go masą, wstałam i podałam mu buteleczkę najmocniejszej aspiryny.

- Łyknij kilka tabletek.

Wziął ją ode mnie, uważając, żeby mnie nie dotknąć. Patrzył mi w oczy bursztynowymi oczami. Oparłam się o umywalkę, skrzyżowałam ręce na piersi i czekałam, aż powie, co ma do powiedzenia.

- Dzięki - mruknął. Brzmiało to tak, jakby zmuszał się do wyduszenia tych słów. - Za wszystko. Choć to dziwne i złe, wiem, że gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

- Nic ma za co.

Skinał głową, widząc moją chłodną reakcję.

- Ale nie myśl, że to coś zmienia. Kiedy dopadniemy żywiołową, aresztuję cię za morderstwo Clifffa Inglesa - nieważne żywą czy martwą. Pamiętaj o tym.

Myłam ręce pod gorącą wodą.

- Nie obawiaj się, detektywie, nie zapomnę o twojej wendecie. Ale radzę: zapamiętaj, co zrobiłam tym koleśiom w twoim domku. Nie zawaham się potraktować ciebie w ten sam sposób, gdy wejdiesz mi w drogę, jasne?

Caine patrzył jak jego krew spływa z moich rąk i znika w odpływie.

- Jasne.

Łyknął kilka tabletek aspiryny i wrócił do saloniku. Zamknęłam słoiczek z leczniczą maścią Jo-Jo i poszłam za nim. Ponownie usadowił się na kanapie. Może mnie i nienawidzi, ale przynajmniej nie ma głupich skrupułów.

Finn tymczasem zaparzył sobie kawę z cykorią. Bogaty aromat drażnił mój nos. Poczułam, jak burczy mi w brzuchu.

- Finn? Nocna przekąska? - Już szłam do kuchni.

- Kanapka - zdecydował. Nawet nie podniósł głowy znad komputera. - Ale już nie z indykiem. Coś innego. I na innym pieczywie. Zaskocz mnie.

- Tak jest, panie. - Wyjęłam z kredensu domowy chleb na zakwasie Sophii Deveraux, który zwędziłam z restauracji, banany, miód od dzikich pszczoł, masło orzechowe i puszkę dyni.

Najpierw zmieszałam masło orzechowe i dynię, aż powstała gęsta, smakowita pasta, którą posmarowałam pieczywo. Udekorowałam kanapki plasterkami bananów i miodem i przykryłam wszystko drugą kromką.

Owinęłam kanapkę papierową serwetką i podałam Firnowi. Wbił w nią zęby z widocznym entuzjazmem. Donovan Caine przyglądał mu się. Byłam ciekawa, które z nas pierwsze przerwie impas.

Caine patrzył na znikającą kanapkę Finna.

- Wygląda smakowicie. Mogłabyć zrobić też dla mnie. Proszę?

- Pewnie.

Przygotowałam - dla niego, dla siebie i kilka na dokładkę.

Donovan podszedł do stolika, usiadł koło Finna. Wyjęłam z lodówki butelkę mleka i kubki z kredensu. Postawiłam wszystko na stole, wzięłam jeden z kubków i skoncentrowałam się na mojej magii. Po chwili pokryły go lodowe kryształki, które zapewnią niską temperaturę, gdy znajdzie się w nim płyn. To samo zrobiłam z pozostałymi kubkami.

Donovan znieruchomiał. Zmrużył oczy, widząc ten mały pokaz czarów.

- Masz moc żywiołów. Lodu.

Wzruszyłam ramionami.

- Tylko odrobinę, detektywie. Nic takiego. Nie warto o tym mówić.

Finn przyglądał mi się uważnie. Wiedział, że mam w sobie wiele więcej magii, ale wyjątkowo mnie nie poprawił.

Odstawiłam kubek, podałam Caine'owi kanapkę. Wziął ja, ale zawahał się, zanim wbił w nią zęby, jakby wystarczyło samo spojrzenie na przygotowane przeze mnie jedzenie, by padł trupem z pianą na ustach. Powinien już wiedzieć, że trucizna to nie moja działka. To tandetna, teatralna sztuczka, podobnie jak szantaż.

Detektyw ugryzł, przeżuł, przełknął. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

- To naprawdę dobre.

- Lepsze niż w Świecie Ciast? - zapytałam.

Nie patrzył na mnie.

- Nie lepsze, ale inne.

Finn szturchnął go w bok.

- Mówiłem, że Gin robi najlepsze kanapki na świecie.

Donovan nie odpowiedział, ale ponownie wbił zęby w kanapkę i nalał sobie mleka. Ja także sięgnęłam po kanapkę i kubek i dołączyłam do mężczyzn przy stole. Masło orzechowe, duszona dynia i banany tworzyły gęstą masę, miód i cynamon dodawały słodczy i odrobinę ostrej nuty. Pycha.

- Masz coś nowego? - zapytałam Finna, gdy zjadłam pół kanapki.

Przecząco pokręcił głową i wytarł palce w serwetkę.

- Nie, właściwie nie. Dostałem trochę nowych dokumentów o Halo Industries i siostrach James. Przejrzałem je, ale na razie nic nie rzuciło mi się w oczy. Może odkryję coś rano, ze świeżym umysłem.

Spojrzałam na detektywa.

- Chyba już czas, żebyś powiedział nam, o czym rozmawiałeś z Gordonem Gilesem w operze.

Caine skinął głową.

- Chyba tak.

Zdziwiłam się trochę, że tak łatwo uległ. Może moje kanapki naprawdę są wyjątkowe. A może szanowny detektyw zdał sobie sprawę, że póki co, współpraca z nami to w jego wypadku najlepsze rozwiązanie. A właściwie - jedyne rozwiązanie.

Caine dokończył kanapkę, dopił mleko i zaczął mówić:

- Mniej więcej trzy miesiące temu Gordon Giles skontaktował się ze mną. Zapewniał, że przekaze mi takie informacje, że wiele osób na lata trafi za kratki, ale pod warunkiem, że zapewnię mu ochronę.

- Dlaczego zwrócił się do ciebie? - zdziwił się Finn. - Pracujesz w wydziale zabójstw. Nie specjalizujesz się w przestępczości gospodarczej.

- Twierdził, że tu już nie chodzi tylko o defraudację, że ktoś posługuje się tymi pieniędzmi, by robić okropne rzeczy. Łapówki, przekupstwa... - Zerknął na mnie. - Zabójstwa na zlecenie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Giles mówił, że od wielu miesięcy gromadzi informacje - ciągnął Caine. - Miał mi je przekazać w operze, a ja w zamian obiecałem zabrać go w bezpieczne miejsce.

- Niech zgadnę: informacje były na pen drive, tym samym, którego szukały te zbiry u ciebie w domu - dokończyłam.

Caine ponownie skinął głową.

- Mówiłeś komuś o Gilesie? - zapytałam. - Czy ktoś w wydziale wiedział, że się z nim spotykasz?

- Mój kapitan, Wayne Stephenson. Powiedziałem mu jakiś czas temu, o co chodzi Gilesowi. On wtajemniczył jeszcze kilka osób. W zależności od tego, co dostaliśmy od Gilesa, Stephenson powiedział, że rozważy stworzenie specjalnej jednostki, która zajęłaby się defraudacją.

Caine potarł czoło. Tym razem nie zaklinał się że Wayne Stephenson nie ma nic wspólnego z żyłową Powietrza. Może przemyślał to wszystko. A może, w miarę jak minął szok, narastał gniew. W każdym razie nie protestował już tak gwałtownie.

Dobrze. Będzie łatwiej, gdy nie będzie na każdym kroku zapewniał o niewinności Stephensona.

A zatem Stephenson wiedział o spotkaniu. Nie wykluczone że to właśnie on ostrzegł żywiolową, że Gordon Giles ma miar przekazać dowody przeciwko niej. Może płaciła Stephensonowi za takie informacje. A może coś na niego miała. W każdym razie, to on ją zawiadomił. I stąd pomysł, by wykorzystać mnie, Finna i Fletchera. Caine pewnie stanowił dodatek: martwy nie byłby w stanie wskazać Stephensona.

Spojrzałam na Finna. On także poskładał kawałki układanki w całość. Skinął głową, dawał mi znak, że zajmie się Wayneem.

- Giles wspominał, kto stoi za defraudacjami? - zapytałam.

- Nie. Chociaż podejrzewam, że to Haley James. Giles wspominał o niej kilkakrotnie. Jak powiedział Finn, to nie moja działka. Giles rzucił mi kilka drobiazgów na zachętę, ale to wszyto. Nie wiem nic więcej. Wasza kolej.

Finn nie ukrywaj zaskoczenia.

- Nasza kolej? Mamy ci coś powiedzieć?

- Nie jęcz za bardzo, Finn - mruknęła. - Pokaż mu, co mamy.

Finn rozłożył na stole dowody tożsamości, które zabraliśmy zbirom, i pokazał policjantowi. Caine nikogo nie poznał, ale przyznał, że to zapewne fałszywki i daleko nas nie zaprowadzą. Wtedy Finn wyjął z kieszeni złoty łańcuszek z trójkątnym runicznym zębem. Polerowany czarny kamień pochłaniał kuchenne światło jak gąbka.

- Ciekawe - mruknął, wpatrzony w kamień - Jeszcze nigdy nie widziałem takiej runy a wydawało mi się, że znam symbole wszystkich gangów w mieście.

- Wydaje mi się, że nasza przeciwniczka to coś więcej niż zwykły gang - zauważył Finn.

Caine mruknął twierdząco.

- Mamy też to. - Podsunęłam mu wizytówkę. - W południe śledziło cię dwóch gości. Jeden z nich dał tę wizytówkę grupce studentek. Finn już go sprawdza.

Caine podniósł kanonik.

- Charles Cariyle? Wydawało mi się, że go widziałem Jest lepszy, niż myślałem.

- Znasz go? - zdziwiłam się.

Detektyw zacisnęła usta.

- Niestety. Mówią na niego Chuck albo Chuckie. To drobny rzezimieszek, który udaje kogoś ważniejszego, niż jest. Zmienia ekipy, wiecznie szuka łatwego zysku. Kawał drania. Spotkałem go nieraz, gdy pracowałem w obyczajówce.

- W obyczajówce? - powtórzył Finn. - Pasuje mi bardziej do przestępczości zorganizowanej.

Detektyw pokręcił głową.

- Można tak pomyśleć, ale Chuckie lubi dziewczyny. Im młodsze, tym lepsze. Idealnie, jeśli co noc jest nowa. Wiecie, że to wampir, tak? Wydaje mi się, że seks kręci go w tym samym stopniu co krew.

Skinęłam głową. Niektóre wampiry tak mają. Wszystkie potrzebują krwi, ale dla wielu równie istotny jest seks - albo inne silne emocje. Niektóre wampiry, zwłaszcza te stare, które już dawno zapanowały nad własną mocą, są równie niebezpieczne jak ci, którzy władają magią żywiołów. Albo nawet bardziej.

- A gdzie Chuckie lubi balować. - zapytał Finn.

- W Northern Aggression - odparł Caine. - Wiecie, tym nocnym klubie w Northtown.

Zmarszczyłam brwi. Ta nazwa pojawiła się już po raz drugi. Przejrzałam akta Gilesa od Fletchera. O, jest. Northern Aggression, napisane wąskim, starannym pismem starszka. Uderzyłam palcem w arkusz.

- Giles też tam bywał.

- Więc panowie nie tylko razem pracowali, ale i balowali - zauważył Finn. Caine zmarszczył czoło.

- Jak to?

- Charles Carlyle pracuje obecnie jako wiceprezes Halo Industries - wyjaśniłam.

Policjant zachnął się.

- To jakaś pomyłka. Chuckie zna się na biznesie mniej więcej tak jak ja. To drobny przestępca, a nie jakiś geniusz ekonomii.

- O pomyłce nie ma mowy - odparł Finn. Na konto bankowe Carlyle'a co tydzień wpływają pieniądze z firmy.

Przez chwilę w ciszy trawiliśmy te informacje.

- Więc co teraz zrobimy? - zapytał Caine.

- Chciałabym wiedzieć, co jest na tym pen drive Gilesa - mruknęłam.

- Od próby zabójstwa minęły dwa dni. Żywiołowa i jej ludzie na pewno już przeszukali jego gabinet. I dom - zauważył Finn.

- Tak, ale jeszcze tego nie znaleźli. Gdyby mieli pen drive'a, nie pytaliby o niego pana detektywa - odparłam. Spojrzałam na Donovana. - Naprawdę nie wiesz, gdzie mógł to ukryć?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. To była jego karta przetargowa, miałem go dostać, gdy znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Skinęłam głową.

- No dobrze. Póki co, dajmy sobie spokój z tym pen drive'em. Mamy Chuckiego i wiemy, gdzie lubi się bawić. Jutro wieczorem wpadniemy do klubu i zobaczymy co porabia - i z kim.

Finn chrząknął.

- Northern Aggression należy do Roslyn, chyba warto to z nią obgadać.

Zachnęłam się.

- Nie potrzebuję pozwolenia, żeby śledzić faceta w jej klubie.

Caine przyglądał się nam.

- Co za Roslyn?

- Roslyn Phillips - wyjaśniłam. - Wampirzyca, właścicielka Northern Aggression. A także jedna z kochanek Finna. Dlatego chce pytać ją o zdanie.

- Kochanka? - Finn się zaperzył. - Doprawdy, Gin. Roslyn i mnie łączy namiętny związek oparty na wzajemnym oddaniu i szacunku.

- Czyli sypiacie ze sobą, kiedy nie macie nikogo innego - przetłumaczył Donovan. Finn uśmiechnął się szeroko.

Policjant pokręcił głową, jakby chciał odepchnąć od siebie wizję Finna w intymnej sytuacji. Aż za dobrze znałam to uczucie. Finn z jednej strony opiekował się mną jak brat, z drugiej - traktował mnie jak kumpla z siłowni. Najbardziej na świecie lubił przechwalać się nowymi podbojami. Doprawdy zadziwiająco że jakiś zazdrosny mąż nie rozwalił go już wiele lat temu.

- Więc to jest nasz plan? - upewnił się Caine. - Przycisnąć Carlyle'a i zobaczyć, co nam z tego przyjdzie?

- Masz lepszy pomysł, detektywie? - rzuciłam zgryźliwie. - Słuchamy.

Nasze spojrzenia spotkały się, szarość i złoto, jedno i drugie twarde, nieugięte. Po chwili Caine potrząsnął głową.

- Tak myślałam - mruknęłam. - Ale nie obawiaj się, Caine. Ty będziesz dobrym policjantem. I tak zawsze wołałam czarne charaktery.

ROZDZIAŁ 17

Tej nocy nie mieliśmy już nic do roboty. Poszliśmy spać. Ułożyłam się w mojej sypialni, Finn zajął pokój gościnny, a dla Caine' została rozkładana kanapa w salonie. Poszperałam chwilę w szafie w pokoju gościnnym i wyjęłam z niej zapasowe koce i poduszki dla niespodziewanego gościa. Zapobiegliwa gospodyni - to cała ja.

Poszłam do saloniku i podałam pościel policjantowi.

- Słodkich snów.

- Dzięki - mruknął.

Caine rozłożył niebiesko-zielone koce i pościelił sobie na kanapie, ja tymczasem podeszłam do drzwi wejściowych i udawałam, że sprawdzam, czy są zamknięte. Przycisnęłam dłonie do kamieni i nasłuchiwałam. Szept kamienia był cichy i spokojny, jak zawsze. I znowu nakreśliła małe, ciemne kręgi - runy ochronne. Zamigotały srebrzyście i wsiąkły w ścianę. Postanowiłam sprawdzić zabezpieczenia i posłałam w mur falę magii. W odpowiedzi mur zawył przeraźliwie. Ten sam dźwięk wypełni całe mieszkanie, gdyby ktoś chciał się dostać do środka.

Albo wyjść. Może zawarliśmy z Caine'em układ, to jednak nie znaczyło, że nie spróbuje wymknąć się pod osłoną nocy. Ale nigdzie nie pójdzie, chyba że ze mną.

Metodycznie rozkładał koce. Nie miał w sobie magii żywiołów, więc nie usłyszał wycia kamienia. Poprawił poduszkę, narzucił na posłanie. Spojrzał na mnie. Skinęłam mu głową na dobranoc i poszłam do siebie.

- Śpij dobrze. - Jego niski głos mnie dogonił, musnął jak jedwabny sznur.

- Jeśli zdołasz.

Obejrzałam się przez ramię.

- A niby czemu nie? Myślisz, że dręczą mnie wyrzuty sumienia. Bynajmniej.

- A powinny.

- Ze względu na to, co dzisiaj zrobiłam? - Wzruszyłam ramionami. - Caine, robiłam, co musiałam, żeby uratować ci życie. Nawet ty nie możesz mieć mi tego za złe.

- Nie, nie ze względu na dzisiaj. Ze względu na Cliffa.

W jego orzechowych oczach rozbłysła znajoma już nienawiść, na jego twarzy malowała się determinacja. Caine odliczał czas do chwili, gdy aresztuje mnie za zabójstwo jego partnera.

Przez moment rozważałam, czy nie powiedzieć mu, kim tak naprawdę był Cliff Ingles. O haraczach, które wyłudzał od alfonsów. O wampirycznych dziwkach, od których domagał się darmowego seksu na tylnym siedzeniu służbowego samochodu. O trzynastolatce, którą brutalnie pobił, zgwałcił i

zostawił na pewną śmierć. Te informacje startyby ten uśmiezek z twarzy Donovan Caine'a. Zniknąłby, jakby nigdy go tam nie było.

Ale trzymałam język za zębami. To był mój as w rękawie i nie miałam zamiaru pozbywać się go ot tak, bez powodu. Niech szlachetny detektyw pielęgnuje wspomnienie kryształowo czystego partnera. Chciałam, żeby koncentrował się na poszukiwaniach pani Powietrza, a nie zastanawiał się, czy mylił się co do Cliffa Inglesa. Straszny z niego idealista. Uparcie chciał wierzyć w dobro tkwiące we wszystkich, mimo wszechobecnych dowodów, że jest inaczej. Pewnego dnia to go zabije.

Posłałam mu zimne spojrzenie.

- Śpię jak kamień, Caine. Zawsze tak było i zawsze będzie.

Weszłam do sypialni i zamknęłam za sobą drzwi.

Spałam głęboko, spokojnie; nie dręczyły mnie koszmary senne ani wspomnienia Fletchera.

Słońce zagładające przez okno ogrzewało mi twarz, wdzierało się pod powieki. Przewróciłam się na bok z westchnieniem spojrzałam na zegarek przy łóżku. Dochodziło południe. Czas brać się do roboty.

Wstałam, otworzyłam drzwi, poczłapałam do saloniku. Finn siedział przy stole, pochylony nad komputerem, obok którego stał kubek kawy w cykorię. Znajomy zapach przywodził na myśl Fletchera i znów odczułam boleśnie, że już go nie ma. Przed oczami mignęło mi jego poharatane ciało, ale odepchnęłam to od siebie i przywołałam ostatni raz, gdy go widziałam żywego - w Prosiaku, z kubkiem kawy. Wciągnęłam głęboko powietrze, rozkoszowałam się intensywnym zapachem, wyobrażałam sobie, że Fletcher ogrzewa to mieszkanie swoją obecnością. Że ogrzewa mnie.

Finn mnie zobaczył. Pomachał i przyłożył palec do ust, wskazując kanapę. Spojrzałam w tamtą stronę. Donovan Caine znikł pod kocami, jak ciało pod całunem pogrzebowym. Przez chwilę zastanawiałam się, czy śpi nago. Z trudem dostrzegłam zarys jego głowy pod stertą koców. Hm. Przekonałabym się chętnie, czy tak jest.

Finn wskazał coś jeszcze.

Pochyliłam się. Na podłodze, w zasięgu ręki policjanta, leżał pistolet. Zmarszczyłam brwi. Donovan Caine nie ufał mi mimo naszej umowy. Czego się obawiał? Że zamorduję go pod osłoną nocy we własnym mieszkaniu? Bywam okrutna, ale nie głupia.

Podeszłam do Finna. Południowe światło przenikało przez zasłony, rozjaśniało jego twarz, tak podobną do twarzy ojca. Pochyliłam się i zmierzwiłam orzechową czuprynę.

- A to za co? - mruknął i poprawił opadający kosmyk.

- Tak sobie - odparłam. Starłam się ukryć uczucia, które zniekształcały mój głos. - Śniadanie?

- Omlet, zdecydowanie. I może jeszcze naleśniki? - rozmarzył się.

Znowu zmierzwiłam mu włosy, poszłam do kuchni i zabrałam się do pracy. Wyjęłam z lodówki jajka, ser, mleko i masło. Sięgnęłam do zamrażarki po mrożone truskawki. Jak gotowanie zwykle gotowanie mnie uspokajało. Siekałam pomidory, cebulkę, zieloną paprykę i szynkę - stadniki omletu. Owoce trafiły do mikrofalówki - musiały się rozmrozić. Maślanka, mąka i odrobina cukru i ciasto na naleśniki było gotowe.

Szczęk naczyń obudził detektywa. Donovan Caine jęknął cicho i usiadł. Koce opadły i odsłoniły tę samą koszulkę i dżinsy, które miał na sobie wczoraj wieczorem. A więc nie spał nago. W sumie szkoda.

Caine zmarszczył brwi. Jakby niedo końca wiedział, gdzie się znajduje. Zobaczył mnie i jego oczy rozbłysły - przypomniał sobie wszystko. Wodził wzrokiem ode mnie do Finna i z powrotem. Był spięty.

- Dzień dobry - mruknęłam i odwróciłam naleśnik.

Caine burknął coś pod nosem. Wstał z kanapy i poczłapał do kuchni. Oparł się o blat i patrzył na dzbanek z kawą takim wzrokiem jak nastoletnia dziewczyna na chippendale.

- Kubek? - wychrypiał.

Otworzyłam szafkę i podałam mu biały fajansowy kubek. Nasze dłonie zetknęły się. I znowu przeszła mnie gorąca świadomość jego bliskości. Czulałam, jak piersi mi nabrzmiewają, a między nogami wzbiera przyjemne pulsowanie. Na szczęście Caine był na kofeinowym głodzie i niczego nie zauważył.

Usiadł koło Finna i smętnie wpatrywał się w kawę. Po kilku chwilach jej zapach zadziałał, Caine zamrugał i upił łyk.

- Fuj! - mało brakowało, a wyplułby wszystko. - Co to jest? Chcesz mnie otruć?

- Kawa z cykorią. - Finn uniósł swój kubek. - Od tego rosną włosy na kłacie.

Caine skrzywił się, ale pił dalej, a nawet wstał po dolewkę. Naleśniki były gotowe. Postawiłam je na stole, obok omletów. Jeszcze tylko talerze, sztucce, serwetki i dzbanek soku pomarańczowego, który schłodziłam magią Lodu. Donovan Caine nic nie mówił, obserwował mnie. Chłodnym, wyrachowanym wzrokiem.

Zaczęliśmy jeść. Caine nie od razu pozbył się podejrzliwości - odczekał, aż Finn i ja pochłonęliśmy kilka kęsów, zanim sam zabrał się do jedzenia, ale kiedy zaczął, zjadł więcej niż my dwoje razem wzięci.

- Pyszne - powiedział, kończąc trzeci naleśnik z truskawkami.

- Wydajesz się zaskoczony - mruknęłam.

Wzruszył ramionami.

- Po prostu nie spodziewałem się, że zabójczyni tak gotuje

- No cóż, często posługuje, się nożem. Wiesz, teraz nazywa się to wielozadaniowość.

Znieruchomiał z widelcem w powietrzu.

- Żartowałam. Lubię gotować. To mnie relaksuje.

- No pewnie - sapnął. Poczul się nieswojo, ale to nie szkodziło mu w zjedzeniu kolejnego naleśnika. Przez kilka minut posilaliśmy się w milczeniu.

- Co robisz, kiedy nie zabijasz na zlecenie. Gin? - zapytał Caine w końcu. Uniosłam brew.

- Skąd ta ciekawość, detektywie?

Wzruszył ramionami.

- Tak tylko pytam. Skoro już jesteśmy chwilowo na siebie skazani, pomyślałem, że porozmawiamy o czymś innym, nie tylko o przestępstwie, które dzisiaj popełnimy.

- Myślisz, że tylko jedno? - zażartowałam. - Nie doceniasz nas, detektywie. To dopiero początek.

Donovan zmrużył oczy. Zrozumiał, że niewiele ze mnie wyciągnie, więc przeniósł wzrok na Finna. - A ty?

- Och nie, Finn nie zabija - wyjaśniłam. - Zajmuje się czymś o wiele gorszym. Jest bankierem.

Zaskoczyłam go tymi słowami i zakrztusił się kawą. Donovan Caine parsknął śmiechem. Po raz pierwszy słyszałam, jak się śmieje bez nuty sarkazmu. Ostry dźwięk, zabarwiony goryczą, ale w sumie przyjemny. Ja śmiałam się podobnie.

Caine uśmiechnął się. Białe zęby błysnęły w smagłej twarzy. Śmiech sprawił, że jego oczy zalśniły złotem. Wstrzymałam oddech. Skoro tak zabójczo wygląda, kiedy się uśmiecha, co dopiero po nocy powolnego, gorącego seksu? Och.

Poczul na sobie moje spojrzenie i spoważniał.

- Na, co tak patrzysz?

- Na nic. Jedz. Czeka nas długi dzień i musimy mieć dużo sił. Finn, czego się dowiedziałeś?

Finn spojrzał na mnie znacząco, zanim odpowiedział.

- Nic nowego, jeśli chodzi fałszywe dowody tożsamości martwych koleś. Pani Powietrza jest bardzo tajemnicza. Na razie nic o niej nie wiemy.

- A o mnie? - włączył się Caine. - Albo o napadzie na mój dom?

- W porannych wiadomościach ani słowa - odparł Finn. - Suka zatarła wszystkie ślady. Ani słowa o ciałach, zniszczeniach, nic. Ale z pewnych źródeł w departamencie wiem, że szuka cię twój szef Wayne Stephenson. Chce pogadać o twoim dochodzeniu w sprawie Gilesa i o tym, że nie stawiałeś się dzisiaj do pracy.

Caine skrzywił się - fakt, że Stephenson o niego pytał, potwierdzał nasze przypuszczenia, że kapitan pracuje dla tajemniczej pani Powietrza.

- Mamy coś na Stephensona? - zwróciłam się do Finna.

Przecząco pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Na pierwszy rzut oka jego finanse wyglądają w porządku, nie przepuszcza majątku na używki czy hazard ale nadal szukam.

Dokończyliśmy śniadanie w milczeniu. Wstałam, żeby posprzątać, ale Donovan Caine poderwał się i wyjął mi talerz z dłoni.

- Pozwól. Udzielasz mi schronienia i mnie karmisz. Mogę bynajmniej pozmywać.

- No, no, nie dość, że przystojny, to jeszcze uprzejmy - powiedziałam przeciągle. - Mamusia dobrze cię wychowała, detektywie.

Na dźwięk skowa „przystojny” jego oczy rozbłysły złoto. Usiadłam z powrotem, upiłam łyk soku i zerkałam na niego co chwila.

- A co z Carlyle’em? - zapytał Finn, który najwyraźniej nie podzielał mojego zainteresowania poślądkami policjanta. - Zgarniemy go dzisiaj z Northern Aggression?

- Tak. Póki co, to nasz jedyny trop. - Spojrzałam na niego. - Zadzwoń do Roslyn i powiedz, że musimy się dzisiaj z nią spotkać.

- Wczoraj mówiłaś, że nie potrzebujesz jej pozwolenia, by wejść do klubu - zauważył. - Skąd ta zmiana?

Upiłam kolejny łyk soku.

- Bo Roslyn może wiedzieć coś więcej o Carlyle’u. Znasz ją, lubi wiedzieć wszystko o nałogach gości. A chcę wiedzieć o draniu jak najwięcej, zanim wieczorem stawimy mu czoła.

ROZDZIAŁ 18

Wczoraj porzuciliśmy wóz, który ukradł Finn, więc zostaliśmy bez środka transportu. Finn musiał zwinąć kolejne auto z parkingu oddalonego od mojego mieszkania o cztery przecznice. Obejrzał wszystkie wozy na jednym poziomie, ale żaden nie spełniał jego wymagań. Zszedł niżej.

- Co on wyprawia? - burknął Donovan Caine. Szliśmy za Finnem. - To nie supermarket.

Zachnęłam się.

- Powiedz to Finnowi. Ma fioła na punkcie samochodów. Im większy i droższy, tym bardziej mu odpowiada.

Finn w końcu zatrzymał się przed najnowszym lexusem.

- Nada się na dzisiaj. Gin, poproszę sprzęt. - Wyciągnął rękę.

- Nie przyniosłeś?

- Po co niepotrzebnie się obciążać, skoro wyczarujesz mi jednorazowy? - odparł.

Choć przyznawałam to niechętnie, Finn miał rację. Z westchnieniem poszukałam w sobie magii Lodu. Donovan Caine patrzył na srebrzyste drżenie w moich dłoniach, ciekaw, co robię. Sama często się nad tym zastanawiałam, zwłaszcza gdy miałam do czynienia z Finneganem Lane'em.

Kilka sekund później podałam Finnowi długi, cienki pręt, który wbił w szczelinę przy szybie samochodu. Zamek ustąpił pręt pękł i Finn wytarł wilgotne dłonie o marynarkę, a potem otworzył drzwiczki, wsiadł, sięgnął pod konsolę i znalazł odpowiednie przewody.

Trzydzieści sekund później silnik ożył i Finn dał nam znać byśmy wsiadali. Zajął fotel pasażera, Caine usiadł z tyłu. Wyjechaliśmy z garażu.

Na zewnątrz powitał nas piękny wrześniey dzień. Błękitne niebo. Malutkie chmurki. Słońce lśniło jak złota moneta, rozświetlało nawet smog i brud ulic i budynków w centrum miasta.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam Finna. - Gdzie złapałeś Rosalyn? W klubie?

Zanim wyszliśmy skorzystał z mojego telefonu na kartę i umówił nas z właścicielką Northern Aggression.

- Nie, otwiera dopiero o ósmej. Jest w domu.

Choć nocny klub przynosił jej ogromne zyski. Roslyn Philips nie mieszkała w Northtown, jak inni bogacze. Osiedliła się na przedmieściach, na zachód od Southtown. Tę część Ashland przecinały wzgórza, ostre jak zęby na ostrzu piły, choć jesienne liście, złote, szkarłatne i cynamonowe, łagodziły ten obraz. Opuściłam szybę i do samochodu wpłynęło chłodne jesienne powietrze.

Po półgodzinnej przejażdżce Finn skręcił w podjazd obramowany klonami o czerwonych liściach. Wjeżdżaliśmy na strome wzgórze, klony się skończyły i naszym oczom ukazał się skromny dwupiętrowy dom z szarej cegły.

Białe framugi i czarne okiennice, kwadratowe okna i kolorowe zabawki na zielonym trawniku. Podmiejska sielanka w pełnej krasie. Brakowało jeszcze tylko rozbawionego retrievera buszującego w trawie.

Finn zaparkował skradzionego lexusa. Wyszliśmy.

- Gadanie zostawcie mnie, a wszystko będzie dobrze. - Finn wygładził poły marynarki. Dzisiaj zdecydował się na szare prążki i srebrzystą koszulę, przy której jego oczy wydawały się jeszcze bardziej zielone.

- Taki mam plan - odparłam. - ty gadasz. Domyśliłam się, że wykorzystasz ten legendarny wdzięki osobisty, który jakoby posiadasz, żeby coś z niej wyciągnąć. A może zamierzałeś się posłużyć metodą bardziej, hm... bezpośrednią?

U mego boku Donovan Caine parsknął śmiechem.

- Jesteś zazdrosna i tyle - fuknął Finn, wyjął kieszeni spodni spray do ust i odświeżył sobie oddech.

- Skądże. Już mam to za sobą, tak jak i ciebie - odparłam. - było nieźle, Ale nie rewelacyjnie.

Donovan Caine zdumiał się, słysząc te słowa. Zmarszczył brwi, w orzechowych oczach coś zalśniło, ale zduł tę emocję, zanim doszłam, co to było.

Finn złapał się za serce.

- Gin, nie wiesz nawet, jak mnie ranisz.

- Zranię cię o wiele bardziej, jeśli nie przekonasz Roslyn i nie załatwisz nam swobody ruchów wieczorem - warknęłam.

- Bez paniki - mruknął. - Roslyn nam pomoże, jest twoją dłużniczką, odkąd kilka miesięcy temu zajęła się jej szwagrem. Zapomniałaś już?

Przed moimi oczami stanęła męska twarz. Czekoladowa skóra, kręcone włosy, dołeczki w policzkach i czarne oczy jeszcze zimniejsze niż moje. Nie, nie zapominałam o Jeremym Lawsonie. Poczulałam w szczęce wspomnienie bólu. Półkrwi olbrzym złamał mi ją, zanim go powaliłam.

Na twarzy Donovana Caine'a malował się niesmak.

- Zabiłaś jej szwagra i myślisz, że jest ci za to wdzięczna?

Już otwierałam usta, żeby odpowiedzieć, ale Finn mnie uprzedził. Zmierzył detektywa surowym spojrzeniem.

- Tak - warknął - Dupek dla rozrywki bił siostrę Roslyn i jej córeczkę. Po ostatnim razie obie na dwa tygodnie wylądowały w szpitalu. Mała ma cztery lata, jeśli to cię interesuje.

Detektyw spojrzał na zabawki na podwórku i wyraz jego twarzy się zmienił.

- Dlaczego nie wezwała policji? - zapytał cicho.

- Ależ owszem, wzywała, ale Jeremy miał w wydziale kumpli, wędkarzy jak on, i mnóstwo pieniędzy, więc nikt nie zareagował. Nie odnotowano nawet interwencji - odparł Finn. - Więc Roslyn poszukała innego rozwiązania, Zanim zdążył je zabić.

Caine znowu patrzył na mnie. W orzechowych oczach dostrzegłam zaciekawienie i coś jakby wadliwości. Detektyw pewnie myślał o partnerze. Cliffie Inglesie. Zastanawiał się czy zginął z podobnego powodu. Czy dlatego go zabiłam. Z mojej twarzy nie mógł jednak niczego wyczytać. Po chwili opuścił wzrok.

Doszliśmy do drzwi. Po ich prawej stronie widniała mała plakietka z runą - sercem przebitym strzałą. Logo klubu nocnego Roslyn. Northern Aggression Finn zadzwonił do drzwi. Dźwięk dzwonka niósł się echem.

Po mniej więcej dwudziestu sekundach przy wizjerze pojawił się cień. Ktoś przyglądał się nam uważnie. Rozległ się dźwięk zasuw i drzwi stanęły otworem.

Roslyn Phillips była piękną kobietą o skórze i oczach koloru karmelu. Ciemne włosy sięgały podbródka. Na czubku zgrabnego nosa przycupnęły okulary w srebrnych oprawkach. Po raz pierwszy, odkąd ją znałam, widziałam ją bez makijażu. Wydawała się młodsza i bardziej wrażliwa, niż była naprawdę.

Miała na sobie czarny dres i koszulkę, ale nawet taki strój nie zdołał ukryć jej pełnych piersi, szerokich bioder i zgrabnych ud, które większość mężczyzn natychmiast przyprowadzała o ślinotok. A Roslyn doskonale wiedziała, jak to wykorzystać. Była jedną z tych wampirzyc, które posługują się seksem, by zdobyć władzę, niejako tylko przy okazji pijąc krew.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając białe kły.

- Finnegan Lane. Co za miła niespodzianka. - Mówiła niskim, ochryplym szeptem.

- Roslyn, moja droga. Jak to miło z twojej strony, że mogłaś się z nami spotkać. - Pochylił się i cmoknął ją w gładki policzek.

- Jak zawsze, Finn - mruknęła. Omiotła detektywa spojrzeniem ciemnych oczu, zanim popatrzyła na mnie. - Jak widzę, przyprowadziłeś przyjaciół.

- To Donovan Caine - przedstawił Finn. - A Gin oczywiście już znasz.

Oczywiście

Rosalyn przyglądał mi się. odpowiedziałam obojętnym spojrzeniem. Nie było mnie przy tym, gdy zwróciła się do Finna o pomoc w rozwiązaniu problemu szwagra. Finn miał opinię człowieka, który wszystko potrafi załatwić. Ale widziała mnie z nim, wiedziała, że przyjaźnię się z Fletcherem i pracuję w Prosiaku. Finn nigdy jej nie powiedział, że kogoś znalazł, nie potwierdził nawet, że zna kogoś, kto podejmie się takiego zlecenia, ale trzy tygodnie po tym, jak go o to poprosiła, agresywnego szwagra znaleziono z ranami kłutymi przed klubem w Southtown. Zakładam, że Roslyn wyciągnęła odpowiednie wnioski. Na wiele tematów.

- Wejdźcie - powiedziała. - Właśnie kończymy lunch.

Wpuściła nas do środka i zamknęła drzwi - na trzy zasuw. Roslyn Phillips nie ryzykowała. Bardzo mądrze.

Prowadziła nas przez pokoje pełne ciężkich drewnianych stolików, lamp od Tiffanyego i staroświeckich, pokrytych aksamitem kanap. Meble stylizowane

na antyki kontrastowały z kolorowymi zabawkami i książeczkami walającymi się po podłodze. Piętrzyły się po kątach, zalegały na fotelach. Mury dokoła mnie opowiadały na przemian o zmartwieniach i radości, odzwierciedlały uczucia mieszkańców.

Wyszliśmy na kamienną posadzkę patio, z basenem w kształcie serca, zakrytym już na zimę. Mała dziewczynka, uderzająco podobna do Roslyn, siedziała w wielkim plastikowym różowym zamku. Bawiła się niebieską ciężarówką. Co jakiś czas przestawała udawać warkot silnika i wbijała ząbki w kanapkę z pomidorem, którą trzymała w ręczce.

Roslyn wskazała krzesła z miękkimi poduchami stojące dokoła stolika. W salaterce wysychały resztki sałatki. Na stoliku stały też szklanki - jedna z krwią, druga z mlekiem, kilka pustych - i dzbanek lemoniady

Finn usiadł naprzeciwko Roslyn, Donovan Caine koło niego, a ja zajęłam ostatnie wolne krzesło. Usiadłam tak, żeby widzieć małą.

Roslyn uniosła dzbanek. Zabręczały kostki lodu.

- Lemoniady?

Więc nie tylko ja jestem uroczą gospodynią. Przyjeliśmy poczęstunek. Upiłam łyk. Kwaśna i słodka zarazem, tak jak lubię. Mniemam.

Roslyn patrzyła na Finna.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę. Finn? Myślałam, że spotkamy się dopiero pod koniec tygodnia, na zbiórce dobroczynnej na schronisko dla malowanych kobiet.

- Niestety, chyba nie dam rady - odparł. - Pomyślałem więc, że wpadnę do ciebie dzisiaj.

Przechyliła głowę i popatrzyła na niego znad okularów.

- Doprawdy? I dlatego przyjechaliście tak silną ekipą? Chciałeś mi powiedzieć, że się nie spotkamy? Nie wierzę. Chcesz czegoś. Powiedz, o co chodzi. Wiesz, że nie znoszę, jak ktoś wciska mi kit. Mam tego dosyć w pracy.

Skinął głową.

- Dobrze. Interesuje mnie jeden z twoich gości i chciałem cię uprzedzić, że sprawy mogą... wymknąć się spod kontroli, gdy będziemy z nim rozmawiać.

Roslyn zerknęła na mnie i zaraz wróciła wzrokiem do Finna.

- Kto?

Finn głośno zaczerpnął tchu.

- Charles Carlyle. Przedstawia się jako...

- Chuckie - dokończyła Roslyn cicho. - Znam go.

Nie zadała oczywistych pytań - dlaczego interesuje nas Carlyle, co zrobił, czy - co ważniejsze - co my mu zrobimy. Przez wiele lat pracowała na ulicach Southtown, zanim dorobiła się własnego klubu. Wiedziała, że zadawanie zbyt wielu pytań to najprostsza droga na tamten świat.

Donovan Caine pochylił się lekko.

- Co możesz nam o nim powiedzieć?

Roslyn upiła małej łyk krwi i uśmiechnęła się. krew lśniła na jej kłach.

- Moi klienci cenią sobie anonimowość. Nie przetrwałabym w tym biznesie, gdybym rozpowiadała o nich wszystkim, którzy do mnie przyjdą. Zwłaszcza glinom. Wiem, że dawniej pracowałeś w obyczajówce. Nieraz widziałam cię w Northern Aggerssion.

Caine zmarszczył brwi i już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa.

- On jest z nami - powiedziałam. - Nie zamknie cie, Roslyn. A jeśli będzie robił ci kłopoty, sama się z nim policzę. Finn wie, jak zadbać o przyjaciół. Ty wiesz o tym najlepiej.

Roslyn upiła kolejny łyk i odstawiła szklanekę.

- Dobrze, zrobię to, ale tylko ze względu na Finna. Co chcecie wiedzieć o Carlyle'u?

- Wszystko - odparł Finn. - Co lubi, z kim najchętniej przebywa, co mówią o nim dziewczyny.

Roslyn wzruszyła ramionami.

- Niewiele mam do powiedzenia. To wampir; wyobraża sobie, że jest ważnym kolesiem i świetnym kochankiem, choć ma małego. Przychodzi niemal co noc i bierze pokój na tyłach klubu. Lubi dziewczyny, które wyglądają na dwunastolatki. Czasami jest bardziej brutalny, niż na to pozwalam. I ciągle przechwala się, jaka to z niego gruba ryba. Jak to kompletuje własną ekipę i szykuje się do podboju Ashland. Takie pieprzenie macho. Drobny rzezimieszek, choć ostatnio ma mnóstwo pieniędzy. Więcej alkoholu, więcej dziewcząt, imprezy dla znajomych.

A więc Chuckie ma kasy jak lodu. Kolejny dowód na to, że pracuje dla pani Powietrza. Przecież bez mrugnięcia okiem wyłożyła zaliczkę dla mnie. Logiczne, że hojnie opłaca ukradzioną kasą także podwładnych.

Finn sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie Gordona Gilesa z teczeki Fletchera.

- A ten? Jeden ze znajomych Carlyle'a?

Roslyn stuknęła w fotografię wypielęgnowanym paznokciem.

- Gordon? Tak, dawniej się kumplowali, ale ostatnio mniej.

Hm. A więc Giles ograniczył kontakty z Carlyle'em mniej więcej w tym samym czasie, gdy skontaktował się z Caine'em w sprawie defraudacji w Halo Industries. Może zorientował się, że sprawa go przerasta. A może odezwało się sumienie.

- O co ci tak naprawdę chodzi? - zapytała Roslyn. - Mówiłeś, że chcesz pogadać z Carlyle'em w klubie.

- Tak - odparł Finn. - Te prywatne pokoje... Moglibyśmy jakoś dyskretnie widzieć i słyszeć, co się tam dzieje? 1

Roslyn opadła na krzesło i skrzyżowała ręce na piersi.

- Być może, ale jak już mówiłam, moi klienci cenią sobie anonimowość. Powierzają mi swoje sekrety... Wszystkie. Nie utrzymałabym się na rynku, gdyby się rozeszło, że zawiodłam ich zaufanie.

Finn uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Ale raz chyba możesz zrobić wyjątek. Dla mnie.

Roslyn roześmiała się cicho, perliście. Ten śmiech nie pasował do poważnej miny.

- Finn, umiesz czarować i bardzo cię lubię. Bawisz mnie, a ja rzadko się śmieję. Ale nie zaryzykuję firmą, żebyś ty załatwił swoje porachunki z Carlyle'em.

Przed oczami stanęła mi skatowana twarz Fletchera. Zemsta? O nie, chodzi o coś więcej. Wampirzyca wyraźnie stawiała opór, więc postanowiłam jej przypomnieć, jak dobrym przyjacielem okazał się Finn.

- Catherine urosła, odkąd ostatnio ją widziałam - zauważyłam miękko. - To było tuż po tym, jak odebrałaś ją ze szpitala po operacji.

Roslyn spojrzała na małą i przeniosła wzrok na mnie. Patrzyła twardo, rozchyliła usta, odsłoniła kły. Ostrzegала mnie, kazała się wycofać. Donovan Caine patrzył na mnie z ukosa, nie wiedząc, co chce osiągnąć. Finn tylko westchnął.

- Chyba bardzo lubi ten zamek od Finna - ciągnęłam. - A co u twojej siostry? U Lisy? Dawno jej nie widziałam.

Brum, brum. Catherine cały czas bawiła się ciężarówką.

- Dobrze - wydusiła Roslyn z trudem. - Opiekuję się Catherine w ciągu dnia, gdy Lisa jest na uczelni. Kończy zarządzanie w college'u.

Uśmiechnęłam się łagodnie, jakbyśmy były dwiema przyjaciółkami plotkującymi na spacerze.

- Miło mi słyszeć, że u nich wszystko w porządku... w końcu.

Roslyn zacisnęła usta w wąską linię i analizowała podtekst. Nerwowo bębniła palcami w stół. Po chwili znieruchomiała.

- Tak, u nich wszystko w porządku... w końcu. - Patrzyła mi prosto w oczy. - Na tyłach klubu jest korytarz, z którego można zajrzeć do wszystkich pomieszczeń. W ten sposób sprawdzamy, czy dziewczynom nie dzieje się krzywda. Możecie stamtąd obserwować Carlyle'a. Ale z klubu musi wyjść w jednym kawałku. Nie mogę dopuścić do tego, żeby mi goście znikali z prywatnych pokoi.

Zawsze możemy go zgarnąć go sprzed klubu. Tak będzie nawet lepiej. Skinęłam głową. Odprężyła się odrobinę.

- Prawdziwy z ciebie skarb, Roslyn. - Finn cmoknął ją w policzek. - Istny skarb.

Odprężyła się całkiem i uśmiechnęła szczerze.

- Pewnie każdej to mówisz.

- Owszem, ale tylko o tobie tak myślę naprawdę.

Roslyn poklepała go po policzku. Ujął jej dłoń i pocałował. Chrząknęłam, zanim posunęli się dalej.

Finn westchnął.

- Przykro mi, skarbie, obowiązki czekają. Zobaczymy się w klubie. Może jednak spotkamy się za kilka dni, kiedy znikną obecne... przeszkody.

- Oczywiście. Zadzwoń, jak będziesz wolny.

I tak doszliśmy do porozumienia. Wstałam, Donovan Caine także. Finn westchnął i poszedł w nasze ślady.

- Chodźmy, Finn. Roslyn pewnie chce pobawić się z Catherine. - Uśmiechnęłam się do wampirzycy. - Pozdrów od na Lisę.

- Oczywiście - mruknęła, patrząc mi w oczy. - Oczywiście.

ROZDZIAŁ 19

Roslyn wyprowadziła nas na zewnątrz i wróciła do środka, żeby ułożyć Catherine na popołudniową drzemkę. Ledwie zamknęła za nami drzwi, Donovan Caine mnie zaatakował.

- Co to miało być? Jak mogłaś jej grozić? I to tym, że skrzywdzisz małą? - W jego oczach złoto mienił się gniew. - Catherine siedziała tuż obok.

- I była do tego stopnia zajęta zabawą, że w ogóle nie zwracała na nas uwagi - dodałam. - Nie groziłam jej, po prostu przypominałam Roslyn, że Finn coś dla niej załatwił i że jest jego dłużniczką. To tylko interesy i Roslyn dobrze o tym wie. Właśnie dlatego zgodziła się, żebyśmy obserwowali Carlyle'a. teraz jesteśmy kwita.

Caine cały czas przyglądał mi się ponuro.

- A gdyby odmówiła? Co wtedy? Zadźgałabyś małą?

- Ojej. - Finn cofnął się, mrużąc pod nosem.

Przechyliłam głowę i podeszłam do policjanta, tak że staliśmy naprzeciwko siebie. Ani drgnął. Więcej odwagi niż rozumu.

- Pozłuchaj, Caine, może i zabijam ludzi zawodowo, ale nie jestem potworem. Nie zabijam dzieci. Nigdy. Ale jeśli jeszcze raz mnie tak obrazisz, z największą przyjemnością poderżnę ci gardło. - Wysunęłam nóż z rękawa, uniosłam go, przesunęłam mu nim po szyi i schowałam, wszystko jednym, płynnym ruchem.

Jego rsy wykrzywiła wściekłość.

- Tak jak zabiłaś Cliffa Inglesa?

- Tak jak zabiłam Cliffa Inglesa - warknęłam. - Ale dla ciebie będę miłsza i nie wepchnę ci jaj do gardła.

Mierzyliśmy się gniewnym wzrokiem. Z jednej strony chciałam go uderzyć, rozwalić mu nos, poczuć jego gorącą krew na dłoniach. Z drugiej - miałam ochotę przyciągnąć go do siebie, pocałować i sprawić, żeby gniew jego oczach zmienił się w pożądanie.

Finn odchrząknął.

- Jeśli już skończyliście, chodźmy. Mamy dużo roboty i tak dalej.

Donovan Caine przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, ale potem poszedł do samochodu i wsiadł, trzaskając drzwiami. Finn i ja ruszyliśmy za nim.

- A tak przy okazji, Gin, miałaś dobry pomysł z tym zamkiem - rzucił Finn, zanim odpalił samochód. - Miałaś rację. To lepsze niż pluszowy psiak, którego chciałem kupić.

- Ty to wybierałaś? - zapytał Caine. - Tę różową zabawkę?

Odwróciłam się do niego.

- Tak się składa, detektywie, że dawno temu ja też byłam małą dziewczynką. Wiem, o czym marzą. Każda mała dziewczynka chce być księżniczką.

Gniew na jego twarzy ustąpił zdumieniu.

- A co się dzieje, gdy dorosną?

Przez chwilę myślałam o mamie, siostrach i całym koszmarze tamtego dnia, gdy zginęły. Roześmiałam się gorzko.

- Marzą o tym, by znowu być małą dziewczynką.

Ostrożni jak zwykle, wróciliśmy do mnie. Finn oczywiście usiadł do komputera, ciekaw, czy któryś z informatorów znalazł coś o Wayne Stephensonie. Donovan Caine rozparł się na kanapie i włączył telewizor. Nie odzywał Siudo mnie ani na mnie nie patrzył, a Finna do tego stopnia pochłonęła poczta elektroniczna, że mnie nie zauważał. Zdrzemnęłam się, chcąc zebrać siły przed, jak się spodziewałam, kolejną męczącą nocą.

Wstała koło siódmej, wzięłam prysznic i ubrałam się. obcisłe czarne dżinsy, skórzana kurtka, buty i czarna koszulka z cekinowymi wisienkami z przodu. Ukryłam noże na zwykłych miejscach i nawet zadałam sobie trud, by się umalować. Szminka była w tym samym kolorze co wisienki na bluzce.

Weszłam do saloniku. Finn siedział przy komputerze i popijał piętnasty tego dnia kubek kawy z cykorią. Miał na sobie czarne spodnie z kantami ostrymi jak moje noże. Koszula w intensywnym szmaragdowym kolorze opinała jego szerokie barki. Pod szyją wisiał czarny krawat. Finn nigdy nie zapominał o właściwym stroju.

- Co to za mroczna kreacja. Czyżby zainspirowała cię nasza znajomo Gotka? - zapytał. Miał na myśli Sophie Deveraux.

Wzruszyłam ramionami.

- Ma styl. A poza tym spodziewam się, że będę miała, hm, pełne ręce roboty, stąd czerń. Gdzie policjant?

Firm skinął głową.

- Dopiero co wyszedł spod prysznic.

Donom Caine nagi, z wodą spływającą po szczupłym ciele, gra mięśni pod skórą. Smakowita wizja. Mimo ostatniej scysji nadal uważałam, że policjant jest bardzo seksowny. A byłby jeszcze atrakcyjniejszy, gdyby wyjął sobie kij z tyłka i przestał płonąć świętym oburzeniem No, ale nie ma ludzi doskonałych.

Poszłam do kuchni, wyjęłam z lodówki jogurt jeżynowy i zagłębiłam łyżeczkę w kremowej masie. Opróżniłam pojemniczek do połowy, zanim otworzyły się drzwi do łazienki i Donovan Caine wszedł do saloniku. On także miał na sobie T-shirt i dżinsy, postrzępione i podarte na kolanach. Sfatygowaną brązową skórzaną kurtkę, podobną do mojej, przerzucił przez ramię.

Detektyw przyglądał mi się, jego orzechowe oczy zawisły na moich ustach. Obliziałam srebrną łyżeczkę, nabrałam jogurtu i wsunęłam ją do ust. W jego oczach rozblęskło złotem pożądanie, by zaraz ustąpić wyrzutom sumienia. A więc nie tylko ja poczułam przedtem podniecenie. Może coś dzisiaj z tym zrobić. Może nawet nieco więcej niż tylko coś.

Finn buchnął kolejny samochód, cadillaca z obszernym bagażnikiem. Pojechaliliśmy nim do klubu. Northern Aggression mieścił się w Northtown, ma

się rozumieć. Sam budynek to nic specjalnego - ogromna hala z anonimową, elegancką fasadą, równie pozbawioną wyrazu jak twarz wampirycznej dziwki. Przejeżdżając tędy za dnia, nikt by się nie domyślił, że mieści się tu coś innego niż kolejne call center pełne korporacyjnych mrówek.

Ale nocą to co innego. Nad drzwiami wisiał runa - wielkie serce przebite strzałą. Neon pulsował kolorowymi światłami - czerwonym, żółtym, pomarańczowym, oświetlał długą kolejkę gości tłoczących się za aksamitnym sznurem. Faceci w garniturach, dziewczyny niemal nagie - to skrajności, ale w kolejce stali wszyscy mieszczący się między nimi, widziało się najróżniejsze kształty, grupy wiekowe, rasy. Wszyscy chcieli tego samego - dostać się do środka, napić, przyćpać i spełnić swoje fantazje.

Klub był przeznaczony dla zamożnych gości, o czym świadczyły szeregi luksusowych samochodów na parkingach po obu stronach budynku. Finn zaparkował nasz wóz pod gałązkami wierzby.

- Więc jaki mamy plan? - zapytał Caine.

- Poczekamy, aż przyjdzie Carlyle, poobserwujemy go chwilę, zobaczymy, co planuje, czy z kimś się spotka. Kiedy będzie wychodził, przejmujemy go i zabierzemy do niego do domu na krótką pogawędkę - wyjaśniłam. - A potem wiele może się zdarzyć, w zależności od tego, czy okaże chęć do współpracy, czy nie.

- Zabijesz go? - zapytał spokojnie.

Odwrociłam się i spojrzałam na niego znad zagłówka.

- Pytasz poważnie? Oczywiście, że go zabiję, do cholery. Carlyle pracuje dla tej suki z magią Powietrza. Jeśli o mnie chodzi, to oznacza, że wolno mi z nim zrobić, co zechcę.

Donovan Caine pokręcił głową.

- Gin, nie mogę ci na to pozwolić, choć też uważam, że Chuckie to kawał drania. Jestem policjantem i ot dla mnie wiele znaczy, choć dla ciebie nie.

Przyglądałam mu się. Jego zasady moralne strasznie skomplikują tę noc, chyba że go przekonam, żeby dał sobie z nimi spokój - ten jeden raz. Coś przyszło mi do głowy. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze, ale musiałam tak postąpić, żeby nie wchodził mi dzisiaj w drogę.

- Finn, masz jeszcze w komórce to zdjęcie? To, które przysłała ci Gotka?

Finn skinął głową.

- Bądź tak dobry i pokaż je Donovanowi.

Finn włączył telefon, znalazł właściwe zdjęcie i, nie patrząc na ekran, podał aparat policjantowi. Donovan wziął go i spojrzał na wyświetlacz. Przez jego twarz przemknęły szok i niesmak w tej kolejności. Czekałam, aż pojawiło się coś innego - współczucie. Współczucie dla Fletchera. Współczucie, które zamierzałam wykorzystać.

- Przyjrzyj się dobrze, Caine. Oto jak ta kobieta potraktowała mojego pośrednika - powiedziałam cicho. - Nie wystarczyło jej, że go zabiła. Dalej go cięła. Właśnie tak go znalazłam, w kałuży krwi. Był niemal nie do poznania, tak

bardzo się nad nim pastwiła, żywcem obdzierając ze skóry. Fetor był... nie do opisanego. Zrobiłaby ci to samo, gdybym nie wkroczyła do akcji. Dokładnie to samo.

Donovan Caine nie reagował. Cały czas patrzył na zdjęcie martwego Fletchera.

- Obiecałam, że nie skrzywdzę niewinnych i dotrzymam słowa. Jak już powiedziałam, nie zabijam dzieci. Ani zwierząt - dodałam. - A kiedy zabijam, robię to szybko i najczęściej bezboleśnie. Ale to, co tu widzisz, to ohyda. Ci mężczyźni w twoim domu mówili, że Carlyle był z nią, gdy to robiła. Pomagał jej torturować staruszkę, którego kochałam. Więc tak, zabiję drania. Masz z tym problem? To spadaj. I to już.

Donovan przeczesał ciemne włosy palcami, wyłączył telefon i oddał go Finnowi, który przyjął go bez słowa. Caine zamknął oczy. Zaciśnął zęby. Na jego policzku drgał mięsień. Aż w końcu otworzył oczy i spojrzał na mnie. W złotych oczach lśniły emocje. Szok. Gniew. Niesmak. Przerazenie. Zrezygnowanie.

- Dobrze - powiedział cicho. - Masz rację co do Carlyle'a i kobiety. Są twoi. Ale kret w policji jest mój. Ja się nim zajmę, nie ty. Jasne?

Takie warunki były do przyjęcia.

- Jasne. A teraz poszukajmy sukinsyna.

Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do drzwi wejściowych. Finn poprawił fryzurę, sprawdził, czy jego oddech jest świeży i miętowy, wyrównał krawat, aż leżał idealnie pośrodku piersi.

- Gadanie zostawcie mnie, a wszystko pójdzie gładko.

Przewróciłam oczami, ale pozwoliłam, by mnie wyprzedził.

Finn nie przejmował się kolejką oczekujących, podszedł do drzwi, nie odpowiadając na wrogie spojrzenia i pomruki. Przy drzwiach stał potężny ochroniarz z plastikową podkładką i odhaczał nazwiska na liście. Finn zatrzymał się przy nim i przywołał promienny uśmiech.

- Xavier, mój drogi. Co u ciebie? - Finn wyciągnął rękę.

Xavier przyglądał mu się wielkimi oczami. Przechylił głowę, aż zatrzeszczały kręgi. Neon w kształcie serca sprawiał, że jego łysa głowa lśniła jak klejnot w nocnych ciemnościach. Olbrzym uśmiechnął się radośnie, ujmując dłoń Finna - i pięćdziesiątkę, zręcznie w niej ukrytą.

- Dobrze - odparł niskim głosem. - Roslyn mówiła, że wpadniesz. Baw się dobrze, Finn.

Finn wsunął mu kolejną setkę i puścił oko.

- Taki mam zamiar.

- Xavier odsunął się i odpiął aksamitny sznur. I nagle, tak po prostu, znaleźliśmy się w środku.

Być może z zewnątrz klub Northern Aggression niczym się nie wyróżniał, ale wewnątrz był bardzo charakterystyczny. Panowała w nim atmosfera rozkosznej dekadencji. Ściany były niewidoczne - pokrywały je czerwone

aksamitne draperie. Podłoga była z drewna bambusa, a bar - istne dzieło sztuki z bryły magicznego Lodu. Pokrywały go skomplikowane runy - przede wszystkim słońca i gwiazdy, symbolizujące życie i radość. Barman w błękitnej jedwabnej koszuli szykował drinki. W półmroku jego oczy lśniły błękitno-białym blaskiem. Żywiłowy Lodu. Był nie tylko barmanem, miał też za zadanie dopilnować by jego dzieło nie stopniało do zamknięcia lokalu.

Wszędzie kręcili się ludzie z obsługi, mniej lub bardziej roznegliżowani, i proponowali gościom szampana, truskawki w czekoladzie i świeże ostrygi. Za wszystko inne z menu klubu - jedzenie, alkohol, seks, krew i narkotyki - trzeba było zapłacić. Większość personelu stanowiły wampiry i wampirzyce, wszyscy parali się prostytutką. Wszyscy nosili też naszyjniki z runą - sercem przebitym strzałą. I uśmiechali się znacząco, obiecując nieziemskie rozkosze. Wystarczy tylko poprosić i zapłacić odpowiednią sumę.

Na parkiecie kręciło się trochę tańczących, lecz więcej siedziało w przytulnych wnękach. Całowali się, pieścili, dotykali, jęczeli. Niektóre stoliki podskakiwały rytmicznie - pary siedzące przy nich przeszły już do konkretów. Gdzie indziej płonęły czerwone ogniki, a pod sufit wzbijał się dym z najróżniejszych nielegalnych substancji. Wszyscy mieli w rękach szklanki z drinkami. Co pewien czas kolejna para udawała się w stronę schodów w tylnej części klubu. Na piętrze były pokoje do wynajęcia na pół godziny, dla tych, którzy chcieli odrobinę więcej wygody i prywatności w czasie seksu.

Nieco dalej stał kolejny potężny ochroniarz. Aksamitny sznur odgradzał część klubu. Tam znajdowało się wejście do prywatnych pomieszczeń, zarezerwowanych dla specjalnych gości Roslyn Phillips, którzy słono płacili za ten przywilej.

Weszliśmy głębiej. Zobaczyłam Roslyn w tłumie gości. Chodziła od stolika do stolika, zerkając na parkiet. Ścisnęła dłonie klientów, uśmiechała się, gawędziła, zachęcała, żeby bawili się tak, jak tego zapragną. Przebrała się - zamiast dresów miała na sobie dopasowany kostium z krwiście czerwonego jedwabiu. Żakiet eksponował pełne piersi, spódnica sięgała tylko do połowy uda. Kozaki na wysokich obcasach sięgały jej za kolano.

Niejeden mężczyzna i niejedna kobieta nachylali się do jej ucha i coś szeptali, ale Roslyn za każdym razem uśmiechała się i grzecznie dziękował za propozycje. Skończyła z pracą prostytutki i już nie sprzedawała siebie. Oto zaleta kierowniczego stanowiska.

Po mniej więcej minucie poczuła na sobie mój wzrok. Zmrużyła oczy i lekko potrząsnęła głową na znak, że Carlyle'a jeszcze nie ma. Szturchnęłam Finna w bok.

- Jest twoja dziewczyna - powiedziałam, przekrzykując muzykę. - Idź, dotrzyмай jej towarzystwa. Kiedy przyjdzie Chuckie i Rosalyn wyśle go do pokoju, zadzwonisz do mnie na komórkę.

Finn skinął głową i od razu ruszył w stronę wampirzycy.

- I co teraz? - zapytał Caine.

Wskazałam głową bar.

- Napijmy się Równie dobrze możemy sobie jakoś uprzyjemnić oczekiwanie.

Przeciskając się przez tłum ludzi, obeszliliśmy parkiet i dopchaliśmy się do baru. Z bliska rzeźba z Lodu wyglądała jeszcze bardziej imponująco. Była tak nasycona magią, że aż mieniła się niebiesko. Moc płynęła także od barmana, jak woda z kranu. Posługiwał się magią, żeby kontuar nie stopniał. Imponujące. Moja słabiutka magia Lodu zareagowała delikatnie.

Barman położył podkładki na zimnym kontuarze.

- Co podać?

- Dżin z lodem - odparłam.

Donovan Caine uniósł brew.

- Co za banał. Gin pije dżin.

Wzruszyłam ramionami.

- Może, ale to lubię. A ty?

- Dla mnie szkocka. Bez lodu.

Barman odszedł żeby przygotować nasze zamówienie. Usiedliśmy, a Caine odwrócił się tak, żeby widzieć wewnątrz klubu,=. Oparłam się na łokciu i przyglądałam mu się. Ciemne włosy, złote oczy, szczupła sylwetka. Nie miał klasycznej urody, ale był twardy, nieokrzesany i przez to wydawał mi się nieodparcie pociągający.

Być może Donovan Caine nienawidził mnie, tego co robię, swobody, z jaką zabijam. Ale wiedziałam też, że go pociągam. Że mnie pragnie, tak jak ja jego. Widziałam to w jego oczach już tamtego pierwszego wieczora na balkonie w operze. I potem w Świecie Ciast. I dzisiaj, kiedy zajadałam jogurt.

Zerknęłam na zegarek. Nie było jeszcze nawet dziesiątej Zapewne trochę czasu upłynie, zanim zjawi się Charles Carlyle. Miałam kilka pomysłów, jak możemy umilić sobie czekanie.

Barman postawił przed nami szklanki. Położyłam na lodowym kontuarze banknot pięćdziesięciodolarowy. Caine jednym haustem wypił drinka. Poszłam w jego ślady. Zimny alkohol palił mnie w gardło, lecz jakimś cudem zmienił się w przyjemne, kojące ciepło, gdy dotarł do żołądka.

Odstawiłam pustą szklankę i ponownie skoncentrowałam się na detektywie. Chłonełam wzrokiem krzywiznę jego nosa, zarys podbródka, rytmiczny puls na szyi. Poczuliśmy moje spojrzenie, zobaczył w nim pragnienie. W złotych oczach rozbłysło pożądanie, choć starał się je zgasić.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - zapytał.

Przechyliłam głowę i się uśmiechnęłam.

- Chyba wiesz.

- Nie, nie wiem. Powiesz mi?

Uśmiechnęłam się szerzej.

- Wolałabym ci to po prostu pokazać.

Przybliżyłam się, ujęłam jego twarz w dłonie i przywarłam wargami do jego ust.

Nie był to najbardziej romantyczny pocałunek świata, ale dotyk jego ust sprawił mi przyjemność, choć tego samego nie można

było chyba powiedzieć o nim. Smakował szkocką, którą wypił przed chwilą - mocno, słodko, korzennie i słonawo zarazem. Wciągałam jego zapach. Czysty, jak mydło. Otaczał go, jakby przypisany do jego skóry. Mmm.

Poruszyłam językiem. Zesztywniał. Nie odsunął się ale też nie otworzył ust, nie wysunął języka. Jaka szkoda.

- No dalej, detektywie - szepnęłam w jego zaciśnięte usta. - Wszyscy dokoła to robią. Czemu i my nie spróbujemy?

- Naprawdę mam wymieniać powody? - warknął.

- Nie - odparłam. - Bo jest równie wiele powodów za. Na przykład ten.

Usiadłam mu na kolanach. Choć go tym zaskoczyłam, choć niewiele do tej pory zrobiłam, poczułam na pośladkach jego erekcję. Pocałowałam go znowu, lekko, i przełożyłam nogi tak, że siedziałam na nim okrakiem. Zakołysałam się, pochyliłam w przód i w tył, ocierałam się o niego, przywierałam do niego piersiami i rozkoszowałam się napięciem między nami. Mmm.

Donovan przyciskał ręce do boków. Powstrzymywał się z całej siły, żeby mnie nie dotknąć,

- No dalej, panie władzo - mruknęłam. - Też mnie pragniesz, mam pod sobą namacalny dowód. Po wszystkim każde z nas pójdzie swoją drogą. Straciłam już rachubę, ile razy w tym tygodniu uniknęłam śmierci. Ty chyba też. Niby dlaczego nie moglibyśmy troszeczkę odreagować i nieźle się przy tym zabawić?

Caine przyglądał mi się bacznie. W jego oczach rozbłysło pożądanie, aż zaśniły jak małe słońca. A mimo to się wahał. Znowu poruszyłam biodrami, prowokowałam go, i ten ruch w końcu zadziałał. Mruknął coś gardłowo, wplótł rękę w moje włosy i pocałował mnie.

Tym razem nie było mowy o zamkniętych ustach. Ani o delikatnej pieśszczocie. Nasze języki splatały się, sięgały coraz głębiej. Przycisnęłam dłoń do jego klatki piersiowej, rozkoszowałam się siłą jego mięśni. Przyciągnął mnie do siebie, szukał moich piersi.

Przesunęłam paznokciami po jego brzuchu. Kołysaliśmy oboje, drażniliśmy się wzajemnie obietnicą rozkoszy.

Wystarczyło dziesięć sekund, żebym zwilgotniała. Pół minuty, żeby pragnienie zaczęło sprawiać mi ból. Po minucie miałam ochotę zerwać z niego dzinsy i pociągnąć go na podłogę, za bar. Chciałam być z nim sama, chciałam zapomnieć o wszystkim, myśleć tylko o nim i o tym, co we mnie budził.

- Mają pokoje na piętrze - szepnęłam.

W jego oczach pojawiły się nowe uczucia. Pożądanie. Wyrzuty sumienia. Wahanie. Pragnienie.

Wolno skinął głową.

Uśmiechnęłam się i pochyliłam, żeby go pocałować, i wtedy poczułam dziwne pulsowanie na udzie. Minęło kilka sekund, zanim do mnie dotarło, co to jest.

To wibrowała moja komórka.

ROZDZIAŁ 20

Finn zadzwonił, co oznaczało, że nasza ofiara jest już na miejscu. Niech szlag trafi Charlesa Carlyle'a.

Bo nieważne, jak bardzo pragnęłam Donovaną Caine'a i jak bardzo on odwzajemniał to uczucie, najważniejsze było śledzenie wampira. Najważniejsze to dowiedzieć się, dla kogo pracuje.

Najważniejsze to pomścić Fletchera.

Westchnęłam.

- Sorry, panie władzo. Obowiązki wzywają.

- Wiem - odparł ochryple. - Czuję, jak twój telefon wibruje mi na udzie.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. W jego wzroku nadal płonęło pożądanie, ale dostrzegłam coś jeszcze... ulga - zorientowałam się po chwili. Zastanowiło mnie to. Ulga? Dlaczego? Że nie zdradzi martwego partnera, pieprząc się z jego zabójczynią? Ze względu na własne zasady moralne? A może dlatego, że nie przekona się, jak dobrze mogłoby być nam w łóżku i nie będzie chciał więcej?

Telefon wibrował nieprzerwanie. Zsunęłam się z kolan detektywa, wyjęłam komórkę z kieszeni dzinsów i odebrałam.

- Co jest, Finn?

- Carlyle wszedł do środka. Tak tylko informuję - rzucił złośliwie. - Chyba że wolisz dalej ocierać się o szanownego pana władzę.

Rozejrzałam się po sali. Chwilę trwało, zanim zauważyłam Charlesa Carlyle'a, znanego także jako Chuckie. Ale kiedy go już dostrzegłam, nietrudno było mieć go na oku. Niski, krępy wampir paradował w czarnym garniturze w szerokie, białe prążki, z białymi wyłogami. W ultrafioletowym świetle błyskającym w klubie paski jarzyły się intensywnie. To lepsze niż GPS. Na łysiejącej głowie miał czarną fedorę. Miał też jeszcze dwa inne znaki rozpoznawcze - dziewczyny uwieszone każdego ramienia. Obie miały naszyjniki z runą klubu - sercem przeszytym strzałą. Chuckie szybko zabiera się do dzieła.

Carlyle od razu skierował się w stronę olbrzyma stojącego na straży wejścia do prywatnych pomieszczeń. Powiedział coś i po chwili olbrzym odsunął się, a wampir i jego dziewczyny zniknęli w korytarzyku.

- Gdzie jesteś? - zapytałam Finna.

- Za wejściem dla VIP-ów, z Roslyn, przy stoliku.

Wypatrzyłam ich; wyglądali mniej więcej tak, jak ja z Donovanem Caine'em jeszcze minutę temu.

- Nie ruszaj się. Przyjdziemy po ciebie.

Rozłączyłam się i spojrzałam na detektywa.

- Carlyle tu jest. Idziemy.

* * * *

Oddaliliśmy się od baru, przeciskaliśmy się przez tłum w stronę Finna i Roslyn. Trzymała jedną rękę pod stołem i, sądząc po uśmiechu Finna, łechtła coś więcej niż jego ego. Na nasz widok wstała i wygładziła spódniczkę. Wbiła wzrok w błyszczące owoce na mojej koszulce.

Wisienki.

- Jakie to słodkie - mruknęła.

Uśmiechnęłam się.

- Chodźcie. - Roslyn skierowała się do drzwi w tylnej ścianie klubu. Caine zrównał się z nią.

- Zostań tutaj i miej oko na wszystko - poleciłam Finnowi. - Niewykluczone, że do Carlyle'a dołączą jego kumple.

- Nie ma sprawy, i tak chce mi się pić. - Finn puścił do mnie oko, wstał i odszedł w stronę baru. Dogoniłam Roslyn w chwili, gdy otwierała drzwi ukryte w czerwonym aksamicie pokrywającym ściany. Znaleźliśmy się w wąskim korytarzyku prowadzącym w prawo i w lewo i tam dalej się rozgałęziającym. Roslyn zamknęła za nami drzwi i muzyka ucichła.

- Tędy - mruknęła i skrzyła w lewo.

Szliśmy za nią wąskim przejściem. Mijaliśmy różne pomieszczenia: biura z komputerami i drukarkami, łazienki dla personelu, pokój socjalny z automatami ze słodyczami i rzędami metalowych szafek. Biznesowe zaplecze klubu. Aksamit na ścianach był tu czarny, nie czerwony. Podobnie jak chodnik na podłodze.

Roslyn skrzyła kilka razy, prowadziła nas coraz dalej w tę Króliczą norę. Każdy kolejny korytarz, był nieco węższy niż poprzedni. Ostatni był tak wąski, że musieliśmy iść gęsiego. Na ścianach aksamit ustąpił ciemnym panelem. Na wysokości oczu widniały wąskie otwory z gałkami poniżej, którymi można było otwierać i zamykać judasze. Przypominało mi to staroświecki fotoplastykon.

Roslyn zatrzymała się na początku tego korytarzyka i spojrzała na nas poważnie.

- Carlyle jest w trzecim pokoju po prawej. Macie pół godziny, zanim wyślę kogoś, żeby sprawdził, czy z dziewczynami wszystko w porządku. Do tego czasu musicie zniknąć.

Lekko skinęłam głową. Wampirzyca przyglądała mi się przez chwilę, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła tą samą drogą, którą przyszlismy.

- No to chodźmy - mruknęłam cicho. - Zobaczymy, co knuje nasz przyjaciel Chuckie.

Donovan odliczył otwory i zatrzymaliśmy się przed właściwym. Detektyw spojrzał na mnie. Skinęłam głową. Ujął gałkę i powoli, cicho przekręcił ją, odsuwając panel. Szpara miała około 60 centymetrów długości, ale była bardzo wąska, znajdowała się na wysokości oczu.

Oboje dobrze widzieliśmy, co dzieje się w środku. Przysunęliśmy się do ściany. Naszym oczom ukazało się niewielkie pomieszczenie z pluszową kanapą

pod ścianą. Stał tam także stolik i kilka krzeseł. Na półeczce poniżej zamaskowanego otworu stały butelki z alkoholem. A zatem Judasz krył się za barkiem. Pod sufitem kołysała się dyskotekowa kula, rzucając na wszystko srebrzyste błyski.

Charles Carlyle nie marnował czasu. Jedna z dziewcząt już przed nim klęczała, z ustami przy jego rozporoku, drugiej wsunął rękę pod spódnicę i język do gardła. Słyszeliśmy mlaskanie, cmokanie i jęki dziewcząt. To prawdziwe profesjonalistki. Gdybym nie wiedziała, jak jest w rzeczywistości, uwierzyłabym, że naprawdę dobrze się bawią.

Donovan Caine poruszył się niespokojnie - zapewne myślał o tym co robiliśmy przy barze. Szkoda, że nam przerwano.

Staliśmy tak ze trzy minuty, póki Carlyle nie skończył. Dziwka z podłogi wytarła usta, wstała i dołączyła do koleżanki - usiadła na kanapie obok Chuckiego. Obie plotły jakieś bzdury - jaki jest wielki i potężny, że przy innych facetach udają, ale z nim jest im naprawdę dobrze. Czułam, jak drgają mi usta. Tekst wieczoru.

Carlyle przez chwilę jeszcze je obmacywał, potem uderzył obie w pośladki - mocno - i zapiął rozporek.

- Spadajcie, dziewczyny - powiedział. - Będę miał gości.

Gości? Brzmiało obiecująco.

Wampir rzucił dziewczynom plik pięćdziesiątek, które upchnęły w stanikach, posłały mu całusy i wyszły. Westchnął z zadowoleniem, wstał i poprawił spodnie. Miałam nadzieję, że było mu dobrze. Po raz ostatni w życiu uprawiał seks.

Potem podszedł w stronę ściany, za którą staliśmy. Przez chwilę obawiałam się, że może nas zważył, ale on tylko sięgnął po butelkę i nalał whisky do szklanki. Szykował sobie drinka. Był tak blisko, że mogłabym wsunąć ostrze przez wizjer i go zranić. Niedługo przyjdzie i na to pora.

Carlyle właśnie wypił pierwszy łyk whisky, gdy otworzyły się drzwi po przeciwległej stronie pokoju i ktoś wszedł. Carlyle zasłaniał mi widok, ale i tak dostrzegłam, że nowo przybyły to olbrzym o włosach przyprószonych siwizną i potężnym ciek, które powoli porastało tłuszczem.

- Najwyższy czas - mruknął Carlyle.

- Sorry - odparł tamten. - Niektórzy z nas mieli pełne ręce roboty.

U mojego boku Donovan Caine zeszywniał. Bo głęboki baryton nowoprzybyłego należał do jego szefa - kapitana policji Wayne'a Stephensona.

- Czego się napijesz? - zapytał Carlyle.

- Whisky. I to dużo.

Carlyle nalał alkoholu do szklanek. Stephenson usiadł przy stoliku. Carlyle podał mu szklankę i odstawił butelkę. Policjant wychylił bursztynowy płyn jednym haustem i od razu dolał sobie alkoholu. Olbrzymi muszą wypić naprawdę dużo, żeby się upić. Podobnie jak krasnoludy. Tylko ludzie i wampiry nie znają swoich alkoholowych możliwości.

- Mówiłem ci przez telefon, że spotkanie to kiepski pomysł - mruknął Stephenson i wychylił drugą szklaneczkę. - Nie mam życia przez to zabójstwo Gilesa. Wiedziałaś, że drań to znajomy burmistrza? Jego współlokator z college'u czy coś takiego. Pieprzony bufon już dwa razy do mnie dzisiaj dzwonił.

Carlyle usiadł naprzeciwko olbrzymu.

- A ja ci mówiłem, że szefowa zażyczyła sobie sprawozdania. Osobistego. Blade oczy Stephensona zatrzymały się na drzwiach.

- Ale nie przyjdzie tu chyba? Już i tak ryzykuję, że ktoś nas razem zobaczy. Jeśli ona tu wejdzie...

- Wyluzuj - mruknął Carlyle. - To miejsce zapewnia całkowitą anonimowość. Nikogo nie obchodzi, co i z kim robisz, o ile pamiętasz, żeby uściśnić rachunek. A jeśli chodzi o nią... Miała dzisiaj inną zwierzynę do oprawienia, więc wysłała mnie. Nie musisz obawiać się o własną skórę... na razie.

Stephenson wyjął z kieszonki na piersi białą chusteczkę i otarł czoło. Nawet z oddali czułam smród jego strachu.

- Żałuję, że się w to wszystko wpakowałem,.

- Wystarczyło nie pieprzyć dziesięciolatek z drużyny futbolowej twojej córki.

Carlyle mówił lekko, beztrąsko, jakby się zastanawiał, czy jutro będzie padać.

Donocan Caine warknął nisko, gardłowo. Jak wilk, zanim skoczy ofierze do gardła. Zacisnął pięści. Słyszałam, jak zgrzyta zębami.

A więc Stephenson to pedofil. Żywiolowa zapewne bez trudu zdobyła na niego haka. Wystarczyło jedno zdjęcie i kapitan policji jadł jej z ręki.

- A co z zabójczynią? - zapytał Carlyle. - Macie coś na nią?

Stephenson zachnął się i nalał sobie trzeciego opinka.

- Ta suka jest jak duch. Żaden z moich informatorów nie wie, kim jest, ani nawet jak wygląda. Wszystkie przekazane nam informacje okazały się nic nie warte i zaczynam podejrzewać, że portret pamięciowy to ściema. Moim zdaniem ona zniknęła na dobre. Wyniosła się z miasta i mamy ją z głowy.

Carlyle trawił te informacje.

- A co z synem starego? Tym bankierem?

Stephenson wzruszył ramionami.

- Finnegan Lake zadzwonił do banku, że bierze urlop, bo nie może się pogodzić ze śmiercią ojca. Pewnie teraz wypoczywa na jakiejś pięknej wysepce.

- A Caine? Odezwał się?

Stephenson ponownie otarł pot z czoła.

- Nie, sukinsyn przepadł jak kamień w wodę. Nie był na tyle głupi, żeby wrócić do domu. Nie przyszedł do pracy, nikt z jego kumpli go nie widział. Ale na pewno nadal jest w Ashland. Nie ma środków, żeby zniknąć jak Lane.

Carlyle pochylił się i przeszył olbrzymu ostrym spojrzeniem.

- Musisz go znaleźć. Caine to tykająca bomba, przez niego wszystko może się posypać. Szefowa żąda, żebyś go odnalazł - i to na wczoraj. Wiesz, co się dzieje, gdy nie dostaje, czego chce - pokazywałem ci zdjęcie starego z tej knajpy.

Stephenson opróżnił kolejną szklaneczkę. Alkohol chyba dodał mu odwagi, bo odwzajemnił ostre spojrzenie wampira.

- Dzwoniłem do Caine'a, jak mówiłeś. Gdyby twoi ludzie wywiązali się z zadania i zatrzymali go w domu do jej przyjazdu, nie mielibyśmy teraz problemu. I wiesz co, na twoim miejscu nie zastanawiałbym się, kiedy twoja szefowa mnie załatwi. Bo ty też jej nie umkniesz. Kiedy tylko uzna, że więcej cię nie potrzebuje. Ta suka oszalała. Co ona myśli, że nikt nie zauważy, co wyprawia? Że zatrudniła tylu mądrali? Że kompletuje własną ekipę, żeby przejąć organizację Mab Mortroe? I jeszcze, że wykorzystuje do tego pieniądze z firmy Mab?

- Póki Gordon nie zaczął węszyć, nikt niczego nie zauważył - mruknął Carlyle.

Zmrużyłam oczy. Więc o to chodzi. Pani Powietrza wyprowadzała pieniądze z Halo Industries, żeby przejąć kontrolę nad miastem. Żeby zebrać armię i wypowiedzieć wojnę Mab Monroe, Gordon Giles wiedział o defraudacjach i chciał iść z tym na policję, i dlatego musiał umrzeć. Nie mogła ryzykować, że Mab dowie się o jej planach, nie teraz, kiedy jeszcze nie jest gotowa do walki. Ale ponieważ zabójstwo Gilesa zwróciłoby uwagę Mab na Halo Industries, żywiółowa zatrudniła mnie, żebym wzięła na siebie winę i skończyła - jakie to wygodne rozwiązanie - jako martwa zabójczyni Gilesa.

Ale Stephenson miał rację. Ta suka naprawdę oszalała, jeśli sądzi, że zdoła wyrwać miasto z łap Mab Monroe. Bo przecież zanim w ogóle dotrze do samej Mab, będzie musiała pokonać jej przybocznych. Jej prawnik, Jonah McAllister, to łatwa zdobycz, choć miał własnych ochroniarzy. Ale Elliot Slater, szef ochrony Mab, to twardy orzech do zgryzienia. No i jeszcze ma Mab - dotąd niepokonana. Dawid miał większe szanse z Goliatem niż ta żywiółowa w starciu z Mab Monroe.

Ale z tej rozmowy wynikało coś jeszcze - tajemniczą osobą z magią powietrza niemal na pewno jest jedna z siostr Haley. Nikt inny nie zajmował dość wysokiej pozycji, by porwać się na coś takiego.

Carlyle powie mi, o którą siostrę chodzi, nieważne, jak bardzo będę musiała się o to postarać.

Carlyle nie wdawał się w dyskusję z olbrzymem. Wrócił na kanapę. Przesuwał palcami po brzegu szklanki, patrząc na Stephensona z przebiegłym uśmiechem. Rozważał coś.

- Może moglibyśmy dojść do porozumienia - powiedział spokojnie. - Bo wygląda na to, że zmęczyła cię praca dla żywiółowej.

Stephenson przyglądał mu się uważnie.

- Jakie porozumienie masz na myśli?

- Obaj zdajemy sobie sprawę, że ona pójdzie na dno - to tylko kwestia czasu, - zaczął Carlyle. - Ale kto powiedział, że kiedy do tego dojdzie, my dwaj nie moglibyśmy pozbić tego, co zostanie?

- Co ty mi dokładnie proponujesz?

Carlyle wzruszył ramionami.

- Na razie nic. Poza prostym układem: ty dbasz o moje interesy, ja o twoje, póki sprawa nie ucichnie. A potem... cóż zobaczymy, co będzie.

- A co z nią? - W głosie olbrzyma znowu rozbrzmiewał strach. - Jeśli tylko przemknie jej przez myśl, że kombinujemy...

- Nie przejmuj się nią. - - Na topornej twarzy Carlyle'a pojawił się uśmiešek. - Mam... powiedzmy, polisę ubezpieczeniową, żeby za bardzo nie podskakiwała.

Polisę ubezpieczeniową? Przychodziła mi do głowy tylko jedna rzecz, którą Carlyle mógł mieć, a której żywiłowa mogła się obawiać - pen drive Gordona Gilesa, a na nim wszystkie jej finansowe machlojki. Wampir okazał się o wiele bardziej przydatny, niż sądziłam.

Stephenson nie zareagował na propozycją ale widziała, rozpaczliwą nadzieję w jego oczach. Kapitan zrobiłby wszystko, byle wyrwać się ze szponów żywiłowej, nawet jeśli oznaczało to przymierze z takim bandziorem jak Carlyle. Nie zdawał sobie sprawy, że koniec końców wampir potraktuje go równie brutalnie, jak zrobiłaby to ona.

- Zastanów się nad tym - powiedział Carlyle. - Byle nie za długo.

Dopił drinka i wskazał głową drzwi.

- A teraz idź. Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia, zanim wieczorem zobaczę się z żywiłową.

Stephenson tylko na to czekał. Jeszcze raz otarł pot z czoła, wstał i podszedł do drzwi. Carlyle odczekał chwilę, odstawił butelkę na barek i włożył kapelusz. On także zbierał się da wyjścia.

Donovan Caine odsunął się od wizjera. Ja także. Przekręcił gałkę i szczelina się zamknęła.

- Sukinsyn - mruknął. - Pieprzony sukinsyn zrobił mnie.

Chciał mnie wyprzedzić w wąskim korytarzyku, ale złapałam go za ramię.

- Nie - powiedziałam. - Nie przyszliśmy tu po twojego szefa. Najpierw przekonamy się, co Carlyle ma do powiedzenia, potem zajmiemy się Stephensonem. Taka była umowa, pamiętasz?

W oczach Caine'a buzował gniew. Czulałam, jak napinają się mięśnie w jego barku.

- Dostaniesz Stephensona - powtórzyłam. - Będzie twój i zrobisz z nim, co zechcesz - ale nie dzisiaj. Carlyle wychodzi. Musimy go dopaść. Nie wiem jak ty, ale ja mam dosyć chowania się po kątach. Chcę poznać jej nazwisko. A Carlyle może mi je podać. Idziesz ze mną, czy mam cię ogłuszyć i zostawić tu, żeby cię znalazł goryl Roslyn?

Minęła dłuższa chwila, nim odetchnął głośno.

- No dobrze. Zrobimy to po twojemu.

Skinęłam głowę.

- Dobrze. A teraz bierzmy się za drania, zanim odejdzie.

ROZDZIAŁ 21

Wróciliśmy do klubu. Wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do Finna.

- Tak? - starał się przekrzyczeć hałas.

- Carlyle wychodzi.

- Wiem - usłyszałam. - Stephenson jest już przy drzwiach. Chuckie płaci za dzisiejsze przyjemności olbrzymowi przy wejściu dla VIP-ów. Chyba nie mogą dojść do porozumienia co do należność. Wy go podglądaliście, a ja przespacerowałam się po parkingu, żeby zlokalizować jego samochód. Należące do niego śliczne, czerwone bmw stoi po zachodniej stronie, trzy rzędy od naszego wozu.

Uśmiechnęłam się ponuro.

- Świetnie. Miej go na oku. My idziemy do wozu.

Rozłączyłam się. Przebijałam się przez tłum, wyszukiwałam co luźniejsze miejsca w zbitej masie rozbawionych klientów. Donovan Caine deptał mi po piętach.

Mniej więcej po minucie wyszliśmy z Northern Aggression. Chłodne nocne powietrze było jak otrzeźwiający policzek po gorącej atmosferze klubu.

- Tędy - powiedziałam.

Detektyw szedł koło mnie. Ochłonął trochę z furii, jaka go ogarnęła na widok Stephensona, choć nadal zaciskał usta w wąską linię. Sięgnął za plecy, wyjął broń zza paska, zacisnął w dłoni.

- Jak chcesz to zrobić?

- Na razie broń nie będzie nam potrzebna, detektywie. Ty i Finn zostaniecie z tyłu - poleciłam. - Ja podejść do Carlyle'a i go obezwładnię. Tym sposobem, jakby coś poszło nie tak, zobaczy tylko mnie.

Donovan skinął głową.

- Dobrze.

Bmw stało dokładnie tam, gdzie wskazał Finn. Trudno go było nie zauważyć, skoro tablica rejestracyjna informowała, że tym autem jeździ CHUCKIE.

Donovan skulił się za innym wozem, kilka metrów dalej. Ja stanęłam za SUV-em obok bmw i zajrzałam przez okno od strony kierowcy.

Dochodziła północ, powietrze ochłodziło się gwałtownie. Muzyka wylewała się z klubu, czułam pod stopami wibracje betonu. Klasyczne połączenie - *sex, drugs and rock and roll*. Jakies sto metrów ode mnie stała grupka palaczy - zaciągali się nie wiadomo czym. Poza nimi na parkingu nie było nikogo. Wszyscy nadal tłoczyli się w klubie, szukali zapomnienia na kolejną noc. Zacisnęłam dłoń na nożu i odliczałam w myślach sekundy. Pięć... Dziesięć... Dwadzieścia... Czterdzieści pięć...

Dwie minuty później Charles Carlyle wyłonił się zza rogu. Szedł szybkim, zdecydowanym krokiem człowieka, któremu się wydaje, że wszystko

zrozumiał. Że świat leży u jego stóp. Mimo tego rozejrzał się czujnie dokoła jak ktoś, kto w nocy zapuszcza się w niebezpieczną okolicę.

Ale mnie nie widział. Nikt nigdy mnie nie widział, póki nie było za późno. Uśmiechnęłam się. Biedny Chuck. Niemal było mi go żal.

Póki nie przypomniałam sobie Fletchera.

Rozejrzałam się, ale nie widziałam Finna za wampirem. Finn także potrafił wtopić się w otoczenie, jeśli tylko tego chciał.

Carlyle podszedł bliżej, minął samochód, za którym chował się Donovan Caine. Pogwizdywał wesoło i bawił się kluczykami do samochodu. Wcisnął guzik na breloczku i bmw błysnęło światłami. Alarm został odblokowany, drzwi otwarte. Czas na mój ruch.

Na palcach wymknęłam się z SUV-a i podeszłam do Carlyle'a. Wampir już wyciągał rękę do klamki, gdy do niego zawołałam.

- Przepraszam cię, skaaarbie - zaczęłam przeciągle. - Masz może ogień? Bo moja zapalniczka chyba zginęła. W cholernych mini nie ma miejsca na kieszenie.

Carlyle odwrócił się, słysząc mój głos, i uśmiechnął szeroko. Przyspieszyłam kroku, przyjąłam pozycję. Nie wyglądałam tak, jak się tego spodziewał, zmarszczył brwi, nagle podejrzliwy.

- Co do cholery...

Zdenerwowałam się, gdybym do tego czasu nie zdążyła palnąć go rękojeścią noża w głowę, tak że stracił przytomność. Zamrugął, po czym oczy uciekły mu w głąb i runął na ziemię. Po mojej prawej stronie pojawił się Donovan Caine, z lewej wynurzył się Finn.

- Chodźmy. - Pochyliłam się, złapałam wampira pod pachy. - Pomóżcie mi wsadzić go do bagażnika.

Godzinę później chlusnęłam Charlesowi w twarz lodowatą wodą. Przywróciła mu przytomność, podobnie jak dwa siarczyste policzki, które mu wymierzyłam. Ból w dłoniach sprawiał mi przyjemność.

W końcu robiłam coś, co miało związek z morderstwem Fletchera, przejęłam inicjatywę, a nie tylko reagowałam na poczynania innych.

- Pobudka, Chuck - powiedziałam. - Otwórz oczka i mów, co wiesz.

Wampir zamrugął kilkakrotnie, zanim ogarnął wzrokiem mnie i otoczenie. Po tym, jak załadowaliśmy go do bagażnika ukradzionego samochodu, pojechaliśmy do jego domu na skraju orthtown - Finn zdobył adres, gdy szukał informacji na jego temat. Fajna chałupa. Dwupoziomowa rezydencja w wiejskim stylu, spory ogród, basen za domem. Posada wiceprezesa Halo Industries, choćby tylko nominalna, opłaca się bardziej niż sądziłam. Podobnie jak wysługiwanie się żywiołowej Powietrza.

We trójkę wtaszczyliśmy Carlyle'a do domu. Teraz znajdowaliśmy się w, jak się domyślałam, pokoju rekreacyjnym - telewizor plazmowy na ścianie, stół bilardowy w kącie, wszędzie sterty pism pornograficznych i pustych puszek po

piwie. Jedyny gustowny element wystroju wnętrza stanowił kamienny kominek na tylnej ścianie.

Donovan Caine przykuł wampira do krzesła za pomocą kajdanek ze srebrenitu. Osobiście przytargałam krzesło na środek pokoju.

Carlyle przyjrzał się najpierw mnie, potem dwóm mężczyznom za moimi plecami, by w końcu skoncentrować się na nożu ze srebrenitu w mojej dłoni.

- Pieprz się - warknął.

- Krótka piłka. To lubię u facetów.

Poczułam na sobie wzrok Caine'a, ale nie odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Cały czas przechadzałam się po pokoju, bawiłam się nożem, ostrze błyskało w blasku światła i oślepiało Carlyle'a. Czas zacząć zabawę.

- Ładnie tu u ciebie, Chuck, bardzo ładnie. Sam to wybierałeś? Czy może szefowa ci pomagała?

Spojrzał na mnie czujnie.

- Czego chcesz?

Uśmiechałam się i patrzyłam mu w oczy, aż zyskałam pewność, że dostrzegł, jakie są szare i zimne. Nieważne, jak wysokie miał o sobie mniemanie; wiedział, kiedy przegrywa. Jego rysy wykrzywiła panika, napiął mięśnie, usiłował dyskretnie sprawdzić, czy zdoła wyzwolić się z kajdanek. Niepotrzebnie zwracał sobie głowę. Dzisiaj już nigdzie nie pójdzie, chyba że do ziemi.

- Na wypadek, gdybyś jeszcze tego nie skumał, Chuck, powiem ci, kim jestem: Pajakiem. Zabójczynią, którą z szefową zatrudniliście do sprzątnięcia Gordona Gilesa, a potem chcieliście wykiwać. Zapewne poznajesz moich wspólników.

Finn błysnął zębami w uśmiechu niemal tak groźnym jak mój. Wampir zrozumiał, że z jego strony nie ma co liczyć na współczucie i przeniósł wzrok na Donovana Caine'a, by się przekonać, czy ten udzieli mu wsparcia. Ale detektyw skrzyżował ręce na piersi i patrzył na niego ze swoją nieprzeniknioną miną.

- Byłeś ostatnio bardzo zajęty, Chuck. Pracujesz dla żywiołowej, zastawiłeś na mnie pułapkę, twoi ludzie porwali i pobili Finna, potem detektywa Caine'a. I tak naprawdę nie miałam pojęcia, po co to wszystko - póki nie podsłuchałam rozmowy z Wayne'em Stephensonem, dzisiaj, w Northern Aggression. - Cmoknęłam, - On ma rację, wiesz o tym. Ta suka oszalała, jeśli wydaje jej się, że zdoła odebrać Mab Monroe pozycję królowej pszczół w Ashland.

Carlyle nie odpowiedział, ale w jego oczach błysnęła zgoda.

- I ty o tym wiesz, prawda, Chuck? Wiesz, że to się dla niej źle skończy i podjąłeś już pewne kroki, by się zabezpieczyć.

Wampir zmrużył oczy. Opanował początkowy strach na tyle, że dotarło do niego, iż go nie zabiję - w każdym razie nie od razu.

- Czego chcesz? - zapytał, już pewniejszym głosem.

- Pen drive. Daj mi pen drive. Wiesz, ten od Gordona Gilesa, na którym są dowody potwierdzające defraudacje w Halo Industries. Ten na którym tak bardzo zależy twojej szefowej. To twoja polisa ubezpieczeniowa, prawda, Chuckie? Jeśli naszej drogiej pani Powietrza za bardzo odwali, wyślesz te informacje Mab Monre i masz sprawę z głowy, już ona się nią zajmie.

Carlyle nie odpowiadał, ale drgający na jego policzku mięsień mówił mi wszystko, co chciałam wiedzieć. Facet naprawdę powinien popracować nad mimiką.

- Ma ten pen drive? - zapytał Donovan Caine zza moich - Jesteś pewna?

- Absolutnie - odparłam, nie spuszczać wampira z oczu. - Powiedz mi, gdzie go masz, Chuck. I to już.

Oczy Carlyle'a uciekły w lewo jakby szukał wiarygodnego kłamstwa. Wysunął język, zwilżył zaschłe usta.

- Powiedzmy, że masz rację. Powiedzmy... że znalazłem ten pen drive w rzeczach Gordona, gdy przeszukiwałem je na polecenie szefowej. Co będę miał z tego, że ci go oddam?

- Umrzesz szybko, Chuck, bez tortur. To z tego będziesz miał.

Prychnął pogardliwie.

- Niewiele.

Wzruszyłam ramionami.

- Zależy, jak bardzo lubisz ból.

Cofnęłam się, uniosłam nóż tak, że go widział. Pochylił się, dotknęłam ostrzem jego policzka, nie na tyle mocno, by go zranić, ale wystarczająco, by poczuł chłodny metal.

Roześmiał się cicho.

- Nie masz jaj, żeby...

Zwiększyłam nacisk.

Rozciąłam mu skórę - od krawędzi szczęki, przez szyję, do ucha po drugiej stronie. Nie przecięłam tętnicy, ale ostrze zagłębiło się na tyle, że to poczuł. Krew z rany płynęła na prążkowany garnitur jak łyż. Właśnie podbiłam stawkę w tej partyjce pokera, którą rozgrywaliśmy.

Carlyle mnie zaskoczył, muszę to przyznać. Nie zaczął szlochać ani błagać o litość. Zamiast tego tylko zdławił okrzyk i odsłonił poźółkłe kły, a jego oczy znowu pomknęły w lewo. Zmarszczyłam brwi, ciekawa, czemu ciągle zerka w bok, zamiast patrzeć na mnie albo na nóż. Nie postraszyłam go wystarczająco?

Niewiele rzeczy mogło być dla niego w tej chwili ważniejsze niż nóż, którym przed chwilą przejechałam mu po gardle. Naprawdę niewiele. Odwróciłam się więc i podążając za jego wzrokiem spojrzałam na kominek. Hm.

Wytarłam ostrze w nogawkę jego spodni i odsunęłam się. W oczach błysnęła mu ulga.

- Kurwa - wymamrotał Donovan, wpatrzony w krew na szyi wampira - Musiałaś go zaciąć tak głęboko? Wydawało mi się, że interesują cię odpowiedzi, nie krew.

- Ledwie go drasnęłam. Nic mu nie będzie. Popilnuj go - poprosiłam.

Caine popatrzył na mnie, pokręcił głową i stanął naprzeciwko wampira. Finn podszedł ze mną do kominka.

- Co robisz. Gin? - zapytał półgłosem.

- Mam przecucie.

Przyłożyłam dłoń do zimnego kominka. Za moimi plecami Carlyle syknął gniewnie, ale nie zwracałam na niego uwagi. Słuchałam. Staralam się wychwycić wszelkie zakłócenia, wszystko, co odbiega od normy. Musiał być jakiś powód, dla którego Carlyle co chwila zerka na kominek. Chciałam wiedzieć, dlaczego to robi. Ale szept kamieni był cichy, spokojny. Podobnie jak ja, wampir bywał w domu zbyt rzadko, by zostawić wyraźny ślad.

Mimo tego nasłuchiwałam. I nagle coś wychwyciłam. Skryte zadowolenie. Satysfakcję. Oczekiwanie. Dumę. Zapach. Skoncentrowane tu, w kominku, i promieniujące na zewnątrz.

Nadal wsłuchana w kamień, przesuwałam palcami po ścianie, zbliżałam się do paleniska. Kominek był piękny, z nieregularnych szaro-niebieskich rzecznych kamieni, które układały się we wdzięczny łuk i przechodziły w komin. Była to konstrukcja tak piękna, tak idealna, że musiała powstać za sprawą magii, magii Kamienia. Tylko kilka sekund zajęło mi znalezienie runy wyrytej na jednym z głazów tuż nad podłogą. Piramidka z trzech kamieni - runa budowniczego. Zwróciłam uwagę na szept magii w zaprawie murarskiej. Magia Kamienia to najrzadziej spotykana odmiana i zawsze mnie dziwiło, gdy widziałam dzieło kogoś mającego podobną moc do mojej, albo gdy widziałam go w akcji.

Skoncentrowałam się, wsłuchałam w kamienie, szukając źródła wibracji. I zobaczyłam, że jeden z kamieni jest odrobinę jaśniejszy, odrobinę gładszy od pozostałych, jakby ktoś dotykał go regularnie, pocierał na szczęście - albo żeby otworzyć sekretne schowek.

- Mam coś - powiedziałam.

- Co? - Finn usiłował zajrzeć mi przez ramię.

Zajrzałam do środka. Była tam niebieska teczka z logo Halo Industries i mały pen drive. A także zdjęcia Gordona Gilesa - pozował nago, w różnych pozycjach, w towarzystwie całej plejady dziwek. Wiele z nich nosiło naszyjniki z runą klub, Northern Aggression - serce przebite strzałą. Czarne, białe i latynoski, kobiety i wampirzyce. Przejrzałam te fotografie. Pejczy, czarna skóra, maski. Giles podchodził do spotkań z prostytutkami nieco poważniej, niż to sugerowały informacje od Fletchera. Odwróciłam jedno ze zdjęć o dziewięćdziesiąt stopni. I bardziej elastycznie.

- Co znalazłaś? - zawołał Donovan Caine.

- Skarb - odparłam.

Wyjęłam pen drive, pokazałam towarzyszom i wepchnęłam do kieszeni dzinsów. Teczke i zdjęcia podałam Finnowi. Przejrzał je i zagwizdał głośno.

- Gordona kręciła ostra jazda. Popatrz tylko detektywie.

Donovan Caine oderwał wzrok od wampira i zrobił krok w naszą stronę. Za jego plecami oczy Carlyle'a rozbłysły. Poczułam, jak w powietrzu pojawia się magiczna iskra.

I wtedy wampir wykonał swój ruch.

ROZDZIAŁ 22

Metal. Wampir musiał mieć w sobie odrobinę magii Metalu. Tak można wytłumaczyć nagły przyptyw magii i fakt, że jego kajdanki ze srebrenitu otworzyły się jak plastikowa zabawka. A przecież osobiście je sprawdziłam. Były porządnie zapięte, a metal solidny jak moje ostrza.

Carlyle zerwał się na równe nogi, a Caine zauważył to za późno. Odwracał się i sięgał po broń, gdy Carlyle odepchnął go oburącz. Co prawda wampiry nie są tak silne jak olbrzymy czy krasnoludy, ale i tak udało mu się rzucić detektywem przez cały pokój. Caine niechcący zahaczył o Finna i ten runął jak długi i zaniósł się kaszlem. Donovan zatrzymał się dopiero na kamiennym kominku.

Charles Carlyle obnażył kły i wybiegł z pokoju.

- Zostańcie tutaj! - wrzasnęłam, choć wątpliwe, by Finn i Caine mnie słuchali. - Dopadnę go!

Nie miałam czasu sprawdzać, co z nimi. Przeskoczyłam kaszlącego Finna i puściłam się w pogoń.

Słyszałam kroki Carlyle'a i po chwili trzaśnięcie drzwi. Sukinsyn był już na zewnątrz. Cholera. Nie może mi uciec. Pierwsze, co zrobi, to zawiadomi żywiołową, że Finn i ja nadal jesteśmy w mieście - i że Donovan Caine pracuje z nami. Nie mogłam do tego dopuścić, póki nie odczytam pen drive'a i nie dowiem się, która z sióstr James para się okrutną magią.

Wybiegłam na dwór, zeskoczyłam z ganku na trawnik i wypadłam na ulicę. Rozejrzałam się dokoła. Latarnie, samochody, drzewa, cienie, domy. Ani śladu Carlyle'a. Dokąd pobiegł?

Mogłam się przekonać tylko w jeden sposób. Uklęłam, przyłożyłam dłoń do asfaltu. Był chłodny i porowaty. W jego szepcie pobrzmiwał ruch uliczny, warkot kosiarek, śmiech dzieci, jak zawsze na przedmieściach. Skupiłam się, sięgnęłam dalej, głębiej, za pomocą magii filtrowałam wibracje. Jest. Świeża nuta paniki, zaczyna się tutaj i powadzi w prawo.

Zacisnęłam dłoń na rękojeści noże i ruszyłam w tamtą stronę. Biegłam po trawie na poboczu, bo nie chciałam, by odgłos moich kroków uprzedził wampira, że nadal go ścigam. Niech myśli, że mnie zgubił. Niech zwolni.

Wtedy go zabiję.

Droga się rozgałęziają - jedna odnoga prowadziła prosto, druga odbijała łukiem w lewo i potem wracała w prawo. Przede mną pusto. Odwróciłam się i zobaczyłam białą smugę, zanim pochłonęła ją ciemność. Uśmiechnęłam się. Te prążki na jego garniturze były lepsze niż światełka odblaskowe.

Ale nie pobiegłam za nim, tylko przed siebie. Minęłam kolczaste krzewy, przecięłam czyjeś podwórze. Poruszałam się szybko, ale ostrożnie, po bujnej trawie. Nie chciałam skreślić sobie nogi na zapomnianej zabawce i upaść. Po obu stronach drogi ciągnęły się dwupiętrowe domy. Ich czarne okna zdawały się

mnie obserwować. Pochyliłam się, przebiegłam pod schnącym praniem, przeskoczyłam niski płótek. Wyprzedzałam wampira.

Minęłam jeszcze dwa ogrody, zanim zobaczyłam wstążkę drogi. Ale nie wybiegłam na jej środek, tylko ukryłam się za rododendronem i rozejrzałam dokoła. Krew dudniła mi w uszach. Oddychałam głęboko, chcąc uspokoić rozszalały oddech. Wyciszyłam się, wsłuchałam w odgłosy nocy. Zawodzenie samotnego ptaka wśród drzew. Szelest wiatru w gałęziach. Skrzywienie huśtawki na werandzie. Cykanie owadów mimo chłodu, który już nadciągał...

Plask, plask, plask.

Kroki z lewej strony, coraz wolniejsze. Zacisnęłam dłoń na nożu i podeszłam bliżej. Kryjąc się za rogiem werandy, za schodami, wyjrzałam ostrożnie. Dziesięć... dwadzieścia... czterdzieści pięć... Sekundy mijały... Po minucie pojawił się Charles Carlyle. Owszem, był silny, ale jego krepie ciało nadawało się do sprintu, nie do maratonu. Ledwo dyszał. W świetle latarni widziałam, jaki jest czerwony na twarzy. Dobrze. Zmęczonych zabija się łatwiej.

Co kilka kroków oglądał się za siebie, ale nie przyszło mu głowy, by rozejrzeć na boki i patrzeć uważnie przed siebie. Nie spodziewał się mnie z innej strony niż z tyłu.

Co za niedbałość.

Kiedy kolejny raz odwrócił głowę, ruszyłam. Kryłam się przy ogrodzeniu wysokim na półtora metra. Miałam furtkę po prawej stronie. Była otwarta, a nocna bryza uchyliła ją jeszcze szerzej. Idealnie.

Wampir był coraz bliżej i nagle usłyszałam, że gada do siebie pod nosem.

- Głupia, arogancka suka - mamrotał, mijając furtkę. - Myślała, że mnie załatwi. Ha! Chuckie pokazał jej, kto tu rządzi. Głupia suka...

Pierwszy nóż wbiłam w jego nogę, przecięłam ścięgna, tak że sukinsyn nie mógł już biec. Zaczął wrzeszczeć, ale wyskoczyłam zza płotu i drugim nożem poderżnęłam mu gardło. Strumień krwi z głębokiej, śmiertelnej rany zalał mnie i ogrodzenie. Carlyle zatoczył się, zraniona noga nie utrzymała ciężaru ciała, wpadł na samochód i runął na chodnik. Jedną ręką kurczowo trzymał się za nogę, drugą usiłował zatamować krew płynącą z szyi. Stałam nad nim z dwoma nożami w dłoniach. Otworzył szeroko oczy, usiłował odczołgać się jak najdalej, ale stracił już zbyt wiele krwi. Metr ode mnie oderwał rękę od rany na szyi. Krew chlusnęła na chodnik jak ciemny lakier.

Czubkiem buta obróciłam go na plecy i pochyliłam się.

- Nie powiesz, że nie dotrzymuję słowa, Chuck. Mówiłam, że umrzesz szybko.

Chciał coś powiedzieć, ale nie dał rady, dźwięk zrodził się, by natychmiast zgasnąć. A po chwili zgasł także Carlyle.

Odczekałam chwilę, upewniłam się, że nie żyje, i wstałam. Rozejrzałam się - w żadnym oknie nie zapłonęło światło, nigdzie nie ruszyła się zasłona. Nikt nie był świadkiem śmierci wampira, ale musiałam jakoś pozbyć się ciała.

Spojrzałam na płot. Właściciel chyba nie będzie zachwycony, widząc rano krwawe smugi na ogrodzeniu.

Wyjęłam komórkę z kieszeni, zadzwoniłam. Sophia Deveraux odebrała po trzecim dzwonku.

- Hmm? - Przywitała mnie jak zwykle.

- Tu Gin - rzuciłam. - Mam dobre wieści. Zmieniłam zdanie i jednak muszę skorzystać z twoich usług. Za ile możesz być w Northtown?

Tym razem los się do mnie uśmiechnął. Sophia była w pobliżu i zjawiała się dziesięć minut później, przyjechała swoim zabytkowym, czarnym wozem. Spojrzałam na samochód. Czarny, długi, z jasną tapicerką, wyglądał jak karawan, zwłaszcza w środku nocy. Pokazałam jej krew na płocie i ciało wampira w krzakach.

- Dasz radę posprzątać, zanim sąsiedzi się obudzą? - zapytałam szeptem. - Czy może mam zostać i ci pomóc?

Burknęła coś i spojrzała na mnie ostro.

- Sorry, musiałam zapytać.

Zabrała się do pracy, a ja wróciłam do domu Carlyle'a. Drzwi wejściowe były otwarte. Weszłam do środka, zamknęłam je cicho i skierowałam się do pokoju rekreacyjnego.

- Czemu jeszcze jej nie ma? - Już w korytarzu usłyszałam ostry głos Caine'a.

- Bo zabijanie trwa, detektywie - odparł Finn. - Pewnie musiała go dogonić, zanim go załatwiła.

- A jeśli to on ją załatwił? - odciął się Caine. - A jeśli ją zabił?

Finn parsknął śmiechem.

- Nie sądzę. Gin od lal załatwia takie śmiecie. Skąd ta nagła troska, detektywie?

Chwila ciszy,

- Sam nie wiem.

- Czyżby miało to coś wspólnego z tym, jak obmacywaliście się w klubie?

Znowu milczenie.

- Widziałeś to?

- Nie ma się czego wstydzić, Caine. Te oczy, te usta, to ciało. Jest atrakcyjna. I świetnie się z tobą bawiła.

Choć mnie tam nie było, niemal widziałam uśmiezek Finna. Zatrzymałam się, ciekawa reakcji Caine'a.

- Jest... wyjątkowa - przyznał. - Ale dobrze, że przestaliśmy.

Znowu cisza, tym razem ze strony Finna.

- Nie miałem cię za głupca, ale teraz chyba zmienię zdanie. Cieszysz się, że jej nie puknąłeś?

- Zabija na zlecenie. Zabiła mojego partnera - warknął Caine. - Nie pieprzysz się z kimś takim.

- Na litość boską, odpuść sobie! - Finn podniósł głos. - Cliff Ingles nie był taki święty, jak ci się wydaje. Wręcz przeciwnie. A że Gin zabija... Cóż, nie mieszkamy w raju. Od dziecka robiła, co musiała, żeby przeżyć. Jak my wszyscy. Nawet ty.

- Ja nie zabijam za pieniądze - odparł sucho Caine.

- Ależ owszem. Co miesiąc płaci ci za to ratusz.

Dobra, czas to przerwać, zanim się pobiją. Na paluszkach wróciłam do holu, otworzyłam drzwi, trzasnęłam nimi tak, że musieli mnie usłyszeć i, tupiąc głośno, poszłam do nich.

- Finn? Donovan? - zawołałam.

- Na miejscu - odparł Finn.

Weszłam do pokoju rekreacyjnego. Finn siedział na stole bilardowym i masował klatkę piersiową. Donovan przykucnął przy kominku. Miał rozcięcia na dłoni i siniaka policzku, ale poza tym chyba niezbyt ucierpiał przy zderzeniu z kominkiem. Poza zranionym ego, oczywiście.

- Gdzie Carlyle? - zapytał.

- Karmi robaki - odparłam.

Skinął głową. Nie wydawał się tak przybity jego śmiercią jak się obawiałam. A może lot przez pokój zmienił jego perspektywę.

- Ciało? - zapytał Finn.

- W rękach naszej przyjaciółki.

Donovan wodził wzrokiem od Finna do mnie i z powrotem.

- I co teraz? - zapytał.

Wyjęłam pen drive z kieszeni.

- Teraz przekonamy się, co tu jest i dlaczego tej suce tak na tym zależy.

ROZDZIAŁ 23

Zachowując podstawowe środki ostrożności, wyszliśmy z domu wampira, podrzuciliśmy skradziony wóz w garażu 'w centrum i wróciliśmy do mnie.

Finn od razu włączył komputer i uruchomił pen drive. Donovan Caine usiadł na krześle w kuchni i przeglądał teczkę, którą znaleźliśmy w skrytce w kominku, a ja zajęłam się zdjęciami. Rany, krew, ból - zapomniałam o wszystkim. Szukaliśmy informacji.

Finn miał rację. Gordon Giles miał nietypowe upodobania. Przeglądając fotografie, dowiedziałam się o księgowym o wiele więcej, niżbym chciała, ale i tak uważnie analizowałam każde zdjęcie. Może przechowywał je nie tylko na pamiętkę, jednak nic nie rzuciło mi się w oczy.

Po mniej więcej dziesięciu minutach ciągłego klikania i krótkich chwil nerwowego klepania w klawiaturę, Finn zagwizdał cicho i odchylił się z krzesłem.

- Masz coś? - zapytał Donovan. - Bo ja nic z tego nie rozumiem, mam tu numery kont i nazwy plików, ale to dla mnie czarna magia.

- Nie znam się na tym za bardzo i zazwyczaj bardziej mnie interesuje ukrywanie pieniędzy niż ich odnajdywanie, ale wygląda na to, że Haley James okrada własną firmę - stwierdził Finn.

W sumie nic dziwnego, ale miło było w końcu coś wiedzieć na pewno, a nie tylko zdawać się na przypuszczenia.

- Na pewno ona? - zapytałam.

Finn skinął głową.

Jeśli nie, to ktoś ją wrabia, bo login i hasło są jej. Takich danych nie udostępniasz na prawo i lewo. Zwłaszcza jeśli stoisz na czele tak dużej firmy jak Halo Industries.

- Jak to: okrada? - dopytywał się Donovan. - Co właściwie robi?

Finn wzruszył ramionami.

- To co zwykle. Zawyża koszty. Zgłasza podróże służbowe, które nie dochodzą do skutku. Przelewa gotówkę na zagraniczne konta. Kilkaset tysięcy tu, kilkaset tam, i ani się obejrzyysz, rośnie fortuna.

Zmarszczyłam brwi. Myślałam o tym, ile wysiłku włożono w tę operację, jak zaplanowano zabójstwo Gilesa i zrzucenie winy na mnie.

- To za łatwe, za oczywiste.

Finn znowu wzruszył ramionami.

- Pamiętaj, że dopiero zacząłem to przeglądać. Firma rozmiarów Halo generuje dziennie setki, jeśli nie tysiące, dokumentów. To zapewne bardzo delikatna operacja, ale wszystkie dokumenty, które tu mamy, to potwierdzają.

- Więc to dlatego od wielu miesięcy Giles zbierał dane - mruknął Caine. - I dlatego miał być głównym świadkiem oskarżenia. Wiedział, jak to się odbywało i gdzie płynęły pieniądze.

- A wiesz to? - zainteresowałam się, - Na co je wydawała?

Kliknęła kilka razy.

- Wygląda na to, że w ciągu minionych miesięcy Haley James zatrudniła paru nowych wiceprezesów. Część tych pieniędzy szła na ich pensje, że tak to nazwę.

- Czyli na jej ludzi - przetłumaczył Caine. - Na tych, którzy mieli jej pomóc obalić Mab Monroe.

- Mam tu też szereg wpłat na konto Carli Stephenson - dodał Finn. - Dziesięć przelewów po dziesięć kawałków, w sumie stowa.

Donovan spoważniał.

- Carla? To córka Stephensona. Ma dziesięć lat.

- Czyli to raczej nie jest jej fundusz edukacyjny, choć tak to zapisano - odparł Finn. - Sprytnie. Dlatego nie zwróciłem na to uwagi, gdy sprawdzałem jego finanse.

- Szukaj dalej - poprosiłam. - Musimy wiedzieć jak najwięcej.

Ponownie zajęliśmy się pracą. Finn grzebał w komputerze. Donovan ślęczał nad papierami, a ja skupiłam się na kolekcji pornograficznych fotek.

Na szczęście, ale i ku mojemu zdumieniu, nie na wszystkich Gordon Giles uprawiał seks z wampirzycami we wszelkich możliwych pozycjach. Znalazłam też zdjęcie starszej kobiety, chyba jego matki, i całą kolekcję fotografii, Gilesa w różnych miejscach, dumnie dzierżącego złowione ryby.

Choć zupełnie inne, te fotografie także stanowiły pamiątki, małe skarby, które przechowywał. Trzymał je razem, żeby móc zabrać je bez problemu, gdy Caine zawiezie go do bezpiecznej kryjówki. A potem znalazł je Charles Carlyle i ukrył w kominku. Sądząc po ilości magazynów porno, które poniewierały się w pokoju rekreacyjnym, mogłam się domyślić, dlaczego akurat te fotki były na wierzchu - do tego poplamione tłustymi paluchami i czymś jeszcze.

Niemal na spodzie pliku trafiłam na fotografię inną od pozostałych. Po pierwsze, nie było na niej dziwki. Po drugie, kobieta na zdjęciu w niczym nie przypominała matki Gilesa. To była Alexis James.

Na zdjęciu miała na sobie czarne szorty, białą koszulkę i słomkowy kapelusz. Stała koło rekina, którego dźgała harpunem. Biedny stwór wisiał głową w dół, rozcięty na całej długości, z wylewającymi się wnętrznościami. Jego krew plamiła keja, ale Alexis uśmiechała się do aparatu i nie zwracała na to uwagi. Super. Gordon Giles stał z boku. On także się uśmiechał.

A więc Alexis towarzyszyła Gordonowi na wędkarskiej wyprawie i własnoręcznie upolowała rekina. Ba, może nawet pozwoliła księgowemu upolować siebie.

Już miałam odłożyć to zdjęcie, gdy coś przykuło moją uwagę. Czarna plamka na środku zdjęcia. Podrapałam ją paznokciem, myśląc, że to tylko drobinka brudu, ale nie. Wtedy zrozumiałam, że to część fotografii. Coś na szyi Alexis? Niemal wodziłam nosem po zdjęciu, ale nadal nie widziałam, co to jest.

Wstałam i tak długo szperałam w szufladach w kuchni, aż znalazłam lupe. Ponownie sięgnęłam po zdjęcie.

Na tym zdjęciu Alexis nie miała na szyi klasycznych pereł, jak zwykle. To znaczy, perły, owszem, były, ale między nimi wisiało coś innego.

Ząb - czarny, trójkątny ząb z polerowanego gagatu. Taki sam jak na szyi faceta w mieszkaniu Finna. Jak na tatuażu zbira w domku Caine'a. Symbol pani Powietrza. Jej znak. Jej runa. Od razu ją rozpoznałam.

- A niech mnie - syknęłam. - Ząb rekina. Ta runa to ząb rekina.

To nie Haley James ma moc żywiołu, tylko jej siostra. To Alexis zamordowała Fletchera i chciała zabić Donovana Caine'a. To Alexis pociągała za sznurki, kontrolowała Carlyle'a i Stephensona. To ona wszystko ukartowała.

- Co tam mruyczysz? - zapytał Finn. - Niektórzy tu pracują.

Położyłam zdjęcie na stole, wskazałam naszyjnik palcem.

Obaj wbili wzrok w zdjęcie.

- To wygląda jak... - zaczął Finn.

- Czy to... - zawtórował Caine.

- Oczywiście. - Nie dałam im dokończyć. - To ten ząb. Jej runa. To Alexis rozdaje karty, nie jej siostra.

W milczeniu trawiliśmy tę informację. Lodowata gula w mojej piersi zaczęła odliczanie czasu do śmierci Alexis James, Tik-kurwa-tak,

- A dane? Przecież obciążają Haley? - zdziwił się Caine.

Spojrzeliliśmy na Finna.

- Alexis mogła posłużyć się jej hasłem - powiedział. - To niezbyt trudne, nie dla niej.

- Albo Haley załatwia kasę, a Alexis jest od brudnej roboty - podsunął Donovan. - Może nawet Alexis ją do tego zmusza, szantażuje, że użyje magii.

- Nieważne - burknęłam. - Obie umrą.

Caine potrząsnął głową.

- Nie. Nie możesz zabić Haley James, jeśli jest niewinna.

- Jej siostra gania po mieście i torturuje ludzi magią. Myślisz, że jest niewinna? - zachnęłam się.

Poczułam na sobie jego płomienny wzrok.

- Może jest równie winna zbrodniom siostry, jak Finn twoim. A może jest równie niewinna, jak ta mała w plastikowym różowym zamku pod okiem ciotki-burdelmamy. Póki nie będziemy pewni, nie wolno ci jej tknąć. Pamiętasz umowę? Nie zgadzam się na śmierć niewinnych. Bez dyskusji, Gin. Nie tym razem.

- Dlaczego? Bo to nie jest zwykły śmieć z ulicy?

- Powiedzmy.

Mierzyliśmy się wzrokiem. W jego oczach płonęło zdecydowanie, w moich lodowato migotał gniew.

Nie spuszczaaliśmy wzroku, żadne z nas nie chciało ustąpić. Ale podobał mi się ten sparring. Chętnie się z nim drażniłam i go prowokowałam. Zawsze

wysoko ceniłam siłę, przekonania i pasję, choćby lokował je po niewłaściwej stronie.

- Musimy wziąć pod uwagę jeszcze inne aspekty - wtrącił się ostrożnie Finn.

- Na przykład? - Caine nadal nie spuszczał mnie z oczu.

- Na przykład portret pamięciowy Gin i nagrodę za jej głowę - zauważył Finn. - I to, że suka chce widzieć cię martwym, Caine. Do tego jeszcze twój szanowny zwierzchnik, kapitan Wayne Stephenson.

- On jest mój - warknął Caine i spojrzął na Finna. - Sam się nim zajmę.

- Jak? Aresztujesz go? Przekażesz wydziałowi wewnętrznemu? Oni są najbardziej skorumpowani, wykpi się - mruknął Finn.

Donovan zacisnął usta.

- Nie wiem, coś wymyślę.

Westchnęłam. Klótnia nic nam nie da, ale z tonu Finna wywnioskowałam, że ma jakiś pomysł.

- Co proponujesz?

Uśmiechnął się i zaplótł dłonie za głowę.

- Możemy się targować,

- Targować? Niby jak? - zapytał detektyw.

Finn odłączył pen drive.

- My to mamy, a nie Alexis James. Może się nas nie boi, ale jest ktoś, komu nie chciałaby pokazać tych danych. W każdym razie jeszcze nie. Póki nie będzie gotowa.

- Mab Monroe. - Wiedziałam już, do czego zmierza.

Finn skinął głową.

- Mab Monroe.

- Nadal nie pojmuję, co w ten sposób osiągniemy - mruknął Donovan.

- Szantaż - szepnęłam. - Zagrozimy, że przekazemy te dane Mab, jeśli Alexis nie da nam spokoju.

- Zażądamy, żeby wycofała nagrodę za ciebie i żeby Stephenson przeszedł na wcześniejszą emeryturę - dodał Finn - Musicie przyznać, że to doskonały plan, pod każdym względem. - Uśmiechał się, bardzo z siebie zadowolony

Przewróciłam oczami, ale nie mogłam nie przyznać mu racji. Finnowi zdarzały się przebłycki geniuszu. To był jeden z nich.

- Alexis James i tak zginie za to, co zrobiła mojemu pośrednikowi. Co do tego nie ma dyskusji. I nie możesz mnie po tym ścigać i mi grozić - powiedziałam. - Możesz z tym żyć detektywie? Jeśli tak, ja zaakceptuję propozycję Finna. Wycofujecie nagrodę za mnie, załatwiasz Stephensona na posterunku, każde idzie w swoją stronę.

Orzechowe oczy Donovana Caine'a pociemniały. Wpatrywał się we mnie. Po dłuższej chwili skinął głową.

- Tak mogę z tym żyć. Pytanie tylko, jak to zrobimy? L

- Łatwiutko - włączył się Finn - Zbliżymy się do Alexis w miejscu publicznym, walniemy z grubej rury i poczekamy aż się podda.

Pokręciłam głową.

- Nie Alexis, Haley. Posłużymy się Haley James.

Donovan zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Bo jeśli jest w to zamieszana, dołączę ją do listy moich wrogów - wyjaśniłam. - A jeśli nie... no cóż, niech ucieka, gdzie pieprz rośnie. Przecież o to ci chodzi, o ochronę niewinnych, prawda?

Policjant nie odpowiedział.

- Więc teraz musimy się tylko dowiedzieć, gdzie będą siostrzyczki - podsumował Finn.

- Już o tym pomyślałam. - Wyjęłam komórkę i wybrałam numer z listy szybkiego wybierania.

- Wesz, która godzina? - burknęła mi Jo-Jo Deveraux do ucha, choć jej słodki, przeciągły akcent osłabiał ostry ton.

Zerknęłam na zegarek.

- Tu Gin. Wiem, jest siedem po trzeciej w nocy. Potrzebne mi informacje i, prawdopodobnie, kilka zaproszeń. Myślisz, że jesteś w stanie mi to załatwić?

Jo-Jo się roześmiała.

- Dla ciebie, skarbie? Wszystko.

ROZDZIAŁ 24

Następnego dnia o czwartej po południu znalazłam się w eleganckich czeluściach Five Oaks, najbardziej snobistycznego, ekskluzywnego i pretensjonalnego country klubu w Ashland.

Wcześniej zadzwoniła Jo-Jo Deveraux z niezbędnymi informacjami, czyli powiedziała nam kredy siostry James pokażą się na imprezie dobroczynnej. Okazało się, że Haley, Alexis i pięciuset innych gości miało się pojawić na zbiórce pieniędzy na schronisko dla maltretowanych kobiet, organizowanej właśnie w Five Oaks. Jo-Jo pociągnęła za właściwe sznurki i załatwiła zaproszenia dla Caine'a i dla mnie. Finn nie musiał się martwić, miał je od dawna, inwestował bowiem pieniądze większości gości. Oto stałam więc w ogromnej sali balowej, obserwowałam tłumy gości i czekałam, aż zjawią się siostry James. Five Oaks to potężny kompleks pięciu okrągłych budynków. Sala balowa imponowała wielkością: zajmowała kilkaset metrów kwadratowych powierzchni, a sufit znajdował się na wysokości czwartego piętra. Tworzyła go przeszklona kopuła, przez którą spływało na gości światło słoneczne. Na wyższe piętra prowadziły liczne klatki schodowe. Na każdej kondygnacji znajdowała się galeryjka, otaczająca całą salę. Na tylnej ścianie zwracały uwagę okna na całą wysokość sali i drzwi prowadzące na patio. Widok zapierał dech w piersiach: inne, mniejsze budynki klubu, kilka basenów, korty tenisowe, zielony trawnik, beżowe łachy piasku i barwne flagi klubu golfowego.

Goście zbijali się w małe grupki, rozmawiali, śmiali się i sączyli whisky z miętą. Inni, spragnieni prywatności, stali na galerii na drugim piętrze. Jeszcze inni usiedli z drinkami przy stolikach, nakrytych brzoskwinowymi lnianymi obrusami. Runa country klubu - żołądz - wyhaftowana złotą nicią, widniała na każdym obrusie. Później podadzą jedzenie, ale alkohol i słodkie słówka już płynęły szerokim strumieniem.

Wypatrzyłam wielu znanych wampirów, krasnoludów, ludzi żywiołów i olbrzymów. Wszyscy robili co w ich mocy, by zaimponować pozostałym. Ale najjaśniej ze wszystkich błyszczała Mab Monroe. Wyglądała imponująco i modnie w drugiej do ziemi kanarkowożółtej kreacji. Z jej ramion spływał szal z frędzlami. Rubin w jej runie lśnił na odsłoniętym dekolcie. Stała pośrodku sali balowej. Dokoła niej zebrała się grupka gości, którzy starali się zwrócić na siebie jej uwagę. Ale jej ochroniarze pilnowali, żeby niechciane pospólstwo nie zbliżyło się za blisko. Na imprezie nie zabrakło dwóch pozostałych członków rządzącej triady - prawnika Mab, Jonaha McAllistera, i jej głównego ochroniarza, Elliota Slatera. McAllister, o srebrzystych włosach, w modnym garniturze i z wybielonymi zębami, wyglądał na tego, kim był - gładkiego mówcę. Slater, wysoki na dwa i pół metra, górował nad większością zebranych. Na jego małym palcu połyskiwał brylant większy od gałki ocznej.

Siałam blisko ściany, na skraju grupki biznesmenów w ciemnych garniturach. Kilku z nich zerkało na mnie z zainteresowaniem, ale moje lodowate spojrzenie trzymało ich z daleka. Przynajmniej dopóki nie wypiją więcej.

Chcąc wtopić się w tłum bogaczy, założyłam prostą, ale elegancką czarną suknię portfelową, którą dostałam od Jo-Jo na Boże Narodzenie w zeszłym roku. Uszyto ją z lejącego materiału i miała długie, luźne rękawy, w których mogłam wygodnie ukryć noże. Dodatkowe ostrze czekało w mojej torebce. Sukienka sięgała do kolan, dzięki czemu mogłam jeszcze dwa noże umocować na udach. Wystąpiłam dzisiaj w czarnych czółenkach a włosy związałam w koński ogon, w który wbiłam dwie ostre szpile.

Zadzwoiła moja komórka. Wyjęłam ją z torebki. Jeden z biznesmenów nie odrywał ode mnie wzroku.

- Mój mąż - powiedziałam z uśmiechem. - Olbrzym. Jest bardzo zaborczy. Musi cały czas wiedzieć, gdzie i z kim jestem.

Przełknął z trudem i ponownie skoncentrował się na drinku. Najwyraźniej nie byłam dość atrakcyjna, by ryzykować z zazdrosnym olbrzymem.

Oddaliłam się nieco od mężczyzn i odebrałam.

- Pokazały się?

- Jeszcze nie - odparł Donovan Caine. - Ale Finn świetnie się bawi przy barze.

Spojrzałam na drugą stronę sali. Rozdzieliliśmy się zaraz po wejściu do klubu. We trójkę za bardzo zwracalibyśmy uwagę, byłibyśmy zbyt wyraźnym celem. Bezpieczniej i łatwiej było zgubić się w tłumie pojedynczo. Finnegan Lane ulokował się przy barze niedaleko głównego wejścia. Jak wszyscy mężczyźni na tej imprezie, miał na sobie elegancki garnitur. Klasyczny krój podkreślał jego szerokie ramiona. W świetle płynącym z przeszklonego sufitu jego włosy mieniły się złotem. Był pogrążony w rozmowie z krasnoludzią aż błyszcząca od brylantów. Jego towarzyszka miała ze czterysta lat, sądząc po jej pomarszczonej skórze, zamglonych oczach i śnieżnobiałych włosach. Pewnie jego klientka.

Finn poczuł na sobie moje spojrzenie. Puścił do mnie oko, uniósł kieliszek w niemym toaście i ponownie zajął się rozmową. Kiedy rozmawiał z kobietą, nieważne, ile miała lat, wszystko inne schodziło na dalszy plan. Nie sypiał ze starszankami, rzecz jasna, ale czarowanie ich sprawiało mu taką samą przyjemność jak podrywanie młódek.

- Finn zawsze świetnie się bawi na takich imprezach - mruknęłam. - Czasami sobie myślę, że powinien być urodzić się jako kobieta, wtedy miałby szansę przeżyć prawdziwy debiut towarzyski.

Donovan zachichotał. Był to niski, gardłowy dźwięk, który rozgrzewał mnie od środka.

Podniosłam wzrok na balkon drugiego pietra. Donovan Caine wychylał się przez poręcz nad moją głową. Trzymał telefon przy uchu. Był w garniturze

Finna, tak jasnym, że błękit wydawał się srebrzysty. Nie był równie szeroki w barach jak Finn, więc marynarka nie leżała idealnie, ale pamiętałam z klubu siłę jego mięśni. Darował sobie krawat, zamiast tego rozpiął górne guziki białej koszuli i odsłonił smagłą szyję. Klasyczny, szorstki, seksowny. Wyglądał tak smakowicie, że aż leciała mi ślinka. Mmm.

Nasze spojrzenia się zetknęły. Nie po raz pierwszy wyobraziłam sobie, że robię z nim, co chcę. Wyobrażałam sobie, że czuję jego usta na moich, jego dłonie na moim ciele, że jest we mnie. Na samą myśl robiło mi się gorąco.

Przyglądał mi się z góry. Orzechowe oczy przybrały odcień starej whisky, gdy błędził wzrokiem po moich piersiach i nogach. Odwzajemnił moje spojrzenie i tym razem nie uciekł wzrokiem. W jego oczach lśniły różne uczucia. Pożądanie. Pragnienie. Wyrzuty sumienia. Myślał o tym, jak bardzo mnie pragnie, o tym, że czas naszej współpracy dobiega końca, że wkrótce będzie musiał znowu mnie znienawidzić. I o tym, jak bardzo pragnął wziąć dzisiaj tyle, ile może, by jutro mieć do siebie o to żal.

Ja także. W tamtej chwili podjęłam decyzję. Detektyw będzie mój. I to jeszcze dzisiaj.

Coś odwróciło jego uwagę. Patrzył na dół.

- Jest Haley James. Wchodzi do sali balowej.

Przeszłam na prawo, z dala od biznesmenów, żeby ją zobaczyć.

Miała na sobie krótką złotą sukienkę, która podkreślała jej jasną karnację i zielono-niebieskie oczy. Nieco ryzykowna kreacja o tak wczesnej porze, zwłaszcza że dekolt sięgał niemal pępka, a jej piersi wychylały się z głębokiego wycięcia.

Jasnorude włosy upięła w kok. W uszach połyskiwały wielkie brylantowe kolczyki.

Finn także ją zauważył. Całym ciałem odwrócił się w stronę krasnoludzicy, siedział teraz tyłem do Sali, ale przechylił głowę tak, żeby widzieć Haley. Pod warunkiem, że wszystko pójdzie po naszej myśli, zadaniem Finna było siedzieć przy barze i mieć oko na siostry James. Byłam ciekawa, jak zareagują, gdy zdetonuję moją bombę.

- Widzę Haley - powiedziałam do Donovana. - Gdzie Alexis?

- Za nią.

Minęłam wzrokiem Haley i zobaczyłam Alexis James. Alexis, jak ja, była w czarnej sukience i dobranych butach. Jak zawsze wystąpiła w perłach na nadgarstku i na szyi, choć dzisiaj dodała kilka sznurów. Zacisnęłam pięść. Najchętniej udusiłabym ją tymi perłami, ale to byłoby za proste - dla niej. Umarłaby za szybko. W pracy zabijam błyskawicznie, ale to coś więcej. To sprawa osobista. Alexis James będzie cierpieła tak samo jak Fletcher. Co najmniej.

Siostry James nie przyszły same. Kapitan Wayne Stephenson włókł się za nimi. Olbrzym miał na sobie biały garnitur, w którym wydawał się jeszcze bardziej nalany. Choć pomieszczenie było klimatyzowane, Stephenson ocierał

spoczone czoło białą chusteczką. Pewnie sam widok Alexis przyprawiał go o silny stres. Za nim weszło jeszcze dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Jednego z nich pamiętałam ze Świata Ciast, był wtedy z Carlyle'em. Drugi towarzyszył Alexis w domu Donovan Caine'a. Trzymali się Stephensona jak kaczęta matki. Nowi ochroniarze Alexis James. A więc teraz pokazuje się z nimi publicznie. Ciekawe.

W tej chwili Stephenson i dwaj ochroniarze byli nieistotni, więc nie rozłączałam się z Donovanem i obserwowałam siostry James. Czekałam na okazję, by dopaść Haley samą. Mniej więcej pięć minut zajęło siostrom przedostanie się przez wąskie gardło przy wejściu, ale kiedy już przedarły się przez tłum, rozdzieliły się. Alexis pomachała do kogoś i odeszła w jego stronę, podobnie jak Stephenson i dwaj jej podwładni. Haley wzięła drinka od przechodzącego kelnera i podeszła do wolnego stolika niemal pośrodku sali. Idealnie.

- Idę - powiedziałam i spojrzałam w górę na Caine'a.

Skinął głową.

- Powodzenia.

Uśmiechnęłam się.

- Powodzenie mi niepotrzebne, Caine. Mam coś lepszego - kartę przetargową.

Z komórką w dłoni podeszłam do Haley James. Niemal dwie minuty zajęła mi przeprawa przez grubą wykładzinę. Moje obcasy wbijały się w nią, zostawiały wgłębienia przy każdym kroku, dręczyły tkaninę. Tak jak ja będę dręczyła Alexis James, i to już niedługo.

Spokojnie podeszłam do Haley i usiadłam koło niej. Alexis stała jakieś trzydzieści metrów dalej, otoczona wianuszkiem gości. Nie zauważyła, że podchodzę do jej siostry. Ani ona, ani Wayne Stephenson i jego ludzie. Stali za Alexis. Dobrze.

Zaskoczyłam Haley. Drgnęła tak gwałtownie, że niemal przewróciła szklaneczkę z whisky z miętą. Otworzyła szeroko swoje zielono-niebieskie oczy i spojrzała w moje, szare. Lodowaty węzeł w mojej piersi zacisnął się, obawiałam się, że emocje wezmą górę. Gniew, wściekłość, niesmak. Jakaś cześć mnie chciała wyjąć nóż, dźgnąć Haley i pozwolić uczuciom rozpuścić się w krwawym rozgardiaszu. Niech Alexis odczuje stratę siostry tak dotkliwie, jak ja odczułam śmierć Fletchera. O ile ta suka jest w stanie czuć cokolwiek poza rozkoszą, gdy torturuje innych.

Ale obiecałam Caine'owi, że dam Haley szansę, by dowiodła swojej niewinności. A ja dotrzymuję słowa, choć czasami przychodzi mi to z trudem.

Dlatego położyłam komórkę na stoliku i uśmiechnęłam się do Haley.

- Witam

Zmarszczyła brwi.

- Znamy się?

Mój uśmiech się poszerzył.

- Cóż, skarbie, oficjalnie nie, ale w pewnym sensie dla was pracuję. Alexis, twoja siostra, zatrudniła mnie, żebym sprzątnęła Gordona Gilesa.

Chwilę trwało, zanim moje słowa do niej dotarły. Haley zmarszczyła brwi i przetwarzała w głowie to, co powiedziałam. Osoba niewinna, która nie miałaby o niczym pojęcia, zaprzeczyłaby energicznie. Byłaby zaszokowana i oburzona takimi zarzutami. Wpadłaby w przerażenie, że koło niej siedzi kobieta podająca się za płatną zabójczynię. A Haley tylko zacisnęła usta i zmrużyła oczy. Och, tak, siedziała w tym - po pieprzone uszy.

- Po co tu przyszedłeś? - syknęła. - Czego chcesz? Pieniędzy?

Roześmiałam się gorzko, drwiąco, aż kilka osób odwróciło się w naszą stronę.

- Pieniędzy - zachnęłam się. - Myślisz, że tak łatwo można mnie kupić? Po tym, co zrobiła twoja siostra? Nie łudź się.

Haley uniosła starannie wydepilowaną brew.

- Nie miałaś oporów, by przyjąć pieniądze za zabójstwo Gordona Gilesa.

Nachyliłam się do niej.

- Ale to było przed tym, jak twoja siostra chciała mnie oszukać. Przed tym, jak zamęczyła na śmierć staruszka. Przed tym, jak jej ludzie niemal zatłukli na śmierć mojego przyjaciela. Przed tym, jak wydała wyrok śmierci na uczciwego policjanta tylko dlatego, by usunąć niepotrzebnych świadków.

Skoro zawiodła oferta finansowa, Haley spróbowała z innej beczki. Otworzyła szeroko oczy, jakby opuściła ją odwaga.

Musiałam jej przyznać, że bez zajknięcia zmieniła taktykę o sto osiemdziesiąt stopni.

- Posłuchaj, to nie był mój pomysł. To Alexis wszystko uknuła. Zmusiła mnie do współpracy. We wszystkim.

- Świetny numer - powiedziałam. - I jakie to wygodne, obwinić siostrę o wszystko. Ale na wypadek, gdybyś nie zauważyła, moje pokłady litości wyczerpały się już dawno. Jak dla mnie, jesteś winna przez współudział.

Dolna warga Haley zadrżała.

- To nie żaden numer - zapewniła. - Alexis mi groziła. Mówiła, że zrobi mi krzywdę, że mnie zabije, jeśli nie zrobię tego, czego zażąda.

- Doprawdy? - zapytałam. - i dlatego to twoje hasło dostępu i login prowadzą do kont, z których znikają pieniądze? Bo Alexis kazała ci okradać własną firmę?

Skinęła głową i otarła kącik oka, jakby wycierała łezkę. Owszem, kobiety z Południa umieją stosować melodramatyczne gesty, ale Haley przesadzała, serwowała ich więcej niż trzeba.

Zachnęłam się.

- Skarbie, nie umiesz kłamać. Nawet wampirze dziwki w Southtown to lepsze aktorki niż ty.

Haley przyglądała mi się przez chwilę. Gdy przekonała się, że nie kupuje jej łez, spowaźniała. Znowu grała twardzielkę. Jej pech, bo ja naprawdę jestem twarda.

- Wiem, że zależało wam na śmierci Gordona Gilesa. Chciał powiedzieć policji o defraudacjach i nie mogliście do tego dopuścić. Ale jednego nie rozumiem - ciągnęłam. - Po co to wszystko? Chyba nie liczyłyście, że uda się wam pokonać Mab Monroe, gdy ukradniecie jej kilka milionów?

Haley wzruszyła ramionami.

- To marzenie Alexis, nie moje. To ona bawi się w szefową mafii i igra z magią Powietrza. Wydaje jej się, że dzięki swej magii jest potężniejsza niż wszyscy.

- Więc dlaczego wspierałaś ją w tym szaleństwie? - zapytałam.

W oczach Haley błysnęła nienawiść.

Bo Mab Monroe odebrała firmę naszemu ojcu, firmę, która była całym jego życiem. Wykupiła akcje i odebrał mu wszystko. Ale to jej nie wystarczyło. Ojciec buntował się, walczył z nią, więc go zabiła. Sama nam to powiedziała i zaznaczyła, że jeśli chcemy przeżyć, mamy robić, co nam każe. To było dwa lata temu. Od tego czasu komenderuje nami, wydaje polecenia, a przecież nikt lepiej od nas nie zna rodzinnej firmy. Chcę tylko odebrać to, co i tak do mnie należy. A jeśli Alexis uda się ją zabić, tym lepiej. Może wtedy ojciec spocznie w spokoju.

Większość ludzi padłaby trupem, słysząc jad w jej głosie, ale Mab Monroe pewnie poczułaby tylko lekką irytację. A więc to Alexis snuła marzenia o potędze. Haley brała udział w jej planie, żeby się wzbogacić. Co za rodzinka.

- Czego chcesz? - warknęła. - Bo chyba to nie jest przypadkowe spotkanie.

- Chcę, żebyście przestały - odparłam. - Wycofajcie się z oferty nagrody, jaką Halo Industries ma wypłacić za informacje o mnie. Niech Alexis odwoła swoich ludzi, w tym kapitana Stephensona. Finnegan Lane i Donovan Caine mają być nietykalni. Ja też. Możecie sobie dalej podprowadzać miliony z własnej firmy, mam w nosie, że musicie okradać Mab, skoro zabrakło wam rozumu, by utrzymać firmę we własnych rękach.

Niedługo już nacieszą się pieniędzmi, bo wbiję Haley nóż w brzuch, a Alexis porznię na strzępy, gdy tylko przestaną tak bardzo mieć się na baczności. Szantażowałam ją, żeby zapewnić bezpieczeństwo Finnowi i Caine'owi, ale suki umrą za to, co zrobiły Fletcherowi.

Zresztą, to one pierwsze mnie oszukały. Odplacałam pięknym za nadobne.

Haley zacisnęła usta, słysząc te obelgi, ale wiedziała, że jeszcze nie skończyłam.

- A jeśli nie?

Patrzyłam na nią oczami zimnymi jak lód.

- Ciekawa jestem, czy Charles Carlyle odzywał się ostatnio?

Milczała.

Uśmiechnęłam się

- Wczoraj pogadałam sobie z Chuckiem. Co prawda mówił niewiele, ale w jego rzeczach znalazłam coś ciekawego - pen driver Gordona Gilesa. Najwyraźniej Chuck znalazł go przypadkiem i postanowił zatrzymać na wypadek, gdyby Alexis chciała się go pozbyć. Oczywiście, Chuckowi już nie jest potrzebny, ale był tak miły, że przekazał mi go, zanim umarł.

Po raz pierwszy w niebiesko-zielonych oczach pojawiła się panika.

- Przejrzałam te dane. I właśnie dlatego wiem, że to twoje hasło i login prowadzą do kont, z których znikwały pieniądze. - Spojrzałam w stronę, gdzie nadal królowała Mab Monroe. - Teraz mogłabym po prostu iść do Mab i wszystko jej powiedzieć. Na pewno bardzo ją to zainteresuje, zwłaszcza że jest głównym udziałowcem waszej firmy. Co ty na to?

Haley pisnęła cichutko. Pobladła, na jej czole zaśniły kropelki potu. Traciła nad sobą kontrolę.

- Ty... Nie możesz powiedzieć tego Mab. Zabije nas, tak jak zabiła naszego ojca.

- Haley, mogę jej powiedzieć, co tytko zechcę. To ja mam pen drive. Właściwie mogę do niej podejść w każdej chwili. - Podniosłam rękę, jakbym chciała pomachać do Mab. - Na pewno ją to zainteresuje...

- Nie! - Haley złapała mnie za rękę.

Jej krzyk niósł się echem po sali, zagłuszył szmery rozmów. Wiele głów odwróciło się w naszą stronę, Mab Monroe także. Zobaczyła, że pokazuję ją palcem, a Haley kurczowo trzyma mnie za rękę. Mab ściągnęła brwi. Uśmiechnęłam się i pogroziłam jej żartobliwie palcem, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami. Po chwili Mab odmachala mi, choć nie miała pojęcia, kim jestem i czemu macham do niej jak wariatka. Przywołała Elliota Slatera i szepnęła mu coś do ucha. Slater pstryknął palcami i podszedł do niego jeden z olbrzymów - goryli Mab. Czas się zwijać.

- Przemyśl moją propozycję, Haley. Taka szansa już się nie powtórzy.

- Nie rozumiesz - syknęła. - To Alexis chciała śmierci Gordona, nie ja. Wolałam go spłacić, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Chciała dać mu nauczkę za to, że ją zdradził. Udało mi się tylko namówić ją, żeby zatrudniła profesjonalistę, a nie zabijała go sama i dała się złapać. Wszystko byłoby dobrze, gdyby mnie posłuchała. Ale Alexis zawsze wszystko komplikuje. Musiała oczywiście przekombinować i zastawić pułapkę na ciebie, choć ostrzegłam, że to się może nie udać i odbić na nas rykoszetem. Nie chciała, żeby Mab weszła w firmie, jeszcze nie teraz, Alexis jeszcze nie jest gotowa do ataku.

- A zanudzasz mnie tą historią, bo...

- Bo Alexis nie przyjmie twojej propozycji - wyszeptała. - Nie ugnie się, ani przed tobą, ani przed nikim innym. Póki tata żył, nie popisywała się swoją magią. Ba, poza członkami rodziny nikt nawet nie wiedział, że jest panią

Powietrza. Po jego śmierci się zmieniła. Posługiwała się magią zawsze i wszędzie, ćwiczyła ją i doskonaliła, żeby zemścić się na Mab. Magia sprawiła, że Alexis stała się... nieuważna. Szalona. Już nie słucha moich argumentów.

Spojrzałam na nią chłodno.

- To postaraj się bardziej, Haley. Bo inaczej to ty odczujesz, czym jest gniew Mab Monroe. Pewnie będzie cię torturowała o wiele dłużej, niż Alexis tego staruszka w restauracji. Mab ma dużo większe doświadczenie w tej dziedzinie. Nie zdziwiłabym się, gdyby przez wiele dni nie dawała ci umrzeć.

Haley pobladła, jej twarz przybrała zielonkawy odcień, jakby było jej niedobrze.

Wyjęłam z torebki wizytówkę, na której dopisałam numer telefonu, i jej podałam.

- Masz godzinę, by przekonać Alexis, zadzwonić do mnie na ten numer i przyjąć moje żądania. A potem, kto wie, co się stanie?

Haley James wzięła wizytówkę drżącymi palcami i przycisnęła do piersi. Jeszcze przez chwilę przyglądałam jej się beznamiętnie, potem wzięłam komórkę, wstałam i odeszłam.

ROZDZIAŁ 25

Z łatwością przebiłam się przez elegancki tłum, mijałam kolejne grupki, czuły czas trzymając komórkę przy uchu.

- Słyszałeś wszystko, Caine.

- Tak - odparł detektyw ponuro. - Słyszałem.

Nie rozłączyłam się, gdy podchodziłam do Haley James, bo chciałam żeby usłyszał, co miała do powiedzenia. Tym sposobem nie mógł mi zarzucić, że przeinaczyłam jej wypowiedź albo że zarzucam jej coś, czego nie zrobiła. Haley sama dała jasno do zrozumienia, że akceptuje wszystkie posunięcia Alexis, pod warunkiem, że może okradać własną firmę. Tylko raz straciła zimną krew - gdy powiedziałam, że mam pen drive i zastanawiam się, czy nie przekazać go Mab Monroe. Wtedy wpadła w panikę. Nikt nie chce narazić się na gniew pani Ognia, nawet osoba tak chciwa jak Haley James. W tej chwili pewnie przemyka przez tłum, szukając siostry, zastanawia się, w jaki sposób ją przekonać, by przystała na moje żądania, bo tylko tak zdołają ocalić skórę.

Nie tylko Haley przemykała przez salę. To samo robił jeden z goryli Mab Monroe.

Najwyraźniej wcześniej przesadziłam i Mab była ciekawa, kim jestem i dlaczego rozmawiałam z Haley James. Jej goryl parł w moją stronę jak Sherman na Atlantę. Nie śmiałam zerknąć za siebie, ale słyszałam szepty ludzi, których spychał z drogi. Przyspieszyłam kroku, wymijałam zbite gromadki, unikałam krążących kelnerów. Byłam szybka, ale olbrzym był większy. To tylko kwestia czasu, kiedy mnie dopadnie, kiedy jego wielka łapa zaciśnie się na moim ramieniu. Wyciągnie mnie wtedy na zewnątrz na krótką pogawędkę - może nawet z Mab we własnej osobie. W tej chwili nie miałam ochoty na takie komplikacje.

- Masz ogon - w moim uchu ponownie rozbrzmiał głos Caine'a.

- Coś takiego - mruknęłam - Gdzie jesteś?

- Cały czas w tym samym miejscu, Na drugim piętrze, opieram się o barierkę.

Podniosłam wzrok. Był dokładnie tam, gdzie powiedział. Rozpiął kolejny guzik koszuli i wyglądał seksownie i lekko niedbale w popołudniowym świetle. Mmm. Szkoda, że nie miałam czasu, by rozkoszować się tym widokiem.

- Widzę cię - powiedziałam. - Znajdź miejsce, gdzie moglibyśmy się przed nim schować. Puste pomieszczenie, schowek na szczotki, nie wiem. Za minutę do ciebie dołączę.

- Dobrze.

Caine odwrócił się i odszedł od barierki. Przeczesałam wzrokiem tłum, szukałam czegoś, co pomogłoby mi spowolnić marsz olbrzymia. Pomruki za moimi plecami przybierały na sile. Mam najwyżej minutę, zanim mnie dopadnie.

Wypatrzyłam kelnera, który niezbyt pewnie niósł tacę pełną whisky z miętą. Idealnie. Zwolniłam kroku, żeby wszystko wypadło naturalnie. Gdy kelner mnie mijał, z całej siły kopnęłam go w kostkę wysokim obcasem. Krzyknął z bólu. Poszłam spokojnie dalej, a kelner runął jak długi. Jego taca poszybowała w górę i alkohol chlusnął na wszystkich w promieniu metra od nieszczęsnego chłopaka. Kilka kropli wylądowało na moich plecach.

Na początku zapanowała pełna konsternacji cisza, a potem rozwścieczony tłum zaatakował kelnera potokiem pretensji i wymówek, jak mógł być taki niezdarny. Zrobiło się tak tłoczno, że nawet olbrzym nie mógł się przecisnąć. Musiał ominąć stoliki i kobiety biadolące nad poplamionymi kreacjami. Ja w tym czasie pobiegłam na górę i ukryłam się w tłumie na drugim piętrze. Widziałam z góry, jak Mab Monroe przygląda się zamieszaniu spod zmarszczonych brwi. Wiedziała, że coś poszło nie tak, nie wiedziała tylko, co dokładnie.

Pochyliłam głowę, odsunęłam się od barierki i szłam dalej, nie na tyle szybko, żeby zwracać na siebie uwagę, ale też nie przesadnie wolno. Podniosłam telefon do ucha. - Gdzie jesteś?

- W schowku na szczytce. Na końcu korytarza skręć w lewo. Drugie drzwi po prawej.

Poszłam za jego wskazówkami. W korytarzu nikogo nie było, więc otworzyłam wskazane drzwi, weszłam do środka i zamknęłam je za sobą. Caine już czekał, opierał się o metalowy regał pełen rolek papieru toaletowego. Oparłam się o drzwi i odetchnęłam z ulgą.

- Było blisko.

- Za blisko - przyznał.

- A co z Haley? Co zrobiła po naszej rozmowie?

- Niewiele. Przez chwilę siedziała i odprowadzała cię wzrokiem, a potem wstała i zniknęła w tłumie.

Poszła poszukać Alexis, tak jak myślałam.

- I co teraz? - zapytał Caine.

- Teraz poczekamy tutaj, aż Mab i jej ludzie przestaną mnie szukać, a Haley James zadzwoni - odparłam. - Ani jedno, ani drugie nie powinno zająć dużo czasu.

Rozejrzałam się po schowku. Oprócz metalowego regału, o który się opierał Donovan, w schowku było niewiele więcej. Wiadro i mop do podłogi. Kilka pudełek z gumowymi rękawiczkami. Wytarta kanapa, zapewne zabrana z jednego z salonów.

Zadzwoniłam do Finna. Odebrał po drugim dzwonku.

- Żałuj, że tego nie widzisz - powitał mnie. - Kelner, którego załatwiłaś, nadal obrywa. Kobiety krążą wokół niego jak stado rozszalałych wron.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.

- Cały czas przy barze - odparł. - Rozmawiam z Grace.

Chyba puścił do niej oczko, bo w słuchawce rozległ się kobiecy śmiech. Taki wysoki, piskliwy i złowrogi - w ten sposób w bajkach śmieją się czarownice. To pewnie ta stara krasnoludzica, z którą go wcześniej widziałam.

- Grace cię pozdrawia - powiedział Finn

- Świetnie - warknęłam. - Powiesz, co się tam dzieje?

Westchnął.

- Czy ty nigdy nie możesz wyluzować, cieszyć się imprezą.

- Nie. A teraz powiedz, co się działo po tym, jak odeszłam od Haley. Caine mówi, że weszła w tłum.

- Poszła prosto do Alexia - uściślił Finn. - Wyszły razem na patio i w tej chwili rozmawiają. Alexis chyba nie jest zadowolona. Jest z nimi Stephenson. Biedaczek kiepsko wygląda. Co chwila ociera sobie czoło chusteczką.

Uśmiechnęłam się. Świetnie. Najwyższy czas, żeby suka zdała sobie sprawę, z kim zadarła.

- Miej na nich oko, ale nie pozwól, żeby cię zobaczyli. Gdyby wychodzili, daj znać, nie idź za nimi.

- Tak jest, pszę pani - syknął. - Nie martw się. Grace dotrzyma mi towarzystwa.

Rozłączyliśmy się. Odłożyłam telefon na metalową półkę, obok rolki papieru toaletowego. Podeszłam do kanapy i usiadłam. Poduszki ugięły się pod moim ciężarem, stara sprężyna zakłuła w pośladek. Przesunęłam się, ale nie mogłam przed nią uciec.

Donovan Caine oderwał się od półki i zaczął przechadzać nerwowo - pięć kroków od jednej ściany do drugiej. Podeszwy jego butów piszczały na posadzce. Czułam, jak nadciąga migrena.

- Będiesz tak łąził przez godzinę? - zapytałam. - Moje nerwy już są w strzępach.

Nie odpowiedział, tylko chodził dalej. Jego szybkie, opanowane ruchy przykuwały mój wzrok. Wodziłam oczami za jego szerokimi ramionami, ciasny schówek wypełniał jego czysty, mydlany zapach, zagłuszał nawet drażniącą woń środka dezynfekującego. Przypomniałam sobie, kiedy ostatnio byliśmy tak blisko - wczoraj, w Northern Aggression. Przypomniałam sobie jaki był twardy. Jak bardzo chciałam dokończyć to, co zaczęliśmy. I co sobie obiecałam. Że dzisiaj muszę wziąć jak najwięcej, zanim jutro pożegnamy się na zawsze.

Spojrzałam na zegarek. Pięćdziesiąt minut. Kupa czasu. Finn siedzi na dole, ma oko na wszystko i czaruje staruchę. Jesteśmy bezpieczni. Haley i Alexis James naradzają się, szukają wyjścia z sytuacji, główkują, jak zareagować na moje żądania. Właśnie dlatego chciałam doprowadzić do konfrontacji w miejscu publicznym. W tej chwili nic nie mogą nam zrobić. Jeśli chodzi o olbrzyma, przeszukanie terenu klubu zajmie mu kilka godzin, o ile w ogóle to robi. Mab Monroe pewnie już przywołała go do siebie po tym zamieszaniu, którego narobiłam, by przed nim uciec.

Mieliśmy z Caine'em pięćdziesiąt minut dla siebie. Błądziłam wzrokiem po ciele detektywa. Nie wyobrażałam sobie miłszego sposobu spędzenia tego czasu. Odchrząknęłam. Donovan zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Zdajesz sobie sprawę, że gdy siostry James przystaną na nasze żądania, będzie po wszystkim. Jutro wszyscy wrócimy do normalnego życia - zaczęłam. - Finn, Ty. Ja.

Skinął głową.

- Wiem o tym.

Patrzył na mnie wzrokiem, w którym malowały się znajome emocje. Pożądanie. Pragnienie. Poczucie winy. Pochłaniał mnie orzechowym spojrzeniem, błądził wzrokiem po moich ustach, piersiach, nogach, Ale nie poruszył się. Nie zrobił nic, by wziąć to, czego tak wyraźnie pragnął. A więc wszystko w moich rękach.

Wstałam i powoli podeszłam do niego. Moje obcasy stuknęły głośno w małym pomieszczeniu. Donovan skrzywił się, gdy to usłyszał, ale nie odwrócił wzroku. Nie był w stanie. Podobnie jak ja nie mogłam się zatrzymać. Pochłaniałam go wzrokiem jak on mnie przed chwilą. Silne ramiona, mocna klatka piersiowa, ukryta moc. Podobało mi się to, co widziałam

- Jesteś przystojnym mężczyzną, detektywie - powiedziałam. - A ja piękną kobietą. I jesteśmy tutaj sami. Razem.

Milczał. Nie wykorzystał okazji. Musiałam brnąć dalej.

- Wczoraj, w klubie, gdy siedziałam ci na kolanach, nie chciałam przestać. Chciałam ściągnąć ci dzinsy, poczuć cię w sobie, głęboko, coraz głębiej, aż oboje zaczęlibyśmy krzyczeć. Ty nie?

W jego policzku drgnął mięsień. Ale nadal się nie ruszył.

- Pociągasz mnie, choć tak bardzo się różnimy. Fascynujesz mnie. Już dawno nie pragnęłam nikogo tak, jak pragnę ciebie. I myślę, że czujesz to samo.

Przez chwilę wydawało się, że nie odpowie, ale jednak.

- Takt pragnę cię.

Mówił niskim, napiętym głosem. Wiele go kosztowało to wyznanie. Z trudem powstrzymywał się, by mnie nie dotknąć.

Dobrze, że nie miałam oporów, by zrobić pierwszy krok.

Podeszłam do niego i położyłam mu dłonie na ramionach, uniosłam głowę i spojrzałam w orzechowe oczy.

- Więc zróbmy z tym coś.

ROZDZIAŁ 26

Caine przyglądał mi się bacznie.

- To nie jest dobry pomysł, Gin. Jesteśmy tu z konkretnego powodu, pamiętasz? Mamy przekonać siostry James, żeby przestały. I tyle. Może już nas szukają.

W jego oczach zalśniła desperacja. Szukał ratunku, ale nie pozwolę mu się wymknąć.

- Kiepska wymówka. Teraz całkowicie pochłania je szukanie wyjścia z sytuacji. A nawet jeśli nie, nie szukają nas. Pewnie myślą, że wyszliśmy i gdzieś na zewnątrz czekamy na ich telefon. Dopóki nie zadzwonią, nie mamy nic. Poza czasem.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go w miękką skórę koło ucha. Drgnął. Był na granicy wytrzymałości.

- Jeśli chodzi o zabezpieczenie, grzecznie łykam pigułki, więc nie będzie żadnych niepożądanych konsekwencji. Zresztą domyślam się, że jak większość facetów masz kilka prezerwatyw w portfelu. - Głęboko zaczerpnęłam tchu. - A jeśli chodzi o nas, nie przeszkadza mi, że od jutra znowu staniemy po przeciwnych stronach barykady. Po wszystkim, co się wydarzyło, wystarczy mi to, co mogę mieć dzisiaj. Chcę ciebie, Caine. Tu i teraz. - Pocałowałam go w usta.

Jakbym poraziła go prądem - Ekspłodował. Mruknął gardłowo, przyciągnął mnie do siebie, odwrócił i oparł o ścianę. Jego dłonie błądziły po miękkiej tkaninie sukni. Miażdżył mi usta w pocałunku. Tym razem nie musiałam go prowokować, by rozchylił swoje. Już czułam jego język. Nie opierałam się.

Moje nozdrza wypełnił jego zapach, ten cudownie świeży aromat mydła. Ja także straciłam kontrolę nad sobą. Moje ręce były wszędzie. Na jego twarzy, szyi, klatce piersiowej. Pieściły, głaskały, ugniatały, pragnęły więcej. Jego całego naraz.

Kiedy już dostał się pod sukienkę, sięgnął do majtek Zerwał je jednym ruchem i wsunął we mnie dwa palce. Jęknęłam. Już byłam mokra. Oplotłam go nogą w pasie, żeby miał łatwiejszy dostęp. Jego palce poruszały się szybko rytmicznie, za każdym razem wchodziły głębiej. Jęczał razem ze mną.

- Chciałem tego, odkąd po raz pierwszy zobaczyłem cię na balkonie opery - szepnął mi w twarz. - Cały czas chciałem cię poczuć.

- Więc nie przestawaj. - Ochryplam z pożądania. - Nie przestawaj.

Znowu się całowaliśmy. Nadal mnie pieścił. Zbyt wiele było między nami napięcia, pożądania i emocji, by dłużej czekać. Wolną ręką sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, zanim pozwolił spodniom opaść na ziemię. Usiłowałam ściągnąć mu bokserki, ale czarny jedwab nie chciał ustąpić. Zniecierpliwiona,

rozerwałam rozporek i uwolniłam nabrzmiały członek. On tymczasem zębami otworzył paczuszkę i wyjął prezerwatywę.

- Teraz - jęknęłam. - Teraz.

Dźwignął mnie. Zaplotłam nogi na jego plecach. Oparł mnie o ścianę i wszedł we mnie, mocno, szybko, głęboko. Nie panował nad sobą. Ja też nie. Jęczałam, czując, jak wchodzi we mnie coraz głębiej. Wbiłam paznokcie w jego ramiona. Przy każdym jego ruchu, przy każdym pchnięciu, zaciskałam się na nim, coraz mocniej, coraz bliżej orgazmu, którego tak bardzo pragnęłam. Coraz bliżej rozkosznej ulgi. Caine przytulił twarz do mojej szyi. Metalowy regalik chybotął się w rytm naszych ruchów. Było tak dobrze, że aż bolało.

Ale skończyło się za szybko. Niecałą minutę później Caine drgnął po raz ostatni i skończył. Czulałam, jak opada i wysuwa się ze mnie. Tyle, jeśli chodzi o wytrzymałość. Za bardzo naciskałam, za szybko. Skończył ale ja nadal płonęłam. I nie miałam zamiaru tego tak zostawić.

- Ja... przepraszam, - Postawił mnie na ziemi. - Bytem za ostry.

- Nie byłeś - odparłam. - Ale jeszcze nie skończyliśmy.

Położyłam mu rękę na ramieniu i pchnęłam w stronę kanapki. Podszedł do niej tyłem, uderzył kolanami i opadł na poduszki najeżone sprężynami. Usiadłam na nim okrakiem, ściągnęłam zużyta prezerwatywę i zamknęłam go w dłoni. Jut po chwili oddychał szybciej, czulałam to na szyi.

- No dalej, detektywie. Stan na wysokości zadania. - Drażniłam czubek jego penisa paznokciem.

- To wyzwanie? - mówił niskim, ochryłym głosem. Objął mnie w talii, przyciągnął bliżej.

Uklęknęłam, otarłam się o niego.

- Raczej zachęta.

Niedługo trwało, aż ponownie nabrał ochoty i wyjął kolejną prezerwatywę z portfela. Tym razem to ja byłam na górze. Narzucałam tempo, ujeżdżałam go powoli, leniwie, unosiłam się i opadałam, za każdym razem odrobinę głębiej, odrobinę szybciej, aż w kółko mamrotał moje imię. Gin, Gin, Gin. Jakby to była modlitwa - albo przekleństwo. W życiu nie słyszałam nic równie podniecającego.

Jęknął. Sięgnął do moich piersi, pieścił je przez sukienkę i stanik, aż pragnęłam więcej. Błądził ustami po mojej szyi, drażnił lekkimi ukąszeniami. Zacisnęłam mu ręce na barkach, ponaglałam go. Czulałam napięcie jego mięśni, czulałam, jak nabrzmiewa. Zacisnęłam się na nim. Napięcie narastało we mnie bez końca.

Wreszcie odrzuciłam głowę do tyłu i pozwoliłam, by orgazm wyrwał mnie z rzeczywistości.

* * * *

Po wszystkim siedzieliśmy obok siebie na kanapie. Dotykaliśmy się ramionami, moja noga nadal spoczywała na jego udzie. Może nie tuliliśmy się do siebie, ale też nie siedzieliśmy oddzielnie. Najchętniej położyłabym mu głowę na ramieniu, zamknęła oczy i odpoczęła. Chciałam w pełni rozkoszować się tą ulotną chwilą spokoju i rozkoszy, ale nie mogłam. Seks nie był wystarczająco intymny. Może nie kochaliśmy się, ale też nie pieprzyliśmy. Czułam w piersi załazek ciepłych uczuć do detektywa, ale na razie nie chciałam o tym myśleć.

Co do jednego miałam rację. Donovan Caine był świetnym kochankiem. Dawn nie byłam równie zaspokojona. Dojrzałe faceci mają doświadczenie, czego nie można powiedzieć o studentach, z którymi zazwyczaj sypiałam. Młodzi byli zachwyceni, że w ogóle trafia im się kobieta, i bali się zrobić coś, co mogło by mnie zniechęcić - na przykład pieprzyć mnie szybko i mocno jak Donovan. Albo pozwolić, bym ja to zrobiła.

Roześmiał się. Najpierw cicho, ale już po chwili zwijał się ze śmiechu, dosłownie.

- Co cię tak bawi? - zapytałam.

- To. Ty. Ja. My. Razem.

Uniosłam brew.

- Według mnie było to nie tyle śmieszne, co satysfakcjonujące. Nie mam racji?

Otarł łzy z zaczerwienionej twarzy.

- Och, oczywiście, to było bardzo satysfakcjonujące. Ale zabijasz za pieniądze. Zabiłaś mojego partnera. A ja jestem detektywem, policjantem, jednym z tych dobrych. I pieprzyłem cię. I to dwukrotnie.

- Więc w czym rzecz?

Przyglądał mi się uważnie.

- Ty naprawdę jesteś taka zimna? Masz lód w żyłach i kamień zamiast serca?

Co za banał. Ale ten wyświechtany frazes opisywał mnie trafniej, niż mu się zdawało.

- Nic rozumiesz, co zrobiłem? - zapytał. - Postąpiłem wbrew wszystkiemu, w co wierze. I dlaczego? Dla ciebie?

Odsuwał się ode mnie. Wiedziałam, że do tego dojdzie, ale i tak zabolęło jak ukłucie igły. Poczekalam, aż moje serce na powrót stwardniało i na moją twarz powróciła lodowa maska.

- Żeby się pieprzyć? - zapytałam lekko. Za wszelką cenę chciałam coś ocalić. Odrobinę szczęścia, którą będę później wspominać.

Przesunął dłonią po krótkich ciemnych włosach, zmierzwił je jeszcze bardziej.

- Nie w tym rzecz. Powinienem cię aresztować, zamknąć za to, co zrobiłaś, a nie zastanawiać się, czy mam dość siły na trzecią rundę.

Wzruszyłam ramionami.

- Oboje świetnie się bawiliśmy. Po co mieszać w to etykę? Bo w tym, jak kilka minut temu wykrzykiwałeś moje imię, nie było nic świętego i szacownego.

Zesztywniał, ale nie mógł temu zaprzeczyć. Ale cudowne pragnienie, rozkosz i słodka ulga słabły, w jego oczach pojawiły się wcześniejsze wątpliwości, a wraz z nimi jedyne uczucie, którego nie mógł się pozbyć - wyrzuty sumienia, że pieprzył kobietę, która zabiła jego partnera. Nie mógł tego zaakceptować ani dzisiaj, ani kiedykolwiek.

Oczywiście mogłam mu opowiedzieć o ciemnych sprawkach Cliffa Inglesa, ale nie sądziłam, by to zmieniło coś między nami. Ingles jest i pozostanie martwy. I nic nie zmieni tego, że to ja go zabiłam. Co oznaczało, że miesiąc miodowy dobiegł końca. W sumie szkoda.

Zdjęłam nogę z jego uda i wstałam.

- Co ty robisz? - zapytał, wpatrzony w moje gołe nogi. - Ubieram się - odparłam chłodno. - Lada chwila powinny zadzwonić siostry. Tobie też to radzę.

Schowałam podarte majtki do torebki, poprawiłam sukienkę. Słyszałam, jak Caine zapina rozporek. Nie rozmawialiśmy. Wzięłam komórkę i schowałam do torebki, uchyliłam drzwi i ostrożnie wyjrzałam na korytarz. Nikt na nas nie czekał. Mab zapewne odwołała olbrzyma. I dobrze.

Wyszliśmy ze schowka i udaliśmy się do innych schodów prowadzących do sali balowej. Nie było nas niecałą godzinę; w tym czasie tłum zgęstniał, rozmowy przybrały na sile. Chwilę trwało, zanim dostrzegłam Finna przy barze. Miał nową towarzyszkę. Zamiast starej krasnoludzicy, teraz czarował śmiechem i poił alkoholem młodą, ładną Azjatkę. Wskazałam go głową Donovan skinął i poszliśmy w tamtą stronę

- Widzisz gdzieś siostry? - zapytał cicho.

Spojrzałam na niego. Skrył się za nieprzeniknioną maską, z oczu zniknęły wyrzuty sumienia. Odłożył na bok sprzeczne uczucia, póki musiał koncentrować się na pracy. Cóż za profesjonalizm.

Już miałam zaprzeczyć, gdy moją uwagę przykuł złoty błysk Haley James. Drobną kobietą patrzyła na drzwi wyjściowe. Z otwartymi ustami niemal biegła do wyjścia. Poruszała się tak szybko, że nie pojmowałam, jakim cudem złote sandały nie spadają jej z nóg. Można by pomyśleć, że ktoś ją ściga. W jednej chwili była na sali, w następnej już nie. Rozglądałam się w poszukiwaniu Alexis.

O, jest, mniej więcej pięćdziesiąt metrów za siostrą. Doganiała ją. Zaciśnięte usta. Zmrużone oczy. Wykrzywione rysy. Goniła Haley. Wolałabym nie być w jej skórze, gdy Alexis ją dopadnie. Za nią szedł kapitan Wayne Stephenson i jego dwa zbiry. We czwórkę podchodzili do drzwi.

- Finn! Finnegan Lane! - zawołał zmysłowy głos. Niech to szlag.

Od baru dzieliło mnie kilkadziesiąt metrów i spory tłum, ale i tak usłyszałam, jak ktoś woła Firma. Alexis James także. Zatrzymała się w pół kroku, jakby trafił ją piorun. Stephenson wyhamował w ostatniej chwili, żeby na

nią nie wpaść, ale zbiry nie - odbili się od niego jak piłeczki pingpongowe. Udało im się nie poprzewracać.

Roslyn Philips uśmiechnęła się, przeprosiła i wyminęła Alexis James. Patrzyła na Finna i nie zauważyła, że pani Powietrza nagle się nią zainteresowała. Alexis podążyła za jej wzrokiem i uśmiechnęła się zjadliwie, widząc Finna, który uniósł w powitalnym geście na widok Roslyn.

Alexis złapała Roslyn za ramię, pociągnęła i warknęła coś do Stephensona. Objął ją w talii i wyniósł z sali, osłaniany przez zbirów. Kilka osób zerkało na nich ciekawie, ale nikt nie interweniował. W Northtown ludzie są bogatsi niż w Southtown, ale ani jedni, ani drudzy nic chcą mieszać się w cudze sprawy.

Roslyn nie wiedziała, co się dzieje, ale szamotała się, bo jeśli olbrzym zabiera cię gdzieś wbrew twojej woli, na pewno nie ma dobrych zamiarów. Zdążyła wbić mu kły w rękę, zanim wyniósł ją z sali balowej.

Finn zerwał się z krzesła i pobiegł za nimi.

O cholera.

Ruszyłam w tamtą stronę, ledwie usłyszałam, jak Roslyn Phillips woła Finna. Donovan Caine także. Nasze kroki dudniły głucho na miękkiej wykładzinie, gdy bieглиśmy do drzwi, ale na naszej drodze stało zbyt wiele osób, byśmy mogli zmierzać prosto do celu. Biegliśmy zakosami.

Akurat udało mi się dostrzec przerwę w ludzkiej masie, wyłom w tłumie, gdy ktoś zastąpił mi drogę i zasłonił widok. Podniosłam głowę. Olbrzym, którego Mab po mnie wysłała.

- Znalazłem cię wreszcie - sapał. - Pani Monroe chce z tobą porozmawiać.

Nie czas na uprzejmości. Kopnęłam go w podbrzusze, aż zgiął się z jękiem. Zdążyłam wyjąć z rękawa nóż i walnęłam go na dokładkę trzonkiem w tchawicę. Zakrztusił się i zatoczył do tyłu, zaczepił o stół, przewrócił go. Rozpryskujące się jedzenie i alkohol wywołały kolejną falę okrzyków, ale nie zwracałam na to uwagi, byłam już w drodze do drzwi.

Z sali balowej do drzwi wejściowych prowadziła prosta droga, ale nie widziałam w holu ani Alexis James i Stephensona, ani Finna. A więc już wyszli. Walka z olbrzymem zabrała mi kilka bezcennych sekund.

Biegłam do drzwi, mając tuż za plecami Donovana Caine'a. Były otwarte, popołudniowe słońce wpadało do holu, ale nie ogrzewało mnie ani odrobinę.

Wypadłam na zewnątrz. Spojrzałam w lewo, w prawo. Jest Limuzyna przy krawężniku, mniej więcej w połowie podjazdu prowadzącego na wzgórze, na którym znajdował się klub. Wayne Stephenson zamachnął się pięścią na Finna, uderzył i Lane osunął się bezwładnie, nieprzytomny. Stephenson wepchnął go do limuzyny i wsiadł. Alexis James, Roslyn Phillips i dwaj pozostali ochroniarze byli już zapewne w środku, bo nigdzie nie było ich widać.

- Finn! - wrzasnęłam i puściłam się biegiem. - Finn!

Za późno.

Drzwi się zatrzasnęły. Limuzyna ruszyła z piskiem opon i odjechała w dal, w stronę słońca.

ROZDZIAŁ 27

Przez chwile stałam bez ruchu, nie wierząc w to, co się stało Alexis James ma Finna i Roslyn Phillips. Fortuna, ta humorzasta dziwka, dzisiaj naprawdę kopnęła mnie w tyłek.

Donovan Caine mnie dogonił. Nie wiem, kiedy zdążył wyciągnąć pistolet z kabury na kostce.

Po chwili trening Fletchera zwyciężył, jak zawsze. Rozejrałam się. Z wielu limuzyn wysiedli kierowcy zaintrygowani zamieszaniem. Parkingowi stojący przy drzwiach przyglądali mi się z ustami otwartymi ze zdumienia. Olbrzym Mab jest pewnie niedaleko, o ile już odzyskał oddech.

- Musimy spadać. I to już - powiedziałam cicho.

Poszłam na parking. Caine schował broń i ruszył za mną. Woleliśmy nie ryzykować powierzenia kradzionego wozu parkingowemu, więc Finn, zamiast ukraść kolejne auto, przywiózł nas jednym z cacek ze swojej kolekcji. Kluczyki tkwiły w stacyjce mercedesa. Czas na kolejną przejażdżkę.

Szłam wśród wozów, póki parkingowi nie stracili mnie z oczu. Po mniej więcej dwóch minutach poszukiwań znalazłam kilkuletnie bmw - innymi słowy, sprzed ery wyrafinowanych alarmów. Rękojeścią noża wybiłam szybę i odpałam silnik „na krótko”. Nie tylko Finn się na tym znał, choć on robił to z o wiele większą finezją niż ja.

Usiadłam za kierownicą. Donovan Caine zajął fotel pasażera. Żadne z nas nie odezwało się słowem, wcisnęłam gaz i odjechaliśmy spod klubu. Mniej więcej pięć kilometrów dalej zjechałam z drogi na pierwszej napotkanej stacji benzynowej, stanęłam w najdalszym zakątku parkingu i wyjęłam telefon z torebki.

- Co ty robisz? - zapytał Donovan.

- Dzwonię do Firma.

Jeden dzwonek. Dwa. Trzy. Cztery...

- Halo? - W słuchawce rozległ się głos nie Finna, lecz Roslyn.

- Tu Gin.

- Gin, tak mi przykro. Nie wiedziałam..

- Nie szkodzi, Roslyn, - Musiałam ją uspokoić. - To nie twoja wina, tylko moja. Nie dopilnowałam tego. Wszystko będzie dobrze. Niedługo wrócisz do domu, do Catherine. A teraz daj mi Alexis James.

Wcisnęłam guzik, włączyłam zestaw głośnomówiący i ustawiłam komórkę tak, żeby Donovan Caine także słyszał rozmowę.

- Kto mówi? - zapytał kobiecy głos. Zimny, ostry, emanujący pewnością siebie.

- Witaj, Alexis - powiedziałam.

Jej śmiech niósł się echem po samochodzie.

- A zatem znasz mój głos. Dobrze. To wszystko ułatwi.

- Gdzie twoja siostra? - zapytałam. - Gdzie Haley?

Wolałabym pertraktować z Haley. Wydawała się bardziej skłonna przyjąć moją propozycję. A co ważniejsze, bała się, co zrobię, jeśli nie spełnią moich żądań. Obawiała się, że przekażę to, co wiem, Mab Monroe i tym samym wydam ją i siostrę na pastwę pani Ognia.

Haley nie chciała zginąć z jej ręki jak ich ojciec, Lawrence.

Ale Alexis James to co innego. Za bardzo pragnęła władzy, by zachować minimum zdrowego rozsądku, by bać się Mab. W jej głosie pobrzmiwała nuta szaleństwa, którą wychwyciłam w pełnych pychy słowach. Alexis upajała się własną magią i nigdy nie odpuści. Nic dziwnego, że uznała, iż może rzucić wyzwanie Mab Monroe. Pewnie sądzi też, że jest Larą Croft.

A teraz Alexis miała coś, na czym mi zależało - Finna. To się nie mogło dobrze skończyć. Dla nikogo.

- Haley już nie ma - powiedziała Alexis.

Zmrużyłam oczy.

- Jak to: nie ma?

- Ta idiotka wybrała ucieczkę - warknęła. - Przekazała mi twoje żałosne żądania. Powiedziała, że sprawy się komplikują, i odeszła.

Więc to dlatego Haley wyszła z klubu przed siostrą,

- Nie gonisz jej?

Alexis parsknęła śmiechem i znowu usłyszałam w nim echo szaleństwa. Caine przechylił głowę. A więc i on to wychwycił.

- Niby po co? Powstrzymywała mnie tylko, w kółko powtarzała, że mam być rozsądna i ostrożna. Niech się chowa, niech ucieka przed tobą, Mab Monroe i wszystkimi innymi. Lepiej mi będzie bez niej. - Z jej głosu przebijała gorycz. - Teraz musisz negocjować ze mną, nie z nią.

Milczałam. Gdzieś z oddali docierały inne odgłosy. Klakson samochodowy. Czyli nadal jadą i z każdą chwilą coraz bardziej oddalają się od country klubu. A ja nie miałam pojęcia, dokąd jadą, nie wiedziałam, jak ich znaleźć.

- Z kim właściwie rozmawiam? - zapytała Alexis.

- Wiesz dobrze. Polujecie na mnie od kilku dni.

- Chcę, żebyś to powiedziała.

Głęboko zaczerpnęłam tchu.

- Jestem Pajakiem. Zabójczynią, którą zatrudniłaś i wykiwałaś.

Donovan Caine wzdrygnął się, słysząc mój pseudonim. Przypomniał mi, kim jestem, choć na godzinę udało mu się o tym zapomnieć. Spoważniał. W jego oczach błysnęło poczucie winy. Myślał o Cliffie Inglesie, o tym, że zdradził go, pieprząc się ze mną. I rozkoszując się tą chwilą. Jego usta, niedawno rozchylone i namiętne, zacisnęły się w wąską linię. Niech to szlag. To nieodpowiednia chwila na to żeby znowu mnie znienawidził i ślubował, że za wszelką cenę zawlecze mnie przed oblicze sprawiedliwości

- Czego chcesz? - zapytałam.

- Pen drive i wszystkie jego kopie.

- A w zamian?

- Odzyskasz przyjaciół - mniej więcej w jednym kawałku.

Rozległa się seria głuchych uderzeń i jęków. Finn który po raz drugi w ciągu tygodnia zalicza potężne lanie, tym razem zapewne z łap Stephensona. Mamy powód do dumy. Jeszcze jeden cios i zaraz po nim wysoki, kobiecy krzyk. Roslyn. Uderzył wampirzycę na tyle mocno, że to poczuła.

Zacisnęłam pięść.

- Posłuchaj, suko, nie interesuje mnie uszkodzony towar. Stephenson ma natychmiast przestać znęcać się nad moim człowiekiem, a jeśli on albo ci dwaj choćby pomyślą o tym, żeby tknąć kobietę, osobiście zaniosę pen drive Mab Monroe i poczekam, aż cię znajdzie. Kurczę, może nawet każe burmistrzowi dać mi medal za to, że podałam cię jej na tacy.

Cisza,

Świadome ryzyko. Może Alexis James nie boi się magii Mab Monroe, ale na pewno zdaje sobie sprawę, że jej sytuacja skomplikowałaby się, gdyby pani Ognia wkroczyła do akcji. Przecież właśnie dlatego zatrudniła mnie i wystawiła zarazem - chciała mieć wolną drogę do przyszłej chwały. Bardzo jej zależało na tym pen drive, chyba bardziej niż na skrzywdzeniu Finna i Roslyn i ryzykowaniu, że nie blefuję. Bo nie blefowałam. Naprawdę miałam zamiar tak postąpić - tylko że najpierw sama dopadnę Alexis James.

- Dobrze. - Wahanie i niepewność w jej głosie.

- Gdzie dokonamy wymiany? - zapytałam.

- W starym kamieniołomie pod miastem. Wiesz, gdzie to jest?

Zamknęłam oczy. Powróciły wspomnienia. Zabawy z Brią w dzieciństwie. Ukrywanie się wśród skał, gdy pani Ognia zabiła moją rodzinę. Jo-Jo na kamieniu, ucząca mnie, jak zapanować nad magią żywiołów. Fletcher na głazie, pogrążony w lekturze, gdy biegam dokoła kamieniołomu, docieram na dno i wracam na górę.

- Wiem

- Za dwie godziny. Bądź tam z pen drive'em albo zginą. Będą umierać powoli.

Alexis rozłączyła się. Ja także. Spojrzałam na Caine'a, patrzył na mnie surowym, nieprzeniknionym wzrokiem policjanta.

Westchnęłam.

- No już, powiedz to.

- To twoja wina. Alexis James ma zakładników przez ciebie. - Jego oczy zasnuły się lodem. - Bo wolałaś się ze mną pieprzyć, zamiast jej pilnować.

- Skąd miałam wiedzieć, że Roslyn zawoła Finna i że Alexis ich porwie? - zapytałam.

Bursztynowe oczy rozbłysły pogardą.

- Błędne założenie?

Jego pogarda i gniew sprawiały mi ból, ale odepchnęłam to od siebie. Teraz nie czas na uczucia. Teraz muszę być zimna jak magia Kamienia i Lodu w moich żyłach.

- Nie chodzi ci o Finna i Roslyn. Wiesz, że to pech, zbieg okoliczności, którego nikt nie mógł przewidzieć - warknęłam. - Nie, tak naprawdę jesteś wściekły na siebie, bo mnie nie odepchnąłeś. Spójrz prawdzie w oczy. Też tego chciałeś i bardzo ci się to podobało. Więc nie zwalaj całej winy na mnie.

Caine zacisnął pięści. Wyglądał, jakby chciał kogoś uderzyć... Mnie.

- Możesz mnie nienawidzić i obrażać, później - zakończyłam, - Teraz Finn i Roslyn są w niebezpieczeństwie. Widziałeś zdjęcie mojego pośrednika, wiesz, co mu zrobiła Alexis James. Będzie ich torturowała w ten sam sposób. Masz dwa wyjścia albo mi pomożesz ich ocalić, albo, do cholery, zjedź mi z drogi.

Patrzył na mnie z nienawiścią i obrzydzeniem, które migotały złotym ogniem w jego oczach.

- Pomogę ci - ze względu na Roslyn. Bo ma tę małą, którą kocha. Bo ślubowałam bronić takich ludzi jak ona. Nie robię tego dla Finna ani, tym bardziej, dla ciebie. Nic mnie nie obchodzisz, jasne?

Te słowa zabolowały, ale zachowałam kamienny wyraz twarzy.

- Jak słońce - odparłam. - A teraz do dzieła.

Okrężną drogą wróciłam do domu. Co chwila zerkałam w boczne lustro, ale chyba nikt za nami nie jechał. Przynajmniej jeden problem z głowy. Z drugiej strony, Alexis James nie miała powodu, by mnie śledzić. Miała już argumenty.

Donovan Caine patrzył przed siebie spięty. Milczał przez całą drogę, ale czułam bijące od niego gniew i pogardę do samego siebie. Jeszcze trochę, a wybuchnie.

Kwadrans później byliśmy w centrum. Zaparkowałam trzy przecznice od mojego mieszkania. Resztę drogi pokonaliśmy na piechotę. Wysiadłam z windy jako pierwsza i podeszłam do drzwi. Zanim wsunęłam klucz do zamka, musnęłam mur. Powitał mnie ten sam co zwykle niski pomruk. Finn nie powiedział, gdzie mieszkam. Uśmiechnęłam się. Dobrze dla niego, źle dla Alexis James. Bo jakaś część mnie chciała, żeby ktoś na nas czekał. Z rozkoszą rozładowałabym gniew, zabijając kolejnego jej sługusa.

Otworzyłam drzwi i weszłam do sypialni. Nie sprawdzałam, czy Caine idzie za mną. Ściągnęłam sukienkę, zrzuciłam buty, założyłam to, co zawsze, gdy szłam na robotę - czarne spodnie, koszulkę z długim rękawem, skarpety, buty z cholewami. Wymięta sukienka i podarte majtki trafiły do kosza na śmieci. Był na nich zapach Donovana, a nie chciałam, żeby coś mnie teraz rozpraszało, gdy życie Finna i Roslyn wisiało na włosku.

Podeszłam do toaletki i otworzyłam górną szufladę. Leżała w niej cienka kamizelka, podobna do tych, które zazwyczaj zakładałam. Założyłam ją. W szufladzie niżej czekał zestaw noży w czarnej piance. Dwa trafiły do cholewek

butów, dwa w rękawy, piąty znalazł się za paskiem u nasady pleców. Srebrny zegarek z garotą już miałam na ręku, ale sprawdziłam czy wszystko działa. Wolę posługiwać się nożami, ale jeśli nadarzy się okazja, uduszę Alexis James cienkim drutem.

Tak, chciałam, żeby cierpiała za to, co zrobiła Fletcherowi, za to jak jej ludzie pobili Finna i Caine'a, za to, że chciała mnie oszukać. Ale najważniejsze - to uratować Finna i Roslyn. A największą szansę na to dawało jak najszybsze zabicie Alexis. Śmierć to śmierć. Jeśli pozostali przeżyją, a ona nie, będzie dobrze. Fletcher zrozumiałby to. Wolałby, żeby Finn żył, niż żebym torturowała jego morderczynię.

Bo Alexis James nie zadowolili się wymianą Finna i Roslyn na pen drive. Nie, to dla niej doskonała okazja, by sprzątnąć nas wszystkich. Już raz mnie oszukała; zrobi to po raz drugi bez mrugnięcia okiem. Ale tym razem wiedziałam, co się święci, i przygotowałam się odpowiednio.

Gdy byłam gotowa, wróciłam do saloniku. Donovan Caine także przyszykował się do walki. Zdjął garnitur pożyczony od Finna, teraz miał na sobie dżinsy, buty za kostkę, czarną koszulkę i skórzaną kurtkę. Pochylił się i przypiął małą kaburę do kostki. Wyprostował się. Wyjął pistolet z kabury na plecach, sprawdził magazynek, załadował ponownie... i nie odłożył broni, tylko ją opuścił. Jego palec był blisko cyngla. Nie patrzył na mnie, ale wiedziałam, co chodzi mu po głowie. Że narobiłam mu już dosyć problemów. Że mógłby mnie po prostu zabić. Pomścić partnera i samemu pospieszyć na ratunek Finnowi i Roslyn. I raz na zawsze przerwać to, co nas łączyło. Kilka pieczeni przy jednym ogniu, jak powiedziała Finn.

- Rozwalisz mnie, Caine? - zapytałam miękko. Pocierałam palcami rękojeść noża, który zdążyłam wyjąć z rękawa. Nic mnie powstrzyma przed uratowaniem Finna. Nawet Donovan Caine i moja nim fascynacja.

Wpatrywał się w pistolet. Nie chciał spojrzeć mi w oczy.

- Z jednej strony chcę to zrobić - przyznał. - Za wszystko co zrobiłaś. Za ludzi, których zabiłaś. Zasłużyłaś na śmierć.

- Pewnie tak - odparłam. - Ale jeśli mnie zabijesz, Roslyn Philips także zginie. A Alexis James żywcem obedrze cię ze skóry, zanim w ogóle do niej podejdziesz. Będziesz miał ich krew na rękach. Roslyn i Finna.

- To ty tak twierdzisz.

- Ja to wiem - poprawiłam. - Masz fajne spluwy, ale zero magii.

- A ty o wiele więcej? - Zmrużył oczy. - Widziałem, na co cię stać. Kostki lodu? Niezbyt imponujące.

- Fakt.

Nie wspomniałam, że nad innym żywiołem, Kamieniem mam o wiele większą władzę. Że Jo-Jo Deveraux zawsze mi powtarza, że jest we mnie większa moc, niż ktokolwiek podejrzewa. Że czasami nawet mnie przeraża świadomość, czego mogę dokonać, czego już dokonałam, mocą Kamienia.

- Ale w przeciwieństwie do ciebie, nie mam oporów moralnych. Nie obchodzi mnie dobro i zło. Chętnie pchnę Alexis James w plecy przy pierwszej okazji.

Nie zaprzeczył temu.

- Powiedz mi jedno - poprosił ochryple. - Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego zabiłaś Cliffa Inglesa? Kto cię wynajął?

Wreszcie. Pytanie, na które szukał odpowiedzi. Wiedziała, że padnie prędzej czy później. Żywi zawsze je zadawali. Może gdyby poznał odpowiedź, nie czułby się tak winny, że się ze mną pieprzył.

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Powiedz - zażądał. - Muszę to wiedzieć.

Mimo pozornej twardości, mimo tego, co widział w życiu, nadal był idealistą. Nadal wierzył, nadal chciał wierzyć w dobro w ludziach.

I właśnie dlatego, a także ze względu na moją słabość do niego, nie mogłam mu powiedzieć, jakim zwyrodniałcem był jego partner. Nie chciałam opowiadać o gwałcie i pobiciu małej dziewczynki. Ta wiedza zniszczyłaby złudzenia Caine'a co do partnera i ludzi w ogóle. Bo skoro nie możesz zaufać partnerowi z wozu patrolowego, to komu? Ta wiedza zabiłaby jakąś jego część, podobnie jak część mnie zabiła śmierć mojej rodziny siedemnaście lat temu.

- Ktoś chciał, żeby umarł, więc zadbałam o to. Nie zdradzam tajemnic, detektywie. Ani teraz, ani nigdy - odparłam. - Wiem, że wydaje ci się, że twój partner był święty, ale on także miał swoje tajemnice, jak my wszyscy. Chcesz wiedzieć, czemu go zabiłam? Sam się tego dowiedz.

Zacisnął usta. Nie spodobała mu się moja odpowiedź, ale nie dałam mu czasu, by się nad tym zastanawiał.

- Wiec jak, schowasz tę spluwę i pomożesz, czy zrobisz coś głupiego i umrzesz mi tu na podłodze?

Odetchnął głęboko. W jego oczach rozbłysło złoto. Zacisnął dłoń na kolbie. Przez chwilę wydawało mi się, że dokonał złego wyboru. Że wybrał śmierć. Ale po chwili wsunął pistolet za pasek.

- Pomogę ci - powiedział. - Jestem ci to winny za to, że mnie uratowałaś, wtedy u mnie w domu. I nie potrafię nikogo wysłać na pewną śmierć. Nikogo.

Nie powiedział, co zrobi później. Nie zapytałam.

- Dobrze - mruknęłam - Mamy niecałą godzinę. Idziemy.

Wróciliśmy do skradzionego samochodu. Zerknęłam na zegarek na tablicy rozdzielczej. Zostało czterdzieści pięć minut. Czulałam, jak na moim sercu zaciska się lodowata dłoń, otula je jak kochanek, wylicza wszystkie koszmary, które mogą się zdarzyć. Nie bałam się śmierci, choć była ona bardzo prawdopodobna. Alexis James lubiła chwalić się magią Powietrza, Była równie niebezpieczna jak ja. Co gorsza, magia ją upaja, sprawia, że traci panowanie nad sobą, że jej umysł rozpada się na kawałki, powoli, ale nieubłaganie.

Nie, nie bałam się o siebie, tylko o innych. O Finna, nawet o Roslyn. I bałam się tego, co Alexis im zrobiła - albo zrobi. Mimo obietnicy mogła uznać, że chce się trochę zabawić. Pytanie, czy Finn i Roslyn doczekają mego przybycia.

Kamieniołom przycupnął pod miastem jak wyrzutek. Kiedyś pracowały tu tysiące mieszkańców, ale jego skarby już dawno zostały wydane ziemi i stał pusty, wypełniał go tylko szept kamienia. Dzisiaj zaglądały tu tylko krasnoludy z kilofami, szukając błyskotek dla dzieci,

Przyjechaliśmy piętnaście minut przed czasem. Podjechałam od południa, rzadko używaną drogą, po której nieraz biegałam w dzieciństwie. Bawiłyśmy się tu z Brią.

- Byłaś tu już? - zapytał Caine. Pierwsze słowa, odkąd wyszliśmy z mieszkania. - Mało kto wie o tej drodze.

- Bawiłam się tu jako dziecko.

Spojrzał na mnie dziwnie, ale nie naciskał, a ja nie dodałam nic więcej, na przykład tego, że przychodziłam tu słuchać kamieni. Uczyć się ich wibracji. Ćwiczyć moc. Znaleźć odrobinę spokoju w oszalałym świecie.

- A ty? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Parę lat temu było to popularne miejsce do porzucania zwłok. Nadal sprawdzamy je kilka razy w roku. Kiedyś na wiosnę Cliff ja...

Nie dowiedziałam się jednak, co takiego robili tu z Cliffem na wiosnę. Urwał, wbił wzrok w okno. Spochmurniał, zły na mnie, na nas, na to, że nie chciałam mu powiedzieć, dlaczego zabiłam jego współnika. I że może, tylko może, Cliff Ingles dostał to, na co zasłużył.

Kilka minut później zaparkowałam w klonowym zagajniku mniej więcej dwa kilometry od kamieniołomu i wysiadłam. Donovan także. Patrzył na mnie nad dachem wozu.

- Dlaczego tutaj stajesz? - zapytał. - Jeszcze kawałek.

- Bo nie idziesz ze mną.

- Co?

- Alexis James ma moc Powietrza - wyjaśniłam. - Nie masz z nią szans.

- A ty tak?

Skinęłam głową.

- Czy ci się to podoba, czy nie, jestem zdolna do rzeczy, na które ty się nie zdobędziesz. Poza tym, spodziewa się, że będę sama. Nie spodoba jej się towarzystwo, zdenerwuje się jeszcze bardziej. Zajmę ją, odwrócę jej uwagę. Ty tymczasem podejdiesz od tyłu i zabierzesz stamtąd Roslyn i Finna, bez względu na wszystko. Na pewno będzie z nią Stephenson i te zbiry z klubu. Niewykluczone, że będziesz musiał ich zabić. Poradzisz sobie?

Skinął głową.

- Dobrze. Miejmy to już głowy.

Donovan Caine spojrział na mnie po raz ostami i nasze oczy się spotkały. Szarość i złoto. Wiedziałam, co sobie myśli. To samo, co ja. Dwie godziny temu siedzieliśmy wtuleni w siebie, teraz zapewne oboje szliśmy na śmierć. Ironia losu. Co za suka.

I znowu poczułam w piersi tę niechcianą miękkość, ale pilnowałam, żeby nie dać tego po sobie poznać. Gdyby teraz to wyczuł, gdyby okazał mi czułość, nie mogłabym się skupić. Nie mogłabym zrobić tego, co muszę.

To luksus, na który nie mogę sobie pozwolić. Ani teraz, ani nigdy.

Caine skinął mi głową. Na swój sposób życzył mi szczęścia. Albo się ze mną żegnał. Zdziwiło mnie, że zawracał sobie głowę uprzejmościami po tym, jak omal mnie nie zabił wcześniej w mieszkaniu. Ale w drodze do kamieniołomu wziął się w garść. Wiedział, że musi wytrzymać ze mną jeszcze tylko trochę - póki nie uratujemy Finna i Roslyn. Wtedy... Wtedy będzie mógł mnie zaatakować.

Donovan Caine odszedł, zniknął wśród drzew. Chciał zakraść się do kamieniołomu z boku. Poczekalam, aż zniknie mi z oczu, po czym wyprostowałam się i ruszyłam drogą prowadzącą na dno przepastnej dziury w ziemi. Idąc, dotykałam noży; dwa w rękawach, dwa w cholewkach butów, jeden u nasady pleców. Zimny srebrenit uspokajał mnie, jak zawsze. Być może Alexis James mnie zabije, ale nie sprzedam tamo życia.

Przeszłam mniej więcej kilometr, nim zobaczyłam wejście do kamieniołomu. Władze miasta już dawno porzuciły daremną walkę z bezdomnymi i niesfornymi nastolatkami i na ogrodzeniu wisiała zardzewiała tablica z napisem „Wstęp na własne ryzyko”. Przy bramie stały jeszcze szczątki płotu, ale bez trudu przecisnęłam się przez otwór między prętami i znalazłam się na terenie kamieniołomu.

Była to olbrzymia, głęboka niecka, szeroka na ponad dwa kilometry. Ściany wznosiły się na wysokość kilkuset metrów. W świetle zachodzącego słońca połyskiwały żyły kwarcu, przypominając błyski fleszy na stadionie sportowym. Przez moment wydawało mi się, że znajduję się w rzymskim Koloseum, jak gladiator szykujący się do walki z tygrysami, lwami i innymi gladiatorami, byle dożyć następnego wschodu słońca. W pewnym sensie byłam takim gladiatorem odkąd skończyłam trzynaście lat, stale walczyłam o przetrwanie, odcinałam się od tego wszystkiego, co musiałam zrobić, żeby przeżyć.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jaka byłam zmęczona.

Nie musiałam dotykać kamieni, by słyszeć ich wibracje. Otaczały mnie ze wszystkich stron, ich głos huczał mi w uszach, nisko, równo, przerywany co jakiś czas ostrą nutą oczekiwania i lęku. Kamienie wiedziały, że coś jest nie tak, że coś wyrwało je ze snu i powolnej erozji w strugach deszczu i promieniach słońca, coś innego niż jelenie, wiewiórki i nieostrożne nastolatki, które po pijaku spadają ze stromych ścian i giną.

Za głazem przede mną unosiła się mleczna luna. Widziałam już takie światło - tamtej nocy, gdy Alexis wpadła w szal w domu Donovana Caine'a. A więc już sięgnęła po magię. Miałam tylko jedno wyjście - musiałam ją zabić. Miałam nadzieję, że mam na to dość sił - ze względu na Fletchera.

Pokonałam zakręt i zobaczyłam ją.

Alexis James.

Stała na otwartej przestrzeni jakieś dwieście metrów dalej, niedaleko miejsca, gdzie skalne ściany były najwyższe. Mleczne światło bijące z jej rąk spowijało ją anielską poświatą, na którą nie zasłużyła.

Jej elegancka suknia zniknęła, w każdym razie nie widziałam jej. Miała na sobie tę samą czarną pelerynę co wtedy, pod domem Caine'a, gdy przybyła, by go torturować i zabić. Ciekawe, czy była w niej także wtedy, gdy zabijała Fletchera. Czy jego krew została na tkaninie. Obszerna peleryna sprawiała, że Alexis wyglądała jak kandydat na czarodzieja z książek o Harrym Potterze. Nie pasowała do pereł na szyi ani czarnego zęba pośrodku naszyjnika. Miała go na szyi na zdjęciu, które przechowywał Gordon Giles.

Patrzyłam na runę. Siła. Moc. Powodzenie. Ząb był wielki jak moja dłoń i lśnił czernią, był większy nawet niż rubin Mab Monroe. Alexis James chciała mi zaimponować.

I nie była sama.

Pomknęłam wzrokiem do Finna i Roslyn. Stali obok siebie, z rękami skutymi na plecach kajdankami ze srebrenitu. Twarz Finna pokrywały świeże sińce i rany, policzek Roslyn był zaczerwieniony i spuchnięty, a ich ubrania podarte i zakrwawione, ale poza tym chyba nic im nic było. Jest lepiej, niż sądziłam.

Alexis dotrzymała słowa przynajmniej pod tym względem.

Finn i Roslyn stali między trzema facetami z bronią. Byli to ci sami, których widziałam w klubie - Wayne Stephenson z policji, kolega Charlesa Carlyle'a spod Świata Ciast i trzeci, nieznajomy. Chyba tylko oni jej zostali, w innym wypadku ściągnęłaby tu wszystkich, by mnie zabili. Miło pomyśleć, że załatwiłam resztę jej zbirów. Czyli jak będzie po wszystkim, nikt nie puści pary z ust. Byłam ciekawa, czy Caine zdążył podkraść się od tyłu. Czy widzi, jak jego przełożony celuje w głowę Roslyn.

Finn skinął mi i uśmiechnął się z otuchą. Roslyn przywarła do niego. Rozchyliła usta, pokazując kły, gotowa ukąsić przy pierwszej okazji. Bardzo dobrze.

- Jak dobrze, że wreszcie do nas dotarłaś. - Alexis James odrzuciła kaptur.

ROZDZIAŁ 28

- A więc to ty jesteś tym tajemniczym Pajakiem. - poczułam na sobie niebiesko-zielone oczy Alexis James. - Myślałam, że jesteś wyższa.

Odwzajemniłam jej spojrzenie.

- A ja myślałam, że masz lepszy gust i nie ubierzesz się w tę tandetną pelerynę czarownicy. Ile ty masz lat, dwanaście?

- Ojoj - mruknęła. - Zabójczy dowcip.

Nie odpowiedziałam.

- Narobiłaś mi sporo kłopotów, wiesz o tym - zagała.

Wzruszyłam ramionami.

- Kłopoty to moja specjalność. Ale zawsze sobie z nimi radzę.

Zmrużyła oczy.

- Ja też.

Przyglądałyśmy się sobie. W oczach Alexis błysnęła magia, wypełniała je, aż stały się niemal białe. Podobny poblask otaczał jej dłonie. Koncentrowała moc, gotowa jej użyć, gdy tylko spróbuję zrobić coś nieoczekiwane. Czułam, jak magia Powietrza czeka u jej stop jak pies warujący przy panu. Przeszywały mnie dreszcze, gdy odbierałam wibracje przeciwstawnych żywiołów. A może po prostu dlatego, że widziałam, w jaki sposób Alexis posługuje się magią. Jak żywcem obdziera ludzi ze skóry za jej pomocą.

- Powiedz mi - zaczęłam, chcąc dać Caine'owi jak najwięcej czasu na podejście od tyłu. - Na rynku jest tylu płatnych zabójców. Dlaczego postanowiłaś wynająć właśnie mnie?

- Bo ciebie było najłatwiej odnaleźć

- Jak to?

- Znasz to stare powiedzenie, że mowa jest srebrem a milczenie złotem? No widzisz. - Zachichotała, upajała się swoją przebiegłością. - Nie wiem, czy o tym wiesz, ale mój stary druh Gordon Giles lubił chodzić na dziwki. Chyba nie zawsze mu stawał i krępowały go bardziej konwencjonalne związki.

Nie zapomniałam, jakie związki interesowały Gilesa - takie ze sznurami i kostiumami.

- Kiedy zorientowałam się, że Gordon zaczyna coś podejrzewać, kazałam Stephensonowi śledzić go i przesłuchać dziwki, z którymi się zadawał, żeby sprawdzić, czy coś im powiedział - ciągnęła Alem. - Gordon nie wspomniał dziwkom ani słowem o swoich podejrzeniach, ale Stephenson usłyszał coś ciekawego. Coś o płatnym zabójcy o pseudonimie Pająk.

Więc to tak do nas trafili. Dobre uczynki to prosu droga do piekła. Pieprzona działalność charytatywna.

- Okazało się, że zrobiłaś coś dla tej dziwki. Zabiłaś dla niej gliniarza. Trochę to trwało, ale w końcu udało mi się namierzyć twojego pośrednika i skontaktować się z nim. A potem było już z górki. - Uśmiechnęła się.

W myślach przeglądałam wszystko, co Fletcher zebrał o Gordonie Gilesie. Zwrócił uwagę na jego zamiłowanie do płatnego seksu. A do tego te zdjęcia w skrytce. Czyli Giles bywał u dziwki, której córkę zgwałcono, tej samej, która za pośrednictwem Fletchera poprosiła mnie o zabicie Cliffa Inglesa.

Pech i ironia losu zatoczyły tej nocy pełne koło.

Finn wpatrywał się w Alexis. W zielonych oczach błyszczała nienawiść, wydawały się jaśniejsze niż zazwyczaj. W jego spuchniętym policzku drgał mięsień, ale stał nieruchomo. Miał dość rozumu, by nie wykonywać gwałtownych ruchów. Wiedział, że załatwię Alexis - albo sama zginę.

- Bez trudu znalazłam staruszkę w tej knajpie - kontynuowała opowieść. - Ale ty... Nie mogłam cię namierzyć.

Oczywiście, że nie. Zawsze pilnowałam, by nikt mnie nie śledził, gdy wracałam do domu z Prosiaka. Zresztą, tam byłam tylko jedną z wielu zatrudnionych osób. Jak to powiedziała Evelyn Edwards, lekarka z psychiatriki, niemożliwe, żeby ktoś taki jak ja dorabiał jako Pająk.

- Więc dlatego zatrudniłaś Brutusa - dokończyłam. - Miał mnie sprzątnąć w operze. Bo nie wiedziałś, gdzie mnie znaleźć, żeby zrobić to osobiście.

- Do tego jeszcze mądra. Nie ma co, chodzący ideał. - Uśmiechnęła się. - Ale dość gadania. Przejdźmy do rzeczy. Masz pen drive?

Powoli sięgnęłam do kieszeni.

- Tak. - Wyjęłam go.

- To wszystko? - upewniała się. - Nie zrobiłaś kopii?

- Nie mogłam. Gordon Giles zaszyfrował dane, zabezpieczył je skomplikowanym programem. Wszystko zniknie przy próbie skopiowania.

Kłamstwo. Zanim wyszłam z domu, ustawiłam komputer tak, że jutro punktualnie o szóstej wyśle e-maile z załącznikiem i wszystkie dane trafią na policję, do gazety „Ashland Trumpet” i do Mab Monroe. Chyba że przeżyję i to zatrzymam. Takie dodatkowe zabezpieczenie; choćbym dzisiaj zginęła, dni Alexis James będą policzone, gdy Mab dostanie tę wiadomość. Nawet martwa osiągnę cel.

- Co z Caine'em? - odezwał się Stephenson.

Alexis spojrzała na niego.

- Co z nim?

- To na pewno ona go uratowała, gdy dopadli go twoi ludzie. Pracują razem, więc gdzie teraz jest? Dlaczego nie ma go tutaj? Sama mówiłaś, że to niewygodny element, który trzeba usunąć.

Alexis zbyła go machnięciem ręki.

- Później go znajdziemy. Nie może ukrywać się bez końca. Zabójczyni jest tutaj i ma pen drive. Wiesz, co masz robić. Zabij ją. I to już.

Stephenson nie wahał się, uniósł pistolet i strzelił.

Kula uderzyła mnie w pierś, a siła ciosu powaliła na ziemię. Upuściłam pen driver, który poleciał łukiem i upadł gdzieś między kamienie. Stephenson

zszedł ze słusznej drogi, ale nadal dobrze strzelał. Trafił mnie prosto w serce. Zginęłabym - gdyby nie kamizelka.

Zawsze zakładałam kamizelkę kuloodporną, gdy wybierałam się na spotkanie, które zapowiadało się krwawo. A poza tym łatwo w niej ukryć niezbędne drobiazgi, takie jak gotówka i fałszywe dokumenty. Ta jednak była wyjątkowa - zawierała srebrenit, metal twardszy niż kevlar, który powstrzyma wszystko, może poza pociskiem raketowym Ba, wchłonie nawet sporą ilość magii żywiołów, zanim jej nadmiar go roztopi.

Zabawne, że już mi się przydała.

Oczywiście bolało, jakbym oberwała w pierś potężną piłką. Mimo tego zacisnęłam zęby, leżałam nieruchomo i czekałam na nieuniknione.

Echo wystrzału niosło się po kamieniołomie. odbijało się jak grzmot, aż ucichło i zapadła niesamowita cisza. Kamień pod moim policzkiem zamruczał cicho, ale nie zwracałam na to uwagi. Dziesięć... dwadzieścia...czterdzieści pięć...

Nie minęła minuta, gdy z ust Akxis James padły słowa, na które czekałam.

- Weź pen drive - powiedziała. - I strzel jej w głowę, na wszelki wypadek.

Nie sposób nie podziwiać jej skrupulatności, nawet jeśli nic innego na to nie zasługiwało. Usłyszałam chrzest kroków. Były powolne, równe, tak że nie byłam w stanie ocenić, który z nich do mnie podchodzi. Zacisnęłam dłoń na nożu, który wysunął się z mojego rękawa. To i tak bez znaczenia.

Poczuła rękę na ramieniu. Odwrócił mnie. Patrzyłam mu w oczy. Był to kumpel Carlyle'a ze Świata Ciast. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, otworzył usta, odsłonił żółte kły.

- Ona nie,..

To były jego ostatnie słowa.

Wbiłam mu nóż w serce. Zatoczył się do tyłu, wykorzystałam ten ruch, by dźwignąć się z ziemi. Zaskoczyłam tym pozostałych; stali nieruchomo, nie wiedząc, co robić.

- Biegiem! - wrzasnęłam do Finna i Roslyn. - Już!

Finn zaatakował drugiego zbira, tamten zatoczył się. Roslyn wyminęła go i puściła się biegiem. Finn ją dogonił i pędzili co sił w nogach, mimo rąk skutych za plecami. Zniknęli za wystającą skałą. Stephenson i drugi zbir nie wiedzieli, co robić - ścigać ich czy rzucić się na mnie.

Wybrali mnie.

Odepchnęłam trupa na bok i odskoczyłam na prawo. Nad moją głową świsnęły trzy kule. Skuliłam się, wyjęłam nóż z cholewki i cisnęłam. Trafiłam drugiego zbira w brzuch. Krzyknął, upuścił broń, wyrwał zakrwawione ostrze z ciała.

Idiota. Zrobił krok do przodu i upadł. Za mniej więcej minutę wykrwawił się na śmierć.

Ale kapitan był ode mnie szybszy. Znowu strzelił. I znowu trafił w kamizelkę, ale zatoczyłam się od uderzenia. Wpakował we mnie cały magazynek. Upadłam. Upuściłam nóż, który z brzękiem upadł na ziemię.

- Ja się nią zajmę! - ryknęła Alexis. - Łap tamtych! I to już!

Stephenson odwrócił się i odbiegł, ale był w kiepskiej formie i poruszał się powoli. Miałam nadzieję, że Roslyn i Finn nie dadzą mu się złapać, póki Caine nie wkroczy do akcji.

A zatem w kamieniołomie zostałyśmy tylko my - Alexis. i ja. Zaczęłam wstawać, chcąc cisnąć w nią dwa kolejne noże. Musiałam ją zabić, i to szybko. Zanim posłuży się magią.

Nie zdążyłam.

Ledwie uklęknęłam na jedno kolano, jej oczy zasnuły się mgłą, gdy zbierała w sobie całą moc. Mleczny połysk wokół jej dłoni zmienił się w magiczne płomienie liżące jej skórę. W niecałą sekundę uformowała z nich kulę ognia.

- Idź do diabła, suko! - syknęła i cisnęła we mnie ten ładunek czystej mocy.

ROZDZIAŁ 29

Jo-Jo Deveraux miała rację. Tym razem noże nie wystarczą. Tym razem tylko jedno może mnie uratować - moja magia.

Zamknęłam oczy i sięgnęłam w głąb siebie, do magii żywiołów. Kamień szeptał mi pod nogami, czułam, jak napływa moc. Skoncentrowałam się na nim, na jego wibracjach, czułam, jak potęguje moją narastającą siłę, kierowałam ją w skórę, włosy, oczy, ubranie, by stały się twarde i nieprzeniknione jak żwir pod nogami i poszarpane skały dokoła...

Kula magii Powietrza trafiła mnie w pierś, w serce. Alexis James nie zamierzała bawić się ze mną jak z Fletcherem. Chciała zabić.

Czułam się, jakby uderzyło we mnie potężne tornado. Upadłam, upuściłam noże, ogłuszało mnie wycie wiatru. Magia Powietrza atakowała mnie, usiłowała przedrzeć się przez moc Kamienia, pozbawić mnie sił, jednym ruchem obdrzeć ze skóry.

Kamień i Powietrze to przeciwstawne żywioły, podobnie jak Ogień i Lód. Przeciwstawne żywioły nigdy się nie łączą; czułam, jak magia Alexis reaguje na moją moc. Wiatr atakował z coraz większą siłą.

Nie zwracałam na to uwagi, wsłuchana w szepty Kamienia pode mną, czerpałam z niego moc. Bo kamień był tu, choć wiele lat go wydobywano i niszczone. Mimo upływu czasu i nieubłaganej mocy przyrody. Mimo wszystko przetrwał. I ze mną będzie tak samo.

Zacisnęłam zęby i walczyłam z mocą Powietrza, z wiatrem targającym mną na wszystkie strony, atakującym zimnymi igłami. Srebrenit w kamizelce także reagował, chłonał część, choć nie całość, magii Alexis. Było jej zbyt wiele, by wchłonać całą. Rozgrzewał się, ciążył mi coraz bardziej. Posłużyłam się swoją mocą, by odepchnąć Powietrze, odsunąć, pozbawić je mocy.

Udało się.

Wiatr, kula mocy wbita w moją pierś, tracił na sile, gasł, rozplynał się w nicość. Ale nadal czerpałam z magii. Wstałam powoli, cały czas pilnując, by mój żywioł dawał mi moc, bym to przetrwała.

Alexis zmrużyła oczy.

- Uderzyłam cię w pierś. Dlaczego jeszcze żyjesz? Jakim cudem przetrwałaś atak, po którym powinna zostać z ciebie mokra plama?

Nie odpowiadałam. Niech suka sama do tego dojdzie. Alexis cofnęła się i zaatakowała ponownie.

Znowu poczułam uderzenie w pierś. Celowała bez zarzutu.

Tym razem nie upadłam, ale czułam, jak impet uderzenia pcha mnie do tyłu, jakby kamieniste podłoże było z lodu. Odpowiedziałam magią Kamienia, odczekałam, aż wiatr ucichnie i znowu ruszyłam naprzód.

Alexis nie dawała za wygraną. Skoro magia Powietrza nie zadziałała, jak się tego spodziewała, sięgnęła pod pelerynę i wyjęła pistolet. Strzeliła

trzykrotnie. Za pierwszym razem spudłowała, ale druga kula trafiła w kamizelkę, co rozgrzało ją jeszcze bardziej. Bolesny cios sprawił, że na sekundę straciłam kontrolę nad magią Kamienia. To wystarczyło, by trzecia kula wbiła mi się w lewy bark, zamiast odbić się od skóry twardej jak kamień, a tak byłoby, gdybym nie straciła panowania nad magią.

Ból eksplodował w całym ciele, czułam, jak krew tryska z rany, zalewa koszulę, ale odepchnęłam ból od siebie i ponownie poszukałam magii. Liczy się tylko jedno - zabić Alexis.

Opuściła dymiący pistolet. Stała bliżej, na tyle blisko, że w końcu zobaczyła w moich oczach srebrną poświatę magii i szary, kamienny odcień skóry. Syknęła.

- Ty suko, masz magię żywiołów,

- Jak ty.

Podbiegłam do niej, zaatakowałam. Nie spodziewała się tego i nie zdążyła wypalić ponownie - rzuciłam się na nią. Upadła na ziemię.

Kopałam, biłam, drapałam.

Byłam świetnie wyszkolona, ale magia i frustracja wyzwoliły w niej nowe pokłady sił. Przyjmowała moje ciosy, jakby w ogóle ich nie czuła, i odpowiadała z równą zawziętością.

Kopnięcia. Ciosy. Uderzenia.

Toczyłyśmy się po ziemi, wymieniałyśmy ciosy i atakowałyśmy się magią. Alexis smagała mnie wiatrem. Odpowiadałam mocą Kamienia, blokowałam jej ciosy.

Po dziesięciu sekundach poczułam zmęczenie. Po trzydziestu dyszałam ciężko. Po minucie z trudem dotrzymywałam jej pola. Traciłam siły, posługując się magią. Rana w barku nie poprawiała sytuacji.

A potem do Alexis nieoczekiwanie uśmiechnął się los i uderzyłam głową o kamień.

Na chwilę straciłam przytomność. Magia Kamienia zamigotała i osłabła, zniknęła jak woda wchłaniana przez suchy piach. Usiłowałam ją zatrzymać, skoncentrować się na niej, tylko na niej. Jeśli opuści mnie magia, zginę. Moc Powietrza dopadnie mnie, żywcem obedrze ze skóry, oderwie ciało od kości, aż zostaną ze mnie tylko strzępy.

Alexis widziała, że słabnę. Siadła na mnie i raz po raz biła w twarz. Ciosy mnie zamroczyły, magia Kamienia słabła coraz bardziej. Czułam moc Alexis, smagała nią jak pejcem. Na mojej twarzy, szyi i dłoniach pojawiły się pęcherze, gdy siłą magii wciskała mi tlen pod skórę.

Uniosła dłonie. Jej palce zajaśniały, za sprawą mocy Powietrza świeciły jak palnik spawacza. Zawisły nad moimi oczami. Zaraz za pomocą magu zedrze mi skórę z twarzy.

Tak samo jak Fletcherowi.

Opuściła rękę, ale złapałam ją, odepchnęłam. Miałam w sobie dość magii, by nie okaleczyła mnie od razu, ale była to tylko kwestia czasu. Minuta, może dwie, nie więcej.

Prawo-lewo, przód-tył, nasze dłonie poruszały się jak piła za każdym razem przybliżając się bardziej do mojej twarzy. Czułam coraz więcej pęcherzy na skórze. Lada chwila pękna. Co za ból. Wolałam nie myśleć, co poczuję, gdy to się stanie. Nie wytrzymam długo. Nie przy takim bólu.

Fletcher, pomyślałam rozpaczliwie. Co zrobiłby na moim miejscu? Zabij ją nieważne jak. Niemal słyszałam w uszach jego szorstki szept.

- Poddaj się - Alexis tryumfowała. - Moja magia jest silniejsza niż twoja. Nie wygrasz. Tym razem Powietrze bije Kamień.

I wtedy to do mnie dotarło. Zrozumiałam, że źle się do tego zabrałam. W mojej branży mało kto atakuje otwarcie, Fletcher mnie tego nauczył. Jestem Pajakiem. Kryję się w mroku. Atakuję zniemacka. Przechytrzam ofiary, podchodzę ukradkiem - oto moja siła. Czas z niej korzystać.

Zostało mi dość energii na jeden wybuch magii. Może dwa. Do tej pory broniłam się, blokowałam moc Alexis. Nigdy tego nie lubiłam. Dość tego, i to już.

Odrzuciłam prawą rękę na bok, najdalej jak mogłam od Alexis i magii Powietrza, wyjącej wokół niej jak niewidzialny wilk. Myślała, że jeszcze bardziej osłabłam. Pozwoliła sobie na tryumfalny śmiech.

I ten tryumf kosztował ją życie.

Prawą ręką sięgnęłam po inną magię - magię Lodu. Zawsze była we mnie słabsza niż Kamień. Starczało mi jej jedynie na wyczarowanie drobnych przedmiotów, jak kostki i kryształki lodu

Ale to wystarczyło.

Runa pająka pokryła się lodem. Zacisnęłam dłoń na soplu, który w niej uformowałam. Co za rozkosz. Podniosłam rękę i wbiłam go w serce Alexis James.

Mleczne światło w jej palcach zgasło jak świeca na wietrze. Sopel złamał się, więc odrzuciłam rękę i uformowałam kolejny, który trafił w jej szyję. Poczulałam na lewym policzku krew; paliła jak rozgrzany wosk. Kilka pęcherzy pękło. Zacisnęłam zęby, czując przenikliwy ból.

Alexis otworzyła szeroko oczy, nerwowo sięgnęła do lodowego ostrza w szyi. Nie czekałam, aż je wyjmie, uformowałam trzecie i poderżnęłam jej gardło.

Zabulgotała. Uniosła obie dłonie do szyi.

Za późno. Za wolno.

Przeciąłam aortę. Gdyby umiała posłużyć się magią Powietrza, żeby uzdrawiać, mogłaby z tego wyjść, ale ona wolała zabijać. A na przeciętą arterię nie pomoże choćby najsilniejsza magia. Miała rację. To nie tak, że moja magia była potężniejsza niż jej. Po prostu lepiej swoją wykorzystałam.

Upadła na mnie, jej krew zalewała mi ubranie, włosy, skórę. Resztki jej magii eksplodowały konwulsyjnie, atakowały mnie po raz ostatni. Srebrenit w kamizelce wciskał mnie w ziemię jak rozpalona skala. Metal roztopił się od nadmiaru magii, sączył się z kamizelki.

Leżałam pod Alexis, koncentrowałam się na magii Kamienia; miałam jej w sobie dość, by obronić się przed wyjąłym wiatrem i rozpalonym metalem.

Po mniej więcej minucie wyczułam, że krew płynie już tylko słabym strumyczkiem. Wiatr ucichł. Zawsze mnie zdziwiło, jak szybko życie i ciepło ustępują chłodowi śmierci. Resztkami sił zepchnęłam Alexis z siebie, zdjęłam kamizelkę i odrzuciłam ją na bok. Srebrenit rozlewał się na ziemi jak rzeka.

Skoncentrowałam się na Alexis James. Leżała na plecach, wpatrzona w gwiazdy, które już jaśniały na ciemniejszym niebie. zakrztusiła się, zalała żwir krwią z ust. Kamienie pomrukiwały głucho.

Wstałam z trudem i patrzyłam, jak umiera. Pochyliłam się nad nią, na chwilę przed tym, jak w jej oczach zgasła iskierka życia.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi bólu.

- Nic wiem, dokąd idziesz - powiedziałam - Ale jeśli spotkasz tam Fletchera Lane'a, przekaz mu pozdrowienia od Gin.

ROZDZIAŁ 30

Mleczny blask magii w jej oczach przybladł, zmętniał i zgasł, ale nie odsunęłam się, póki nie zyskałam pewności, że nie żyje. Zastanawiałam się nawet, czy nie odszukać jej broni i nie wpakować jej kulki w głowę, tak na wszelki.

Klik.

Do tego stopnia skoncentrowałam się na Alexis, że usłyszałam szcęk broni, gdy było już za późno. Ostatnio za często mi się to zdarza. Odwróciłam się.

Wayne Stephenson stał za mną i celował mi w serce. Był niecałe dziesięć metrów ode mnie.

Nie spudłuje, nie z takiej odległości. Byłam zbyt zmęczona, by ponownie szukać w sobie magii kamienia, sprawić, by moja skóra stała się twarda, a kamizelka, z której wypływał srebrenit, poniewierała się na ziemi.

Przynajmniej zdążyłam załatwić Alexis James. Finn i Roslyn są bezpieczni, o ile Stephenson ich nie dopadł.

Olbrzym nie wyglądał najlepiej. Oddychał nierówno, z czoła spływał mu pot, jakby wyszedł spod prysznic.

Spojrzał najpierw na mnie, potem na martwe ciało Alexis. Wyjął z kieszeni białą chusteczkę i otarł nerwowo pot z czoła.

- Nie do wiary, że ją zabiłaś. Wyrządziłaś mi przysługę, wiesz? - zagaił. - Przeklinam dzień, w którym zadałem się z tą wariatką, ale miała moje zdjęcia z małą dziewczynką. Nie mogłem jej się sprzeciwić.

Kolejny dowód na to, że go szantażowała, i na to, że szantaż to najpodlejsza forma przestępstwa.

- Obiecywała mi coraz więcej. Więcej pieniędzy, dziewcząt, wszystko, czego zapragnę. Musiałem tylko odnaleźć i zabić...

Mówił dalej. Milczałam. Im dłużej gada, tym dłużej żyję. Spojrzałam na ziemię. Jeden z moich noży leżał niecały metr na prawo. Może uda mi się podnieść go i cisnąć, zanim pociągnie za spust. To moja jedyna szansa.

Ale nie całkiem stracił czujność. Widział, że go nie słucham. Otrząsnął się.

- Teraz to naprawię - powiedział. - To wszystko załatwi. Powiem, że zabiłaś Alexis, a ja ciebie. Na pewno się uda.

Uniósł broń...

Rzuciłam się na ziemię, do noża, chcąc uchylić się przed kulą...

Padł strzał i zaraz po nim pięć kolejnych, jeden po drugim...

Uniosłam głowę. Stephenson stał nade mną. Po chwili zachwiał się i runął na ziemię jak potężny dąb trafiony piorunem. Dostrzegłam trzy małe ślady po kulach w jego czaszce. W to samo miejsce celował Brutus, gdy mierzył do mnie kilka dni temu. W plecach olbrzyma były jeszcze trzy otwory wlotowe - dwa na

wysokości nerek, jeden serca. Uniosłam oczy na mężczyznę, który stał za Stephensonem. Nadal trzymał pistolet wycelowany w olbrzyma.

Donovan Caine.

Podszedł do ciała i spojrzał na martwego kapitana. Orzechowe oczy pociemniały, spochmurniał, zwiesił ramiona. Po raz kolejny przyszło mi na myśl porównanie do Atlasa, który dźwiga zbyt wielki dla niego ciężar.

Wyprostowałam się, zbyt zmęczona, by zrobić coś więcej. Dzisiaj i ja dźwigałam niemało.

Donovan spojrzał na mnie i na martwe ciało Alexis James. Szedł w moją stronę, nadal ściskając pistolet. Podniosłam nóż.

Nie dam mu się zabić ani za Cliffa Inglesa, ani za nic innego. Przeżyć za wszelką cenę. Pierwsza lekcja Fletchera. Opanowałam ją, zanim jeszcze trafiłam pod jego skrzydła. Nawet jeśli zabijając Caine'a, zabiłabym też resztę światła w sobie. O ile ono jeszcze tam jest.

Zatrzymał się metr ode mnie.

- Zabiłaś ją. Zabiłaś Alexis.

Milczałam.

- Jak to zrobiłaś? - zapytał - Widziałem jej moc, wypełniała cały kamieniołom. I len wiatr. Słyszałem jego wycie. Jak ją pokonałaś?

- Miałam szczęście - wychrypiałam.

Alexis nie żyje, Stephenson też. Więc nasze zawieszenie broni oficjalnie dobiegło końca.

Uniósł broń, celował mi w czoło. Zacisnęłam dłoń na trzonku noża.

- Zabiłaś mojego partnera.

Milczałam. Jeśli dotknie cyngla, będzie po nim. Pchnę go nożem i zostawię tutaj, a później zajmę się Finnem, Roslyn, policją i szalejącymi emocjami.

- Zabijasz na zlecenie. Uosabiasz wszystko to, co w tym mieście złe, czego nienawidzę. - Zacisnął dłoń na broni. - Powinienem cię zabić, tu i teraz. Przysłużyłbym się temu miastu, temu światu.

Zaintrygowało mnie, czy dostałby medal za zabicie mnie. Czułam, jak moje popękane, popalone usta drżą, składają się do uśmiechu. Ale zabawna myśl, nie ma co. Od tygodnia się tak nie ubawiłam.

Cisza się przeciągała. Sekundy zdawały się trwać wieki.

Caine opuścił broń.

- Ale nie mogę. Nie mogę cię zabić. Coś do ciebie czuję. Pożądanie, wdzięczność, ciekawość, sam nie wiem, co to jest, do cholery. Więc kim jestem?

- Dobrym człowiekiem - szepnęłam.

Pokręcił! przecząco głową.

- Nie. Idiota.

Odrzucił broń i odszedł.

* * * *

Siedziałam bez ruchu, zastanawiałam się nad tym, co zrobił i zbierałam siły, by wstać, zwłaszcza że do kamieniołomu wjechał samochód. Ten sam, który nie tak dawno ukryłam w country klubie. Zatrzymał się kilka metrów ode mnie w obłoku kurzu, rozpryskując krew. Finn wyskoczył zza kierownicy, podbiegł do mnie. Roslyn Phillips wysiadła i szła za nim, wolniej.

Zatrzymał się przy mnie, omiótł spojrzeniem moje ubranie ciało, twarz. Odprężył się dopiero, gdy uznał, że jestem mniej więcej cała.

- Co się działo? - wychrypiałam. - Jak udało wam się uciec przed Stephensonem?

Finn wskazał głową Caine'a, który stał kilka metrów dalej, pochylony nad ciałem olbrzyma.

- Wpadliśmy na Caine'a. Wymienił z kapitanem kilka strzałów, po czym olbrzym odwrócił się i zaczął zwiewać jak małe dziecko.

Skinęłam głowę. A więc Caine ścigał Stephensona, a nie spieszył mi na ratunek. Mogłam się tego spodziewać, ale i tak poczułam ukłucie rozczarowania.

Finn przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, aż nagle się uśmiechnął.

- Co cię tak bawi? - zapytałam.

- Och, nic takiego, ale powiedz, czyja twarz jest teraz w gorszym stanie.

Uniosłam rękę do policzka i skrzywiłam się, gdy przeszył mnie ból. Alexis James okazała się silniejsza, niż sądziłam. Zaliczyłam sporo solidnych ciosów, że już nie wspomnę o paskudnych pęcherzach, które zostawiła magia Powietrza. Byłam cała obolała po walce i ataku magii. Kula w barku promieniowała bólem.

- Moja.

- Twoja - potwierdził.

Wyciągnął rękę i pomógł mi wstać. Zamknął mnie w mocnym uścisku. Poczułam łzy pod powiekami.

- Już myślałem, że ciebie też straciłem - szepnął mi do ucha.

Odsunęłam się i posłałam mu krzywy uśmiech.

- Myślałam, że masz więcej oleju w głowie.

Roslyn Phillips stała z boku. Wydawała się bardzo zmęczona. Jej ciemne oczy wpatrywały się w kałużę ciemnej krwi płynącej z głowy Stephensona. W półmroku perliście zalśniły jej kły.

- Głodna? - zapytałam.

Żachnęła się,

- Proszę cię, w życiu nie tknęłabym tego ścierwa. Po prostu żałuję, że własnoręcznie nie skrzywiłam draniowi karku.

Uśmiechnęłam się do niej. Po chwili odwzajemniła uśmiech.

Donovan Caine odchrząknął. Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

- Ty i Finn musicie zniknąć, i to już - powiedział. - Roslyn zostanie ze mną.

- Dlaczego? - zapytałam cicho.

Caine zatoczył ręką łuk, wskazując trupy na dnie kamieniołomu.

- Powiem ci, co się stało. Zniknąłem, bo na własną rękę prowadziłem dochodzenie w sprawie Gordona Gilesa. Bandyty przyszli do mojego domu, żeby mnie zabić, ale udało mi się uciec. Sprawdzałem różne tropy, w tym także ten prowadzący do Roslyn. Dzięki niej zdobyłem pen drive Gilesa, ale znalazła nas Aiexis James. Przywiozła nas tutaj, żeby zabić, ale udało mi się pokrzyżować jej plany.

- A Stephenson? - zapytał Finn.

Caine wzruszył ramionami.

- Udawał, że pracuje dla Alexis, żeby zdobyć jej zaufanie. Pospieszył nam na ratunek, ale zginął podczas wymiany strzałów.

- Przecież wiesz, że dla niej pracował, że wykorzystywał małe dziewczynki. Dlaczego go bronisz? - zdziwiłam się.

- Bo zostawił żonę i córkę, którym potrzebna renta po nim. Bo nie powinny cierpieć za jego czyny - W jego oczach płonął bursztynowy ogień, czekał, czy podejmę wyzwanie.

Nie podjęłam.

- A tajemnicza kobieta z opery?

- Pomyka - odparł. - Alexis chciała zrobić z niej kozła ofiarnego. To rysopis osoby, która nigdy nie istniała. Coś wymyślę.

- Na pewno - mruknęłam.

- A ja? - zainteresowała się Roslyn. - Po co ja?

Caine spojrzał na nią.

- Bo goście klubu widzieli, jak Stephenson cię wynosi. I ktoś musi poprzeć moją wersję.

Odwróciłam się do niej.

- Zgodzisz się być głównym świadkiem w tej sprawie?

Wzruszyła ramionami, ale widziałam, jak w jej oczach coś błysnęło. Wyrzuty sumienia. Hm, Warto to zapamiętać.

- Dasz radę? - zapytał Caine.

Roześmiała się. Jej delikatny śmiech przywodził na myśl dzwonki wietrzne.

- Skarbie, przez wiele lat sprzedawałam się dzień w dzień. Tak, dam radę. Powiedz tylko, co mam mówić. Kiedy skończę, nawet anioły zapłaczą.

Uwierzyłam jej. Donovan także. Skinął głową.

- No to wszystko ustalone - stwierdziłam. - Myślisz, że twoi przełożeni łykną taką niespójną bajeczkę?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. To moja wersja i tego będę się trzymał. A poza tym mam to.

Pokazał nam pen drive. Zapewne podniósł go z ziemi, gdy Finn mnie przytulał.

- To najlepszy dowód - powiedział. - Już wezwałem posiłki. Będą tu za dziesięć minut.

Skrzywiłam się.

- Więc na nas już czas.

Finn wodził wzrokiem między nami.

- Idę po samochód.

Poszedł do wozu. Roslyn pobiegła za nim. Zachwiałam się na nogach, ale odzyskałam równowagę. Spojrzałam Caine'owi w oczy. Szarość zmierzyła się ze złotem.

- A więc to już - powiedziałam.

- Tak. Nie pozwól, żebym cię złapał - powiedział szorstko. - Następnym razem nie będę tak wielkoduszny.

W jego głosie była dawna pewność siebie, jedna z cech, które tak bardzo mnie w nim pociągały. Przechyliłam głowę.

- Nie obawiaj się, detektywie. Pamiętaj, jestem Pajakiem. Umieję skryć się w cieniu.

W jego oczach rozbłysły wyrzuty sumienia i odrobina żalu, choć nadal miał surową, nieprzeniknioną minę. Ja także, choć krajało mi się serce.

Finn i Roslyn pożegnali się. Wampirzyca podeszła do policjanta. Finn podjechał do mnie. Odruchowo pozbierałam z ziemi noże i resztki kamizelki. Otworzyłam drzwi i ledwie opadłam na fotel, poczułam, jak tracę resztki sił.

Finn przyglądał mi się uważnie.

- Gin...

- Nie dzisiaj, Finn. Nie dzisiaj. Jedź - poprosiłam. - Po prostu jedź.

ROZDZIAŁ 31

Zawiózł mnie do Jo-Jo, Tym razem to on prowadził mnie do drzwi i stukał w nie kołatką w kształcie chmurki.

W głębi domu rozległy się znajome ciężkie kroki i po chwili Jo-Jo Deveraux uchyliła drzwi. Otworzyła szeroko oczy na widok mojej pokiereszowanej twarzy

- Niespodzianka - wychrypiałam. - Dziwka zdechła

Jo-Jo uśmiechnęła się tylko.

- Gin, naprawdę nie mogłaś zabić jej wcześniej? - zapytał Finn. - No wiesz, zanim zmaltretowała ci twarz?

- Sama nie wiem - odcięłam się. - Może cofniemy czas zamienimy się rolami i sprawdzimy, jak sobie radzisz z magią Powietrza?

Finn tylko uniósł brew. Jo-Jo siedziała naprzeciwko mnie, ale i tak łypnęłam na niego groźnie nad jej głową.

- Cicho - sapnęła. W jej oczach lśniła magia. - Trudniej mi się skupić, kiedy ciągle gadacie.

Przez godzinę leczyła mnie magią. W przeciwieństwie do niedawnych obrażeń Finna, moje rany zadano w przeważającym stopniu za pomocą magii, co oznaczało, że o wiele trudniej je uzdrowić, nawet komuś o mocy Jo-Jo. Wiadomo, że magię łatwiej wywołać, niż zniwelować jej skutki. A poza tym taka dawka nawet leczniczej magii naraz bolała jak cholera. Wiedziałam, że Jo-Jo nie chce zrobić mi krzywdy, ale i tak czułam ten sam ból co na dnie kamieniołomu, chłostana mocą Alexis James. Właśnie dlatego Sophia Deveraux stała za mną i ścisnęła mnie za ramiona, żebym nie wyrywała się, póki Jo-Jo nie skończy.

Krasnoludzica traktowała teraz magią moje lewe ramię, zajmowała się raną postrzałową. Zacisnęłam zęby i rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby moją uwagę od wrażeń wywoływanych przez magię Powietrza w bliznach na dłoniach i całym ciele. Wbiłam wzrok w dłonie Sophii. Choć zwykle nosiła się na czarno, jej paznokcie pokrywał delikatny, dziewczęco różowy lakier.

- Ładne - powiedziałam.

Sapnęła twierdząco i mocniej zacisnęła ręce. Zdławiłam jęk. Nawet pod ciężarówką miałabym więcej swobody ruchów niż w jej uścisku. Nic dziwnego, że przerzuca trupy jak lalki.

Podczas gdy Jo-Jo mnie uzdrawiała, Finn streścił wydarzenia ostatnich dni.

- Więc Alexis James myślała, że zdoła zdetronizować Mab Monroe? - zapytała Jo-Jo. - Nie ona pierwsza. Biedaczka byka chyba jednak chora na umyśle.

- Głupia - potwierdziła Sophia ochryple.

Pomyślałam o czystej, potężnej mocy Alexis James. Teraz jej marzenia o pokonaniu Mab wcale nie wydawały mi się tak szalone jak wcześniej. Ale nie żyła już i tylko to się liczyło.

Jo-Jo skończyła. Sophia puściła mnie i poszła z Finnem do kuchni, żeby coś zjeść. Jo-Jo wstała, podeszła do umywalki, splukała z dłoni moją krew. Dochodziłam do siebie na miękkim fotelu.

- Myliłaś się - powiedziałam.

Wytarła ręce w papierowy ręcznik.

- W jakiej sprawie?

- Mówiłaś, że nic nie przeniknie przez moc Kamienia. Magia Alexis James pokonała moją moc.

Wzruszyła ramionami.

- Sama mówiłaś, że się zdekonzentrowałaś. Następnym razem będziesz wiedziała, czego się spodziewać. A poza tym jesteś jeszcze młoda. Twoja moc dopiero rozkwita.

- Alexis była ode mnie silniejsza - zauważyłam. - Jej moc była większa. Czułam to. Widziałaś, co mi zrobiła.

Jo-Jo spojrzała na mnie z ukosa.

- Myliłam się? To dlaczego ona teraz gnije w kamieniołomach, a ty siedzisz w moim fotelu?

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

Zachichotała.

- Skarbie, czysta siła to jedno, nieistotne, magiczna czy nie. Jest ważna, ale najważniejsze jest to, co z nią zrobisz. Kiedy to zrozumiesz, nikt nie zdoła cię skrzywdzić, nawet osoba o tak potężnej magii, jak Mab Monroe czy ja.

Jo-Jo wyrzuciła papierowy ręcznik i kręciła się po salonie, a ja siedziałam i rozmyślałam o tym, co powiedziała. I o strachu, który jej słowa we mnie wzbudziły.

Sprawa Alexis James królowała w wiadomościach przez cały tydzień. Lokalne media oszalały, delikatnie mówiąc. Gazety prześcigały się w artykułach o jej zbrodniach. Co chwila sporządzano listy jej ofiar. A zatem Donovan Caine kłamał lepiej, niż sądziłam. Obwinił Alexis o wszystko i nikt nie kwestionował prawdziwości jego słów.

Być może zrobiłaby to Haley James. Gdyby żyła. Jej dom spłonął do fundamentów następnej nocy po zajściach w kamieniołomie. Zostały z niego tylko murowane fundamenty i kilka zębów Haley, wszystko inne obróciło się w popiół. Uznano, że to wypadek, a koroner orzekł, że Haley udusił dym - nie mógł stwierdzić tego na pewno, bo nie było ciała, które mógłby zbadać. Ale ja nie miałam wątpliwości, że to Mab Monroe odwiedziła Haley, żeby ją ukarać za krycie planów siostry. A więc stało się to, czego Haley bała się najbardziej. Fortuna naprawdę kołem się toczy. Co za parszywa suka.

Finn przeprowadził własne dochodzenie, korzystając ze swoich rozlicznych kontaktów. Był ciekaw, czy Haley powiedziała coś Mab, czy

wspomniała o Fletcherze, Finnie i mnie. O tym, co zrobiliśmy, o tym, po co zatrudniły mnie siostry Ja mes. Ale wszystko wskazywało na to, że nie miała po temu okazji. Jeśli wierzyć plotkom, Mab była tak rozjuszona jej udziałem w defraudacji, że spaliła ją od razu, bez pytań. A ponieważ nie żyła ani Alexis, ani jej ludzie, nie było kogo pytać. Czyli i Finn i ja byliśmy bezpieczni i mogliśmy odetchnąć spokojnie, nikt nie wyda nas Mab.

Tydzień po wydarzeniach w kamieniołomie pogrzebaliśmy Fletchera na cmentarzu Blue Ridge. Ja, Finn, Jo-Jo, Sophia, kelnerzy i kucharze z restauracji, starzy kumple Fletchera, równie pomarszczeni, powykręcani i gburowaci jak on, zjawiała się także Roslyn Phillips, chociaż stała oddzielnie, nieco na uboczu.

To był kolejny piękny jesienny dzień. Błękitne niebo, ostre słońce, chmurki puszyste jak bita śmietana. Cmentarz był umiejscowiony na płaskowyżu wśród gór otaczających Ashland, rozciągał się z niego wspaniały widok na miasto i przedmieścia. Trawa mieniła się złoto, liście w odcieniach palonej sjeny i szkarłatu wypełniały pejzaż kolorami. Szczyty gór były szaroniebieskimi smugami na tle nieba.

Staliśmy dokoła trumny z polerowanego drewna. Fletcher nie chciałby nic wystawnego, to nie było w jego stylu, i Finn uszanował jego życzenie. Kapłan zaczął nabożeństwo. Popłynęły łzy. Kucharze i kelnerzy pociągali nosami. Staruszkowie ocierali oczy białymi chusteczkami, Finn także. Jo-Jo Deveraux szlochała jak dziecko, nie wstydząc się łez ani nie zważając na fakt, że niszczą jej makijaż. Sophia stała za nią i poklepywała ją po plecach. Jej oczy były suche, podobnie jak moje. Wypłakałam wszystkie łzy tamtej nocy, gdy znalazłam jego ciało. Teraz czułam się... pusta. Straciłam kolejny kawałek serca, i to bezpowrotnie. Jak wiele innych.

Kapłan wypowiadał rytualne słowa otuchy, a ja powróciłam we wspomnieniach do tamtego dnia, gdy Fletcher przyjął mnie pod swój dach...

Moja rodzina nie żyła już od dziewięciu tygodni, może nawet dziesięciu. Czas stracił znaczenie. Liczyło się tylko to, żeby znaleźć dość jedzenia, by przetrwać kolejny dzień, i miejsce do spania, w którym nie hula wiatr. Nadchodziła zima i było coraz trudniej. Najchętniej przebywałam niedaleko restauracji o nazwie Wesoły Prosiak. W zaułku na jej tyłach była wnęka, na Tyle szeroka, że mogłam się w nią wcisnąć. Odpowiadała mi jej ciasnota i kojący szum cegieł. Jedno i drugie dawało mi poczucie bezpieczeństwa, nieważne jak złudne.

No jeszcze ten facet z restauracji. Grillarz. Tak go nazywałam. Wiedział że tam przesiaduje, ale nie krzyczał i nie przeganiał mnie, jak właściciele chińskich czy włoskich knajpek. Dawał mi do wykonania drobne prace, na przykład zamiatanie magazynu. W zeszłym tygodniu pomagałam mu czyścić zamrażarki z dziwnych różowych plam. Dał mi wtedy pięćdziesiąt dolarów za cały dzień pracy. Kupiłam sobie za to czarną polarową bluzę, golf i najgrubsze rękawice, jakie znalazłam w sklepie Goodwill. Grillarz był fajniejszy niż

zakonnice w przytułku. Siostrzyczki chciały zadbać o moją duszę, zanim dadzą choćby szklanek wody. Hipokrytki.

Nieco ponad godzinę temu Grillarz dał mi hamburgera, bo pomogłam mu odrywać gumy do żucia poprzyklejane pod blatami stolików. Zlizywałam okruszki z palców, chcąc jak najdłużej rozkoszować się smakiem. Grillarz nigdy nie żałował mięsa i tej nocy nie zasnę głodna, a to rzadkie szczęście. Po kanapce zachciało mi się spać. Zwinęłam się w kłębek i zasnęłam, zadowolona, że przeżyłam kolejny dzień na ulicach Ashland.

Po pewnym czasie obudziły mnie kamienie, ich szept narastał, przechodził w natarczywy jęk, a to za sprawą run ochronnych, które nakreśliłam dokoła. Mój własny system alarmowy, który zabezpieczał mnie przed atakami bezdomnych, wampirycznych dziwek i alfonsów. Widziałam, jak robiła to inna osoba z magią żywiołów, choć tamta posłużyła się kulami Ognia. Ci od Ognia mają dobrze. Nocami mogą się ogrzać za pomocą magii, a gdy ktoś ich napadnie, mogą go poparzyć. Nie po raz pierwszy pożałowałam, że urodziłam się z magią Kamienia, a nie Ognia.

Przetarłam oczy, usiadłam, zacisnęłam dłoń na cegle. Kilka dni temu za pomocą magii wysunęłam ją ze ściany. Żałosna broń, ale lepsze to niż nic. Już po chwili zlokalizowałam źródło hałasu. W cieniu po mojej lewej stronie ktoś stał. Znieruchomiałam w nadziei, że mnie nie zauważy. W ciągu minionych tygodni nauczyłam się stawać niewidzialna.

Tylne drzwi restauracji otworzyły się i wyszedł Grillarz z ostatnim tego dnia workiem śmieci. Gwiżdżąc radośnie, cisnął worek do śmietnika.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Uniósł broń i wycelował w plecy Grillarza, wtedy zrozumiałam, że chce go zabić.

- Uważaj! - krzyknęłam

Grillarz odwrócił się. Zobaczył broń i odskoczył. Mężczyzna spudłował. Grillarz rzucił się na niego. Upadli na ziemię. Walczyli. Facet z bronią był górą siedział na Grillarzu, zaczął go dusić. Chciał go zabić.

Musiałam go powstrzymać.

Widziałam na ulicy różne rzeczy. Ludzie do siebie strzelali, dźgali się nożami, bili. Bezdomni ćpali i żebrali. Żywiołowi szaleli od własnej magii. Wampiryczne dziwki wysysające życie z tych, którzy nie uregulowali rachunków. Nauczyłam się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy, bo to najprostsza droga do śmierci. Ale Grillarz jako jedyny był dla mnie dobry. Nie zasłużył na śmierć pod własną restauracją. A zresztą gdyby zginął, musiałabym poszukać sobie nowego kąta, a tego nie chciałam robić.

Więc poszukałam w sobie magii. Pozwoliłam, by wypełniła mnie moc Kamienia. Wpatrywałam się w czerwone cegły przy drzwiach. Jedna z nich już się oblużowała, drgała, uwalniała się z muru. Mężczyźni nadal walczyli. Siedziałam pełna magii i czekałam na właściwy moment.

Grillarz dosięgnął oczu napastnika, wbił mu w nie palce. Nieznajomy odsunął się, zwiększył dystans między nimi.

Właśnie na coś takiego czekałam. Skoncentrowałam się i cegła wypadła z muru, uderzyła napastnika w skroń, aż coś trzasnęło mu w karku. Ten odgłos poniósł się echem po wąskim zaułku. Zrobiło mi się niedobrze. Złamałam mu kark. Zabiłam za sprawą magii. Znowu. Co ze mnie za potwór?!

Grillarz gorączkowo chwycił powietrze, a potem zepchnął z siebie trupa i wstał. Skuliłam się w mojej wnęce, ciekawa, czy wezwie policję. Jeśli tak, wyciągnę kolejną cegłę i uderzę go, ale lekko, tylko żeby stracił przytomność. Nie chciałam go zabijać.

Grillarz podniósł cegłę. Przez chwilę patrzył na mnie, a potem odwrócił się i uklęknął koło nieznanego. Trzykrotnie uderzył go cegłą w głowę, aż trysnęła krew. Zakryłam sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

- Pieprzeni klienci - sapnął - Zawsze chcą cię wykiwać, żeby zaoszczędzić parę groszy.

Upuścił cegłę, wytarł zakrwawione ręce w fartuch, na zatłuszczonym materiale pojawiły się nowe plamy. A potem odwrócił się i podszedł do mnie. Wcisnęłam się głębiej w moją wnękę, kurczowo trzymałam cegłę.

Grillarz kucnął, jego oczy znalazły się na wysokości moich. Nie po raz pierwszy zwróciłam uwagę na to, jakie są jasne i zielone, jak światełka na choince. Nadchodziła Gwiazdka, ale w tym roku nie będzie dla mnie świąt. Ani prezentów, ani rodziny. Nic. Wszystko zniknęło, obróciło się w popiół za sprawą magii Ognia.

- Dzięki, mała - powiedział. - Za to, że mi pomogłaś. Jak się nazywasz?

Nie zrobił mi na razie nic złego, ale wyczuwałam w nim siłę. Był niebezpieczny. Nie chciałam go zdenerwować.

- Gen.. Gen... - Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie nic więcej. Pełne imię nie przechodziło mi przez gardło.

- Gin? - Zapytał - Jak dżin? Alkohol?

Skinęłam głową zbyt przerażona, by zrobić coś innego.

Grillarz przyglądał mi się uważnie. Jego uwadze nie uszły podarte dżinsy i za duże buty, wygrzebane na śmietniku.

- Gdzie twoja rodzina? - zapytał dość miło, zważywszy na krew na jego fartuchu i dłoniach.

- Nie żyją - wyszeptałam - Wszyscy nie żyją.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową, jakby podjął decyzję

- Chyba jesteś głodna, Gin. Wejdiesz do środka? Zjemy coś i może się umyjesz? W restauracji jest ciepło.

Ciepło... ogrzać się, choć na chwilę. Ale nie byłam głupia. Nie ufałam mu, nie po tym, co przed chwilą widziałam. Miałam jednak moją magię i chęć życia. Gdyby chciał mi coś zrobić... cóż, kolejna śmierć już chyba nie zaszkodzi mojemu sumieniu. Bo niby o ile gorzej może być w piekle?

Skinęłam głową.

- Chętnie, proszę pana.

Wyprostował się i wyciągnął rękę. Wzięłam ją. Pomógł mi wstać i zaprowadził do środka...

- Gin?

Ktoś pstryknął mi palcami przed nosem, wyrwał ze wspomnień. Otrząsnęłam się i spojrzałam na Finna.

- Jesteś tu? - zapytał.

Odepchnęłam przeszłość.

- Przepraszam, co mówisz?

Wskazał głową trumnę.

- Pytam, czy chcesz rzucić kwiat. Zaraz opuszczą trumnę do grobu.

Gdy zagubiłam się we wspomnieniach, kapłan dokończył nabożeństwo. W pobliżu kręcili się faceci w brudnych kombinezonach, opierali się na łopatach, niecierpliwie czekając, kiedy będą mogli zabrać się do pracy.

- Oczywiście - mruknęłam.

Podeszłam bliżej. Finn już położył swój kwiat - białą różę. Podobnie siostry Deveraux - Jo-Jo położyła różową, a Sophia - czarną. Ja zaciskałam dłoń na czerwonej. Kolce wbijały się w blizny na mojej dłoni, przebijały skórę, aż do krwi, ale nie zwracałam na to uwagi. Odetchnęłam głośno i położyłam kwiat obok innych. Płatki rozpostarły się, gdy kwiat upadł na drewno, całowały je tak, jak ja twarz staruszka, zanim zamknięto wieko.

- Żegnaj, Fletcher - szepnęłam.

ROZDZIAŁ 32

Żałobnicy podchodzili po kolei do Finna i składali mu kondolencje. Nieliczni podeszli też do mnie, ale większość koncentrowała się na synu Fletchera, a nie na przybłędzie, którą przygarnął z ulicy. I tak chyba powinno być.

Spojrzałam na Roslyn Philips. Przyszła w skromnej czarnej sukience, ale nawet prosty krój nie zdołał ukryć jej pełnych, kuszących kształtów. Lekki wiaterek delikatnie poruszał woalką spływającą z małego kapelusika. Podeszłam do niej i we dwie patrzyłyśmy, jak Finn rozmawia z krasnoludem zgiętym w pół przez lata, reumatyzm i artretyzm.

- Dobrze, że przyszłaś - powiedziałam cicho, - Wiem, ile to znaczy dla Finna.

Skinęła głową.

- Chciałam tu być ze względu na niego. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

- Chcesz powiedzieć: po tym, jak niechcący skazałaś jego ojca na śmierć?

Zesztywniała, jakbym pchnęła ją nożem. Spojrzała na mnie zszokowana. - Skąd...

- Skąd wiem? - Wzruszyłam ramionami. - Przynaję, trochę trwało, zanim do tego doszłam. Przez cały czas, gdy Alexis James deptała mi po piętach, zastanawiałam się, dlaczego wybrała właśnie mnie, jak w ogóle trafiła do Fletchera. Ale powiedziała mi to w kamieniołomie. Słyszałaś. Dowiedziała się od jednej z dziewczek Gilesa, od tej, której córkę zgwałcono, od tej, dla której zabiłam Cliffa Inglesa. - Patrzyłam na Roslyn. - Gordon miał mnóstwo zdjęć z dziewczkami, z których wiele nosiło twój naszyjnik. To była jedna z twoich dziewczyn, prawda?

Po dłuższej chwili Roslyn krotko skinęła głową. Nie było sensu zaprzeczać.

- Dziewka pewnie poprosiła cię o wolne żeby zająć się pobitą, zgwałconą córką. Powiedziałaś jej o Fletcherze i o Finnie. Że mogą załatwić pewne... usługi. Kiedy Alexis kazała Stephensonowi ją zgarnąć, musiała coś powiedzieć, by się uratować - i padło na Fletchera i Finna.

- Myślałam, że postępuję słusznie. Nawet nie przyszło mi do głowy, że tak to się skończy. Gdybym wiedziała... - urwała.

- Daruj sobie - warknęłam. - Już za późno.

Stałyśmy ramie w ramie i patrzyłyśmy na procesję żałobników podchodzących do Finna. Obie byłyśmy spięte.

- Powiesz mu? - zapytała w końcu.

Odczekałam chwilę. Niech pocierpi.

- Nie, Nie musi wiedzieć, zresztą to tylko popsułoby sprawy między wami.

- Naprawdę mi na nim zależy - szepnęła.

Patrzyłam na nią zimno.

- Wiem. A jemu na tobie i dlatego jeszcze żyjesz. I ze względu na Catherine.

Zmarszczyła brwi. - Na Catherine?

- Potrzebuje cię. Wiem, jak to jest nie mieć rodziny. Zasluguje na coś lepszego. - Odwróciłam się do niej, żeby dokładnie widziała moją twarz. - Ale jeśli jeszcze kiedyś wspomnisz komuś choćby słowem o tym, co robię ja czy Finn, potnę cię na kawałki i usmażę żywcem. Od tej pory załatwiasz nam wszystko, ale to wszystko, o co cię poprosimy. Bez zbędnych pytań. Jasne?

Po chwili skinęła głową. W jej oczach malowała się ulga. Upiekło jej się i dobrze o tym wiedziała.

- Dobrze - warknęłam. - To idź do Finna, zanim zmienię zdanie.

Oddaliłam się od tłumu żałobników, szłam na szczyt cmentarnego wzgórza. Miałam tu więcej bliskich, nie tylko Fletchera Lane'a.

Na wzgórzu była grupa pięciu grobów. Ocieniał je wielki klon, zdawał się orać niebo gałęziami. Nad tymi pięcioma grobami stała rzeźba, charakterystyczna mimo oplatających ją pędów dzikiego winna i powoju. Płatek śniegu. Runa rodziny Snow.

Mojej rodziny. Mojej zamordowanej rodziny.

Opuściłam wzrok z rzeźby na groby. Nagrobek mojego ojca, Tristana, najbardziej ucierpiał od kaprysów pogody. Umarł, gdy byłam malutka. Ledwie przypominałam sobie jego szare oczy, a co dopiero to, jaki był.

Ale pozostałe osoby... Pamiętałam je wszystkie, Eira, moja matka. Annabella, starsza siostra. I Bria, najmłodsza z nas. Na ich nagrobkach wyryto osobiste runy. Płatek śniegu, dziki powój i prymulka. Jak na moich szkicach.

Minęłam ich groby i stanęłam przy ostatnim.

Genevieve Snow. Ukochana córka i siostra. I jeszcze data moich urodzin i rzekomej śmierci. I niewielkie kółko i odchodzące od niego osiem kresek. Moja runa. Runa pająka. Taka sama jak blizny na moich dłoniach.

Myślałam, że poczuję coś, patrząc na mój nagrobek, na zimny grób, ale nie. Czułam tylko pustkę. Tyle już straciłam. Najpierw rodzinę, teraz Fletchera. Niewiele mi zostało.

- Znajoma? - zapytał ktoś za moimi plecami.

Odwróciłam się i spojrzałam na Donovana Caine'a.

Stał kilka metrów dalej. Był w czarnym garniturze, który podkreślał jego szczupłą sylwetkę.

Podszedł do mnie. Jak zawsze poruszał się tym swobodnym, pewnym siebie krokiem, który tak mi się podobał. Był chudszy, niż zapamiętałam. Bardziej udręczony, jakby bruzdy na smagłej twarzy podbiły się, jakby coś nie dawało mu spokoju, coś, o czym nie mógł zapomnieć.

Ciekawe, czy to ja. Ja w każdym razie myślałam o nim bardzo często w ciągu tygodnia, który upłynął od wydarzeń w kamieniołomie.

Spojrzał mi w oczy. W orzechowej głębi kłębiły się uczucia, jak zawsze. Znużenie, zdecydowanie, ciekawość. Omiótł mnie wzrokiem, zanotował czarne spodnie i szpilki, zanim zatrzymał się na włosach. Czekoladowych, z jaśniejszymi refleksami. Kolor najbliższy mego naturalnego odcienia, jaki udało się wyczarować Jo-Jo. Potrwa, zanim odrosną. Jak zawsze. Jak ze wszystkim.

Jego złote spojrzenie zatrzymało się na nagrobku.

- Znajoma? Czy ofiara?

Pomyślałam o szczęśliwej, niewinnej dziewczynce, jaką kiedyś byłam, o nocy, gdy wszystko się zmieniło. O nocy, kiedy zginęły moja matka i siostry.

- Można tak powiedzieć. Co tu robisz?

Wskazał głową tłum żałobników.

- Przyszedłem złożyć kondolencje.

- Skąd wiedziałeś, że to Fletcher? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Teraz wszyscy chętnie mi pomagają. Poprosiłem młodego policjanta, żeby sprawdził wszystkie zgony w noc śmierci Gilesa. Tylko Fletcher pasował do zdjęcia, które mi pokazałaś.

- Rozumiem.

Zawahał się.

- Ja... przykro mi. Gin. Wiem, że był ojcem Finna i że był dla ciebie ważny.

Uśmiechnęłam się cierpko.

- Dziękuję, detektywie.

Staliśmy na wzgórzu i patrzyliśmy na topniejący tłumek. Złożono kondolencje, oddano hołd. Czas wracać do życia. Do życia, w którym nie ma już Fletchera.

- Widziałam cię w telewizji - rzuciłam. - Dostałeś ładny medal za rozwiązanie tej sprawy. Duży i błyszczący.

- Trafi do szuflady, jak inne. - Poruszył się niespokojnie.

Znowu milczenie.

- Po co tak naprawdę tu przyszedłeś, detektywie? - zapytałam - Kiedy ostatnio się widzieliśmy, mało brakowało, a zabiłbyś mnie za to, że zamordowałam twojego partnera.

Przejechał włosy palcami i roześmiał się krótko, gorzko.

- Sam me wiem.

- A może po to. - Złapałam go za krawat, przyciągnęłam do siebie i pocałowałam. Zesztywniał, zaszokowany moją śmiałością, ale już po chwili zapłonął między nami ogień, intensywny jak wcześniej. Taki płomień nie gaśnie. Jęknął, wplótł mi rękę we włosy i przyciągnął do siebie, aż przywarłam do jego piersi. Wdychałam jego czysty zapach. Odnalazł mój język i połączyliśmy się, połączyliśmy nasze uczucia, frustracje i pragnienia w jednym doskonałym pocałunku.

Który skończył się zdecydowanie za szybko.

Puściłam jego krawat. Cofnął się. Patrzyliśmy sobie w oczy, szare i złote. A potem odwrócił się na pięcie i odszedł. Odczekałam chwilę i ruszyłam za nim, wolniej. Podeszedł do Finna. Powiedział coś. Finn wydawał się zaskoczony jego widokiem, zawahał się, ale podał mu rękę. A potem Caine odszedł, mijając trumnę Fletchera. Nie obejrzał się.

Podeszłam do Finna, który odprowadzał go zdumionym wzrokiem.

- Nie sądziłem, że przyjdzie - mruknął. - Ale przyszedł. I odszedł. Chyba długo go teraz nie zobaczymy...

Póki nie upora się z tym, co do mnie czuje. Póki nie pogodzi się z tym, że pragnie kobiety, która zabiła jego partnera. Póki nie zbledną wyrzuty sumienia, że nie pomścił jego śmierci. Póki nie zaakceptuje mojej mrocznej przeszłości i świadomości, że zabiłam wielu ludzi. Jeśli to kiedykolwiek nastąpi.

Nie mogłam nic zrobić, nie byłam w stanie wpłynąć na jego decyzję. Ale jestem Pająkiem. Jestem cierpliwa. Zaczekam. Wyjęłam z torebki ciemne okulary, wsunęłam je na nos.

- Do zobaczenia za dwa tygodnie. Postaraj nie wpakować się w kłopoty, kiedy mnie nie będzie. Nie mam ochoty psuć sobie urlopu, żeby wyciągać cię z tarapatów.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Na Key West - odparłam. - Podobno masażyści są o tej porze roku szczególnie przystojni.

ROZDZIAŁ 33

Po południu wsiadłam do samolotu. O północy słuchałam już szumu oceanu, siedząc na balkonie. Wiatr bawił się moimi włosami, niósł słony zapach morza. Księżyc spowijał wszystko srebrzystą poświatą.

Uniosłam szklaneczkę dżinu i spojrzałam na spienione fale. Kostki lodu pobrażkiwały cicho.

- Twoje zdrowie, Fletcher.

Odpowiedział mi tylko ocean, więc wypłam do dna, wróciłam do pokoju i poszłam spać.

Przez następne dni robiłam to, co każda inna turystka na Key West. Podziwiałam zachód słońca nad Mallory Square. Zwiedziłam dom Hemingwaya. Głaskałam koty z dziwnymi łapkami. Nurkowałam. Kupiłam sobie biżuterię z muszli i prawdziwe key limes. Piłam egzotyczne drinki, aż myślałam, że w życiu nie spojrzę już na mango czy ananasa.

A gdy zaliczyłam już to wszystko, wylegiwałam się nad oceanem, czytałam książki, podziwiałam piękne ciała masażystów i ratowników. Fletcher miał rację. Wspaniałe okazy. Zagadałam z jednym z nich, Renaldo, który pracą w hotelu zarabiał na studia. Dał mi jasno do zrozumienia, że chętnie potowarzysty mi w łóżku - i to bez pieniędzy.

Ale miał oczy brązowe, nie złote, i spławiłam go.

Godzinami wpatrywałam się w horyzont, sączyłam drinki i myślałam o tym, co zrobię, gdy wrócę do Ashland. Bo nie wrócę do zawodu, nie będę zabijać. Wiedziałam, co potrafię, jaka jestem dobra. Jako Pająk osiągnęłam wszystko, nie musiałam już niczego udowadniać ani sobie, ani nikomu innemu. Zresztą, bez Fletchera to nie samo. Nikt nie będzie na mnie czekał, gdy wieczorem będę wracała po wykonaniu zlecenia. Nie zapyta, jak poszło, czy jestem ranna. Nikogo to nie obejdzie.

Co ważniejsze, staruszek chciał, żebym przestała zabijać. To było jego osobiste życzenie i zamierzałam je spełnić, choć nie miałam pojęcia, co ze sobą pocznę. Ale czas wykorzystać moje umiejętności w innym celu, choć jeszcze nie wiedziałam, w jakim.

Ale ze zdumieniem odkryłam, że niecierpliwie się by to odkryć.

* * * *

Wróciłam do Ashland dwa tygodnie później, czując się młodsza, wypoczęta, lekko spalona słońcem i skacowana po morzu drinków, które wypłam. Pojechałam do razu do Prosiaka - tam na mnie czekali.

Było już późno, noc zapadała nad Ashland. Ulice spowijała czerń, mrok rozjaśniał jedynie neon - świnka z półmiskiem smakołyków. Zatrzymałam się i zajrzałam przez okno. Fmn, Jo-Jo i Sophia już tam byli.

Finn sącył kawę z cykorią. Nawet na zewnątrz czułam ten intensywny zapach. Sophia zmywała podłogę. Jo-Jo kręciła się jak fryga, dolewała Finnowi kawy, wycierała stoły, zagadywała do siostry.

Nie taką rodzinę miałam na początku, ale to teraz moja jedyna rodzina. Zrobiłabym dla nich wszystko.

Otworzyłam drzwi. Weszłam do środka przy akompaniamencie dzwonka.

Wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę i po chwili ściskali mnie, klepali po plecach, pytali, jak było. Sophia ścisnęła mnie tak mocno, że zatrzęszczały mi kości. Ale to było przyjemne uczucie.

Papłali radośnie, a ja rozglądałam się po restauracji. Drzwi, kasa, krzesła. Naprawiono wszystko, co uległo zniszczeniu tamtej nocy, gdy zginął Fletcher. Jakiś ciemny kształt zwrócił moją uwagę - książka, którą czytał, zanim umarł. Zapewne Sophia nie pozwoliła jej wyrzucić. A jednak bez Fletchera knajpa wydawała się pusta, mimo pozostałych. Ciekawe, czy już zawsze tak będzie?

Ale to nie czas na melancholię, więc odepchnęłam ponure myśli i zaczęłam opowiadać o wakacjach, na które tak długo czekałam. Jo-Jo zainteresowali zwłaszcza przystojni masażyści. W końcu usiedliśmy we czwórkę przy stole pośrodku restauracji.

- Mam coś dla was - powiedziałam i sięgnęłam do taniej plecionej torby kupionej na Key West.

Zielone oczy Finna rozbłysły. Uwielbiał prezenty.

- Co masz? Pieniądze? Drogi alkohol? Skarb piratów? Dublony?

Podalam mu plastikową siatkę z owocami. Mina zrzędła mu w komicznie szybkim tempie.

- Głowa do góry - pocieszyłam. - Jeśli będziesz grzeczny, upiekę ci prawdziwy placek z key lime.

- Wolałbym margaritę - zajęczał.

- Ale dostaniesz ciasto, więc nie narzekaj.

Naburmuszył się komicznie.

Następnie wyjęłam małą buteleczkę z korkiem w kształcie muszli.

- Dla ciebie, Jo-Jo, mam te oto wspaniałe perfumy.

Wyjęła zatyczkę, powąchała.

- Pachną solą i piaskiem, jak ocean. Ładne.

- A to dla Sophii.

Wyjęłam z torby jasnoróżową skórzaną obrożę, z której zwisały malutkie muszelki. Krasnoludzica wzięła, obejrzała, potrząsnęła. Muszelki zabręczały cicho. Sophia uśmiechnęła się lekko. Nigdy nie widziałam jej tak zadowolonej.

- No i macie - powiedziałam. - To były moje wakacje.

Nie dodałam, że zaczęły się też dla mnie inne wakacje. Że już nigdy nie będę Pajakiem. Na to przyjdzie czas później.

Finn odsunął owoce.

- Ja też mam coś dla ciebie. W sumie kilka rzeczy.

Uniosłam brew.

- Na przykład?

Odchrząknął.

- Dzisiaj odczytano testament taty. Zostawił ci sporo gotówki i coś jeszcze.

- Naprawdę? Co?

Finn rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko.

- Ta-dam!

Niełatwo mnie zaskoczyć, ale opadła mi szczęka. Nie wiedziałam, co myśleć. Chwilę trwało, zanim byłam w stanie coś powiedzieć.

- Zostawił mi Wesołego Prosiaka? Dlaczego? Przecież nie potrzebuję pieniędzy... ani stresu.

- Bo wiedział, że kochasz to miejsce - odparła Jo-Jo.

- Kochasz - zawtórowała jej Sophia.

Błądziłam wzrokiem po stolikach, krzesłach, kasie, zakrwawionej książce na półce. Tak, kocham tę restaurację, tak samo jak kochałam staruszka. W moim umyśle stanowili jedność. A teraz była moja. Poczułam ciepło, jakiego nie zaznałam od śmierci Fletchera.

- Zostawił ci także to. - Finn podał mi małą kopertę.

Gin. Na kopercie widniało moje imię, wypisane wąskim, starannym pismem Fletchera. Będzie mi go brakowało. Co jednak nie powstrzymało mnie przed rozerwaniem koperty. W środku była mała karteczka. Po jednej stronie napisał: *Nie myśl, że to twoja wina. Nieważne, co się stało i jak do tego doszło, nie mogłaś temu zapobiec. Proszę, oddaj nam obojgu przysługę i nie siedź w branży zbyt długo. Pożyj za dnia, mała. Kocham cię. Fletcher.*

Oczy zaszyły mi łzami, ale odwróciłam ją i czytałam dalej. Dopiero po chwili zrozumiałam, a wtedy pokręciłam głową z uśmiechem.

- Kminek. Tajemniczy składnik sosu barbeue. No oczywiście. Kminek. - Pomachałam kartką do Finna. - W końcu mi go zdradził. Po śmierci. Stary łobuz.

Finn uśmiechnął się i wzniosł toast kawą. Jego zielone oczy tak bardzo przypominały mi staruszka.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zapytałam. - No wiesz, że zapisał mi restaurację? Powinna być twoja. Był twoim ojcem.

- Żartujesz chyba. Plamy z sosu na jedwabiu? Litości. Uwierz mi, cieszę się, że ją dostałaś. Zresztą, był także twoim ojcem.

Kolejny raz pomyślałam o tamtej nocy, gdy mnie przygarnął. Uratował mnie. Dzięki niemu nie musiałam sprzedawać się na ulicach. Nauczył mnie jak być silną, jak przeżyć. Co prawda Fletcher Lane nie żyje, ale jego nauki zostaną ze mną na zawsze.

- Tak - szepnęłam. - Chyba tak.

Impreza powitalna wkrótce dobiegła końca, ale przed wyjściem Jo-Jo Deveraux odciągnęła mnie na bok i wręczyła mi grubą teczkę.

- Trzymaj - powiedziała. - To także od Fletchera. Pracował nad tym do dawna. Co z tym zrobisz, to twoja sprawa.

Wzięłam teczkę. Była ciężka, co najmniej dwa centymetry papierzysk.

- Co to jest?

- Sama zobaczysz - odparła tajemniczo. - Porozmawiamy o tym później, gdy będziesz gotowa.

Zmarszczyłam brwi, ale uśmiechnęła się.

- Powiedz jeszcze raz, co to był za hotel? - zapytała. - Na wiosnę muszę się dokładnie przyjrzeć tym masażystom.

Zanim się pożegnałam, dochodziła północ. Wyszłam z knajpy, ale nie poszłam od razu do domu. To, że przeszłam na emeryturę, nie znaczy, że zgłupiałam. Pokonałam trzy przecznice, kilka zaułków, i dokładnie sprawdziłam, czy nikt mnie nie śledzi. Zanim weszłam do mieszkania, dotknęłam kamieni przy drzwiach. Wibracje były ciche: spokój jak zawsze, nikogo tu nie było, dobrze.

Weszłam do środka, zapaliłam światło. Wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy wychodziłam, nawet runy na kominku. Podeszłam do nich. Płatek śniegu, dziki powój i prymulka. Symbole mojej wymordowanej rodziny.

Jednego tu brakowało. Muszę ją narysować. Runę Fletchera, a może restauracji, to bez znaczenia, dla mnie stanowili jedność.

Choć marzyły mi się prysznic i sen, usiadłam na kanapie i otworzyłam folder od Jo-Jo Deveraux. Chciałam od razu sprawdzić, co zawiera, nad czym to Fletcher tak pracował, co jest takie ważne. Ciekawość. Naprawdę powinnam nad nią zapanować.

Otworzyłam, wyjęłam plik dokumentów, zaczęłam czytać pierwszy, leżący na wierzchu. Spojrzałam na męskie, pochyle pismo.

21 września, pożar zgłoszony o 7:13 rano. Dom mieszkalny w płomieniach. Prawdopodobnie liczne ofiary śmiertelne...

Dopiero po chwili zrozumiałam, że nie czytam opisu jakiegoś tam pożaru. Ja tam byłam, czułam na sobie te płomienie, muskały mnie jak język kochanka. Spojrzałam na kolejną kartkę. Zdjęcie, a na nim zwęglone szczątki, ręka wyciągnięta w niemym błaganiu o pomoc - albo litość. Zrobiło mi się niedobrze, ale czytałam dalej.

Protokoły z sekcji zwłok, zdjęcia, sprawozdania policyjne, wycinki z gazet. Wszystko tu było. Wszystko, co kiedykolwiek napisano na temat śmierci mojej mamy i dwóch sióstr przed siedemnastu laty. Wszystkie przypuszczenia i poszlaki.

Fletcher.

Staruszek wiedział doskonale, kim jestem, dlaczego błąkałam się po ulicach, co się stało z moją rodziną.

Coś musiało mi się wymknąć, a on dodał dwa do dwóch. Pewnie latami zbierał te dane.

Ale dokonał tego.

I zostawił je dla mnie u Jo-Jo.

Dlaczego? Zastanawiałam się. Po co? Moja matka i Annabella, starsza siostra, nie żyły. Widziałam to na własne oczy, widziałam, jak obróciły się w popiół. Nie wróca. A Bria, moja młodsza siostrzyczka, została pogrzebana żywcem, zmiądzona pod ruinami naszego domu. Została po niej krwawa plama. Ona także odeszła.

Dlaczego więc przekazał mi te informacje? Co jego zdaniem powinnam zrobić? Odszukać panią Ognia, która to zrobiła? Zemścić się? Kiedy mnie torturowała, zawiązała mi oczy. Nie miałam pojęcia, kim jest, czy jeszcze żyje. A może chodziło mu o coś zupełnie innego?

Ręce mi drżały i papiery rozsypały się na podłogę. Zebrałam je na oślep i położyłam na stoliku.

Ale jedna kartka została na ziemi. Pojedynczy arkusik i zdjęcie. Patrzyłam jak urzeczona. Czas płynął. Sekunda. Pięć. Dziesięć. Minuta, a ja nadal gapiłam się na kartkę.

W końcu westchnęłam. Pieprzona ciekawość. Tego akurat Fletcher nie musiał mnie uczyć.

Podniosłam najpierw kartkę. Czysta, nie licząc nazwiska wypisanego ręką Fletchera. Mab Monroe. Podkreślone dwukrotnie. I tyle. Dlaczego zapisał jej nazwisko i dołączył od tych akt? Czy to ona zabiła moją rodzinę? A może wiedziała, kto to zrobił? Fletcher zawsze życzył jej śmierci. Ze względu na mnie? Na to, co zrobiła moim bliskim? A może chodziło o coś innego? Coś, o czym nie miałam pojęcia?

Huczało mi w głowie. Potarłam skronie. Po chwili oderwałam wzrok od nazwiska. Byłam zbyt zdezorientowana, by analizować motywy Fletchera, więc odłożyłam arkusik i sięgnęłam po zdjęcie. Leżało tak, że nie widziałam, co przedstawia. Przyglądałam mu się przez chwilę zanim wyciągnęłam rękę. Na odwrocie widniała data. Sierpień tego roku. Kilka tygodni temu Odwróciłam je...

I moje serce przestało bić.

Bo kobieta na fotografii wyglądała jak moja matka. Długie, jasne włosy. Chabrowe oczy. Różana cera. Ale to nie była moja matka. Miała odrobinę dłuższy nos, szersze usta, twardsze spojrzenie, niż pamiętałam. A jednak rozpoznawałam tę twarz, choć kiedy widziałam ją ostatnio, ja miałam tylko trzynaście lat, a kobieta na zdjęciu - osiem. Minęło siedemnaście lat od tej strasznej nocy, gdy zginęła z mamą i siostrą - a przynajmniej tak do tej chwili myślałam.

Pomknęłam wzrokiem do jej naszyjnika. Wisiorek ze srebrenitu. Runa. Prymulka. Symbol piękna. Taka sama jak na rysunku przy kominku.

- Bria - szepnęłam. - Bria.